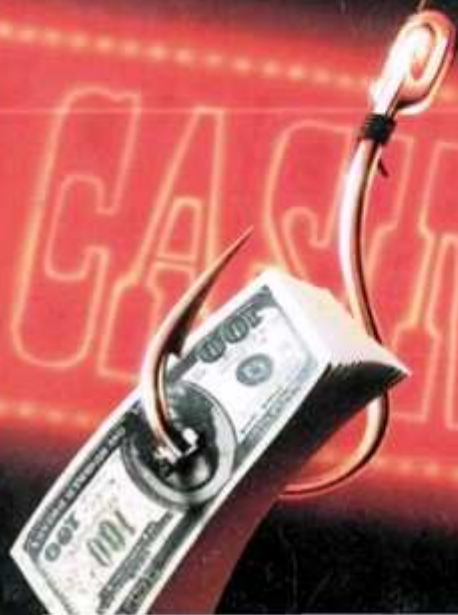


Michael Connelly

Martwy
księżyc



Prószyński i S-ka

Martwy księżyc

Najpilniej skrywanym sekretem z przeszłości Cassie Black jest jej córka. Cassie musiała oddać ją do adopcji, lecz stara się za wszelką cenę być tak blisko niej, jak to tylko możliwe. Zerwawszy z przestępczą przeszłością, próbuje prowadzić zwyczajne, uczciwe życie. Udaje jej się to tylko do czasu. Przybrana rodzina córki postanawia przenieść się do Europy. Cassie za nic nie chce stracić kontaktu z dzieckiem, musi więc podążyć jego śladem – ale do tego potrzebne są pieniądze. Bardzo dużo pieniędzy. Można je zdobyć tylko w jeden sposób: wracając na drogę przestępstwa. Decydując się na ten krok, Cassie nie ma pojęcia, że wplątuje się w groźną rozgrywkę i naraża okrutnym, bezwzględnym i przebiegłym ludziom. W tej grze nie obowiązują żadne reguły, stawką natomiast jest życie.

CENA 34 ZŁ

Informacje o naszych książkach można znaleźć
w witrynie internetowej www.proszynski.pl

Zapraszamy do WIRTUALNEGO WSZECHŚWIATA
– witryny edukacyjno-popularnonaukowej www.wiw.pl



Michael
Connelly

Martwy
księżyc

Przełożył Łukasz Praski

WARSZAWA 2001

Tytuł oryginału: VOID MOON

Copyright © 2000 by Hieronymus, Inc. All rights reserved.

Projekt okładki:

Zombie Sputnik Corporation

Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski

Redakcja: Jacek Ring

Redakcja techniczna: Jolanta Trzcińska

Łamanie: Agnieszka Dwilińska

Korekta: Jadwiga Piller

ISBN 83-7255-952-X

Wydawca:

Prószyński i S-ka SA

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

Druk i oprawa:

OPOLGRAF Spółka Akcyjna

45-085 Opole, ul. Niedziałkowskiego 8-12

DLA LINDY, za pierwsze piętnaście lat

Wokół nich rozbrzmiewała kakofonia podnieconych, owładniętych chciwością głosów. Gwar nie mógł jednak naruszyć ich świata.

Odwróciła głowę, by spojrzeć na swoją szklanę stojącą na stoliku. Uniosła ją; nie licząc lodu i wisienki, była pusta, ale to nie miało znaczenia. On także podniósł swoją szklanę, w której został ledwie łyk piwa i trochę piany.

- Za szczęśliwy koniec - powiedziała.

Z uśmiechem skinął głową. Wiedziała, że ją kocha.

- Za koniec... Za miejsce, gdzie pustynią jest ocean.

Odwzajemniła uśmiech, stukając się z nim. Uniosła szklanę i wisienka wpadła jej do ust. Posłała mu wymowne spojrzenie, gdy ocierał z wąsów pianę. Kochała go. Byli sami przeciw całemu pieprzonemu światu, lecz uważała, że nie są bez szans.

Po chwili przestała się uśmiechać, kiedy pomyślała, jak fatalnie rozegrała sprawę. Powinna się domyślić jego reakcji, jego sprzeciwu. Powinna powiedzieć mu dopiero po wszystkim.

- Max - powiedziała, poważniejąc. - Pozwól mi to zrobić. Serio. Ostatni raz.

- Nie ma mowy. Ja pójdę.

Z głębi kasyna dobiegł okrzyk na tyle głośny, by przerwać oddzielającą ich od reszty świata barierę. Popatrzyła w tę stronę i ujrzała jakiegoś Teksanczyka w kowbojskim kapeluszu, który tańczył przy jednym ze stołów do gry w kości, tuż pod balkonikiem wznoszącym się ponad salą kasyna. Teksanczykowi towarzyszyła kobieta o bujnych włosach, panią na telefon, która pracowała w kasynach od dnia, gdy Cassie pierwszy raz rozdawała w Tropicanie.

Cassie ponownie spojrzała na Maksa.

- Nie mogę czekać, aż stąd wyjedziemy. Może przynajmniej rzuci-
my monetą.

Wolno pokręcił głową.

- Wykluczone. To moja rzecz.

Max wstał, spojrzała na niego. Był przystojny i smagły. Podobała się
jej mała blizna na jego podbródku, nigdy niepokryta zarostem.

- Chyba już czas - rzekł Max.

Popatrzył na kasyno, nie zatrzymując oczu na niczym, dopóki jego
wzrok nie spoczął na balkoniku. Cassie podążyła za jego spojrzeniem.
Stał tam jakiś ciemno ubrany mężczyzna, przyglądający się ludziom w
dole niczym ksiądz trzódce swych wiernych.

Próbowała znów się uśmiechnąć, ale nie potrafiła unieść kącików
ust. Coś było nie tak. Zmiana planów. Zamiana ról. Zdała sobie sprawę,
jak bardzo chce tam iść, jak bardzo będzie jej brakować tego dreszczy-
ku. Wiedziała, że naprawdę chodzi jej o nią, nie o Maksa. Nie troszczy-
ła się o Maksa. Była egoistką.

- Gdyby coś się stało... - powiedział Max. - Zobaczymy się w swoim
czasie.

Teraz posłała mu otwarcie wzburzone spojrzenie. Takie pożegnanie
nie należało do rytuału. Ostentacyjna negacja.

- Max, o co chodzi? Dlaczego tak się denerwujesz?

Max zerknął na nią i wzruszył ramionami.

- Chyba dlatego, że to ostatni raz.

Usiłował się uśmiechnąć, potem dotknął jej policzka i pochylił się.
Pocałował ją, najpierw muskając wargami policzek, ale zaraz odnalazł
jej usta. Sięgnął ręką pod stół i zasłonięty przed spojrzeniami innych,
przesunął palcem po wewnętrznej stronie jej nogi, po szwie dżinsów.
Po chwili bez słowa odwrócił się i wyszedł z sali. Patrzyła, jak idzie
przez kasyno, zmierzając do windy. Nie obejrzał się. To należało do
rytuału. Nigdy nie wolno oglądać się za siebie.

Rozdział 1

Dom przy Lookout Mountain Road stał dość daleko od ulicy, wciśnięty tyłem w strome zbocze kanionu. Dzięki temu od szerokiej frontowej werandy do białego płotu biegnącego wzdłuż ulicy rozciągał się długi, płaski trawnik. W Kanionie Laurel rzadko można było zobaczyć tak dużą i płaską połąkę trawy przed lub za domami. Właśnie trawnik miał być głównym atutem przetargowym przy sprzedaży posesji.

Według ogłoszenia z rubryki handlu nieruchomościami w „Timesie”, dom miał być udostępniony oglądającym od czternastej do siedemnastej. Cassie Black zaparkowała przy krawężniku dziesięć minut przed wyznaczoną godziną. Stwierdziła, że na podjeździe nie ma żadnych samochodów, a w domu brak oznak życia. Nie było należącego do właścicieli białego volvo kombi, które zwykle tu parkowało. Cassie nie wiedziała, co z drugim samochodem, czarnym bmw, ponieważ mały garaż z boku domu był zamknięty. Uznała jednak brak volvo za znak, że domownicy wyjechali, postanawiając nie pokazywać się podczas oglądania domu. Świetnie. Cassie wołała, żeby ich nie było. Nie była pewna, co by zrobiła, gdyby oboje z dziewczynką zostali w domu.

Cassie czekała w swoim boxsterze do czternastej, a potem zaczęła się niepokoić. Doszła do wniosku, że musiała pomylić godzinę albo co gorsza dom został już sprzedany i żadnego pokazu nie będzie. Otworzyła gazetę leżącą na fotelu pasażera, by jeszcze raz sprawdzić ogłoszenie. Nie pomyliła się. Spojrzała na tabliczkę „Na sprzedaż” przybitą do słupka na trawniku i porównała nazwisko pośrednika z nazwiskiem wymienionym w ogłoszeniu. Wszystko się zgadzało. Z plecaka wyciągnęła telefon komórkowy i usiłowała dodzwonić się do agencji handlu

nieruchomościami, lecz się nie udało. Nic dziwnego - była w Kanionie Laurel, a w prawie żadnym z osiedli na stokach wzgórz Los Angeles nie można było uzyskać czystego połączenia przez telefon komórkowy.

Nie pozostawało jej więc nic innego, jak czekać, oglądając stojący za trawnikiem dom. Według ogłoszenia był to oryginalny kalifornijski bungalow zbudowany w 1931 roku. W przeciwieństwie do nowszych domów w okolicy ten był głęboko cofnięty w stronę stoku wzgórz i miał własny charakter. Był mniejszy niż sąsiadujące budynki - widocznie projektanci chcieli wynagrodzić to dużym trawnikiem i otaczającą posesję przestrzenią. Przy budowie innych domów w osiedlu wykorzystano każdy cal działki, wychodząc z założenia, że najważniejsza jest przestrzeń we wnętrzu.

Stary bungalow miał długi, szary, pochyły dach zakończony dwoma oknami mansardowymi. Cassie wiedziała, że za jednym z nich znajduje się sypialnia gospodarzy, a za drugim pokój dziewczynki. Ściany zewnętrzne pomalowano na rudawy brąz. Przez całą długość frontu ciągnęła się szeroka weranda, wejście stanowiły pojedyncze oszklone drzwi. Zazwyczaj rodzina zasłaniała roletami szybę w drzwiach, lecz dziś rolety nad drzwiami i frontowym oknem były podniesione, więc Cassie mogła zajrzeć do salonu. W środku paliło się górne światło.

Podwórko od frontu niewątpliwie było placem zabaw. Trawę zawsze starannie strzyżono. Wzdłuż ogrodzenia z lewej strony postawiono huśtawkę i drabinki. Cassie wiedziała, że mieszkająca tu dziewczynka wołała się huśtać zwrócona plecami do domu i twarzą do ulicy. Często o tym myślała, zastanawiając się, czy ów zwyczaj może mieć jakieś głębsze znaczenie psychologiczne.

Pusta huśtawka wisiała zupełnie nieruchomo. Cassie zobaczyła piłkę i czerwony wózek, również spokojnie czekające na dziewczynkę. Pomyślała, że być może podwórko jest jednym z powodów, dla którego rodzina zdecydowała się na przeprowadzkę. W porównaniu z centrum Los Angeles, Kanion Laurel stanowił oazę umiarkowanego bezpieczeństwa w rozrastającym się mieście. Mimo to w żadnej z dzielnic nikt nie lubił, gdy dziecko bawiło się poza domem, blisko ulicy - miejsca, gdzie mogła spotkać je krzywda, skąd mogło nadejść zagrożenie.

W ogłoszeniu nie było mowy o podwórku. Cassie zajrzała do gazety i jeszcze raz przeczytała anons.

PROSIMY SKŁADAĆ OFERTY!
Klasyczny dom kalifornijski, 1931 rok
2 sypialnie, przestronny salon/jadalnia, duża, zielona działka.
Okazja! Bardzo pilne!
Atrakcyjna, obniżona cena!

Cassie zauważyła tabliczkę „Na sprzedaż” przy okazji rutynowego objazdu trzy tygodnie wcześniej. Widok ten wprowadził w jej życie pewien niepokój, który objawiał się bezsennością i niemożnością skupienia uwagi w pracy. W ciągu trzech tygodni nie sprzedała ani jednego samochodu, odnotowując najdłuższy okres swej nieobecności na tablicy sprzedaży.

O ile Cassie się orientowała, dzisiejszy pokaz był pierwszym otwarciem domu dla potencjalnych kupców, zatem treść ogłoszenia wydała się zagadkowa. Zastanawiała się, dlaczego właściciele chcą tak pilnie pozbyć się posesji i obniżyli cenę już po trzech tygodniach, jakie upływały od wystawienia domu na sprzedaż. Coś tu nie grało.

Trzy minuty po ustalonej godzinie otwarcia domu na podjeździe zatrzymał się wóz, którego Cassie nie знаła - bordowy volvo sedan. Wsiadła z niego szczupła blondynka w wieku czterdziestu kilku lat. Miała na sobie sportowy, lecz schludny strój. Otworzyła bagażnik, z którego wyjęła tabliczkę „Zapraszamy do oglądania domu” i położyła ją na krawężniku. Cassie spojrzała w lusterko na osłonie przeciwsłonecznej, poprawiając włosy i naciągając perukę z tyłu głowy. Wsiadła z porsche i podeszła do kobiety, która zawieszała tabliczkę.

- Pani Laura LeValley? - zapytała Cassie, odczytując nazwisko z tabliczki „Na sprzedaż”.

- Zgadza się. Przyjechała pani obejrzeć dom?

- Tak, chciałabym go zobaczyć.

- Najpierw muszę utworzyć. Ładny samochód. Nowy?

Pokazała puste miejsce z przodu porsche, gdzie powinna być tablica rejestracyjna. Przed wyjazdem Cassie zdjęła tablice w garażu w domu. Był to jedynie środek ostrożności. Nie była pewna, czy pośrednicy w handlu nieruchomościami nie spisują numerów rejestracyjnych, by potem namierzyć albo zbadać sytuację potencjalnych nabywców. Nie miała ochoty, by ją namierzyli. Właśnie dlatego włożyła perukę.

- Hm, tak - odrzekła. - Dla mnie nowy, ale naprawdę jest używany. Ma rok.

- Ładny.

Boxster prezentował się doskonale, lecz w istocie był to wóz odebrany klientowi za niepłacenie rat i miał na liczniku prawie trzydzieści tysięcy mil. Składany dach przeciekał, a odtwarzacz kompaktowy przeskakiwał na najmniejszych wybojach. Szef Cassie, Ray Morales, pozwalał jej korzystać z porsche, a sam ustalił z jego właścicielem, że ten do końca miesiąca przyniesie pieniądze albo zobaczy swój samochód wystawiony na sprzedaż. Cassie przypuszczała, że nie zobaczą grosza od tego faceta. Tonął w długach po uszy. Zaglądała do dokumentów. Gość zapłacił sześć pierwszych rat, spóźniając się za każdym razem, a następnymi sześcioma w ogóle się nie przejął. Ray popełnił błąd, biorąc od niego weksel i sprawdzając tylko, czy klient nie jest dłużnikiem żadnych instytucji kredytowych. Już wtedy powinien nabrać podejrzeń. Ale facet namówił Raya, by przyjął weksel i dał mu kluczyki. Raya naprawdę irytowała myśl, że dał się podejść. Pojechał osobiście nadzorować holowanie boxstera, gdy zabierali go spod domku dłużnika na wzgórzu wznoszącym się nad Sunset Plaza.

Kobieta z agencji nieruchomości wróciła do samochodu po teczkę, po czym zaprowadziła Cassie wyłożoną kamieniami ścieżką na werandę.

- Właściciele będą dzisiaj w domu? - spytała Cassie.

- Nie, lepiej, kiedy nikogo nie ma. Wtedy każdy może zajrzeć, gdzie chce, powiedzieć, co naprawdę myśli. Nikt nie czuje się obrażony. Różne są ludzkie upodobania. To, co dla jednego jest cudowne, dla innego może być okropne.

Cassie uśmiechnęła się uprzejmie. Kiedy stanęły przed drzwiami, Laura LeValley wyjęła z teczki małą kopertę, z której wyciągnęła klucz. Otwierając drzwi, nie przestawała trajkotać.

- Reprezentuje panią jakiś pośrednik?

- Nie, na razie się rozglądam.

- Lepiej się orientować, jak wygląda rynek. Ma pani obecnie prawo własności?

- Słucham?

- Czy jest pani właścicielem nieruchomości? Chce pani coś sprzedać?

- Ach, nie. Wynajmuję. Mam nadzieję, że coś kupię. Coś małego, w rodzaju tego domu.

- Ma pani dzieci?

- Nie, jestem sama.

Laura LeValley otworzyła drzwi i zawołała, by się upewnić, że w domu naprawdę nie ma nikogo. Gdy odpowiedziała jej cisza, wpuściła Cassie pierwszą.

- W takim razie ten dom powinien być idealny. Wprawdzie są tylko dwie sypialnie, ale za to dużo otwartej przestrzeni. Moim zdaniem to czarujące miejsce. Zaraz się pani przekona.

Znalazły się w środku i Laura LeValley postawiła teczkę, podała Cassie dłoń i jeszcze raz oficjalnie się przedstawiła.

- Karen Palty - skłamała Cassie, ściskając rękę agentki.

Laura LeValley krótko opisała wszystkie zalety domu. Z teczki wyjęła plik luźnych kartek ze szczegółowymi informacjami o sytuacji posesji i podała dokumenty Cassie, nie milnąc ani na chwilę. Cassie skinęła z roztargnieniem głową, lecz prawie w ogóle jej nie słuchała, uważnie przypatrując się meblom i innym sprzętom należącym do mieszkającej w domu rodziny. Długo przyglądała się zdjęciom wiszącym na ścianach i stojącym na stolikach i komodach. Laura LeValley zachęciła ją, by weszła dalej i rozejrzała się, a sama zaczęła przygotowywać na stole w jadalni materiały informacyjne i listę, na którą mieli się wpisywać oglądający dom.

Dom był starannie posprzątany i Cassie zastanawiała się, w jakim stopniu przyczynił się do tego fakt, że mieli go oglądać potencjalni kupcy. Minąwszy krótki korytarzyk, weszła na schody prowadzące do dwóch sypialni i łazienki na piętrze. Postąpiła kilka kroków w głąb dużej sypialni i rozejrzała się. Pokój miał duże okno wykuszowe wychodzące na stromy skalisty stok z tyłu domu. Z dołu dobiegł głos Laurry LeValley, która zdawała się doskonale odgadywać, na co Cassie patrzy i o czym myśli.

- Nie grożą tu żadne lawiny błotne. Skała za oknem to wulkaniczny granit. Nie ruszyła się z miejsca chyba od dziesięciu tysięcy lat i niech mi pani wierzy, raczej nigdzie się nie wybiera. Jeżeli jednak naprawdę interesuje panią ta posesja, proponowałabym przeprowadzenie ekspertyzy geologicznej. Będzie pani spać spokojniej, jeżeli zdecyduje się pani kupić.

- Dobry pomysł! - zawołała do niej Cassie.

Cassie uznała, że dość już napatrzyła się na pokój. Wyszła, przecięła korytarz i skierowała kroki na górę, do sypialni dziecka. Pokój również był posprzątany, ale zagracony pluszowymi zwierzakami, lalkami Barbie i innymi zabawkami. W rogu pokoju stały sztalugi, na których wisiał rysunek wykonany kredką, wyobrażający szkolny autobus i kilka patykowatych figurek ludzkich w oknach. Autobus stał przy budynku, w którego garażu zaparkował wóz strażacki. Budynek straży pożarnej. Dziewczynka miała prawdziwy talent.

Cassie wyjrzała na korytarz, by sprawdzić, czy nie nadchodzi Laura LeValley, a potem podeszła do sztalug. Przewróciła kilka kartek, oglądając poprzednie rysunki. Jeden z nich przedstawiał dom z dużym trawnikiem przed frontem. Obok tabliczki „Na sprzedaż” stała figurka dziewczynki, z której ust wychodził dymek z napisem „Buu!”. Cassie wpatrywała się przez chwilę w rysunek, po czym zaczęła oglądać resztę pokoju.

Na ścianie po lewej wisiał oprawiony w ramki plakat filmowy „Mała syrenka” i ułożony z różnobarwnych drewnianych liter napis „JODIE SHAW”. Cassie stała na środku pokoju, starając się wszystko wchłonąć i zapamiętać. Jej wzrok spoczął na niedużej fotografii w ramach stojącej na białej komodzie. Na zdjęciu była uśmiechnięta dziewczynka przytulona do Myszki Mickey pośród tłumu w Disneylandzie.

- Pokój córki.

Cassie niemal podskoczyła, gdy dobiegł ją głos z tyłu.

Odwróciła się. W drzwiach stała Laura LeValley. Cassie nie słyszała jej kroków. Przyszło jej na myśl, że pośredniczka nabrała do niej podejrzeń i ukradkiem wspięła się po schodach, by przyłapać ją na kradzieży albo czymś takim.

- Śliczne dziecko - powiedziała LeValley, nie zdradzając żadnych oznak podejrzliwości. - Poznałam ją, kiedy rejestrowałam dom. Ma chyba sześć albo siedem lat.

- Pięć. Prawie sześć.

- Słucham?

Cassie szybko pokazała fotografię.

- Tak myślę. Pod warunkiem że to niedawne zdjęcie. Odwróciła się, szerokim gestem wskazując całą sypialnię.

- Mam pięcioletnią siostrzenicę. To mógłby być jej pokój.

Odczekała chwilę, ale Laura LeValley nie zadała jej więcej pytań. Cassie popełniła poważny błąd i tylko szczęście pozwoliło jej go zatuszować.

- Tak - rzekła Laura LeValley. - Chciałabym, żeby wpisała się pani na listę, abyśmy mieli pani adres i telefon. Chce pani o coś zapytać? Mam nawet formularz oferty kupna, gdyby przypadkiem zdecydowała się pani od razu...

Wypowiadając ostatnie zdanie, kobieta się uśmiechnęła. Cassie odwzajemniła się tym samym.

- Jeszcze nie. Ale dom mi się podoba.

Laura LeValley odwróciła się i zaczęła schodzić po schodach. Cassie ruszyła za nią do drzwi. Wychodząc na korytarz, popatrzyła na kolekcję pluszowych zwierzątek na półce nad łóżkiem. Dziewczynka miała chyba szczególną słabość do pluszowych psów. Potem Cassie jeszcze raz obrzuciła przelotnym spojrzeniem rysunek.

W jadalni na dole Laura LeValley wręczyła jej listę, na której Cassie wpisała „Karen Palty” - nazwisko należące do jej dawnej przyjaciółki, jeszcze z czasów, gdy rozdawała w black jacku - a obok zanotowała numer telefonu w Hollywood i adres przy Nichols Canyon Road. Oddała kartkę pośredniczą, która odczytała dane.

- Jeśli ten dom nie za bardzo się pani podoba, chętnie pokażę kilka innych w kanionie. Może znajdzie pani coś odpowiedniejszego.

- Wspaniale. Jednak na razie pomyślę o tym.

- Oczywiście. Proszę dać mi znać. Proszę.

Laura LeValley podała jej wizytówkę. Przez okno salonu Cassie zauważyła, że za boxsterem zatrzymuje się jakiś samochód. Następny potencjalny kupiec. Uznała, że musi jej zadać kilka pytań, dopóki nie ma innych klientów.

- W ogłoszeniu była mowa, że państwo Shaw chcą pilnie sprzedać dom. Mogę zapytać dlaczego? Może z domem jest coś nie tak?

W połowie pytania Cassie zorientowała się, że wymieniła nazwisko właścicieli. Potem jednak przypomniała sobie napis z kolorowych liter w pokoju dziewczynki, więc była kryta, jeżeli Laura LeValley go zauważyła.

- Ach, nie, to nie ma nic wspólnego z domem - odparła kobieta. - Właściciel zmienia pracę i rodzina pilnie musi się przeprowadzić. Jeżeli uda im się szybko sprzedać dom, wyjadą razem i mąż nie będzie musiał dojeżdżać. A to bardzo daleko.

Cassie poczuła, że musi usiąść, lecz stała nieporuszona. Poczuła, jak ogarnia ją fala lęku. Próbowwała utrzymać równowagę, opierając dłoń o kamienny kominek, ale nie była pewna, czy udało się jej ukryć wrażenie, jakie wywarły na niej słowa kobiety.

Bardzo daleko.

- Dobrze się pani czuje? - zapytała Laura LeValley.

- Nic mi nie jest. W zeszłym tygodniu miałam gripę i... sama pani wie.

- O, tak. Kilka tygodni temu też byłam chora. Okropność.

Cassie odwróciła twarz, udając, że przygląda się obmurowaniu kominka.

- Jak daleko wyjeżdżają? - spytała, starając się zachować swobodny ton, mimo wzbierającego w niej strachu.

Zamknęła oczy w oczekiwaniu, pewna, że Laura LeValley już wie, że wcale nie przyjechała tu z powodu domu.

- Do Paryża. Pan Shaw pracuje w jakiejś firmie importującej odzież i przez jakiś czas ma pilnować interesów w Paryżu. Zastanawiali się, czy nie zatrzymać domu, może wynająć. Ale moim zdaniem są realistami i wiedzą, że prawdopodobnie już nie wrócą. Wie pani, Paryż. Któż nie chciałby tam mieszkać?

Cassie otworzyła oczy i skinęła głową.

- Paryż...

Laura LeValley ciągnęła niemal konspiracyjnym tonem:

- Dlatego właśnie interesuje ich każda oferta. Firma pana Shawa ma pokryć różnicę, gdyby oferowana cena była niższa od oszacowanej wartości domu. Każdą różnicę w granicach rozsądku. Wystarczy szybko zaproponować niewysoką cenę. Chcą jak najszybciej wyjechać, żeby dziewczynka latem mogła zacząć chodzić do szkoły językowej i nie czuła się obco, kiedy zacznie się rok szkolny.

Cassie nie słuchała paplaniny agentki. Wpatrywała się w ciemną czeleść kominka. Tysiące razy płonął tu ogień i wypełniał ciepłem dom. Teraz jednak cegły były czarne i zimne. Cassie przez chwilę miała wrażenie, jakby patrzyła w głąb własnego serca.

Wiedziała już, że w jej życiu wszystko się zmieni. Od dawna żyła z dnia na dzień, starannie wystrzegając się myśli o rozpaczliwym planie, który jak widmo unosił się daleko na horyzoncie.

Teraz jednak nadszedł czas, by ruszyć w kierunku horyzontu.

Rozdział 2

W poniedziałek po oglądaniu domu Cassie jak zwykle przyjechała do Porsche Hollywood o dziesiątej i cały ranek spędziła w swoim małym biurze znajdującym się za salonem sprzedaży, dzwoniąc do klientów, studiując aktualną ofertę salonu, odpowiadając na pytania internetowe i prowadząc poszukiwania dla jednego z klientów, który życzył sobie oryginalnego speedstera. Jednak cały czas jej myśli zajmowały informacje, jakie wczoraj uzyskała podczas oglądania domu w Kanionie Laurel.

W poniedziałki życie w salonie zawsze toczyło się najwolniej. Od czasu do czasu mieli papierkową robotę z transakcji przeprowadzonych w weekend, lecz z reguły na początku tygodnia przychodziło niewielu nowych kupców. Firma mieściła się przy Sunset Boulevard, tuż obok Cinerama Dome i czasami poniedziałki płynęły tak leniwie, że Ray Morales pozwalał Cassie wyskoczyć po południu na film, pod warunkiem że będzie miała włączony pager, gdyby pojawiła się nadzieja na zrobienie jakiegoś interesu. Ray zawsze dawał jej fory, począwszy od dnia, w którym ją zatrudnił, choć Cassie nie mogła się wykazać żadnym doświadczeniem. Wiedziała, że Morales nie kieruje się wyłącznie altruizmem. Wiedziała, że w swoim czasie zgłosi się do niej, by zwrócić mu zaciągnięty w ten sposób dług. Dziwiła się jednak, że dotąd tego nie zrobił, choć minęło już dziesięć miesięcy.

Firma Porsche Hollywood sprzedawała nowe i używane samochody. Jako nowej osobie w sześciuosobowym zespole sprzedawców, Cassie przypadła praca w poniedziałki i internetowa obsługa interesantów. Co do drugiej części swoich obowiązków, nie narzekała, ponieważ chodziła na kursy komputerowe w więzieniu dla kobiet High Desert i odkryła, że lubi komputery. Stwierdziła, że z klientami i sprzedawcami z innych firm woli kontaktować się w sieci niż osobiście.

Poszukiwania speedstera, jakiego życzył sobie klient, zostały uwieńczone sukcesem. W salonie w San Jose znalazła kabriolet rocznik 1958 w idealnym stanie i umówiła się, aby przysłało jej na jutro fotografie i szczegółowe informacje o wozie. Potem wysłała wiadomość do klienta,

prosząc, by przyszedł nazajutrz obejrzyć zdjęcia, a jeżeli nie będzie mógł, sama prześle mu do biura, gdy tylko nadejdą.

Niedługo przed lunchem odbyła się próbna jazda. Klient był jednym ze „sztywnych hollywoodzkich fiutów”, jak nazywał ich Ray.

Ray skrupulatnie wertował pisma „Hollywood Reporter” i „Daily Variety”, szukając artykułów o szczęśliwcach, którzy z dnia na dzień stali się kimś. Najczęściej byli to pisarze bez grosza, nagle zyskujący bogactwo i krótkotrwały rozgłos dzięki umowie ze studiem filmowym na scenariusz albo ekranizację książki. Ustaliwszy cel, Ray namierzał pisarza, biorąc jego adres ze Związku Pisarzy albo od przyjaciela z urzędu ewidencji wyborców. Potem w ekskluzywnym sklepie zamawiał butelkę whisky Macallan i posyłał ofierze wraz ze swoją wizytówką i krótkim listem gratulacyjnym. W więcej niż połowie przypadków sztuczka działała. Pisarz dzwonił do Raya, a potem zjawiał się w salonie. Posiadanie własnego porsche należało niemal do rytuału inicjacji w Hollywood, zwłaszcza dla dwudziestokilkuletnich mężczyzn - a chyba wszyscy scenarzyści byli mniej więcej w tym wieku. Ray przekazywał tych klientów swoim sprzedawcom i jeśli transakcja doszła do skutku, dzielił się z nimi prowizją.

W ten poniedziałek Cassie miała jazdę próbną z pisarzem, który pierwszy raz zawarł z Paramount kontrakt opiewający na siedmiocyfrową kwotę. Ray, wiedząc, że Cassie od trzech tygodni nie sprzedała samochodu, przekazał go właśnie jej. Pisarz nazywał się Joe Michaels i był zainteresowany nowym kabrioletem carrera, modelem, którego cena z pełnym wyposażeniem zbliżała się do stu tysięcy dolarów. Prowizja Cassie z tej transakcji mogła jej wystarczyć na cały miesiąc.

Joe zajął miejsce dla pasażera i Kanionem Nichols pojechali na Mulholland Drive, skręcając na wschód w krętą drogę. Cassie wybrała swoją rutynową trasę. Właśnie na Mulholland Drive moc i urok samochodu najbardziej działały na wyobraźnię. Każdy klient zaczynał rozumieć, jakie cudo zamierza kupić.

Ruch jak zwykle był niewielki. Nie licząc kilku grupek motocyklistów, mieli całą drogę dla siebie. Cassie pędziła przez proste odcinki, zwalniała przed zakrętami i przyspieszała, wychodząc z wirażu. Od czasu do czasu zerkała na Michaelsa, by wyczytać z jego miny, czy może uważać transakcję za zawartą.

- Pracujesz teraz nad jakimś filmem? - zapytała go.
- Przerabiam scenariusz do filmu sensacyjnego.

Dobry znak - powiedział „film sensacyjny” zamiast „kryminał”. Tak mówili ludzie, którzy traktowali się zbyt poważnie (czyli mieli pieniądze).

- Kto w tym gra?

- Nie ma jeszcze obsady. Właśnie dlatego robię poprawki. Dialogi są do kitu.

Przed jazdą próbną Cassie przeczytała artykuł o pierwszym kontrakcie Joego w „Variety”. Dowiedziała się z niego, że Michaels niedawno ukończył szkołę filmową przy USC i nakręcił piętnastominutowy film, który wygrał jakąś nagrodę fundowaną przez wytwórnię. Wyglądał najwyżej na dwadzieścia pięć lat. Cassie zastanawiała się, skąd mógłby znać dobre dialogi. Nie wyglądał na kogoś, kto choć raz w życiu spotkał gliniarza, nie mówiąc już o przestępcach. Uznała, że dialogi wziął pewnie z telewizji albo innych filmów.

- Chcesz poprowadzić, John?
- Mam na imię Joe.

Znów trafiła. Celowo przekreśliła jego imię, by sprawdzić, czy ją poprawi. Ponieważ to zrobił, mogła stwierdzić, że jest megalomanem i odnosi się do siebie ze śmiertelną powagą - czyli łączył w sobie cechy ważne przy sprzedaży i kupnie samochodów, również megalomańskich i poważnych.

- Joe.

Zatrzymali się w miejscu, skąd rozpościerał się widok na Hollywood Bowl. Cassie zgasiła silnik, zaciągnęła hamulec ręczny i wysiadła. Podchodząc do skraju przepaści i stawiając stopę na poręczy ochronnej, nie obejrzała się na Michaela. Pochyliła się, by zawiązać sznurowadło czarnego martensa, a potem zajrzała do pustego amfiteatru. Miała na sobie obcisłe czarne dżinsy i białą bluzkę bez rękawów, na którą narzucała rozpiętą bawełnianą koszulę. Miała świadomość, że wygląda nieźle, a jej radar mówił, że Joe zamiast na samochód patrzy na nią. Przejechała palcami po jasnych włosach, które ostatnio krótko obcięła, by móc nosić perukę. Odwróciła się raptownie i przyłapała Michaela, który przyglądał się jej sylwetce. Szybko odwrócił oczy w stronę centrum miasta, które otulał różowopastelowy smog.

- I co sądzisz o wozie? - spytała.

- Chyba mi się podoba - odparł Michaels. - Ale żeby mieć pewność, trzeba samemu poprowadzić.

Uśmiechnął się. Ona też. Najwyraźniej odbierali na tej samej fali.

- Zatem do dzieła - powiedziała, starając się wykorzystać ich wzajemne zrozumienie.

Zamienili się miejscami w porsche i Cassie usiadła na fotelu pasażera odrobinę bokiem, by widzieć Joego. Patrzyła, jak prawą ręką sięgnął do kolumny kierownicy, szukając kluczyka w stacyjce.

- Z drugiej strony - powiedziała.

Znalazł wreszcie stacyjkę na tablicy rozdzielczej na lewo od kierownicy.

- To tradycja w porsche - wyjaśniła. - Jeszcze z czasów, kiedy produkowali tylko samochody wyścigowe. Można było włączać silnik lewą ręką, trzymając prawą na dźwigni zmiany biegów. Szybciej się startowało.

Michaels skinął głową. Cassie wiedziała, że klienci zawsze łykają tę historyjkę. Nie miała pojęcia, czy jest prawdziwa - usłyszała ją od Raya - mimo to za każdym razem ją opowiadała. Wiedziała, że Michaels wyobraża sobie teraz, jak będzie ją powtarzał wszystkim panienkom podrywającym na Sunset Strip.

Joe zapalił, cofnął wóz i wyjechał z powrotem na Mulholland, wprawiając silnik w zbyt wysokie obroty. Jednak po kilku ruchach dźwigni wyczuł niuanse działania skrzyni biegów i zaczął płynnie pokonywać zakręty. Cassie patrzyła, jak starał się powstrzymać uśmiech, kiedy znaleźli się na długiej prostej i w ciągu kilku sekund szybkościomierz wskazał siedemdziesiąt pięć mil. Nie mógł jednak ukryć zadowolenia. Cassie dobrze знаła tę minę i to uczucie. Niektórym trzeba do tego szybkości i poczucia mocy, inni osiągają podobny stan innymi sposobami. Ież to czasu minęło, kiedy ona czuła przenikający krew gorący dreszcz.

Cassie zajrzała do swego ciasnego biura, by sprawdzić, czy są jakieś wiadomości. Na biurku nie znalazła żadnych różowych karteczek. Przebiegła salon, przesuując po drodze palcem po spadzistym dachu modelu '96, minęła pokój działu finansowego i weszła do gabinetu szefa. Kiedy na odpowiednim haczyku zawiesiła kluczyki do carrery, które miała ze sobą na próbnej jeździe, Ray Morales uniósł głowę znad papierów. Chciał usłyszeć, jak jej poszło.

- Musi się kilka dni zastanowić - powiedziała, nie patrząc na Raya. - Zadzwoń do niego w środę.

Cassie odwracała się, by wyjść, gdy nagle Ray rzucił na biurko dłu-gopis i odsunął krzesło.

- Cholera, Cassie, co się z tobą dzieje? Przecież ten facet był typowym sztywnym fiutem. Jak mogłaś go stracić?

- Nie powiedziałam, że go straciłam - zaprotestowała gwałtownie Cassie. - Powiedziałam, że musi się zastanowić. Nie każdy kupuje już po pierwszej jeździe, Ray. Ten wóz stuknie go na sto tysięcy.

- Tacy jak on kupują od razu. Porsche kupują od razu. Nie namyślają się, tylko kupują. Cassie, niech to szlag, on był już urobiony. Wiedziałem od pierwszego telefonu. Wiesz, co robisz? Odstraszasz ich psychicznie. Powinnaś traktować każdego z tych facetów, jakby był następnym Cecilem B. De Mille'em. Nie dawaj im do zrozumienia, że lekceważysz to, co robią i czego pragną.

Oburzona Cassie wzięła się pod boki.

- Ray, nie wiem, o czym mówisz. Staram się sprzedać im samochód, nie próbuję ich zniechęcać. Nie lekceważę ich. Poza tym żaden z nich nie ma pojęcia, kto to był Cecil B. De Mille.

- No to Spielberg, Lucas, wszystko jedno. Sprzedawanie to sztuka, Cassie. Zawsze to mówię i tego was uczyłem. Jest w tym finezja, seks, trzeba sprawić, żeby facetowi stanął. Kiedy tu przyszłaś, nie miałaś z tym kłopotów. Sprzedawałaś pięć, sześć wozów na miesiąc. A teraz? Nie wiem, co się z tobą dzieje.

Zanim Cassie odpowiedziała, przez chwilę wpatrywała się w jego biurko. Wepchnęła ręce do kieszeni. Wiedziała, że Ray ma rację.

- Dobra, Ray, masz rację. Popracuję nad tym. Chyba ostatnio jestem trochę rozkojarzona.

- Dlaczego?

- Właściwie nie wiem.

- Potrzebujesz kilku dni wolnego?

- Nie, nic mi nie jest. Ale jutro trochę się spóźnię. Mam swoją wizytę w Van Nuys.

- Jasne, nie ma sprawy. I jak ci idzie? Ta kobieta już nie dzwoni ani nie przyjeżdża.

- Jakoś idzie. Nie odezwie się, jeżeli niczego nie schrzanię.

- Dobrze. Tylko tak dalej.

Jego ton trochę ją zaniepokoił, ale starała się o tym nie myśleć. Odwróciła wzrok, spoglądając na papiery na biurku. Zauważyła, że na szczycie stosu leży raport o dostawie towaru.

- Przyjeżdża ciężarówka?

Ray podążył za jej spojrzeniem i skinął głową.

- W przyszły wtorek. Cztery boxstery, trzy carrery - dwie kabrio.

- Świetnie. Wiesz już, jakiego koloru?

- Carrery są białe. Boxstery koloru arktycznego błękitu, biały, czarny i chyba żółty.

Wziął raport i studiował przez chwilę.

- Tak, żółty. Bądź tak miła i odbierz ten transport. Meehan ma już zamówienie na jeden kabriolet.

- Zobaczę, co się da zrobić.

Puścił do niej oko.

- To rozumiem.

Znowu ten sam ton. I zmruczenie oka. Zaczęła się domyślać, że Ray powoli sposobi się do odebrania długu za dobrą wolę, jaką jej dotychczas okazywał. Prawdopodobnie czekał, aż Cassie znajdzie się w biedzie i nie będzie miała większego wyboru. Wiedziała, że niedługo Ray wykona ruch i będzie musiała sobie z tym poradzić. Lecz jej uwagę zaprzętało teraz wiele ważniejszych spraw. Wyszła z gabinetu, kierując się do swojego pokoiku.

Rozdział 3

Kalifornijski wydział Departamentu Kar, Zwolnień Warunkowych i Pracy Społecznej upchnięto w jednokondygnacyjnym budynku z szarych betonowych płyt, który stał w cieniu gmachu sądu miejskiego. Nijaki wygląd budynku był zgodny z jego przeznaczeniem; tu miała się dokonywać spokojna reintegracja skazańców ze społeczeństwem.

Wnętrze departamentu urządzono według zasad kontrolowania tłumu, stosowanych w popularnych parkach rozrywki - choć tu zwykle

ludzie czekali na swoją kolej znacznie mniej niecierpliwie. W poczekalniach i korytarzach wiły się kolejki byłych skazańców, wtłoczone w odgrodzone linami wąskie przejścia. Niektórzy czekali, by się zarejestrować, inni, by oddać mocz do analizy, jeszcze inni, by porozmawiać ze swoim policyjnym kuratorem - każdy zakątek budynku był pełen kolejek.

Cassie Black biuro zwolnień warunkowych wydawało się bardziej przygnębiające niż więzienie. Podczas pobytu w High Desert żyła w bezruchu, jak bohaterowie filmów fantastycznych, którzy na czas długiej drogi powrotnej na Ziemię są wprowadzani w stan hibernacji. Tak to widziała. Oddychała, ale nie żyła, czekając i karmiąc się nadzieją, że koniec odsiadki nadejdzie prędzej niż później. Nadzieja na przyszłość i marzenia o ciepłe i wolności pozwalały jej przetrzymać przygnębenie. Lecz przyszłością okazało się biuro zwolnień warunkowych. Surowa rzeczywistość po wyjściu. Nędzna, zatłoczona i nieludzka, miała zapach rozpacz, straconych nadziei i braku przyszłości. Większości otaczających ją ludzi na pewno się nie uda. Jeden po drugim będą wracać. To wynikało z życia, jakie wybrali. Niewielu weszło na drogę cnoty, niewielu przeżyło. A Cassie, która przyrzekła sobie być jedną z tych niewielu, zanurzając się raz na miesiąc w tym świecie, nie mogła stawić czoła przygnębieniu.

Przed dziesiątą we wtorek rano zdążyła już odczekać swoje w kolejce do rejestracji i zbliżała się do początku kolejki do badania moczu. W dłoni trzymała plastikowy kubeczek, nad którym zaraz będzie musiała kucnąć, napełni go pod czujnym okiem praktykantki, nazywanej ze względu na pełnioną funkcję wiedźmą, a ta dopilnuje, by do pojemniczka trafił mocz Cassie, nie kogoś innego.

Czekając na swoją kolej, nie patrzyła na nikogo i z nikiem nie rozmawiała. Kiedy kolejka ruszała naprzód, poddawała się fali. Myślała o swojej odsiadce w High Desert, o umiejętności wyłączenia się i przejścia na sterowanie autopilotem, by bezpiecznie przebyć drogę na Ziemię. Był to jedyne sposób na przetrwanie tam. Tu też.

Cassie wcisnęła się do wydzielonej kabiny, którą jej kurator, Thelma Kibble, nazywała gabinetem. Mogła już oddychać swobodnie. Już niedługo koniec. Kibble była ostatnim przystankiem w tej podróży.

- Oto i ona... - powiedziała Kibble. - Co u ciebie, Cassie Black?

- Wszystko w porządku, Thelmo. A u ciebie?

Kibble była czarną, korpulentną kobietą, której wieku Cassie nigdy nie potrafiła odgadnąć. Jej szeroka twarz zawsze wyrażała dobroduszość i Cassie szczerze ją lubiła, mimo charakteru ich znajomości. Z Kibble nie rozmawiało się łatwo, ale była uczciwa. Cassie wiedziała, że miała szczęście, gdy jej przeniesienie z Nevady przydzielono Kibble.

- Nie narzekam - powiedziała Kibble. - Nie mogę narzekać.

Cassie siedziała przy stoliku, na którym piętrzyły się kartoteki, niektóre grube na dwa cale. Po lewej stronie leżała teczka z napisem PA, która zawsze przyciągała uwagę Cassie. PA oznaczało „powrót do aresztu”, a znajdujące się w teczce kartoteki należały do przegranych, do tych, którzy musieli wrócić. Cassie wydawało się, że teczka była zawsze pełna i ten widok działał na nią najbardziej odstręczająco podczas całej wizyty w biurze zwolnień warunkowych.

Kibble miała przed sobą otwartą kartotekę Cassie i wypełniała miesięczny raport. Tak wyglądał rytuał: krótkie spotkanie i lista pytań, na które Cassie musiała odpowiedzieć.

- Co zrobiłaś z włosami? - zapytała Kibble, nie podnosząc oczu znad papierów.

- Miałam ochotę na zmianę. Chciałam skrócić.

- Zmianę? Tak się nudzisz, że musisz nagle coś zmieniać?

- Nie, tylko...

Wzruszyła ramionami w nadziei, że jakoś przeczeka tę chwilę. Mogła wcześniej pomyśleć, że słowo „zmiana” wywoła czujność kuratorki.

Kibble zgięła nadgarstek, spoglądając na zegarek. Czas naglił.

- Będzie jakiś problem z moczem?

- Nie.

- To dobrze. Chcesz mi o czymś powiedzieć?

- Właściwie nie.

- Jak w pracy?

- Normalnie, jak to w pracy. Chyba jak w każdej.

Kibble uniosła brwi, a Cassie zaczęła żałować, że nie odpowiedziała jednym słowem. Znow Thelma stała się czujna.

- Ciągłe jeździsz tymi supersamochodami - rzekła Kibble. - Większość ludzi, którzy tu przychodzą, myją takie wozy. I nie narzekają.

- Ja też nie narzekam.
- Więc o co chodzi?
- O nic. Zgadza się, jeżdżę supersamochodami. Ale nie moimi. Tyłko je sprzedaję. To pewna różnica.

Kibble uniosła spojrzenie znad kartoteki i przez chwilę przyglądała się Cassie. Wokół nich rozbrzmiewała kakofonia głosów z sąsiednich kabin.

- No dobrze, powiedz mi więc, co się z tobą dzieje, dziewczyno. Nie mam czasu na pierdoły. Mam dużo różnych spraw, trudniejszych i łatwiejszych. Jeżeli będę cię musiała przenieść pod ostry nadzór... nie mam na to czasu.

Na potwierdzenie swoich słów walnęła dłonią w stos kartotek.

- Nie sądzę, żebyś miała na to ochotę - powiedziała.

Cassie miała teraz minimalny dozór. Przeniesienie pod ostry nadzór oznaczało częstsze wizyty w biurze zwolnień warunkowych, codzienne meldowanie się przez telefon i więcej odwiedzin Kibble. Zwolnienie warunkowe stałoby się więc przedłużeniem odsiadki w celi, a z tym nie mogłaby sobie poradzić. Szybko uniosła ręce w uspokajającym geście.

- Przepraszam, przepraszam. Nic się nie stało. Tylko... przechodzę jeden z tych okresów, wiesz, o czym mówię?

- Nie, nie wiem. Jakich okresów? Powiedz.

- Nie potrafię. Nie umiem znaleźć słów. Bo... każdy dzień jest taki sam jak poprzedni. Nie ma żadnej przyszłości, bo ciągle jest to samo.

- Posłuchaj, pamiętasz, co ci mówiłam, kiedy pierwszy raz tu przysłaś? Że tak właśnie będzie. Z powtarzania rodzi się rutyna. Rutyna jest nudna, ale przynajmniej utrudnia myślenie i chroni cię przed kłopotami. Chyba nie chcesz wpakować się w kłopoty, co, dziewczyno?

- Nie chcę, Thelmo. Ale mimo że wyszłam z pudła, czasem mam wrażenie, jakbym cały czas siedziała. To nie...

- Nie co?

- Nie wiem. To nie jest sprawiedliwe.

Nagle zza przepierzenia dobiegł głośny krzyk, jeden z byłych więźniów zaczął głośno protestować. Kibble wstała, by popatrzeć ponad ściankami oddzielającymi kabiny. Cassie się nie poruszyła. Nic jej to nie obchodziło. Wiedziała, co się stało. Komuś się nie udało i zamykano go w areszcie, gdzie miał czekać na uchylenie zwolnienia warunkowego.

Za każdym razem, kiedy tu była, zdarzał się co najmniej jeden taki przypadek. Nikt nigdy nie wracał tam spokojnie. Cassie dawno już przestała się przyglądać. Martwiła się tylko o siebie.

Po kilku chwilach Kibble usiadła i z powrotem skupiła się na Cassie, która miała nadzieję, że po chwilowym odwróceniu uwagi kuratorka zapomni, o czym mówiły.

Nie miała jednak szczęścia.

- Widziałaś? - spytała Kibble.

- Słyszałam. Wystarczyło.

- Mam nadzieję. Bo jeśli coś spieprzysz, znajdziesz się w takiej samej sytuacji. Rozumiesz, prawda?

- Doskonale, Thelmo. Wiem, co się stanie.

- Świetnie, bo nie można tego nazwać „sprawiedliwym”, żeby użyć twojego słowa. Sprawiedliwość nie ma tu nic do rzeczy. Wszłaś w konflikt z prawem, kochana, jesteś na cenzurowanym. Boję się o ciebie, dziewczyno, a sama powinnaś bać się o siebie. Minęło dopiero dziesięć miesięcy z dwóch lat, jakie ci zostały. Niedobrze, że jesteś niespokojna już po dziesięciu miesiącach.

- Wiem. Przepraszam.

- Cholera, w tej sali siedzą ludzie, którym zostało pięć, sześć lat. Niektórym jeszcze więcej.

Cassie skinęła głową.

- Wiem, wiem. Mam szczęście. Tylko nie potrafię przestać myśleć o pewnych rzeczach, rozumiesz?

- Nie, nie rozumiem.

Kibble skrzyżowała na piersi swe masywne ramiona i wyprostowała się na krześle. Cassie zastanawiała się, czy oparcie wytrzyma jej ciężar, ale jakoś przetrwało tę próbę. Kibble mierzyła ją surowym spojrzeniem. Cassie wiedziała, że popełniła błąd, próbując się przed nią otworzyć. W rezultacie odkrywała przed Kibble więcej, niż zamierzała. Uznała jednak, że skoro już przekroczyła tę granicę, równie dobrze może pójść na całość.

- Thelmo, mogę cię o coś zapytać?

- Po to tu jestem.

- Wiesz może... czy istnieją jakieś międzynarodowe porozumienia albo traktaty o przeniesieniu zwolnienia warunkowego?

Kibble zamknęła oczy.

- O czym ty, do cholery, mówisz?

- Gdybym na przykład chciała zamieszkać w Londynie albo Paryżu?

Kibble otworzyła oczy i zdumiona pokręciła głową. Nachyliła się nad stolikiem, niebezpiecznie przechylając krzesło.

- Czy twoim zdaniem wyglądam jak agent z biura podróży? Jesteś skazana, dziewczyno, rozumiesz? Nie możesz nagle uznać, że ci się tu nie podoba i powiedzieć: „Chyba teraz pojadę pomieszkać w Paryżu”. Czy ty nie słyszysz, że mówisz jakbyś do reszty zwariowała? Nie mamy tu punktu medycznego.

- W porządku, chciałam tylko...

- Przeniesiono cię już raz z Nevady i miałas sporo szczęścia, że dzięki swojemu przyjacielowi z firmy tu trafiłaś. Ale na tym koniec. Musisz tu zostać co najmniej na czternaście miesięcy albo nawet dłużej, jeżeli dalej zamierzasz tak się zachowywać.

- Już dobrze. Pomyślałam tylko...

- Koniec, kropka.

- W porządku. Koniec, kropka.

Kibble pochyliła się nad papierami, notując coś w aktach Cassie.

- Nie wiem, co się z tobą dzieje - powiedziała, pisząc. - Wiesz, co powinnam zrobić? Wlepić ci na parę dni trzydzieści pięćdziesiąt sześć i sprawdzić, czy to nie wybije ci z głowy tych idiotyzmów. Ale...

- Nie musisz tego robić, Thelmo. Ja...

- ...w tej chwili mamy komplet.

Cassie wiedziała, że 3056 to zawieszenie zwolnienia warunkowego - rozkaz umieszczenia zwolnionego w areszcie do czasu rozprawy o uchylenie zwolnienia warunkowego. Podczas rozprawy prokurator mógł zrezygnować z wniosku o uchylenie zwolnienia i zwolniony wracał na wolność. Tymczasem kilkudniowy powrót za kratki był ostrzeżeniem i zachętą do poprawy. Była to najsurowsza kara, jaką Kibble ją straszyla, i wystarczyło o niej wspomnieć, by Cassie przeraziła się nie na żarty.

- Mówię serio, Thelmo. Nic mi nie jest. Musiałam się po prostu wyładować. Proszę, nie rób mi tego.

Miała nadzieję, że w jej prośbie zabrzmiał prawdziwie błagalny ton.

Kibble pokręciła głową.

- Byłaś na mojej liście faworytów, dziewczyno. Teraz sama już nie wiem. Chyba przynajmniej będę musiała wpaść do ciebie za kilka

dni. Sprawdzić, co się dzieje. Słuchaj, Cassie Black, lepiej na mnie uważaj. Nie jestem starą tłustą Thelmą, która nie umie się podnieść z krzesła. Nie można mnie robić w bambuko. Jeśli wydaje ci się, że jest inaczej, spytaj tych biedaków.

Przejechała końcem długopisu po brzegu kartek spoczywających w teczce z napisem PA. Rozległ się dźwięk, jakby ktoś darł papier.

- Oni ci powiedzą, że nie można ze mną kręcić ani robić mnie w bambuko.

Cassie tylko skinęła głową. Przez dłuższą chwilę przyglądała się siedzącej naprzeciwko potężnej kobiecie. Musiała jakoś rozładować panującą między nimi napięcie, przywrócić uśmiech na twarzy Kibble lub przynajmniej wygładzić tę gniewną bruzdę na jej czole.

- Mam wrażenie, Thelmo, że jeżeli przyjdiesz do mnie, zobaczę cię prędzej niż ty mnie.

Kibble spojrzała na nią ostro. Lecz Cassie zobaczyła, że napięcie powoli ustępuje z jej twarzy. Zagrała ryzykownie, ale Kibble potraktowała komentarz z humorem. Zaczęła nawet chichotać, od czego zatrzęśły się jej ramiona i blat stolika.

- Jeszcze się przekonamy - powiedziała Kibble. - Zaskoczę cię.

Rozdział 4

Wychodząc z biura zwolnień warunkowych, Cassie czuła, jak spada z niej ogromny ciężar. Nie tylko dlatego, że gehenna dobiegła końca. Również dlatego, że będąc w środku, doznała przebłysku zrozumienia. Usiłując wyjaśnić swoje uczucia Kibble, doszła do bardzo ważnego wniosku. Dreptała w miejscu, a mogła to robić tak jak oni albo na swój sposób. Wizyta w domu w Kanionie Laurel nie była przyczyną - po prostu przyspieszyła jej decyzję, jak oliwa dolana do już płonącego ognia. Cassie utwierdziła się w swojej decyzji, czując równocześnie ulgę i lęk. Płomień jaśniał mocnym blaskiem. Miała wrażenie, że zaczyna czuć strugkę wody płynącą z topniejącego, skutego dotąd lodem jeziora, jakim było jej serce.

Minąwszy budynki miejskiego i okręgowego sądu, przeszła przez kompleks handlowy naprzeciw komendy policji Los Angeles w Van Nuys. Niedaleko schodów prowadzących do wejścia na posterunek znajdował się rząd automatów telefonicznych. Cassie podniosła słuchawkę jednego z aparatów, wrzuciła ćwierćdolarówkę i dziesięciocentówkę, po czym wstukała numer, który zapamiętała ponad rok temu, gdy jeszcze siedziała w High Desert. Dotarł do niej na grypsie przemycnym w tamponie.

Po trzech dzwonekach telefon odebrał mężczyzna.

- Tak?

Minęło ponad sześć lat od dnia, w którym Cassie słyszała ten głos po raz ostatni, lecz rozpoznała go natychmiast. Wstrzymała oddech.

- Tak?

- Czy, hm, czy to S. P. Reilly?

- Nie, podano pani zły numer.

- Schronisko dla psów Reilly? Dzwoniłam pod... Spojrzała na aparat i odczytała widniejący na nim numer.

- Co to ma znaczyć? Tu nie ma żadnego schroniska, a pani podano zły numer.

Mężczyzna odłożył słuchawkę. Cassie także. Potem wróciła pod centrum handlowe, gdzie usiadła na ławeczce oddalonej od telefonów o jakieś pięćdziesiąt stóp. Siedział tu jakiś potargany i rozczochrany człowiek, który czytał gazetę, tak poźółkła, że musiała mieć dobre kilka miesięcy.

Cassie czekała prawie czterdzieści minut. Gdy telefon wreszcie zaczął dzwonić, wysłuchiwała właśnie monologu rozczochranego człowieka na temat jakości żywienia w areszcie w Van Nuys. Wstała i podbiegła do aparatu, a człowiek krzyczał za nią oskarżycielskim tonem.

- Kiełbasa jak pieprzony druciak do garów! Mogliśmy nią grać w hokeja!

Chwyciła słuchawkę po szóstym dzwonku.

- Leo?

Chwila milczenia.

- Nie używaj mojego imienia. Jak leci, kochanie?

- Nieźle. A jak...

- Słuchaj, wyszłaś już chyba rok temu, zgadza się?

- Hm, właściwie...

- I cały ten czas nie dałaś znaku życia. Myślałem, że się chociaż odezwiesz. Masz szczęście, że pamiętałem ten numer ze schroniskiem dla psów.

- Dziesięć miesięcy. Wysłałem dziesięć miesięcy temu.

- I jak minęły?

- Chyba nieźle. Właściwie całkiem dobrze.

- Ale nie do końca, skoro do mnie dzwonisz.

- Wiem.

Potem nastąpiło dłuższa cisza. Cassie słyszała uliczny hałas dochodzący z drugiej strony linii. Pewnie wyszedł z domu i znalazł automat telefoniczny gdzieś na Ventura Boulevard, prawdopodobnie niedaleko swojej ulubionej knajpki.

- A więc zadzwoniłaś do mnie pierwsza - zachęcił ją Leo.

- No tak. Pomyślałam sobie...

Przerwała, zastanawiając się nad wszystkim jeszcze raz. Wreszcie skinęła do siebie głową.

- Tak, muszę dostać jakąś robotę, Leo.

- Bez imion.

- Przepraszam.

Jednak nie mogła powstrzymać uśmiechu. Stary, dobry Leo.

- Znasz mnie przecież, klasyczny paranoik.

- Tak zawsze podejrzewałam.

- Dobra, więc szukasz czegoś. Dasz mi jakieś namiary? O czym mamy mówić?

- Gotówka. I jeden raz.

- Raz? - Wydawał się zaskoczony, może nawet rozczarowany. - Duża robota?

- Taka, żeby zniknąć. Na dobry początek.

- Czyli nie może być za dobra.

- Różne rzeczy się zdarzają. Nie mogę... Urwała i pokręciła głową.

- Na pewno dobrze się czujesz?

- Tak, nic mi nie jest. Właściwie... dopiero teraz dobrze się czuję.

- Wiem, co masz na myśli. Pamiętam czasy, kiedy się na dobre zdecydowałem. Powiedziałem sobie: do cholery z tym, wiem, co chcę robić. A wtedy, niech mnie szlag, podpieprzałem tylko chryslery i łądowałem na poduszkach powietrznych. Przeszedłem długą drogę. Oboje przeszliśmy.

Cassie odwróciła się, by zerknąć na człowieka na ławce. Ciągnął swój monolog. Cassie nie była mu potrzebna do rozmowy.

- Chyba rozumiesz, że przy takich parametrach w grę może wchodzić tylko Vegas. Mógłbym cię wystać do Hollywood Park albo do któregoś z indiańskich klubów, ale tam za jednym razem trafisz piętnaście, góra dwadzieścia. Jeśli dasz mi trochę czasu, żebym ustawił coś w Vegas, mógłbym skrócić jakąś większą rzecz.

Cassie zastanawiała się przez chwilę. Przedtem wierzyła, że kiedy sześć lat temu autobus zabierał ją z Las Vegas do High Desert, nigdy nie zobaczy już tego miasta. Wiedziała jednak, że Leo się nie myli. Prawdziwe pieniądze były tylko w Vegas.

- Może być Vegas - powiedziała nagle. - Tylko się pośpiesz.

- Kto tam gada koło ciebie?

- Jakiś staruch. Trochę za długo siedział.

- Gdzie jesteś?

- Właśnie wyszłam z biura zwolnień.

Leo roześmiał się.

- Nie ma jak sikanie do kubeczka, żeby się przekonać, ile czeka na ciebie możliwości w życiu. Wiesz co, będę się rozglądał. Dostałem cynk, że chyba w przyszłym tygodniu coś będzie. Akurat dla ciebie. Dam ci znać, gdyby się udało. Gdzie cię można złapać?

Dała mu numer salonu sprzedaży. Numer centrali, nie bezpośredni do niej ani nie komórki. Nie chciała, by miał je zapisane w razie wpadki.

- Jeszcze jedno - powiedziała. - Nadal możesz załatwić paszporty?

- Mogę. Daj mi tylko dwa, trzy tygodnie, bo muszę je zamówić, ale nie ma sprawy. Dostaniesz pierwszorzędne papiery. Paszport za tysiąc, cały pakiet za dwa i pół. W pakiecie DL, Visa i American Express. Bilety na Deltę.

- Dobra. Dasz mi cały pakiet i jeszcze jeden paszport.

- Jak to jeszcze jeden? Mówię ci, że będziesz miała doskonałe papiery. Po ci drugi...

- Nie dla mnie. Dla kogoś innego. Przysłać ci zdjęcia do domu czy masz jakąś skrytkę?

Leo powiedział jej, by wysłała fotografie do skrytki. Podał jej adres w Burbank, który zapisała od razu na kopercie ze zdjęciami. Potem Leo zapytał, dla kogo ma być drugi paszport i jakie nazwiska mają figurować w fałszywych dokumentach. Cassie spodziewała się tych pytań,

więc wybrała nazwiska już wcześniej. Wybrała też pieniądze z rachunku oszczędnościowego, proponując teraz, że wyśle je razem ze zdjęciami, lecz Leo oznajmił jej, że na razie sam może dać zaliczkę. Powiedział, że to uczciwe z jego strony, zważywszy na fakt, że znów mieli pracować razem.

- Będziesz gotowa? - spytał, wracając do głównego tematu. - Minęło sporo czasu. Bywa, że traci się wprawę. Jeśli cię wystawię, narażę też siebie.

- Wiem. Nie musisz się martwić, będę gotowa.

- No to dobrze. Do usłyszenia.

- Dzięki. Do zobaczenia.

- A, jeszcze jedno, kochanie?

- Co?

- Cieszę się, że wróciłaś. Znowu będzie jak dawniej.

- Nie, Leo. Bez Maksa nigdy już nie będzie tak jak dawniej.

Tym razem Leo nie zaprotestował, gdy zwróciła się do niego po imieniu. Równocześnie odłożyli słuchawki i Cassie odeszła od telefonów. Człowiek na ławce wołał za nią, ale nie mogła zrozumieć ani słowa.

Aby się dostać do boxstera, musiała iść pieszo do Victory Boulevard. Było to miejsce położone najbliżej kompleksu sądowego, do którego mogła dojechać samochodem. Po drodze wrzuciła do skrzynki pocztowej kopertę ze zdjęciami, myśląc o Maksie Freelingu. Przypomniała sobie ich ostatnie wspólne chwile: bar w Kleopatrze, pianę z piwa na jego wąsach, małą bliznę na podbródku, na której nie rosły żadne włosy.

Max wznosił wtedy toast i powtórzyła go teraz szeptem.

Za szczęśliwy koniec. Za miejsce, gdzie pustynia jest oceanem.

Myśl o tym, co zdarzyło się potem, przygnębiła ją i rozwścieczyła, choć minęło już tyle lat. Postanowiła, że zanim pojedzie do salonu, powinna pojechać pod szkołę i akurat zdąży na przerwę na lunch. Wiedziała, że to najlepszy sposób na odpędzenie chandry.

Gdy dotarła do boxstera, znalazła za wycieraczką mandat; upłynęły już dwie opłacone w parkometrze godziny. Rzuciła mandat na fotel pasażera. Samochód wciąż był zarejestrowany na nazwisko dłużnika, któremu odebrali porsche. Jeżeli więc nikt nie zapłaci kary, miasto będzie ściagać właśnie jego.

Wsiadła do wozu i pojechała Van Nuys Boulevard na południe, w kierunku czterysta piątej. Wzdłuż ulicy stały nowe salony sprzedaży samochodów. Czasem odnosiła wrażenie, że Valley to jeden ogromny parking.

Próbowała słuchać kompaktu Lucindy Williams, ale tak przeska-kiwał, że musiała go wyłączyć i ograniczyć się do radia. Grali starą piosenkę. Roseanne Cash śpiewała o trwającym siedem lat bólu.

Tak, pomyślała Cassie. Roseanne wiedziała, o czym mówi. Siedem lat. Lecz w piosence nie było mowy o tym, co się zdarzyło po siedmiu latach. Czy ból ustąpił? Cassie nie sądziła, by kiedykolwiek było to możliwe.

Rozdział 5

W ciągu następnych dni, czekając na sygnał od Lea, Cassie Black zaczęła wpadać w dobrze znany rytm przygotowań, który dodawał jej otuchy. Jednak najważniejszy dla niej był ów dreszcz, którego nie czuła od wielu lat.

Przygotowania polegały również na długich chwilach samotnej introspekcji. Wielokrotnie analizowała swoją decyzję z różnych punktów widzenia. Nie znalazła żadnych błędów, wahania, poczucia winy. Najtrudniejszą przeszkodą, jaką musiała pokonać, było samo podjęcie decyzji. Potem odczuła ogromną ulgę i powiew prawdziwej wolności. Odżyła w niej radość z oczekiwania na niebezpieczeństwo, którą głu-szyły lata spędzone w więzieniu. Zapomniała już, jak bardzo potrafi uzależniać zastrzyk adrenaliny. Max nazywał to po prostu sokami zbrodni, bo nie umiał ubierać uczuć w słowa. Podczas przygotowań Cassie zaczęła zdawać sobie sprawę, że prawdziwym celem więzienia jest unicestwienie działania adrenaliny, wymazanie go z pamięci. Jeśli tak, to pięć lat spędzonych za kratkami nie spełniło swojego zadania. We krwi Cassie gotowały się soki zbrodni, sycząc w jej żyłach jak go-rąca woda w zamrzniętych zimą rurach.

Zaczęła od regulacji swojego zegara biologicznego, drastycznie skracając czas snu i zasypiając dopiero nad ranem. Równoważyła to,

aplikując sobie zwiększającą energię witaminy i od czasu do czasu ucinając krótką popołudniową drzemkę na kanapie. W ciągu tygodniu skróciła czas snu z siedmiu do czterech godzin bez widocznych skutków dla koncentracji i sprawności.

Zaczęła urządzać sobie nocne przejażdżki po pełnej niebezpiecznych zakrętów Mulholland Drive, by utrzymać stan wyostrejzonej koncentracji. Poruszała się po domu, nie zapalając świateł, przyzwyczajając oczy do ciemności i ucząc się rozpoznawać kontury przedmiotów w nocy. Mogła wprawdzie nałożyć gogle noktowizyjne na czas pracy, ale wiedziała też, że lepiej być przygotowanym na każdą ewentualność.

W dzień, kiedy nie pracowała w salonie samochodowym, zaczęła kompletować potrzebny sprzęt i robić narzędzia. Zrobiła listę wszystkich rzeczy, jakie mogłyby jej pomóc pokonać każdą możliwą przeszkodę w czasie zadania, po czym nauczyła się jej na pamięć i zniszczyła - posiadanie listy wystarczyłoby, żeby uchylono zwolnienie warunkowe. Potem spędziła cały dzień, jeżdżąc po sklepach metalowych i różnych firmach. Kupowała rzeczy z listy w punktach rozsianych po całym mieście, by nikt nie mógł z wielu kawałków złożyć całego obrazka i domyślić się jej planów.

Kupowała śrubokręty, pilniki, brzeszczoty i młotki; zwoje drutu, szpagat nylonowy i linę bungee. Nabyła pudełko rękawiczek z lateksu, małą tubkę szybko schnącego wosku, składany nóż i malarską szpachelkę szerokości trzech cali. Kupiła mały palnik acetylenowy i odwiedziła trzy sklepy, nim znalazła odpowiednio małą wiertarkę zasilaną akumulatorem. Kupiła szczypce o gumowych końcówkach, szczypce do cięcia drutu i nożyce do aluminium. Dorzuciła jeszcze aparat fotograficzny Polaroid i górę męskiego stroju piankowego dla płetwonurków. Kupiła duże i małe latarki, parę ochraniaczy na kolana dla kafelkarzy i elektryczny paralizator. Nabyła plecak z czarnej skóry, czarną saszetkę na pasek i kilka czarnych toreb zapinanych na zamek, różnej wielkości, tak aby można je było zwinąć i włożyć do jednej z kieszeni plecaka. Na koniec w każdym sklepie, do którego weszła, wybrała kłódkę, gromadząc w ten sposób kolekcję siedmiu kłódek pochodzących od różnych producentów i zaopatrzonych w siedem trochę różniących się od siebie mechanizmów zamka.

W małym bungalowie, który wynajęła na Selmie niedaleko autostrady sto jeden, rozłożyła zakupy na porysowanym blacie kuchennego

stołu i zabrała się do przygotowania sprzętu, dotykając każdego przedmiotu tylko w rękawiczkach.

Za pomocą nożyc, palnika z drutu i brzeszczotów do metalu zrobiła wytrychy - właściwie dwa identyczne komplety trzech wytrychów: ostrza do napinania, haka i cienkiej, płaskiej dźwigni. Jeden komplet włożyła do hermetycznie zamykanej plastikowej torebki i zakopała w ogródku za domkiem. Drugi odłożyła razem z narzędziami do zadania, które miała nadzieję dostać od Lea już niebawem.

Odcięła pół rękawa stroju piankowego i włożyła do gumowego pokrowca wiertarkę, zaszywając jeden koniec nylonowym szpagatem. Z reszty góry kostiumu płetwonurka skleciła rodzaj torby, w której mogła cicho przenosić swój domowy zestaw włamywacza.

Gdy narzędzia były gotowe, schowała je do torby, zabezpieczyła liną bungee i ukryła pod prawym błotnikiem boxstera, przywiązując torbę do elementu zawieszenia następnym kawałkiem elastycznej liny. Na niczym nie zostawiła odcisków palców. Gdyby torbę znalazła Thelma Kibble albo inny przedstawiciel stróżów prawa, Cassie mogłaby wszystkiemu zaprzeczyć i uniknąć powrotu do pudła. Samochód nie był jej. Bez odcisków na narzędziach i dowodów, że to ona je kupiła lub zrobiła, nikt nie mógł dowieść, że należą do niej. Mogli ją zatrzymać i męczyć przesłuchaniami, lecz koniec końców musieliby wypuścić.

Siedem klódek posłużyło jej do ćwiczeń. Zatrzasnęła je na drewnianym wieszaku do ubrań, a klucze wrzuciła do filiżanki w szafce kuchennej. W nocy siadała w ciemnym salonie i po omacku manipulowała przy klódkach wytrychami z drugiego zestawu. Wolno przypominała sobie subtelności sztuki otwierania zamków. Wszystkie siedem klódek otworzyła w ciągu czterech dni. Potem jeszcze raz zatrzasnęła je na wieszaku i zabrała się do nich ponownie, tym razem w lateksowych rękawiczkach. Po blisko dwóch tygodniach, kiedy regularnie mierzyła sobie czas, potrafiła w ciągu dwunastu minut otworzyć w rękawiczkach wszystkie siedem klódek.

Nieustannie miała świadomość, że w tym, co robi, równie ważne jest przygotowanie psychiczne. Jej umysł powoli wpadał w rytm. Max, jej nauczyciel, zawsze mówił, że rytm jest najważniejszym elementem przygotowań. Rytuałem. Prawdopodobieństwo, że będzie musiała użyć wytrychów, było niewielkie. Większość hoteli w Las Vegas, i nie tylko tam, w ciągu ostatnich dziesięciu lat przeszła na elektroniczne zamki

otwierane za pomocą karty. Złamanie ochrony elektronicznej to była zupełnie inna sprawa. Wymagało pomocy wewnątrz lub umiejętności socjotechnicznych - czyli oszustwa w recepcji hotelu albo subtelnych gier z obsługą.

Dzięki przygotowaniom odżyły wspomnienia o Maksie - człowieku, który był jej przewodnikiem i kochankiem. Miały słodko-gorzki smak, bo nie mogła myśleć o starych dobrych czasach, zapominając o ich smutnym końcu w Kleopatrze. Mimo to często wybuchała śmiechem w swoim ciemnym domu, trzymając na kolanach wieszak z kłódkami, mocując się z zamkami dłońmi pocącymi się w ciasnych rękawiczkach z lateksu.

Najgłośniejszą śmiała się, wspominając jedną sztuczkę z gatunku socjotechniki, którą Max doprowadził do perfekcji w Golden Nugget. Musieli się dostać do pokoju na piątym piętrze. W korytarzu Max wyszedł wózek pokojówki, po czym wszedł do pomieszczenia obsługi i rozebrał się do naga. Następnie zmierzwił sobie włosy i wymknął się na korytarz, idąc prosto w stronę pokojówki i zakrywając dłońmi wstydlive części ciała. Kobieta przestraszyła się, więc wyjaśnił, że spał, obudził się i chciał iść do łazienki. Rozespany wszedł przez przypadek w niewłaściwe drzwi, które zatrzasnęły się za nim, zostawiając go nagiego w korytarzu. Nie mając ochoty przedłużyć spotkania z gołym facetem, kobieta szybko wręczyła mu klucz zapasowy. I już byli w pokoju.

Wspomnienie to szczególnie śmieszyło Cassie, ponieważ aby sztuczka się udała, Max musiał się ubrać w pokoju i oddać pokojówce klucz. Lecz własne ubranie zostawił w składziku na końcu korytarza. Narzucał więc na siebie rzeczy ofiary. Facet, którego wtedy mieli na celowniku, był trochę niższy od Maksa i chudy jak szczapa. Ważył dobre pięćdziesiąt funtów mniej. Był gejem, co obwieszczał całemu światu także za pomocą stroju. Max przemaszerał przez korytarz w rozpiętej do pępka różowej koszuli i czarnych skórzanych spodniach tak obcisłych, że nie mógł zgiąć nóg w kolanach.

Każdej nocy po skończeniu ćwiczeń i przed pójściem spać Cassie chowała drugi zestaw wytrychów, a na wieszak z kłódkami narzucała gruby zimowy płaszcz, zapinała go i wieszala w szafie w korytarzu. Wiedząc, że Thelma Kibble może spełnić swoją groźbę i złożyć jej niezapowiedzianą wizytę, starała się nie zostawiać żadnych śladów, które mogłyby zdradzić jej przygotowania i plany.

Lecz nigdy nie znalazła znaku obecności Kibble w domu. Prawdopodobnie kuratorka nie zadzwoniła też do Raya Moralesa, by skontrolować jej zachowanie i sytuację w pracy. Cassie sądziła, że Thelma prowadzi za dużo spraw naraz. Mimo surowości wobec Cassie, Kibble miała pewnie kilkadziesiąt poważniejszych przypadków, które zasługiwały na więcej uwagi niż ona.

Czekając na telefon od Lea, Cassie wróciła do dawnych zwyczajów. Codziennie rano biegała, okrążając hollywoodzki staw i dwa razy przecinając zaporę Mulholland. Była to pokuta za rytuał, któremu poświęcała się wcześniej; zatrzymywała się w Farmer's Market na Fairfax i wstępowała do Boba po pączki i kawę. Jechała potem na wzgórze w Kanonie Laurel, parkowała niedaleko ogrodzonego podwórka szkoły Wonderland i jadła śniadanie w samochodzie.

Jedząc lukrowane pączki i popijając parującą czarną kawę, przyglądała się dzieciom, które wysiadały pod szkołą z samochodów rodziców i bawiły się na podwórku przed pierwszym dzwonkiem. Oczy Cassie badawczo lustrowały ogrodzone boisko, aż odnalazły grupkę najmłodszych dziewczynek, które zwykle zwartym wianuszkciem otaczały nauczycielkę - kobietę sprawiającą wrażenie miłej i troskliwej. Cassie przypatrywała się gromadce, zawsze szukając jednej twarzyczki. Dziewczynki, która nosiła plecak z obrazkiem uśmiechniętej buzi i napisem „Miłego dnia”. Patrzyła, jak jasnożółty plecak podskakuje wśród innych. Nie spuszczała oka z dziewczynki, dopóki nie zadzwonił dzwonek i dzieci powoli zaganiano do klas. Dopiero wtedy zgniatała torebkę po pączkach i odjeżdżała nad staw, by ćwiczyć ciało i umysł niemal do utraty tchu, zanim na dobre zacznie się dzień.

Rozdział 6

Piętnaście dni po telefonie do Lea Cassie dostała od niego wiadomość. Siedziała w swoim pokoiku, przeglądając z Rayem Moralesem rozliczenie przyjęcia używanych wozów, gdy nagle usłyszała swoje nazwisko w głośniku w salonie. Był do niej telefon na pierwszej linii.

Zaprzątnięta kolumnami cyfr, bez zastanowienia chwyciła słuchawkę i wcisnęła guzik.

- Tu Cassie Black, proszę poczekać, dobrze?

- Jasne.

Wystarczyło jedno słowo, żeby poznała jego głos. Zamarła, czując przebiegający po plecach lodowaty dreszcz. Wdusiła klawisz zawieszający rozmowę. Ogarnęło ją niemal namacalne podniecenie.

- Dobrze się czujesz? - spytał Morales.

- Pewnie, wszystko w porządku. Muszę odebrać ten telefon.

- Nie krępuj się.

- Ale sama. Sprawa osobista.

- Aha. No, dobra.

Ray sprawiał wrażenie dotkniętego, a nawet rozgniewanego. Dla niego „sprawa osobista” oznaczała pewnie telefon od nowego chłopaka. Dwa dni wcześniej Cassie grzecznie odmówiła, kiedy zaprosił ją na kolację. Wreszcie zdecydował się na ten krok - lecz za późno. Cassie czekała na Lea i nie zamierzała komplikować sobie stosunków z Rayem. Gdyby wszystko poszło po jej myśli, dając mu kosza, wyświadczyłaby mu tylko przysługę. Ray nie miałby tajemnic przed gliniarzami, gdyby zechcieli z nim rozmawiać.

Ray powiedział, że jeżeli będzie chciała skończyć sprawdzać rozliczenie, znajdzie go u siebie. Wyszedł z pokoiku, zamykając za sobą drzwi, choć Cassie o to nie prosiła. Pochyliła się nad biurkiem, spoglądając w szparę między drzwiami i framugą. Mogłaby przysiąc, że Ray stoi pod drzwiami w nadziei, iż podsłucha rozmowę.

- Ray?

Nie odpowiedział, lecz Cassie zobaczyła, jak jego cień znika. Wcisnęła przycisk w telefonie.

- Halo?

- Co się dzieje, pojechałaś na jazdę próbną?

- Przepraszam.

- Mam coś dla ciebie.

Cassie nie odpowiedziała od razu. Do jej żył zaczęła się sączyć wartka strużka adrenaliny. Soki zbrodni. Miała wrażenie, jakby stała nad brzegiem urwiska. Czas dać krok naprzód. Teraz albo nigdy. Ludzie, którzy rzucali się w beczkach z wodospadów, nie przeżywali takich rozterek.

Leo przerwał milczenie i czar prysnął.

- Chociaż nie jestem pewien, czy ci się to spodoba.

Cassie przełknęła ślinę, pozbywając się waty w gardle.

- Jak to?

- Pogadamy o tym, jak się zobaczymy.

- Kiedy i gdzie?

- Po prostu przyjdź. Ale pospiesz się. Dziś wieczorem albo jak najwcześniej jutro. To się musi stać najpóźniej jutro wieczorem, inaczej stracimy szansę.

- Dobra, dziś po pracy. Mieszkasz tam, gdzie kiedyś?

- Bez zmian. Jeszcze jedno. Włączam teraz sekretarkę, więc wszystko się nagra. Wiesz dobrze, mała, że cię uwielbiam, ale minęło dużo czasu. Nie obrażaj się, to tylko środek ostrożności. A od czasów Lindy Tripp i Moniki Lewinsky standardowa procedura. Słuchaj. Czy obecnie pracujesz dla jakiejś instytucji pilnującej przestrzegania prawa?

- Leo...

- Nie wymieniaj mojego imienia. Po prostu odpowiedz na pytanie. Przykro mi, ale muszę się zabezpieczyć. Ludzie zastawiają pułapki w najmniej spodziewanych miejscach.

- Nie, Leo, z nikim nie współpracuję. Gdybym chciała cię zrobić, mogłam to zrobić wcześniej, zanim odsiedziałam piątkę w High Desert. Wszyscy ze mnie chcieli wtedy zrobić kapusia. Ale nie poszłam na to.

- Wtedy nie i byłem ci za to bardzo wdzięczny. Nie troszczyłem się o ciebie przy każdej okazji? A ten prywatny detektyw, którego chciałaś wynająć - wiesz, że kosztował mnie pięć kawałków.

- Opiekowałeś się mną, Leo. Nigdy tego nie zapomnę.

- Wolałbym, żebyś zapomniała, jak mam na imię.

- Przepraszam.

- No dobra, wystarczy. Wyłączam taśmę. Możemy zabierać się do rzeczy. Do zobaczenia. Weź...

- Masz paszporty?

Chwila ciszy.

- Jeszcze nie. Następnym razem zadzwonię, żeby sprawdzić, czy są. Zgoda?

- Zgoda, ale muszę je mieć. I to szybko.

- Dam ci znać. Na razie. Pamiętaj o wszystkich zabezpieczeniach.

Cassie odłożyła słuchawkę i utkwiała wzrok w ścianie obok drzwi. Wisiał tam plakat. Przedstawiał kobietę w skąpym bikini, spacerującą po zalanej słońcem plaży. Za nią widniał nabazgrany na piasku napis „TAHITI!”, a tuż obok piasek obmywała morska fala, nie sięgając jednak liter.

- Za miejsce, gdzie pustynia jest oceanem - powiedziała głośno.

Rozdział 7

Cassie jechała na zachód w stronę Sunset. Opuściła dach porsche. Uwielbiała czuć lekkie wibracje, w jakie silnik wprawiał fotel, i głębokie, gardłowe tony maszyny na zakrętach. W Beverly Glen skręciła na północ i krętą drogą pokonała wzgórze, by z powrotem zjechać do Valley.

Leo Renfro mieszkał w Tarzanie, na płaskim terenie leżącym na północ od Ventura Boulevard, przy ulicy wychodzącej na sto pierwszą autostradę. Miał nieduży parterowy dom zbudowany po wojnie, w zupełnie nieokreślonym stylu. Budynek był podobny do pozostałych w okolicy i na tym właśnie zależało Leowi. Mógł przetrwać dzięki tej nijakości, dzięki wtopieniu się w tło.

Cassie przejechała pod domem, nie zatrzymując się, potem okrążyła go, rozglądając się w bocznych uliczkach, patrząc nieufnie na każdy zaparkowany wóz i szukając w nim cech charakterystycznych dla samochodu tajniaków: lustrzanych szyb, więcej niż jednej anteny, kempingowych naczep. Jeden wóz przykuł jej uwagę. Według napisu na bocznych drzwiach furgonetka należała do firmy hydraulicznej. Stała przy krawężniku przed domem znajdującym się przy sąsiedniej uliczce za domem Lea. Cassie minęła samochód, lecz zaraz zawróciła i zaparkowała niedaleko furgonetki. Siedziała, obserwując wóz, czekając na jakiś ruch za szybami, drgnienie zawieszenia świadczące o tym, że w środku są ludzie - jakikolwiek znak życia. Nic się nie działo, ale Cassie czuwała całe dziesięć minut, po których upływie zobaczyła mężczyznę w niebieskim kombinezonie wychodzącego z domu. Człowiek podszedł do furgonetki, otworzył drzwiczki i wgramolił się do środka. Kilka chwil

później ostrożnie spuścił na ulicę maszynę do przetykania rur. Potem wysiadł, zamknął samochód i zaczął pchać aparat w stronę drzwi domu. Cassie wydawał się raczej poza podejrzeniem. Uruchomiła porsche, zrobiła jeszcze jedno kółko po osiedlu i wróciła pod dom Lea. Zaparkowała przy krawężniku kawałek od frontu i upomniała się w myśli, by nie okazać się większą paranoiczką niż on. Przypomniała sobie wszystkie zasady i środki ostrożności, jakie Leo tłoczył do głowy jej i Maksowi. Nie stawiać na czarne przed robotą, nie jeść kurczaka przed robotą, nie wkładać czerwonego kapelusza i tak dalej, i tak dalej. Dla Cassie wszystko to było trochę jak dziecinna zabawa w „niestawianie” na złączach płyt chodnikowych.

Aż do tamtej nocy w Kleopatrze.

Zbliżywszy się do drzwi wejściowych, Cassie popatrzyła na zwieszające się nad nimi belki dachu i stwierdziła, że stara wrzecionowata kamera jest na miejscu. Zastanawiała się, czy jeszcze działa i zaraz dostała odpowiedź, ponieważ Leo otworzył drzwi, nim zdążyła zapukać. Cassie uśmiechnęła się.

- Chyba ciągle działa.

- Pewnie, że działa. Mam ją od... ośmiu lat. Osoba, która ją instalowała, dała mi dożywotnią gwarancję i uwierzyłem. Cholera, znała się na tych aparatach.

Uśmiechnął się.

- Jak się masz, Cassie? Wejdz.

Odsunął się, żeby ją wpuścić. Leo Renfro miał niewiele ponad czterdziestkę i był dość szczupły. Jego przerzedzone włosy zdążyły posiwieć. Właściwie były już siwe, kiedy Cassie go poznała prawie dziesięć lat temu. Mówił jej wtedy, że za szybko stał się dorosły. To on wychowywał Maksa, swego przyrodniego brata, gdy ich matka zginęła w wypadku, prowadząc po pijanemu. Ojciec Lea pozostał nieznanym, w przeciwieństwie do ojca Maksa, który w Nevadzie odsiadywał dwudziesto- pięcioletni wyrok za napad z bronią w rękę (z możliwością zwolnienia warunkowego po dziesięciu latach).

Cassie weszła do środka, a Leo krótko i mocno ją uścisnął. Poczuli się, jakby powitano ją w domu.

- Cześć, mała - powiedział poważnym i serdecznym tonem.

- Leo - rzekła, po czym odsunęła się z zaniepokojoną miną. - Mogę ci chyba teraz mówić po imieniu, co?

Zaśmiał się. Wskazał za siebie i zaczął ją prowadzić w głąb domu, gdzie, jak wiedziała, w ustronnym wyłożonym boazerią pokoiku, położonym obok basenu, mieścił się jego gabinet.

- Dobrze wyglądasz, Cassie. Naprawdę świetnie. Podoba mi się ta krótka fryzura. Zostało ci po High Desert?

Obejrzał się i puścił do niej oko.

- Ty też dobrze wyglądasz, Leo. Wciąż tak samo.

Znów się obejrzał. Uśmiechnęli się do siebie. Ostatnio Cassie widziała go parę lat temu, lecz Leo prawie w ogóle się nie zmienił. Miał może trochę mniej włosów, ale nadal był mocno opalony i szczupły. Przypuszczała, że pewnie wciąż ćwiczy jogę i co dzień rano robi jedno okrążenie basenu, żeby nie stracić formy.

W salonie musieli obejść kanapę, która była tak dziwacznie odwrócona, że zamiast przodem do kominka, stała na wprost kąta pokoju. Cassie rozejrzała się i zauważyła, że wszystkie meble w salonie stały w dość nietypowych pozycjach, jak gdyby w ogóle nie było kominka, który przecież stanowił centrum pokoju.

- Przypomnij mi, żebyśmy wzięła telefon twojego projektanta wewnątrz, zanim wyjdę - powiedziała. - Co to za styl - przejściowy okres postmodernizmu?

- Co ty. Kazałem wszystko ustawić zgodnie z regułami feng shui. Na razie tylko tyle mogę zrobić w tym domu.

- Feng co?

- Feng shui. Chińska sztuka harmonii przestrzeni.

- Aha.

Chyba kiedyś czytała o feng shui. Było to najnowsze chałupnictwo w Los Angeles, dla oświeconych w sprawach kosmosu.

- To pechowe miejsce - mówił Leo. - Wszędzie złe wibracje. Czuję się jak Dick Van Dyke - idę do drzwi i potykam się o meble. Powinienem się stąd wyprowadzić. Ale mieszkam tu już tak długo, mam basen i tak dalej. Nie wiem, co zrobić.

Weszli do gabinetu. Biurko Lea stało obok rzędu szklanych rozsuwanych drzwi wychodzących na basen. Pod przeciwległą ścianą piętrzyło się kilkadziesiąt skrzynek szampana. Widok tyłu butelek wzbudził w Cassie niepokój. Leo Renfro, którego dawniej znała i dla którego pracowała, nigdy by się nie zgodził trzymać u siebie trefnego towaru. Był pośrednikiem nadzorującym akcje i późniejsze transakcje z paserami, lecz sam prawie nigdy nie zbliżał się do towaru, jeśli to nie była

gotówka. Widząc szampana w gabinecie, Cassie zaczęła sobie zadawać pytanie, co tu właściwie robi. Może od czasów Maksa Leo się zmienił. Stała w drzwiach, jak gdyby bała się wejść.

Leo stanął za biurkiem i spojrzał na nią. Nie siadał.

- O co chodzi?

Pokazała rzędy skrzynek, które zupełnie zasłaniały ścianę. Musiało tu stać z pięćdziesiąt transporterów.

- Leo, nigdy nie trzymałeś w domu ciepłego towaru. To nie tylko niebezpieczne, ale i głupie. Przecież...

- Spokojnie. Absolutna legalka. Kupiłem tego szampana - zamówiłem u dystrybutora. To moja inwestycja.

- W co?

- W przyszłość. Słuchaj. Zbliży się sylwester milenium, ludzie osuszą wszystkie sklepy z szampana. Na całym świecie. Za resztki, które jeszcze zostaną, trzeba będzie płacić astronomiczne ceny, a mnie w to graj. Każda pieprzona restauracja w mieście będzie się do mnie zgłaszać. Jeszcze nie widziałaś garażu. Upchnąłem tam pół tysiąca skrzynek. Sześć tysięcy butelek. Podniosę dwa razy cenę hurtową i wyjdę na czysto na co najmniej kilkaset tysięcy. Chcesz w to wejść? Mam już inwestorów.

Weszła do pokoju i wyjrzała przez szklane drzwi na połyskującą powierzchnię basenu. Podświetlona od dołu woda lśniła jak błękitny neon.

- Nie stać mnie.

Widziała, jak po dnie basenu wolno porusza się automatyczny filtr podciśnieniowy, ciągnąc za sobą rurę i worek na śmieci, który falował pod powierzchnią wody jak duch.

Usłyszała pomruk dobiegający z położonej niedaleko autostrady. Taki sam dźwięk dochodził do jej domu w Hollywood. Przez chwilę zastanawiała się, czy to przypadek, że oboje mieszkają w pobliżu autostrady. Może jako złodzieje potrzebowali świadomości, że droga ucieczki jest blisko.

- Będzie cię stać, kiedy zrobimy, co zamierzamy - rzekł Leo. - Usiądź.

Sam zajął miejsce za biurkiem i wysunął środkową szufladę. Wyciągnął z niej okulary do czytania i nałożył. Na biurku leżała teczka z szarej tektury. Leo wyglądał bardzo urzędowo. Zamiast omawiać szczegóły planu włamania, mógłby równie dobrze dyskutować z klientem o zeznaniu podatkowym. Rzeczywiście Leo studiował rachunkowość

na Uniwersytecie Los Angeles, dopóki nie zrozumiał, że nie ma ochoty zarządzać cudzymi pieniędzmi - tylko własnymi.

Cassie podeszła do biurka i usiadła naprzeciw niego na miękkim, wyściełanym skórą krześle. Popatrzyła w górę, na sznurek z nawleczonymi czerwonymi monetami, który wisiał dokładnie nad biurkiem. Leo dostrzegł jej spojrzenie i wskazał ręką monety.

- To antidotum. Lek.

- Na co?

- Na feng shui. Monety I Ching. Wyrównują brak harmonii. Dlatego powiesiłem je nad biurkiem. Miejsce pracy jest dla mnie najważniejszym punktem w domu.

Wskazał otwartą teczkę leżącą na biurku.

- Leo, zawsze cierpiełeś na paranoję, ale teraz chyba naprawdę ci odbiło.

- Ja w to wierzę. I działa. Jeszcze gwiazdy. Zanim ustalę jakiś plan, radzę się gwiazd.

- Jakoś nie wzbudzasz we mnie zaufania. To znaczy, że prosisz astrologa o błogosławieństwo dla każdego swojego ruchu? Leo, nie sądzisz...

- Nikogo o nic nie proszę. Sam sprawdzam. Widzisz?

Odwróciwszy się, pokazał rządę książek stojący na szafce za nim. Tytuły na grzbietach niedwuznacznie świadczyły o związku ich treści z astrologią: „Kalendarz martwych położzeń planet” i „Inwestowanie w gwiazdy”.

- Leo, zawsze cytowałeś swojego dziadka Żyda, który mawiał: „Nigdy nie podnoś grosza, gdy leży reszką do ziemi”. A teraz?

- Ciągłe w niego wierzę. Wierzę we wszystko. Trzeba wierzyć, to bardzo ważne. Nie - mieć nadzieję, tylko wierzyć, a to różnica. Wierzę w te rzeczy i to pomaga mi realizować plany i osiągać cele, jakie sobie wyznaczyłem.

Cassie pomyślała, że taka filozofia mogła się narodzić tylko w Kalifornii.

- W tym cały urok - mówił Leo. - Jestem kryty z każdej strony. Dobrze jest korzystać z każdej okazji, żeby zdobyć przewagę, Cass. Max zawsze to powtarzał, pamiętasz? Cassie ponuro skinęła głową.

- Pamiętam.

Na dłuższy czas zapadło ciężkie milczenie, wypełnione smutnymi wspomnieniami. Cassie znów spojrzała na basen. Przypomniała sobie,

jak pewnej nocy pływali tu z Maksem, przekonani, że Leo śpi. Nagle zapaliło się światło, ukazując ich nagie ciała.

Wreszcie popatrzyła na Lea.

Otworzył szarą teczkę. W środku był plik studolarówek grubości ćwierć cala oraz żółta kartka wypełniona starannie drukowanymi, lecz zupełnie nieczytelnymi notatkami. Jeden ze środków ostrożności Leo. Wszystko zapisywał jakimś tylko sobie znanym szyfrem. Zagłębił się teraz w notatkach.

- Tak, od czego by tu zacząć? - powiedział do siebie.

- Może od wyjaśnienia, dlaczego twoim zdaniem ta robota mi się nie spodoba?

Leo odsunął się i przez długą chwilę patrzył na nią bez słowa.

- No - odezwała się Cassie. - Powiesz mi czy może mam to sobie wyczytać z gwiazd?

Puścił mimo uszu zgryźliwą uwagę.

- Już cię ostrzegłem, że interes ma być w Las Vegas. Podobno kupa szmalu. Ale nie działamy sami...

- Z kim?

- Z pewnymi ludźmi. Wystarczy wiedzieć tylko tyle. Każdy ma swoją rolę i nikt nikogo nie zna. Nawet ja. Jeden facet ma na oku naszego frajera, ale znam go tylko jako głos w telefonie. Nie mam pojęcia, kim jest. On zna mnie z telefonu, lecz nic nie wie o tobie. Rozumiesz? Tak jest najbezpieczniej. Różni gracze mają różne kawałki tej samej układanki. Nikt nie widzi całego obrazka, tylko swój kawałek.

- Świetnie, Leo, ale nie mam na myśli statystów. Wiesz, dla kogo ustawiasz tę sprawę, prawda?

- Tak, znam ich. Kiedyś robiłem już z nimi interesy. Są nieźli. Właśnie oni w to zainwestowali. - Wskazał ścianę zastawioną skrzynkami szampana.

- Dobra - powiedziała Cassie. - Skoro możesz za nich ręczyć. Dlaczego jeszcze ma mi się to nie spodobać?

- Dlaczego jeszcze? Dlatego że chodzi o Kleopatę.

- Chryste!

- Tak, wiem.

Uniół ręce, jak gdyby poddawał się w dyskusji. Odchylił się na krześle, zdjął okulary i wsunął do ust ich koniuszek.

- Leo, chcesz, żebym po tym, co się stało, wróciła? Nie tylko do Las Vegas, ale na dodatek tam?

- Wiem, wiem.

Podniosła się z krzesła i stanęła przy szklanych drzwiach, z twarzą kilka cali od szyby. Znowu patrzyła na basen. Filtr wciąż się poruszał, tam i z powrotem, tam i z powrotem. Przywodził Cassie na myśl jej własne życie.

Leo nałożył z powrotem okulary i odezwał się opanowanym, uspokajającym tonem:

- Mogę coś powiedzieć?

Wykonała przyzwalający gest, choć nawet nie popatrzyła w jego stronę.

- Pozwól, że coś przypomnę. To ty do mnie zadzwoniłaś, nie ja do ciebie. Ty poprosiłaś, żeby załatwić ci robotę. Powiedziałaś, że chcesz coś poważnego, w miarę szybko. I że w grę wchodzi gotówka. Dobrze zapamiętałem?

Czekała na odpowiedź, lecz bezskutecznie.

- Milczenie przyjmuję jako zgodę. No więc, Cass, oto twoja robota.

Odrzuciła się, by spojrzeć mu w oczy.

- Ale nie powiedziałam...

Powstrzymał ją gestem.

- Najpierw skończę. Przedstawiłem ci pewną propozycję. Jeżeli nie skorzystasz, w porządku. Zadzwonię gdzie trzeba i wezmę kogoś innego. Ale, dziewczyno, byłaś najlepsza w robocie na gorąco. Jesteś największą artystką, jaką znam. Nawet Max by to przyznał. Był twoim nauczycielem, ale uczeń przerósł mistrza. Kiedy więc przyszli do mnie goście z tą sprawą, od początku myślałem o tobie. Do niczego cię jednak nie zmuszam. Jeśli wpadnie coś innego, dam ci znać. Nie wiem kiedy, ale obiecuję, że będziesz pierwsza w kolejce. Zawsze będziesz pierwsza, Cassie. Zawsze.

Wolno wróciła od szklanych drzwi i usiadła naprzeciw niego.

- To ty jesteś artystą, Leo. Od wstawiania kitu. Tą przemową chcesz mi dać do zrozumienia, że powinnam się zgodzić, tak?

- Tego nie powiedziałem.

- I nie musisz. Słuchaj, Leo, wierzysz w gwiazdy, monety i Ching i inne rzeczy. Ja wierzę tylko w to, że wtedy tam... że we wszystko wmieszał się jakiś duch. Fatum. Ciężyło nad nami albo może nad tym miejscem. Od sześciu lat powtarzam, że to nie nasza wina, że to miejsce było pechowe, a teraz chcesz... żebym tam wróciła.

Leo zamknął teczkę. Cassie zobaczyła, iż plik banknotów zniknął.

- Zrobisz, co zechcesz. Ale muszę teraz zadzwonić do kilku osób, Cass. Jeszcze dzisiaj muszę wykombinować kogoś nowego, bo robota ma być jutro wieczorem. We wtorek rano nasz obiekt wymelduje się z hotelu.

Cassie skinęła głową. Ogarnęło ją okropne przeczucie, że jeżeli nie skorzysta z tej okazji, nigdy już nie będzie następnej. Nie wiedziała, czy dlatego, że Leo więcej jej nie zaufa, czy z innego powodu. Głos intuicji. Oczyma duszy ujrzała plażę i rozbryzgującą się falę, która zmywała wypisane na piasku litery. Zniknęły, nim Cassie zdążyła je przeczytać, lecz i tak знаła treść napisu. „Bierz tę robotę”.

- Jaki mam udział, jeżeli się zdecyduję? Leo spojrział na nią z wahaniem.

- Na pewno chcesz wiedzieć?

Skinęła głową. Leo ponownie otworzył teczkę i spod pieniędzy wyciągnął żółtą kartkę. Zaczął mówić, patrząc w notatki.

- A więc słuchaj, układ jest taki. Na początek dostajemy sto kawałków, potem czterdzieści procent z reszty. Obserwuję tego faceta od dawna. Ich zdaniem musi mieć z pięćset tysięcy gotówką. W teczce. Jeżeli wszystko wypali, mamy dwieście sześćdziesiąt. Podzielimy to na sześćdziesiąt i czterdzieści procent, ty dostaniesz większą część. W sumie ponad sto pięćdziesiąt. Nie wiem, czy wystarczy, żeby zniknąć na dobre, ale cholernie dobrze jak na początek. I jedną noc roboty.

Popatrzył na nią.

- Im też dostanie się niezły grosz. Dwieście czterdzieści za nic.

- Wcale nie za nic. Znaleźli faceta. Odwalili najważniejszą część. Mają też swojego człowieka w środku, który postara się wszystko ci ułatwić.

Przerwał na chwilę, by oswoić się z liczbami i szczegółami sprawy.

- Wystarczy, żebyś była zainteresowana?

Cassie zastanawiała się przez moment.

- Nie wiesz, kiedy nadarzy się następna okazja, prawda?

- Nigdy nie wiem. Na razie mam tylko to. Szczerze mówiąc, nie liczylibym, że następnym razem będzie taka kasa. Żebyśmy tyle zebrali, musiałyby się trafić dwie, trzy okazje. A tu mamy jedną, dużą. Tak jak sobie życzyłaś.

Odchylił się, w oczekiwaniu spoglądając na nią spod okularów. Wiedziała, że dobrze to rozegrał. Pozwolił jej chwilę potaćzyć na końcu wędki, a teraz powoli wybierał żyłkę. Nie mogła się już urwać z haczyka. Perspektywa zyskania stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów nie trafiała się często. Ich największy zarobek z Maksym z jednego skoku wynosił sześćdziesiąt tysięcy, które zabrali sekretarzowi sułtana Brunei. Dla sułtana były to niewarte uwagi drobne, lecz Cassie i Max świętowali ten sukces po świt w klubie Aces and Eights w północnej części Vegas.

- W porządku - powiedziała wreszcie. - Wchodzę. Opowiedz mi o szczegółach.

Rozdział 8

Leo nachylił się nad blatem kuchennym i nie patrząc ani na

Cassie, ani na notatki, zaczął mówić. - Facet zameldował się jako Diego Hernandez. Zawodowiec, Teksasńczyk meksykańskiego pochodzenia z Houston. Gra w bakarata. O ile wiadomo, gra czysto. Po prostu jest w tym dobry. Spędza kilka dni w jednym kasynie, a potem rusza dalej. W ten sposób nie wynosi z jednego lokalu aż tyle, żeby wzbudzać podejrzenia. Namierzyli go w Nugget, potem był w Stardust, a teraz ma grać w Kleopatrze. Za każdym razem wychodzi z wielką kasą.

Byli w kuchni. Cassie siedziała przy stole, a Leo stał, przygotowując kanapki z masłem orzechowym, miodem i bananem. To była jego specjalność. Na pełnoziarnistym chlebie.

- Każdego wieczoru odbiera wygraną w gotówce i pakuje do walizeczki. Kiedy wychodzi, zabiera ją ze sobą. Przykuł ją sobie do ręki. Nie ma jej tylko wtedy, kiedy gra w kasynie. Zostawia w recepcji w skrytce i odbiera, wracając na noc do pokoju. A gdy z nią chodzi, pilnuje go eskorta. Nie chce kusić losu.

- Czyli można ją zdobyć tylko wtedy, kiedy facet śpi.

- Otóż to.

Leo postawił na stole dwa talerzyki z dwiema kanapkami na każdym, po czym podszedł do lodówki, z której wyjął dwie butelki dr peppera. Usiadł i otwierając butelki, ciągnął:

- Dla bezpieczeństwa w pokoju zapewne przekłada forszę z walizki do sejfu. Nie mamy pewności, ale trzeba się na to przygotować. Chcesz szklanke?

- Nie. Jaki to sejf? Nie pamiętam już.

- Halsey Executive, pięć przycisków w zamku. Stoi na podłodze w szafie, pod wieszakiem na ubrania. Przyśrubowany do podłogi od środka. Nie można go ruszyć. Trzeba wejść i otworzyć go na miejscu, gdy facet będzie w tym samym pokoju.

Cassie kiwnęła głową i wzięła pół kanapki. Leo pokroił je w trójkątne kawałki. Zawsze tak robił i Cassie pamiętała, że okropnie się zdeenerwował, gdy kiedyś sama zrobiła kanapkę i przekroiła ją wzdłuż. Nadgryzła kęs i w jednej chwili się rozpromieniła.

- Mniam - powiedziała i z ustami pełnymi masła orzechowego zaczęła wolno żuć. - Zdażyłam już zapomnieć, jakie to dobre, Leo. Pamiętam, jak nam je robiłeś, kiedy wracaliśmy z Maksem po robocie.

- Robiłem mu te kanapki, odkąd skończył sześć lat. Jego ulubione. Nigdy nie miał ich dosyć.

Na dźwięk imienia Maksa Cassie spochmurniała. Zmieniła temat, wracając do sprawy.

- Halsey ma panel z przyciskami zamontowany z przodu. Poradzę sobie z jedną kamerą - dwiema dla pewności, jeżeli wystarczy czasu. Będę musiała wiedzieć, czy facet jest prawo-, czy leworęczny. Dowiem się, kiedy go zobaczę w kasynie.

Z początku mówiła do siebie. Zaczęła planować w wyobraźni kolejne sceny. W pewnej chwili zadała Leowi pytanie:

- Pytałeś swojego człowieka o kolor ścian w pokoju?

Skinął głową.

- Kawowy. Malowano pokój dwa miesiące temu, ale wolno tam palić. Nasz facet pali cygara.

- Zapach dymu może się przydać.

Zapamiętała kolor ścian. Postanowiła, że rano przed wyjazdem wstąpi do Laurela po pół kwarty takiej farby i rozpylacz.

- Podobno facet jest cholernie gruby - dodał Leo. - Chrapie. Może przez to będzie łatwiej.

- Nic nie jest łatwe, Leo. Zwłaszcza w Las Vegas.

Na myśl o powrocie do Kleopatry ogarniały ją złe przeczucia.

- Skoro wyjeżdża w czwartek, może lepiej będzie zaczekać, zobaczyć,

dokąd pojedzie i spróbować w innym miejscu? Dlaczego to musi być Kleopatra?

- Bo nie wiemy, czy w ogóle zamierza zaliczyć nowe miejsce. Może przecież wrócić do Teksasu. Napełni sobie walizczkę i pojedzie do domu. Poza tym w Kleopatrze mamy swojego człowieka. Kto wie, czy w innym miejscu dopisałoby tyle szczęścia.

Cassie skinęła głową. Zrozumiała, że Leo wszystko przemyślał i doszedł do wniosku, że w Kleopatrze mają największe szanse.

- Czytałam, że Kleopatra jest na sprzedaż - powiedziała, chcąc skierować rozmowę na inne tory i zapomnieć o ponurych myślach.

- Tak, trzy tysiące pokoi i co noc połowa stoi pusta. Kosztowny moloch. Po siedmiu latach już na sprzedaż. Słyszałem, że zainteresował się nią Steve Wynn, ale potem spasował. Coś się tam musiało spieprzyć, jeśli nawet on nie chciał w to wejść. Przecież wszystko, czego dotknął, zamieniało się w złoto.

- Może lokal nigdy nie odzyskał dobrego imienia - wiesz, po sprawie Maksa.

Leo pokręcił głową.

- Stare dzieje. Problem w tym, że kiedy go budowali, koszty ograniczyli do minimum, jak w najpodlejszym hoteliku, teraz wszystko się sypie i nikt nie chce się tam zatrzymywać. W okolicy za te same pieniądze można iść do dużo ładniejszych miejsc. Bellagio, Venetian. Mandalay Bay na końcu ulicy.

Leo mówił o miejscach, które jeszcze nie istniały, gdy Cassie była w Las Vegas. Skończyła pierwszą kanapkę i łyknąwszy z butelki, zaraz zabrała się do drugiej. Wróciła do szczegółów swojego planu, mówiąc z pełnymi ustami.

- Jeżeli nic się nie zmieniło, w Kleopatrze są zamki na karty elektroniczne. Czyli muszę tam być wcześniej rano, żeby zacząć pracować nad pokojówką. Dostanę się do pokoju, wszystko przygotowuję i w nocy wrócę przez kanał wentylacyjny - jak ostatnim razem.

Łyknęła peppera, czując, jak gazowany płyn uderza w ścianki żołądka.

- Nie wiem, Leo. Mogli zmienić coś w instalacji od naszego ostatniego razu.

Spojrzała na niego. Leo przypatrywał się jej zza okularów z uśmiechem na twarzy.

- Co?

- W ogóle mnie nie słuchasz - rzekł. - Mówiłem przecież, że mamy

w środku swoją wtyczkę. Daj spokój z kanałem wentylacyjnym. I z pokojówką. Obejdzie się bez zabaw tego rodzaju. W recepcji dla VIP-ów będzie na ciebie czekać przesyłka. Zajrzał do swoich notatek.

- Na nazwisko Turcello. Dostaniesz wszystko, czego...

- Czemu Turcello? Kto to jest?

- Ty. Co za różnica czemu? Takie nazwisko podał mi nasz człowiek.

Dostaniesz wszystko, czego będziesz potrzebować. Wejdiesz do pokoju przez drzwi, bo będziesz miała klucz uniwersalny. Dostaniesz też pokój obok. Przygotujesz wszystko i będziesz obserwować. Będzie też pager. Włączysz go i dostaniesz sygnał w chwili, kiedy facet zacznie odbierać gotówkę i szykować się do wyjścia z kasyna.

- Klucz uniwersalny to dopiero połowa. Będę musiała popracować nad rygłem w zamku. Minęło tyle czasu, że nie pamiętam marki. Dostałeś...

- Tak. Uspokój się. Mówiłem ci, że mam wszystkie dane. To nie jest żadna amatorszczyzna.

Sprawdził w notatkach.

- W zamku jest rygiel Smithson Commercial. Taki sam jak wtedy. Może być kłopot?

- Przekonam się dopiero na miejscu. Tak jak mówiłeś, oszczędzano na budowie, zwłaszcza tam, gdzie nie było tego widać. W każdym zamku jest tylko pół przekładni. Przy trzech tysiącach zamków musieli chyba zaoszczędzić fortunę. Pytanie, czy po tamtej nocy nie wymienili mechanizmów.

- A jeśli tak?

- To oznacza kłopoty. To znaczy, że będę musiała wyjąć całą zasuwkę i przeciąć na pół.

- W pokoju?

- Nie. Trzeba będzie wyjść, a potem wrócić. Wezmę ze sobą palnik i zostawię w bagażniku. Ale jeżeli będę musiała zejść na dół, trzeba będzie poszukać jakiegoś miejsca poza zasięgiem kamer. Tymczasem facet może wrócić do pokoju i koniec pieśni.

- A drugi pokój? Mogłabyś tam wyjąć rygiel, przeciąć, a potem zanieść do pokoju naszego faceta.

Zanim Cassie zdążyła przyznać mu rację, Leo stwierdził, że wymiana zamków jest mało prawdopodobna.

- Słuchaj, nie przejmuj się tym. Lokal od dnia otwarcia przynosił

straty. Na pewno nie wymienialiby trzech tysięcy zamków przez jednego gościa - który już się tam przecież nie pojawi. Nawet o tym nie myśl.

- Łatwo ci mówić. Ty zostajesz w domu.

Leo zbył to milczeniem. Sięgnął do szarej teczki, wyciągnął plik banknotów i położył je obok talerzyka Cassie.

- Nasi współnicy to poważni ludzie. Wiedzą, że poniesiesz koszty związane ze sprzętem. Tu jest dziesięć kawałków. Na kamery i wszystko, co ci będzie potrzebne.

- Już wydałam blisko dziewięć stów na podstawowe rzeczy.

- Muszę cię o coś zapytać. Jesteś na czasie z kamerami i całym tym sprzętem? Wiesz, czego chcesz?

- Pójdę do znajomego u Hootena. Jeśli jeszcze tam pracuje. Minęło sporo czasu.

- Rzeczywiście sporo.

- Gdyby go tam nie było, zobaczę w sklepie elektronicznym. Znam się na nowym sprzęcie. Będzie działać, Leo. O to możesz być spokojny.

Leo znów przyjrzał się jej zza okularów.

- Co się stało, Cassie? Dlaczego tak długo czekałaś, żeby do mnie zadzwonić? Przestałem już mieć nadzieję, że kiedykolwiek się jeszcze pojawisz w moim życiu.

- Nie wiem, Leo. Chyba z początku zdawało mi się, że od tego ucieknę, wiesz?

Leo pokiwał głową.

- Na drogę cnoty - rzekł. - Ale jakoś nie umiałaś tam trafić.

- Pewnego dnia wszystko się zmienia.

- Witaj na starych śmieciach. Możemy skorzystać z twoich zdolności.

Uśmiechnął się. Cassie pokręciła głową.

- Leo, to jednorazowa sprawa. Serio. Nie będę grać w twojej drużynie. Potem zamierzam zniknąć.

Wiedziała, że te pieniądze nie wystarczą. Tylko na początek. Ale chciała jedynie tyle - obietnicy nowego otwarcia. Leo skinął głową, znów pochylając się nad żółtą kartką.

- Dzięki naszemu małemu skokowi będziesz mogła pojechać, dokąd zechcesz.

- Dzwoniłeś w sprawie paszportów?

Leo popatrzył na nią, nie unosząc głowy.

- Dzwoniłem. Podobno są już w drodze. Później sprawdzę skrytkę. Wolę tam chodzić późno, po godzinach urzędowania.

- Dobrze. Dzięki za to.

- Nie ma sprawy. Zależy mi, żebyś pojechała tam, gdzie chcesz, Cassie.

Wzięła pieniądze i wstała.

- Chyba powinnam się już zbierać, jeżeli to ma być jutro. Muszę...

- Zaczekaj. Jeszcze jedna sprawa. Bardzo ważna.

Odsunął talerzyk, choć nie tknął drugiej kanapki. Z tylnej kieszeni spodni wyjął terminarz, wielkości książeczki czekowej, lecz grubszy. Zdjął z niego gumkę i otworzył na stronie zaznaczonej różową samoprzylepną karteczką. Cassie zobaczyła, że jest to kalendarz bieżącego miesiąca. Wiele rubryk oznaczających kolejne dni wypełniało staranne pismo Lea. Leo przesunął palcem po rubrykach, aż znalazł to, czego szukał. Nie odrywając oczu od kartki, zaczął mówić.

- Chciałbym, żebyś spełniła jeden mój kaprys, kiedy będziesz już na miejscu.

- W porządku. Jaki?

- Obiecaj.

- Niczego ci nie obiecuję, dopóki nie będę wiedziała, o czym mówisz. O co chodzi, Leo?

- No więc słuchaj. Cokolwiek zrobisz, cokolwiek się stanie, nie możesz być w pokoju tego faceta między trzecią dwadzieścia dwie a trzecią trzydzieści osiem rano. Dobrze? W nocy ze środy na czwartek. Zapisz sobie, żebyś nie zapomniała.

Cassie zdała sobie sprawę, że na jej ustach błąka się niepewny, pytający uśmiech.

- O czym ty mówisz, Leo?

- Wtedy jest martwy księżyc.

- Martwy księżyc...

- To mój kalendarz astrologiczny. Opracowuję go, korzystając z książek, które ci pokazywałem w gabinecie. Rysuję mapy, między innymi księżyc.

- No dobra, masz księżyc na mapie. Co to jest martwy księżyc?

- Taki układ astrologiczny. Widzisz, kiedy księżyc przemieszcza się z jednego znaku do drugiego, czasem znajduje się między nimi, w miejscu między dwoma domami. Wtedy jest martwy, dopóki nie znajdzie

się w następnym znaku. I w nocy ze środy na czwartek przez szesnaście minut księżyc jest w martwym punkcie. Znajdzie się między Rakiem a Lwem. Od trzeciej dwadzieścia dwie do trzeciej trzydzieści osiem. Mam tu wszystko wypisane.

Zamknął kalendarz i podał jej w namaszczeniu, jak gdyby była to święta księga.

- I co?

- A to, że to pechowy czas, Cassie. Pod martwym księżycem wszystko się może zdarzyć. Nawet najgorsze. Po prostu w tym czasie nic nie rób.

Cassie patrzyła na niego przez chwilę i stwierdziła, że Leo mówi najzupełniej poważnie. Zawsze szczerze wierzył w to, co akurat sobie wybrał.

- Ciężko będzie - powiedziała. - Wszystko zależy od tego, o której facet pójdzie spać. Będę musiała odczekać dwie godziny. Co najmniej dwie godziny, żeby mieć pewność, że śpi.

- To idź dopiero po martwym księżycu. Dokładnie to zbadałem, Cass. Wiesz, że Lincoln, McKinley i Kennedy obejmowali urząd podczas martwego księżyca? Cała trójka, a potem co się z nimi stało? Clinton też. Równie dobrze mógł zginąć, ale stało się coś innego.

Ponuro kiwał głową, unosząc kalendarz, jak gdyby sam w sobie stanowił dowód. W jego niezachwianej wierze było coś ujmującego. Może dlatego, że Cassie nie była pewna, czy sama w cokolwiek jeszcze wierzy.

- Mówię serio - rzekł Leo. - Możesz sprawdzić wszystkie wydarzenia wstecz, jak daleko chcesz.

Cassie podeszła do stołu i sięgnęła po kalendarz. Kiedy jednak Leo podsunął go bliżej, cofnęła rękę. Chciała o coś zapytać, lecz nie była pewna, czy ma ochotę posłuchać odpowiedzi.

Leo zrozumiał. Pokiwał posępnie głową.

- Tak - powiedział. - Sprawdziłem. Tamtej nocy sześć lat temu też był martwy księżyc.

Patrzyła na niego bez słowa.

- Pamiętasz, co wcześniej mówiłaś o fatum? Martwy księżyc, Cass. To było jego fatum.

Przy wyjściu Leo życzył jej powodzenia i powiedział, że chciałby się z nią zobaczyć po skończonej robocie. Cassie zawahała się na

schodkach za drzwiami. Rozmowa o martwym księżycu i Maksie położyła się cieniem na jej myślach. Skuliła się, jak gdyby nagle poczuła dotknięcie przenikliwego chłodu.

- Co jest? - zainteresował się Leo.

W odpowiedzi pokręciła tylko głową, a potem spytała:

- Leo, myślisz czasem o Maksie?

Leo z początku nie odpowiedział. Wyszedł za drzwi i spojrzął w ciemne niebo. Błady księżyc wisiał tam jak jajo.

- Za parę dni będzie pełnia. Piękna i jasna.

Patrzył jeszcze przez chwilę, po czym spojrzął na Cassie.

- Nie ma dnia, żebym o nim nie myślał - powiedział. - Nie ma dnia.

Cassie skinęła głową.

- Ciągłe bardzo mi go brakuje, Leo.

- Mnie też, Cass. Bądź więc ostrożna. Nie chcę cię stracić w taki sam sposób.

Rozdział 9

Przed południem w środę, zatrzymawszy się po drodze kilka razy, by kupić farbę i inne niezbędne rzeczy, Cassie Black mknęła już przez pustynię. Promienie słońca odbijały się od srebrnego lakieru porsche, a z nawierzchni drogi unosiły się fale drgającego od upału powietrza. Choć na autostradzie ruch był niewielki, a samochód mógł z łatwością pędzić sto dziesięć mil na godzinę albo szybciej, Cassie jechała dwie mile poniżej dopuszczalnej prędkości. Było to równoznaczne z utrzymaniem w klusie konia wyścigowego pełnej krwi, lecz ona miała swoje powody. Opuszczając okręg Los Angeles, złamała warunki przedterminowego zwolnienia. Gdyby zatrzymał ją patrol drogowy, natychmiast wróciłaby do więzienia.

W momencie gdy przekroczyła granicę okręgu, zdała sobie sprawę z wysokości stawki w tej grze i z ryzyka, na jakie naraża własne życie. Każdy kontakt ze stróżami prawa mógł zaprowadzić ją z powrotem za kratki. Dostała zwolnienie warunkowe po pięciu latach odsiadki, a jej wyrok za nieumyślne spowodowanie śmierci wynosił od siedmiu do dwunastu lat. Gdyby w coś się wplątała, wróciłaby do więzienia na minimum dwa lata, ale prawdopodobnie na dłużej.

Włożyła do odtwarzacza kompakt Lucindy Williams i słuchała go w kółko. Na gładkich autostradach płyty rzadko przeskakiwały. Podobał się jej buntowniczy duch tych piosenek, pobrzmiwający w każdej z nich ton tęsknoty i poszukiwania. Słuchając jednej piosenki, Cassie za każdym razem płakała. Tekst opowiadał o utraconym kochanku, który wrócił nad Jezioro Charlesa, by umrzeć.

Czy szeptał anioł słowa pocieszenia
i siłą wspierał cię ramienia
w tych ostatnich długich chwilach...?

Dla Cassie postawione w piosence pytanie było duchem, który nękał ją od kilku lat. Miała nadzieję, że do Maksa przyszedł wtedy anioł.

Przed trzecią jej oczom ukazały się majaczące w oddali zarysy kasyn. Cassie poczuła jednocześnie podniecenie i trwogę. Przez wiele lat wierzyła, że nigdy więcej nie zobaczy już miasta, w którym dorastała, gdzie poznała Maksa i z nim zamieszkała. Pogodziła się z tym, uznając Las Vegas za zamknięty rozdział. Wracając tu, zaczynała myśleć o bólu, cierpieniu i duchach. Nie mogła się jednak powstrzymać od zachwytu nad fenomenem tego miasta. Jeżeli kiedykolwiek zrobiono coś z niczego, Las Vegas było bez wątpienia najlepszym przykładem.

Jadąc pasażem, stwierdziła, że podczas jej nieobecności zaszły tu ogromne zmiany. Przy każdej uliczce powyrastały nowe lokale, nowe testamenty chciwości i przepychu. Mijała sztuczne sylwetki wieżowców Nowego Jorku, kolos MGM Grand i nowy Bellagio. Widziała kopie wieży Eiffla i placu Świętego Marka w Wenecji. Wcześniej tego nie było. Lecz teraz pyszniły się w centrum Las Vegas. Przypomniała sobie, jak kiedyś Max mówił: „Wszystko i wszyscy trafią w końcu do Las Vegas. Nie będzie sensu jechać nigdzie indziej”.

Potem pojechali na wyspy i przekonali się, że istnieje przynajmniej jedno miejsce, którego nie da się podrobić ani zepsuć.

Zbliżając się do Kleopatry, Cassie od razu skupiła uwagę na stojących obok siebie wieżowcach noszących nazwy Eufrat i Tygrys. Obrzuciła spojrzeniem lustrzane szyby górnego piętra Eufratu, na chwilę zatrzymując wzrok na jednym z okien.

Spojrzała na trójkątną sylwetkę oszklonego atrium, wznoszącą się nad rozległym kasynem dwadzieścia pięter niżej. W blasku słońca szklany trójkąt przypominał ogromny diament. Kompleks Kleopatry był

położony prawie sto jardów od pasażu, a przy podjeździe prowadzącym do kasyna lśniło kilka wielostopniowych basenów, na których tańczyły fontanny w skomplikowanych układach choreograficznych. Pośrodku odbijających blask słońca basenów umieszczono śnieżnobiałe rzeźby dzieci, które bawiły się pod życzliwym okiem Kleopatry siedzącej na tronie na skraju najwyższej położonego basenu. Za nią widniał jakiś egipski motyw wkomponowany w nowoczesnie zaprojektowane wnętrza kasyna i hotelu.

Cassie minęła kompleks i z wieloma innymi samochodami czekała, by skrócić we Flamingo i skierować się w stronę przemysłowego labiryntu zachodniej części miasta. Wbrew własnej woli myślała o Maksie. O czasie, jaki tu spędzili. O końcu. Nie spodziewała się, że powrót przyniesie jej tak dojmujący ból i żal. Krajobraz Las Vegas bez przerwy się zmieniał, jak gdyby od nowa się wymyślając. Nie spodziewała się, że miasto będące jedną wielką fasadą może się stać obiektem tak palącej tęsknoty. Od czasów Maksa nie była z żadnym mężczyzną i wiedziała, że nigdy nie będzie. Być może ten ból miał być jej jedynym towarzyszem. Powinna go tulić do siebie. Potem jednak przypomniała sobie, że jest coś jeszcze. Plan, który majaczył na horyzoncie.

Firma „Artykuły oświetleniowe i elektryczne Hootena” znajdowała się w kompleksie przemysłowym w pobliżu autostradowej estakady. Zakład istniał prawie od czterdziestu lat, choć przez ten czas wiele się w nim zmieniło. Po początkach ich działalności jako hurtownia sprzętu oświetleniowego do kasyn, profil handlowy zaczął obejmować coraz więcej urządzeń elektronicznych. Firma była już nie tylko sprzedawcą, ale i producentem. Hooten budował większość skomplikowanych systemów monitorujących, instalowanych w kasynach w Nevadzie i salach gier hazardowych w rezerwatach indiańskich na całym zachodzie.

Jednak ani szefowie Hootena, ani kasyna, które kupowały u nich sprzęt, nie wiedzieli, że wewnątrz zakładów jest co najmniej jedna osoba, która - za odpowiednią cenę - sprzedawała te same rozwiązania techniczne ludziom pragnącym obejść systemy zabezpieczeń instalowane w kasynach.

Cassie zaparkowała boxstera na ogrodzonym parkingu, gdzie instalatorzy stawiali wieczorem swoje ciężarówki, i weszła do budynku tylnym wejściem. Przystanąła na chwilę, aby przyzwyczaić oczy do

panującego w środku półmroku. Kiedy widziała już wszystko wyraźnie, dostrzegła długą ladę biegnącą wzdłuż prawej ściany sali, w której znajdowały się katalogi i zwykły sprzęt. Za ladą siedziało kilku ludzi rozmawiających z klientami lub przez telefon. Większość miała przed sobą otwarte katalogi Hootena i zapisywała zamówienia. Cassie zauważyła, że niewiele się tu zmieniło. Slogan wymalowany na ścianie przed siedmioma laty nadal głosił tę samą zasadę.

W BOGU POKŁADAMY NADZIEJĘ –
RESZTĘ MONITORUJEMY*

[IN GOD WE TRUST - napis na amerykańskich banknotach (przyp. tłum.)]

W ciągu kilku sekund Cassie odnalazła Jersey Paltza. Rozmawiał przez telefon na drugim końcu długiego kontuaru. Zapaścił brodę i miał więcej siwych włosów niż niegdyś. Lecz wciąż związywał włosy w koński ogon i nosił srebrne kółeczka w uszach.

Kiedy Cassie weszła do sali, Paltz odkładał właśnie słuchawkę, ale nie patrzył na nią. Kończył coś notować w księdze zamówień. Odczytując zapiski do góry nogami, Cassie stwierdziła, że zamówienie nadeszło z Tropicany. Odezwała się, kiedy jeszcze pisał.

- Taki jesteś zajęty, Jersey, że nie masz czasu przywitać się ze starymi przyjaciółmi?

Paltz skończył pisać linijkę, a potem z uśmiechem spojrzął na Cassie. Zawahał się przez chwilę, ale w końcu ją poznał.

- Cassie Black?

Skinęła głową, uśmiechając się.

- Cześć, dziewczyno, kopę lat. Kiedy... hm...

- Dziesięć miesięcy temu. Nie było mnie w okolicy. Prosto z High Desert pojechałam do Kalifornii. Podoba mi się tam. Parę razy w roku temperatura jest naprawdę obłędna.

Paltz kiwał głową, ale w jego oczach czaiła się niepewność. Cassie z łatwością potrafiła przejrzeć jego myśli. Facet zdawał sobie sprawę, że nie przyjechała tu, by odnowić stare znajomości - zresztą ich wzajemne kontakty nigdy nie wyszły poza interesy. Rozejrzała się wokół, by się przekonać, czy nikt nie podsłuchuje, po czym nachyliła się nad ladą, opierając się łokciami o katalog i księgę zamówień.

- Potrzebuję zestawu. Całej aparatury, co najmniej trzech kamer, w tym jednej pracującej w ciemności.

Paltz włożył ołówek za ucho i nie patrząc na nią, pokręcił głową.

- Będę chciała parę gogli noktowizyjnych i rolkę taśmy przewodzącej - dodała Cassie. - Po drodze wstąpiłam do sklepu elektronicznego, ale taśmy już nie sprzedają. Resztę narzędzi przywiozłam ze sobą.

- Z tym może być pewien kłopot - rzekł Paltz.

- Z goglami czy taśmą?

- Ze wszystkim. My... to znaczy ja przestałem się mieszać do takich spraw.

- Słuchaj, Jersey. Nie wydaje ci się, że gdybym chciała cię wsypać, zrobiłabym to już sześć lat temu, kiedy mogłam coś z tego mieć? Dzięki Maksowi i mnie zarobiłeś wtedy niezły szmal, nie pamiętasz?

Niechętnie skinął głową.

- Ale w mieście sporo się zmieniło. Raz zrobisz coś nie tak i odtąd mają na ciebie oko. Naprawdę nie dadzą ci już spokoju.

Cassie wyprostowała się.

- Tego nie musisz mi tłumaczyć. Ani Maksowi.

- Przykro mi. Wiem, co się stało. Położył dłonie płasko na kontuarze.

- I co będzie, Jersey? Mam gotówkę i mam ochotę się zabawić.

Niedbałym ruchem przesunęła plecak pod pachę i otworzyła go, pokazując plik setek, które dostała od Lea. Widziała, że w świecie bezprawia lojalność i zaufanie to jedno, a widok gotówki - drugie.

- Muszę wiedzieć teraz, bo jeżeli mi nie pomożesz, będę musiała znaleźć kogoś innego.

Paltz skinął głową. Widziała, że widok forsy zrobił swoje.

- Wiesz co? - powiedział. - Możliwe, że będę mógł coś dla ciebie zrobić. Kiedy?

- Teraz, Jersey. Dziś w nocy. Przyjechałam. Mam robotę dzisiaj.

Popatrzył na nią, wciąż trzymając dłonie na blacie. Jego oczy szybko przebiegły po sali. Nadal nikogo nie było w pobliżu.

- No dobrze... Pracuję do piątej. Może o szóstej w Aces and Eights?

- Ta buda jeszcze działa?

- Zawsze.
- Do zobaczenia o szóstej.

Chciała odejść, lecz Paltz cicho gwizdnął i Cassie się odwróciła. Paltz wyjął zza ucha ołówek i napisał coś na kartce notesu, którą wydarł i podał jej.

- Będziesz to musiała mieć przy sobie.
- Spojrzała na karteczkę. Była na niej cena.

8500 dolarów

Suma wydała się jej dość wysoka. Czytała o nowych urządzeniach i wiedziała, że aparatura, której potrzebowała, powinna kosztować nie więcej niż pięć tysięcy, wliczając sporą prowizję Paltza. Zanim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, Paltz uprzedził jej myśli.

- Słuchaj - szepnął. - Zapłacisz za to maksymalną cenę. To nasz firmowy sprzęt. Jeżeli wpadniesz, bez problemu mnie namierzą. Już jego sprzedaż jest nielegalna, ale dorzuciliby jeszcze oskarżenie o pomoc i współudział. Dzisiaj stawiają takie zarzuty lekką rączką, jakby sypali konfetti. Na dodatek straciłbym pracę. Musisz więc zapłacić tyle, żeby zabezpieczyć moją ewentualną wpadkę. Decyduj.

Zdała sobie sprawę, że pokazując mu forszę przed transakcją, popełniła błąd.

- No dobrze, zgoda - powiedziała wreszcie. - Dopiszę do wydatków.
- Do zobaczenia o szóstej.
- Tak, o szóstej.

Rozdział 10

Cassie miała jeszcze dwie godziny do spotkania z Jerseyem Paltem. Zastanawiała się, czy nie pojechać do Kleopatry i w recepcji odebrać czekającą na nią przesyłkę, lecz porzuciła tę myśl, ponieważ oznaczałoby to, że wtedy musiałyby wyjść z hotelu i wrócić. Dwa razy przedfilowałyby przed kamerami. Nie miała ochoty dawać ludziom po

drugiej stronie obiektów dodatkowych okazji, by zwrócili na nią uwagę.

Trzymała się z dala od pasaży. Najpierw wstąpiła do salonu kosmetycznego w centrum usługowym przy Flamingo i kazała obciąć sobie paznokcie jak najkrócej. Nie wyglądało to zbyt elegancko, ale manikiurzystka, która była Azjatką, chyba Wietnamką, nie zadawała żadnych pytań, za co Cassie dała jej suty napiwek.

Potem pojechała Flamingo na wschód i minąwszy Uniwersytet Las Vegas, znalazła się w dzielnicy, gdzie mieszkała do ukończenia jedenastu lat. Jeszcze w drodze z Los Angeles przekonała sama siebie, że chce ostatni raz zobaczyć to miejsce.

Minęła sklepik, gdzie ojciec kupował jej słodycze, później przystanek autobusowy, na którym po południu wysiadła ze szkolnego autobusu. Dom jej rodziców przy Bloom Street nadal był pomalowany na różowo, ale zauważyła drobne zmiany, jakie zaszły w jego wyglądzie w ciągu dwudziestu lat, które minęły od ich wyjazdu z Vegas. Wodne urządzenie chłodzące na dachu zostało wymienione na prawdziwy klimatyzator. Garaż przekształcono w pomieszczenie mieszkalne, a podwórko ogrodzono, podobnie jak przy innych domach na tej ulicy. Cassie zastanawiała się, kto tu teraz mieszka i czy to ta sama rodzina, która kupiła dom na licytacji po egzekucji mienia. Zapragnęła podejść i zapukać - może pozwolą jej zajrzeć do jej dawnego pokoju. Chyba właśnie tam po raz ostatni czuła się naprawdę bezpieczna. Pomyślała, że przyjemnie byłoby jeszcze raz doznać tego uczucia. Wspomnienie jej pokoju w jednej chwili przywiodło Cassie na myśl pokój Jodie Shaw i kolekcję pluszowych psów na półce nad łóżkiem. Szybko jednak odsunęła od siebie ów obraz i wróciła do własnych wspomnień.

Patrząc na dom, myślała o swoim powrocie ze szkoły pewnego dnia, gdy zastała matkę we łzach, a jakiś człowiek w mundurze przypinał na drzwiach domu informację o zajęciu nieruchomości. Mówił przy tym, że kartka musi wisieć w widocznym miejscu, lecz zaraz po jego wyjściu matka ją zerwała. Potem złapała Cassie i razem wsiadły do chevroleta. Matka jak szalona pojechała w stronę głównej arterii miasta, zatrzymując się dopiero przed wejściem do Rivieri. Wjechała dwoma kołami na krawężnik, chwyciła Cassie za rękę i razem wbiegły do kasyna, gdzie

przy stoliku do black jacka znalazły ojca. Matka machnęła mu przed oczami zerwaną z drzwi kartką, którą potem wepchnęła mu za hawajską koszulę. Cassie na zawsze zapamiętała tę koszulę. Były na niej tancerki hula z obnażonymi piersiami, które przysłaniały ramionami. Matka zaczęła przeklinać ojca, nazwała go tchórzem i używała słów, których Cassie już nie pamiętała. Później odciała ją ochrona kasyna.

Cassie nie pamiętała dokładnie, co mówiła wtedy matka, lecz wspomnienie tamtej sceny widzianej oczyma dziecka było nadal żywe. Ojciec siedział nieporuszony na stołku. Wpatrywał się w krzyczącą kobietę, jak gdyby nigdy w życiu jej nie widział. Na jego ustach igrał nikły uśmiech. I nie powiedział ani słowa.

Wtedy ojciec nie wrócił do domu na noc, ani na tę, ani na żadną więcej. Cassie widziała go potem jeden jedyny raz - kiedy rozdawała w black jacku w Tropicanie. Ale był kompletnie zalany i nie poznał jej. A Cassie nie miała odwagi się przedstawić.

Odwróciła wzrok od domu i znowu w myślach ujrzała dom przy Lookout Mountain Road. Pomyślała o rysunku na sztalugach w pokoju Jodie Shaw. Dziewczynka z obrazka płakała, bo wyjeżdżała z domu na zawsze.

Cassie doskonale wiedziała, jak się czuła.

Rozdział 11

Sznur samochodów włożył się niemiłosiernie przez północne Las Vegas. Zanim Cassie dotarła do klubu Aces and Eights, była już kwadrans spóźniona. Przed wejściem do środka chwilę spędziła w samochodzie, nakładając perukę, którą kupiła, gdy zamierzała oglądać dom przy Lookout Mountain Road. Opuściła osłonę przeciwsłoneczną i przeglądając się w lusterku, poprawiła perukę i przyciemniła ołówkiem brwi, by pasowały do koloru sztucznych włosów. Całość uzupełniła parą różowych okularów.

Aces and Eights był to bar dla miejscowych i Cassie regularnie tu bywała aż do owego dnia przed sześcioma laty. Większość stałych bywalców żyła głównie z przemysłu hazardowego - legalnie lub nie - i jeżeli Cassie gdziekolwiek mogłaby zostać rozpoznana, nawet po sześciu

latach nieobecności, to z pewnością był to klub. Chciała wyperswadować Jerseyowi Paltzowi pomysł spotkania w Aces, ale zgodziła się, by go nie spłoszyć. Musiała również przyznać się przed sobą, że jest nieco sentymentalna. Chciała zobaczyć, czy stara buda bardzo się zmieniła.

Jeszcze raz zerknęła do lusterka, wysiadła z boxstera i weszła do klubu. Na ramieniu miała plecak. Zobaczyła kilku mężczyzn przy barze; po ich marynarkach lub kolorach fartuchów mogła określić, w którym pracują kasynie. Było też kilka kobiet w krótkich sukienkach i szpilkach. Położyły na barze pagery i telefony komórkowe - były to czekające na robotę dziwki, lecz w ogóle nie przejmowały się tym, że wszyscy wiedzą, kim są. W Aces nikogo to nie obchodziło.

Ujrzała Paltza, który siedział na kanapie w kącie z tyłu słabo oświetlonego klubu. Nachylał się nad talerzem chili. Cassie przypomniała sobie, że chili jest jedynym daniem w karcie, którego nie boją się jeść stali goście. Sama jednak nie chciała już tego nigdy jeść, ani tutaj, ani gdziekolwiek indziej, ponieważ przez pięć lat w High Desert co środę dostawała to na obiad. Podeszła do stolika i zaczęła się wciskać na kanapę naprzeciwko niego, ale Paltz zaprotestował:

- Złotko, nie, czekam właśnie na...

- To ja.

Spojrzał uważniej i poznał ją.

- Chyba trochę za wcześnie na Halloween, co?

- Pomyślałam sobie, że ktoś mógłby mnie tu rozpoznać.

- Cholera, przecież nie było cię tu od sześciu lat. W Vegas to prehistoria. Wiesz, już miałem iść, ale zaraz sobie pomyślałem - nie było cię tu sześć albo siedem lat. Nie masz pojęcia, jaki się zrobił tłok w mieście.

- Właśnie się dowiedziałam. Myślałam, że w Los Angeles jest źle, ale tu...

- Los Angeles wygląda jak jedna pieprzona obwodnica. W Vegas do tych nowych budynków powinni zbudować jeszcze ze trzy autostrady.

Cassie nie chciała rozmawiać o problemach komunikacyjnych ani o pogodzie. Od razu przeszła do sedna ich spotkania.

- Masz coś dla mnie?

- Zacznijmy od początku.

Paltz wśliznął się obok niej, wsunął lewą dłoń pod stół i zaczął ją dotykać i poklepywać. Cassie w jednej chwili zeszywniała.

- Zawsze chciałem to zrobić - rzekł z uśmiechem Paltz. – Od chwili kiedy cię zobaczyłem z Maksem.

Jego oddech miał zapach chili i cebuli. Cassie odwróciła się i spojrzała na bar.

- Tracisz czas. Nie zamierzam...

Nie dokończyła, bo przesunął rękę na jej piersi. Odepchnęła go.

- No już dobrze, dobrze - powiedział Paltz. - W dzisiejszych czasach nigdy nie za dużo ostrożności. Masz w torbie te osiem i pół kawałka? W pszczołkach?

Rozejrzała się po sali, by sprawdzić, czy nikt nie patrzy. Czysto. Jeżeli nawet ludzie zauważyli ich poważne miny, nie zwrócili na nich specjalnej uwagi, uważając zapewne, że to tylko tapirowana dziwka ostro targuje się z klientem. Normalna sprawa. Nawet pieszczoty pod stołem mogły wskazywać na odbywające się negocjacje; kupiec musi przecież sprawdzić jakość i gatunek towaru.

- Mam przy sobie to, co chciałeś - powiedziała. - Gdzie sprzęt?

- W samochodzie. Pokaż mi jeszcze raz to, co chcę, a potem się przejdziemy.

- Już widziałeś - sprzeciwiła się Cassie. - Odsuń się.

Paltz wrócił na miejsce. Włożył do ust porcję chili i pociągnął z butelki spory łyk millera.

Cassie położyła plecak na wolnym miejscu między nimi. Odchyliła lekko klapkę. W środku była gumowa torba z narzędziami, a na wierzchu plik studolarówek, zwanych przez miejscowych pszczołkami. W Vegas zaczęto używać tego określenia parę lat temu, kiedy świat przestępczy miasta zalały fałszywe żetony studolarowe. Były to doskonałe podróbki żółto-czarnych żetonów używanych w klubie Sands, które nazywano właśnie pszczołkami. Fałszywki były tak dobre, że kasyno musiało zmienić wzór i kolory swoich żetonów. Sands już dawno nie działał, budynek zburzono, a w jego miejscu powstał nowy klub. Lecz w żargonie półświatka pozostało określenie „pszczołka” na banknot studolarowy albo żeton o takiej wartości. Każdy, kto tak mówił, musiał od dłuższego czasu przebywać w Vegas.

Paltz przyjrzał się dobrze pieniądzom, po czym Cassie zamknęła plecak dokładnie w chwili, gdy do stolika podeszła kelnerka.

- Coś podać? - zapytała jej.

Odpowiedział za nią Paltz.

- Nie trzeba - powiedział. - Zaraz wychodzimy, ale ja niedługo wrócę. Podasz mi jeszcze jedno piwo, kochanie.

Kelnerka odeszła, a Paltz się uśmiechnął. Teraz na pewno kobieta pomyśli, że wychodzą, by dopełnić transakcji. Cassie nie przejęła się, bo właśnie tak miało to wyglądać. Zdenerwowała się jednak, że Paltz powiedział do kelnerki „kochanie”. Nigdy nie podobało się jej, kiedy mężczyźni zwracali się do nieznanym kobiet poufale, używając nie-szczerze pieśczośliwych słów. Powstrzymała jednak chęć, by go zbesztać i zaczęła wstawać od stolika.

- Chodźmy - powiedziała.

Kiedy znaleźli się na dworze, Paltz zaprowadził ją do furgonetki zaparkowanej z boku baru. Z breloka zawieszono na pasku odpiął kluczyki i otworzył przesuwane drzwi od strony pasażera. Samochód stał tylko parę stóp od ściany baru. Nikt nie mógł zajrzeć do wnętrza furgonetki, jeśli nie wszedł do środka. Cassie uznała, że to dobrze, ale zarazem źle. Dobrze, jeżeli Paltz chciał być wobec niej uczciwy. Źle, jeśli zamierzał rąbnąć jej te pieniądze. Nigdy nie nosiła przy sobie broni i próbowała sobie przypomnieć, czy Paltz o tym wie.

Paltz włączył do furgonetki i dał Cassie znak, by weszła za nim. Szoferkę oddzielała od części bagażowej ścianka ze sklejk. Z tyłu furgonetki znajdowały się dwie ławeczki zamontowane naprzeciw siebie. Na hakach wystających z tablic na ścianach wisiały różne narzędzia, a w pięciogalonowych kubkach leżały upchnięte z innymi narzędziami szmaty i części sprzętu. Cassie zawahała się w otwartych drzwiach. Miała w plecaku blisko dziesięć tysięcy dolarów w gotówce i wsiadała do furgonetki na jedno skinienie faceta, którego nie widziała, nie mówiąc już o robieniu z nim interesów, od sześciu lat.

- Chcesz to czy nie? Nie mam ochoty sterczeć tu całą noc. Ty chyba tym bardziej.

Wskazał stojącą na podłodze średniej wielkości walizkę. Usiadł na jednej z ławeczek, kładąc sobie walizkę na kolanach. Otworzył ją, opierając pokrywkę o własną pierś, by Cassie mogła widzieć sprzęt spoczywający na wytlóczkach z gumy piankowej.

Cassie skinęła głową i wgramoliła się do furgonetki.

- Zamknij drzwi - powiedział Paltz.

Zasunęła za sobą drzwi, nie spuszczać przy tym oczu z Paltza.

- Zróbmy to szybko - powiedziała. - Nie podoba mi się tu.
- Uspokój się, przecież cię nie ugryzę.
- Nie boję się ugryzienia.

Zbliżywszy się, Cassie spojrzała w głąb walizki. Części sprzętu monitorującego były umieszczone w kształtkach, by nie przesunęły się podczas transportu. Cassie rozpoznała większość części, niektórych używała poprzednio, inne widziała w katalogach i czasopismach elektronicznych. Były to kamery z obiektywami otworkowymi, przekaźnik mikrofalowy, odbiornik i kilka innych podobnych urządzeń. W walizce leżała także para gogli noktowizyjnych.

Prezentując wartość walizki gestem akwizytora, Jersey Paltz przystąpił do rzeczy.

- Chcesz, żebym wszystko omówił czy dasz sobie radę sama?
- Lepiej pokaż mi wszystko oprócz gogli. Sporo czasu minęło.
- Dobrze, przejdziemy od rejestracji do odczytu obrazu. Po pierwsze kamery.

Wskazał górną połowę walizki. Na gumie piankowej leżały cztery małe czarne kwadraty z okrągłymi punkcikami w środku i obwodami elektrycznymi na wierzchu.

- Masz tu cztery kamery na płytkach - powinno wystarczyć na każdą robotę. Kiedy wcześniej rozmawialiśmy, nie wspominałaś nic o kolorze, ale...

- Nie potrzebuję kolorowego obrazu. Nie potrzebuję dźwięku. Wystarczy ostry obraz. Żebym mogła odczytać numery.

- Tak właśnie myślałem. Wszystkie dają czarno-biały obraz. Pierwsze trzy to standardowe elektroniczne kamery z obiektywami otworkowymi. Mówiąc „standardowe”, mam na myśli standardy Hootena. Nikt dzisiaj nie robi lepszych układów. Masz tu rozdzielczość czterystu linii z elektroniczną liniową przysłoną tęcząkową. Czysty obraz. Działa od czterech do sześciu godzin na baterii dziesięć. Wystarczy do twojego zadania?

- Powinno wystarczyć.

Cassie czuła podniecenie. Starła się śledzić w czasopismach elektroniczne nowinki, lecz kiedy zobaczyła na własne oczy nowoczesny sprzęt, krew od razu zaczęła w niej żywiej krążyć. Czuła jej pulsowanie w skroniach.

Paltz ciągnął swój występ.

- Czwarta płytką to, tak jak chciałaś, kamera widząca w ciemności. Nazywa się OŚIC. W katalogu nazwaliśmy ją „najlepszą małą kamerą wszech czasów”.

- Osie?

-O-Ś-I-C. Oko Światła i Ciemności. Daje ci obraz bez względu na to, czy światła są włączone, czy nie. W kamerach na podczerwień czasem na ekranie masz rozmazania, kiedy światło jest włączone. Zrobiliśmy więc to cacko. Działa niezależnie od rodzaju światła w pokoju i możesz zobaczyć to, co chcesz - kształty, cienie, ruch. Zielone pole widzenia, jak zwykle. Słuchaj, dziś w nocy ma być pełnia. Jeżeli chcesz...

- Ma być też martwy księżyc.

- Jaki?

- Nieważne. Mów dalej.

- Chciałem tylko powiedzieć, że jeżeli na teren, który chcesz filmować, będzie padać światło księżycy, to wystarczy, żeby kamera dobrze działała.

- W porządku, może być.

Cassie chciała jedynie zobaczyć tyle, by móc ustalić położenie facecia w ciemności pokoju hotelowego. Wyglądało na to, że potrzebuje tylko OŚIC.

- Dobra, idziemy dalej. Możesz każdą z płytek ukryć w którejś z tych atrap.

Wyciągnął fałszywy wykrywacz dymu i pokazał jej. W osłonie był mały otwór. Paltz pokazał jej, gdzie włożyć płytkę, by obiektyw znalazł się w otworku.

- A gdybyś chciała obejrzeć coś pod mniejszym kątem...

Wyjął z walizki atrapę podwójnego gniazdka elektrycznego.

Płytkę z kamerą można było zainstalować w górnym gniazdku. Podał to Cassie, która zachwycała się niewielkim rozmiarem aparatu.

- Fantastyczne.

- Ale trochę ryzykowne. Gość może próbować coś włączyć i proszę - znajdzie pieprzoną kamerę w swoim pokoju. Jeśli więc zdecydujesz się na gniazdko, umieść je w takim miejscu, żeby facet raczej nie mógł podłączyć tam komputera, golarki czy czegoś w tym rodzaju.

- Rozumiem.

- Dobra. Musisz podłączyć kamery do baterii w ten sposób.

Paltz wcisnął okrągłe baterijki do pojemniczka połączonych przewodami z płytkami kamer.

- Potem je instalujesz i łączysz kamery z przekaźnikiem. To będzie niedaleko, nie?

Cassie skinęła głową.

- Zgadza się. Najwyżej osiem, dziesięć stóp, prawdopodobnie mniej.

Wydobył rolkę, która wyglądała jak zwykła szpulka taśmy samoprzylepnej.

- Taśma przewodząca. Kiedyś jej używałaś, prawda?

- Tak, pod koniec... przy kilku okazjach.

Paltz tłumaczył dalej, jak gdyby nie usłyszał odpowiedzi.

- To magiczna taśma. Ma dwa przewody, jeden wideo, drugi uziemiający. Łączysz ją z jednej strony z kamerą, z drugiej z przekaźnikiem. Tylko pamiętaj, krótka odległość. Im dłuższa taśma, tym więcej zniekształceń obrazu. Jeżeli chcesz odczytywać numery, lepiej uważać.

- Będę pamiętać.

Na czole Paltz perlił się pot, spływając po policzkach. Zdaniem Cassie w samochodzie nie było aż tak gorąco, żeby się spocić. Patrzyła, jak ociera dłonią twarz.

- Co się dzieje?

- Nic - odrzekł Paltz, sięgając do walizki. - Ciepło się zrobiło. Tu masz czterokanałowy przekaźnik.

Z piankowej kształtki wyciągnął płaskie kwadratowe pudełko wielkości telefonu komórkowego. Z aparatu wystawała sześciocalowa antena.

- Jest wielokierunkowy - nie ma znaczenia, pod jakim kątem będzie ustawiony. Wystarczy trzymać go niedaleko kamer, żeby był czysty sygnał. Przekaznik nie jest zamaskowany, jak widzisz. To nie kamera, więc możesz go schować gdziekolwiek - pod łóżkiem, w szufladzie, w szafce. Też ma baterię - z podobnym czasem działania jak kamery. Należy?

- Tak.

- Przekaznik wysyła obraz do zdalnego odbiornika. Do tego maleństwa.

Wydobył z walizki największy element urządzenia, który wyglądał jak mały laptop. Albo pojemnik na lunch ery kosmicznej. Paltz otworzył klapkę z monitorem i postawił antenkę.

- To nagrywający odbiornik mikrofalowy. Możesz go ustawić do dwustu jardów od przekaźnika i, zależnie od zakłóceń z zewnątrz, będziesz, miała porządny obraz.

- Co może zakłócić odbiór?

- Nie sądzę, żebyś się musiała tym martwić. Głównie woda. Sok z drzew też może zepsuć odbiór. Ale nie zamierzasz pracować w pobliżu lasu, prawda? Drzewa wysyłają sygnał prosto w ziemię.

- Poza nazwą, jest w Las Vegas jakiś las, Jerry?

- O ile wiem, nie.

- No więc nie ma lasu. Nie ma drzew, nie ma soków.

Zaczęło ją irytować jego nerwowe zachowanie, które było zaraźliwe. Z tyłu furgonetki nie było okien i nie wiedziała, czy kiedy otworzą drzwi, nie zobaczą kogoś czekającego obok wozu - na nich lub na nią. Randka z Paltzem była błędem.

- A basen? - zapytał Jersey.

Cassie porzuciła swoje myśli. Po chwili zastanowienia przypomniała sobie, że w Kleopatrze basen jest na parterze.

- Nie ma.

- Dobra. Stal, beton, z tym nie będzie żadnego kłopotu. Jeśli zostaniesz w budynku, wszystko powinno działać idealnie.

Paltz zaczął manipulować przyciskami na odbiorniku. Włączył go i na ekranie pojawił się pusty, śnieżący obraz. Wcisnął czerwony klawisz umieszczony z boku miniklawiatury.

- Tu włączasz nagrywanie. Możesz wszystko nagrać albo po prostu oglądać. Można podzielić ekran na cztery części i oglądać obraz z czterech kamer jednocześnie.

Kiedy nacisnął parę klawiszy, ekran przedzielił się dwukrotnie. Wciąż był pusty obraz.

- Na razie nic nie widać, bo kamery nie są podłączone. Ale załadowałem ci tu wszystkie cztery i wszystko jest gotowe do pracy.

- W porządku. Świetny sprzęt, Jersey. Chcesz mi coś jeszcze pokazać? Muszę już iść.

- To tyle. Zapłacisz tak, jak się umówiliśmy, i wyjdiesz, a ja wrócę do chili, chociaż pewnie już ostygło.

Cassie położyła sobie plecak na kolanach.

- Sama robisz ten numer, Cassie?

- Tak - odpowiedziała bez namysłu.

Kiedy otwierała plecak, Paltz zamknął walizkę i uniół drugą rękę. Okazało się, że trzymał w niej pistolet wycelowany w pierś Cassie.

- Co ty wyrabiasz?
- Głupia wpadka, mała - powiedział.

Cassie zaczęła wstawać, lecz Jersey uniósł ostrzegawczo broń, każąc jej pozostać na miejscu.

- Słuchaj, stary, zapłacę ci. Mam forszę. O co ci chodzi?

Paltz przerzucił pistolet do drugiej dłoni, stawiając walizkę na podłodze furgonetki. Potem sięgnął po plecak.

- Forszę wezmę.
- Brutalnie wyrwał jej z rąk plecak.

- Jersey, umówiliśmy się...
- Zamknij się, do kurwy nędzy.

Cassie starała się nie poruszać, gdy otwierał plecak, by zabrać pieniądze. Bez drgnienia żadnego mięśnia zdjęła ciężar ciała z lewej nogi i uniosła ją tuż nad podłogą. Paltz siedział dokładnie naprzeciw niej z nieznacznie rozchyłonymi kolanami. Odezwała się spokojnym, opanowanym głosem.

- Jersey, co robisz? Po co składałeś cały sprzęt, jeżeli chciałeś mnie obrobić?

- Musiałem się upewnić, czy pracujesz sama. Czy nie wzięłaś sobie kogoś na miejsce Maksa.

Cassie poczuła, jak zalewa ją fala wściekłości. Facet cały czas się nią bawił. Od początku była dla niego ofiarą. Od początku chciał ją obrobić, gdyby się okazało, że jest sama.

- Wiesz co? - rzekł Paltz niemal wesoło, czując, że ma w rękę forszę. - Tak sobie myślę, że na dokładkę powinnaś mi obciągnąć. Żebym dostał coś, co Max trzymał tylko dla siebie. Założę się, że po pięciu latach w pierdłu zdobyłaś niezłą praktykę.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Popełniasz błąd, Jersey. Jestem sama, ale pracuję dla konkretnych ludzi. Myślisz, że wparowałam do miasta i wybrałam sobie cel na chybił trafił? Atakujesz mnie i równocześnie ich. To im się nie spodoba. Może więc zawrzemy układ. Ty weźmiesz pieniądze, ja sprzęt. Zapomnę, że mi groziłeś pistoletem. I zapomnę, co powiedziałeś.

- Gówno.

Nie spuszczając Cassie z oczu, Paltz zaczął grzebać w plecaku w poszukiwaniu pieniędzy. Zaraz potem rozległ się elektroniczny trzask i Paltz wydał z siebie krótki okrzyk. W tej samej chwili lewa noga Cassie wystrzeliła w stronę jego ciała, a ciężki martens trafił go w krocze. Głośno

charcząc, Paltz zgiął się w pół i pociągnął za spust.

Pistolet wypalił, ogłuszając na moment Cassie, która poczuła lekkie szarpnięcie za perukę, gdy kula przecięła pukle jej sztucznych włosów. Poczuła woń palonego prochu, a gorący podmuch sparzył jej szyję i policzek. Skoczyła na Paltza i chwyciła oburącz jego broń. Napała na niego ciałem, niemal siadając mu na kolanach. Przyciągnęła jego rękę trzymającą pistolet do swojej twarzy i z całej siły ugryzła go w grzbiet dłoni. Nie kierował nią strach, ale wściekłość.

Paltz wrzasnął, puszczając broń. Cassie chwyciła ją i zerwała się na równe nogi. Pistolet - natychmiast stwierdziła, że to glock dziewięć milimetrów - wycelowała z odległości dwóch stóp prosto w twarz Paltza.

- Głupi, żalosny gówniarzu! - krzyknęła. - Chcesz umrzeć? Chcesz tu zginąć, w tej pieprzonej furgonetce?

Paltz ciężko łąpał powietrze i czekał, aż jego jądra dojdą do siebie. Cassie przesunęła dłonią po twarzy, szukając śladów krwi. Była pewna, że kula przeszła bokiem, lecz zawsze słyszała, że czasem człowiek nawet nie wie, kiedy został postrzelony.

Spojrzała na dłoń. Krwi nie było. Mimo to głośno zaklęła. Chory pomysł Paltza, żeby ją rąbnąć na ponad osiem kawałków, wszystko skomplikował. Starła się zachować jasność myśli, ale dzwoniło jej w ucho, a na skórze szyi czuła mrowienie po powierzchownym oparzeniu.

- Kładź się na podłogę! - rozkazała. - No już! Pieprzony gwałciciel! Powinam ci wepchnąć tego gnata w tyłek!

- Przepraszam - jęczał Paltz. - Bałem się. Chciałem...

- Gówno prawda! Kładź się, twarzą do ziemi. Już!

Paltz wolno opuścił się na kolana, a potem położył się na podłodze.

- Co chcesz zrobić? - zaskomlał.

Cassie stała nad nim, rozstawiwszy stopy po obu stronach jego ciała. Pochyliła się, przycisnęła mu lufę do tyłu głowy i odwiodła kurek. Na ten dźwięk ramionami Paltza wstrząsnął dreszcz.

- Co jest, Jersey, dalej chcesz, żebym ci obciągnęła? Myślisz, że ci stanie?

- O Boże...

Cassie rozejrzała się po furgonetce. Z kubła ze sprzętem i narzędziami wyjęła plastikowy zacisk, jakiego używa się do wiązania kabli

w pęki. Kazała Paltzowi założyć ręce do tyłu. Posłusznie wykonał polecenie i Cassie stwierdziła, że jedna z końcówek paralizatora zostawiła mu na dłoni ślad oparzenia. Owinęła zacisk wokół jego nadgarstków i zaplotła, zaciągając pasek tak mocno, że plastik wrzynał mu się w skórę. Potem położyła pistolet na podłodze samochodu i wzięła więcej zacisków, żeby skrępować mu nogi.

- Mam nadzieję, że zjadłeś dość chili, skurwielu. Chwilę poczekaasz na repetę.

- Muszę się odlać, Cassie. Czekaając na ciebie, wypilem dwa piwa.

- Któż ci broni sikać?

- Kurczę, Cassie, nie rób tego.

Cassie wyrwała z kubła kawał szmaty i raptownie przykleiła mu na plecach, pochylając się nad uchem Paltza.

- Pamiętaj, że to ty zacząłeś tę zabawę, skurwielu. Zadam ci te raz jedno pytanie i lepiej, żebyś udzielił mi jasnej odpowiedzi, bo od tego zależy twoje życie. Rozumiesz?

- Tak.

- Kiedy otworzę drzwi, ktoś tam będzie na mnie czekał? Jakiś twój kumpel - pomocnik?

- Nie, nikt.

Podniosła broń i dźgnęła go lufą w policzek.

- Lepiej mów prawdę. Jeżeli otworzę drzwi i kogoś zobaczę, opróżnię cały magazynek prosto w twój cholerny łeb.

- Nikogo tam nie ma. Ja sam...

- To powiedz „A”.

- Co...

Zamilkł, bo wepchnęła mu szmatę w usta. Połączyła ze sobą dwa plastikowe zaciski i owinęła nimi głowę Paltza, przytrzymując knebel. Gdy dociskała plastik, jego oczy stawały się coraz większe.

- Przez nos, Jersey. Oddychaj przez nos i nic ci nie będzie.

Z breloka wiszącego na pasku jego spodni Cassie odczepiła kluczyki do samochodu. Potem wstała, poszła do plecaka, z którego wyciągnęła i rozwinęła czarną sportową torbę. Zaczęła pakować do niej sprzęt z walizki Paltza.

- Umowa jest taka - powiedziała. - Zabieram twój wóz i idę zrobić, co do mnie należy.

Paltz próbował zaprotestować, lecz z zakneblowanych ust dobył się tylko niezrozumiały bełkot.

- Cieszę się, że się zgadzasz, Jersey.

Kiedy wszystko przepakowała, zarzuciła plecak na ramię i podeszła do odsuwanych drzwi. Wyłączyła górną lampkę we wnętrzu furgonetki, po czym otworzyła drzwi jedną ręką, w drugiej trzymając w pogotowiu broń.

Nikogo. Wysiadła z samochodu, chwyciła torbę i zatrzasnęła drzwi. Wolno podeszła do drzwi od strony kierowcy, wciąż trzymając uniesiony pistolet. Parking był zatłoczony samochodami, ale w żadnym nikt nie czekał ani ich nie obserwował.

Przekręciła kluczyk i otworzyła drzwi. Zanim wsiadła, wysunęła z glocka magazynek i kciukiem wysypała po kolei wszystkie naboje na asfalt. Na końcu wyrzuciła ostatni pocisk z komory, po czym rzuciła broń i magazynek na płaski dach baru.

Zajęła miejsce za kierownicą, uruchomiła silnik i wyjechała z parkingu. Zauważyła, że w radiu jest dziura. Kula wystrzelona przez Paltza przeszła przez ściankę ze sklejki i zaryła się w radiu. Cassie przypomniała sobie o oparzeniu na szyi i policzku. Włączyła światło, by obejrzeć twarz w lusterku. Miała na skórze czerwone plamy, jak gdyby oparzyła się trującym bluszczem.

Potem zerknęła na zegarek. Przez numer Paltza miała już małe opóźnienie. Wyłączyła lampkę nad lusterkiem i pojechała w kierunku widocznych z daleka neonów.

Rozdział 12

Równoległe do Las Vegas Boulevard biegła Koval Road, z której był łatwy dojazd do wielopoziomowych parkingów za wielkimi budynkami wychodzącymi na bulwar, lepiej znany jako Pasaż. Cassie minęła Apartamenty Koval - budynek, w którym wynajmowało się mieszkanie na miesiąc, gdzie kiedyś z Makssem mieli swoją bazę - po czym skręciła w wielopoziomowy parking przylegający do kasyna z pensjonatem Flamingo. Garaż kasyna był usytuowany centralnie w stosunku do kasyn w środkowej części pasażu. Z zasady nie należało parkować pod hotelem będącym celem akcji. Cassie zatrzymała furgonetkę Paltza na najwyższym poziomie ośmiopiętrowego parkingu, ponieważ wiedziała,

że tu będzie najmniej samochodów i najmniejsze prawdopodobieństwo, że jej skrepowany i zakneblowany pasażer zostanie wykryty.

Z plecakiem na ramieniu i sportową torbą przy boku weszła tylnym wejściem do Flamingo, przecięła kasyno, idąc w stronę frontowych drzwi i zatrzymując się po drodze w sklepikach w hallu, by kupić papierosy (w razie gdyby musiała uruchomić alarm przeciwpożarowy) i talię kart, by zająć się czymś podczas czekania, aż facet zaśnie. Gdy wyszła z Flamingo, przecięła Las Vegas Boulevard i przeszła dwie przecznice dzielące ją od Kleopatry.

Cassie minęła rozświetlone baseny, jadąc na ruchomym chodniku, który dowoził graczy do wejścia do kasyna. Zauważyła, że nie ma ruchomej drogi w drugą stronę, dla graczy, którzy skończyli już przegrywać pieniądze.

Ściany przy wejściu do kasyna zdobiły malowidła przedstawiające postaci z egipskimi fryzurami grające w karty i kości. Cassie zastanawiała się, czy taki obrazek ma jakieś historyczne uzasadnienie, lecz po chwili doszła do wniosku, że to nie ma znaczenia, ponieważ w Las Vegas nic nie miało historycznego uzasadnienia.

Za malowidłami na ścianach była część poświęcona Klubowi Kleopatry - wisiały tam zdjęcia szczęśliwców, którzy w zeszłym roku wygrali najwięcej na jednorekowych bandytach. Cassie zauważyła, że wiele z osób upozowanych przy automatach uśmiecha się tak, jak gdyby ukrywało braki w uzębieniu. Zastanawiała się, ilu z nich wydało wygrane pieniądze na wizytę u dentysty, a ilu wrzuciło z powrotem w otwór automatu.

Kiedy wreszcie doszła do sali kasyna, przystanąła, usiłując rozejrzeć się, nie unosząc twarzy w stronę umieszczonych pod sufitem kamer. W pierwszym odruchu poczuła przemożny strach. Nie bała się czekającego ją dziś zadania. Lękiem przepełniło ją wspomnienie tamtej nocy w Kleopatrze. Nocy, która zmieniła wszystko w jej życiu z właściwą śmierci nieodwracalnością.

Wydawało się, że kasyno się nie zmieniło. Ten sam wystrój, ci sami gracze w niezmiennie rozpaczliwym pościgu za swymi marze-, niami, ta sama ogłuszająca kakofonia brzęku pieniędzy, grzechotu automatów i ludzkich głosów radości i rozpacz. Wzięła się w garść i ruszyła w głąb sali, jak gdyby wkraczała na wielkie boisko, przemykając wśród automatów i pokrytych niebieskim filcem stołów do gry, wokół których tłoczyli się ludzie. Miała świadomość, że każdy jej ruch śledzą obiektywy.

Wciąż trzymała głowę nisko. Na czoło spuściła szerokie rondo kapelusza. Kamuflażu dopełniała para tanich okularów przeciwsłonecznych. Skóra głowy pocila się jej pod peruką, ale Cassie wiedziała, że upłynie jeszcze kilka godzin, zanim pozbędzie się przebrania i odczuje ulgę.

Przechodząc obok stołów do gier karcianych i kości, widziała wielu mężczyzn i kilka kobiet w niebieskich marynarkach ochrony kasyna. Wyglądało na to, że mają stanowiska przy każdej kolumnie i na końcu każdego rzędu stołów. Cassie ujrzała tabliczki wskazujące drogę do głównego hallu i poszła oznaczoną drogą. W pewnej chwili spojrzała w górę, nie unosząc jednak głowy.

Sufit wznosił się, tworząc nad stołami do gry atrium wysokości trzech pięter. Kiedy Kleopatra pierwszy raz otworzyła przed graczami swe drzwi, nazwano ją „Kryształową Katedrą Kasyn”, nawiązując do pewnego kalifornijskiego kościoła pokazywanego w telewizyjnych programach religijnych. Pod częściowo szklanym sufitem od ściany do ściany biegły żelazne podpory, na których umieszczono rzędy świateł i kamer. Kleopatra była niepodobna do innych lokali w Vegas, gdyż tu do sali kasyna docierało światło dzienne. Nie starano się również ukryć kamer monitorujących. Inne kasyna wołały zamknięte przestrzenie ze sztucznym oświetleniem i kamerami zamontowanymi za lustrzanymi ścianami i w kulach pod sufitem, mimo że żaden gracz ani przez chwilę nie miał wątpliwości, że każdy jego ruch - i pieniądze na stołach - obserwują obiektywy.

Oczy Cassie spoczęły na balkonie, rozciągającym się ponad stołami do gry niczym dwoje złączonych rąk, których dłonie formowały rodzaj miseczki - bocianie gniazdo. Ten punkt obserwacyjny zajmował człowiek o pooranej twarzy, przyglądający się z góry grającym. Miał siwe włosy i, zamiast w niebieski mundurek, był ubrany w ciemny garnitur. Cassie przypuszczała, że to jeden z szefów, może nawet ten najgłośniejszy. Nurtowała ją myśl, czy to on stał na ambonie sześć lat temu podczas jej ostatniego pobytu w Kleopatrze.

Minąwszy stoły, Cassie znalazła się w hallu i podeszła do drugiego końca stołu, gdzie wisiała tabliczka „ZAPROSZENI GOŚCIE I VIP-y”. Nie było żadnej kolejki. Gdy zbliżyła się do recepcji, uśmiechnęła się do niej kobieta odziana w białą tunikę, która trochę przypominała strój egipski.

- Dzień dobry - powiedziała Cassie. - Miała tu być dla mnie przesyłka. Na nazwisko Turcello.

- Chwileczkę.

Kobieta odeszła od lady i zniknęła za drzwiami. Cassie stwierdziła, że ogarnia ją typowa dla złodziei paranoja, a jej oddech staje się wolniejszy. Jeśli to pułapka, za chwilę przez drzwi powinni wpaść faceci w niebieskich uniformach i rzucić się na nią.

Lecz w drzwiach pojawiła się ta sama kobieta w tunice. W dłoni trzymała dużą kopertę z szarego papieru, na której widniał symbol Kleopatry - szkicowy rysunek profilu kobiecej twarzy w egipskim nakryciu głowy, wyobrażającym węża. Wręczyła jej z uśmiechem przesyłkę.

- Dziękuję bardzo - powiedziała.

- To ja dziękuję - odrzekła Cassie.

Wzięła kopertę i nie patrząc na nią, skierowała się do pobliskiej wnęki w ścianie, gdzie znajdowały się automaty telefoniczne. W tym momencie nikt nie rozmawiał. Cassie podeszła do telefonu w rogu i przywarła do aparatu, odwracając się plecami do potencjalnego obserwatora lub oka kamery.

Otworzyła zatrask koperty i wysypała jej zawartość na marmurowy parapet pod telefonem. Na marmur spadł czarny pager z cyfrowym wyświetlaczem, elektroniczna karta-klucz, zdjęcie i wiadomość napisana na kartce z firmowego notesu Kleopatry. Szybko spojrzała na pager i przypięła go do paska. Potem wsunęła kartę do tylnej kieszeni dżinsów i zerknęła na wiadomość. Składała się z czterech linijek.

OSTATNIE PIĘTRO EUFRATU

JEGO: 2014

TWÓJ: 2015

Zwróć kopertę z całą zawartością w recepcji dla VIP-ów

Czytając pierwszą linijkę, poczuła skurcz w żołądku. Oparła głowę o telefon. Znała górne piętro w Eufracie. Właśnie tam skończyły się dla niej marzenia i nadzieje. Mogła wrócić do Las Vegas, wrócić do Kleopatry. Ale wrócić na ostatnie piętro Eufratu... Cassie zapragnęła nagle rzucić wszystko i uciec. Jednak stawka znacznie wzrosła. Cassie posunęła się za daleko, by móc zawrócić.

Starła się myśleć o czymś innym. Jeszcze raz zerknęła na wiadomość, biorąc do ręki kartę. Pasowała do dwóch pokoi, czyli był to klucz uniwersalny. Ostatnia linijka instrukcji stawała się więc jasna. Klucz należało zwrócić, ponieważ nie powinno brakować żadnego z uniwersalnych. Jeżeli potem będzie prowadzone jakieś śledztwo, zapewne spiszą klucze uniwersalne.

Powoli zmięta kartkę w dłoni i spojrzała na zdjęcie. Ukazywało stolik do bakarata, przy którym siedział tylko jeden gracz: otyły mężczyzna w garniturze, z okazałą kupką żetonów przed sobą. Diego Hernandez. W rogu zdjęcia była data i godzina - zrobiono je dziś po południu. Cassie nie miała wątpliwości, że fotografia pochodziła z kamery w kasynie. Klucz uniwersalny i zdjęcie uświadomiły jej, że współnicy Lea mieli lepsze dojsścia, niż sądziła.

Zapamiętała twarz mężczyzny z fotografii, po czym włożyła zdjęcie razem ze zmiętą kartką do koperty. Złożyła ją dwukrotnie i wcisnęła do kieszeni plecaka. Później zawróciła do sali kasyna.

Nie unosząc głowy, zaczęła się przyglądać oznaczeniom nad stołami, aż znalazła salę do bakarata. Ruszyła określną drogą, idąc obrzeżem sali w stronę balustrady, która odgradzała stoły do bakarata od reszty kasyna. Kiedy doszła do balustrady, nonszalancko oparła się o nią łokciem i spojrzała w głąb kasyna. Nie dojrzała nikogo, kto by się jej przyglądał. Była spokojna. Powoli odwróciła się, jak gdyby dopiero teraz zorientowała się, że ma za plecami salę do bakarata, i zmieniła pozycję, by móc zajrzeć do środka.

Facet wciąż tam był. Jej cel. Diego Hernandez. Niski i tęgi - miał tak duży brzuch, że wydawało się, jakby siedział daleko od stołu. Ubrany w obszerny, workowaty garnitur i krawat. Obserwując go, Cassie zauważyła, jak oszczędnie się porusza, nie odrywając oczu od stołu i nie ruszając głową. Przed nim stało kilka kupek żetonów za sto dolarów. Na pierwszy rzut oka wyglądało, że ma na stole przynajmniej dziesięć tysięcy.

Cassie obejrzała kilka rozdań, ale nie zatrzymywała wzroku na Hernandezie dłużej niż na parę sekund. W pewnym momencie facet spojrział prosto w stronę balustrady. Szybko odwróciła wzrok. Kiedy znów zerknęła na niego ukradkiem, patrzył na stół. Najprawdopodobniej nie zwrócił szczególnej uwagi na jej osobę.

Przed pójściem do pokoju na najwyższym piętrze musiała wiedzieć jeszcze jedno. Skupiła się na rękach Hernandeza, gdy rzucał żetony i

trzymał karty. Wystarczyła niecała minuta, by stwierdzić, że wyraźnie preferuje lewą rękę. Cassie miała już pewność, kiedy przypadkiem zawadził mankietem o podpórkę do łokci na stole i pod prawym rękawem na moment ukazał się zegarek. Hernandez był leworęczny. Cassie odewała się od balustrady i z opuszczoną głową poszła do windy Eufratu.

Wsiadając do windy, Cassie stwierdziła, że przed naciśnięciem guzika ostatniego piętra trzeba wsunąć do czytnika kartę - nowe zabezpieczenie, które pojawiło się od jej ostatniego pobytu w hotelu. Wyciągnęła elektroniczny klucz z tylnej kieszeni i nacisnęła przycisk. Stała blisko drzwi, unikając zerkania na zapalające się kolejno cyfry. Przypuszczała, że nad drzwiami jest kamera. Spojrzała na zegarek - dochodziła dziewiąta. Musiała spędzić w pokoju minimum godzinę i wiedziała, że trzeba się pospieszyć.

Cassie wysiadła na dwudziestym piętrze i rozejrzała się po korytarzu. Mogła mówić o szczęściu. Nie było wózka pokojówki. Widocznie zakończono już obsługiwanie pokoi VIP-ów. W korytarzu stał jedynie nakryty białym obrusem stolik na kółkach z resztkami kolacji i pustą butelką po szampanie, pływającą do góry dnem w srebrnym kubku z lodem.

Skręciła w prawo, by znaleźć pokój 2015, lecz po drodze szerokim łukiem ominęła drzwi z numerem 2001, wciskając się niemal w ścianę po lewej, starając się nie patrzeć na drzwi i nie myśleć o związanych z nimi wspomnieniach. Zmówiła w duchu modlitwę, prosząc Maksa, by był dziś przy niej.

Korytarz oświetlał słaby blask kinkietów zawieszonych na lewo od każdych drzwi. Cassie odnalazła pokoje 2014 i 2015 położone naprzeciw siebie, blisko końca korytarza i wyjścia ewakuacyjnego. Dobra sytuacja. W razie gdyby coś poszło nie tak, miała schody niedaleko. Cassie zapukała do pokoju 2014, naciskając równocześnie podświetlony guzik na lewo od framugi drzwi. Po drugiej stronie usłyszała cichy brzęczyk. Czekala.

Zgodnie z jej przewidywaniami nikt nie otworzył. Wyciągnęła z kieszeni kartę, jeszcze raz rozejrzała się po korytarzu, po czym włożyła elektroniczny klucz do czytnika.

Przestępując próg, natychmiast poczuła w żyłach uderzenie adrenaliny. Jak gdyby płynęła w niej wezbrana rzeka, gotowa zmieść wszystko, co stanie jej na drodze.

Rozdział 13

Cassie zamknęła drzwi łokciem i zapaliła światło. Potem szybko rzuciła się na kolana, kładąc kapelusz na podłodze, a obok niego plecak, z którego kieszeni wyciągnęła lateksowe rękawiczki. Nałożyła je, mocno dociągając wokół palców i krótko obciętych paznokci.

Szybko wyjęła i rozwiązała gumową torbę z narzędziami. Rozwinęła ją na dywanie, sprawdzając, czy narzędzia są w komplecie. Następnie wzięła polaroid i zaczęła systematyczne oględziny apartamentu.

Był to apartament dla VIP-ów, bezpłatny dla gości kasyna. Składał się z dużego salonu i sypialni, do której prowadziły podwójne drzwi po prawej stronie. Luksusowo urządzony i z tego, co Cassie wiedziała, jak w większości hoteli odnawiany raz na rok, apartament zawsze wyglądał nieskazitelnie i łudził wszystkich lokatorów, że należą do nielicznej grupy wybrańców, którzy otrzymują szczególne przywileje gratis.

W powietrzu wyczuła ciężki zapach cygar - Hernandez sam jej bezwiednie pomagał. Przeszła do sypialni, ponieważ właśnie tam miała wykonać całą pracę. Włączyła światło i jej oczom ukazało się obszerne pomieszczenie, którego umeblowanie składało się z ogromnego łóżka, komody, niewielkiego biurka do pisania oraz sięgającej od podłogi do sufitu szafki telewizyjnej. Cassie stwierdziła, że pokojówka już tu była. Pościel starannie wygładzono, róg kołdry został odchylony, a na poduszce leżała opakowana w celofan miętówka i poranna lista z zamówieniem dla obsługi, którą wywieszało się na klamce na zewnątrz pokoju.

Po prawej znajdowała się wnęka, w której były otwarte drzwi do łazienki z jednej i podwójne drzwi żaluzjowe z drugiej strony. Kiedy Cassie je otworzyła, ujrzała szeroką i głęboką szafę. Zauważyła, że przy otwieraniu automatycznie zapala się światło w środku. Pochyliła się i zobaczyła przymocowany do podłogi sejf, częściowo zasłonięty wiszącymi na wieszakach koszulami i sportową marynarką Hernandeza.

Nie dotykając niczego w szafie, Cassie cofnęła się i pstryknęła ubrań zdjęcie. Potem kucnęła i sfotografowała parę butów i stertę brudnych ubrań leżących na dnie szafy.

Wróciwszy do sypialni, położyła na łóżku wywołujące się zdjęcia. Następnie zaczęła fotografować po kolei każdy kąt pokoju, wykorzystując pozostałe w kasecie polaroida osiem zdjęć.

Mając pewność, że zrobiła dokumentację wszystkich miejsc apartamentu, które być może naruszy, wróciła do szafy, odsunęła na bok wieszaki z ubraniami i przyjrzała się sejfowi. Człowiek Lea miał precyzyjne informacje. Halsey z pięciocyfrową kombinacją. Na elektronicznym wyświetlaczu widniał napis ZAMKN, mimo to jednak sprawdziła. Faktycznie sejf był zamknięty.

Wycofując się w stronę sypialni, Cassie obrzuciła wzrokiem ściany i sufit. Był tu tylko jeden czujnik przeciwpożarowy, umieszczony na ścianie dokładnie nad wezgłowiem łóżka. Uznała, że w tak dużym pomieszczeniu drugi wykrywacz nie byłby niczym niezwykłym. Utkwiła spojrzenie w ścianie, w punkcie tuż nad wnęką łazienki i szafy. Gdyby tu umieściła kamerę, miałyby widok na całą sypialnię i odcinek taśmy przewodzącej byłby krótki, gdyż sięgałby tylko do wnętrza szafy.

Mając już plan instalacji podglądu, przystąpiła do systematycznego przeszukania apartamentu. Zaglądała do szuflad i na półki, szukając broni albo innych środków ochrony, jakie Hernandez mógł ze sobą przywieźć. Na półce nad barkiem i zlewem znalazła alarm na klamkę - tani gadżet elektroniczny, który podłączony do gałki u drzwi wydawał przeraźliwy sygnał alarmowy, jeżeli ktoś poruszył zacisk wciśnięty między drzwi a framugę.

Dźwięk alarmu był tak głośny, że rzadko który właściciel tego urządzenia sprawdzał je przed założeniem na drzwi. Wystarczył im rzut oka na czerwony wskaźnik naładowania baterii. Małym śrubokrętem Cassie wykręciła jedną śrubkę i zdjęła osłonę. Szczypcami przecięła dwa przewody, z każdego zdjęła ćwierć cala gumowej izolacji i skręciła je razem, zamykając obwód, który zamykał zacisk wsuwany w szparę w drzwiach.

Kiedy włączyła aparat, zapaliła się lampka sygnalizująca dobrą baterię. Choć zacisku nie było na miejscu, nie rozległ się dźwięk alarmu. Wyłączyła urządzenie i odłożyła na półkę.

Cassie wróciła do korytarzyka przy wejściu do apartamentu, gdzie usiadła na podłodze. Z plecaka wyciągnęła parę ochraniaczy na kolana, które nałożyła na nogawki dżinsów. Potem uklękła przed drzwiami i zabrała się do pracy. Z narzędzi wybrała wiertarkę, zamontowała nasadkę ze śrubokrętem krzyżowym i zaczęła wykręcać śruby mocujące

osłonę zamka od strony pokoju. Gumowy futerał domowej roboty znacznie tłumił odgłos pracującego silniczka. Cassie doszła do wniosku, że ktoś musiałby mocno wyęźać słuch, żeby usłyszeć na korytarzu hałas wiertarki.

Gdy zdjęła wierzchnią płytkę, włożyła do ust małą latarkę, kierując jej światło na wnętrze mechanizmu zamka i równocześnie śrubokrętem zdjęła z osi rygła podkładkę zabezpieczającą. Następnie za pomocą szczypiec o gumowych końcówkach wyciągnęła oburącz rygiel z zamka. Nachyliwszy się, przyjrzała się uważnie wnętrzu mechanizmu.

Wyjęła latarkę z ust, by odetchnąć z ulgą. Leo miał rację w swych przewidywaniach. Mechanizm zamka miał tylko pół przekładni, dzięki której rygiel wskakiwał na swoje miejsce. Chociaż sześć lat temu szefowie i ludzie odpowiadający za bezpieczeństwo w hotelu wiedzieli, że mogą mieć kłopoty, postanowili zrezygnować z dodatkowych kosztów wymiany mechanizmów zamków w trzech tysiącach pokoi. Dzięki tej decyzji Cassie mogła zakończyć instalację, nie wychodząc z pokoju. Gdyby mechanizm był kompletny, musiałaby go zabrać do jakiegoś miejsca - na przykład do wanny w apartamencie naprzeciwko - i przeciąć rygiel palnikiem acetylenowym. Dopiero w tym momencie zrozumiała, jakie ma szczęście; zapomniała o palniku, który został w bagażniku boxstera pod klubem Aces and Eights.

Cassie włożyła latarkę z powrotem do ust. Wepchnęła śrubokręt w otwór bębna i przesunęła przekładnię do przodu i w prawo, o ćwierć obrotu. Potem sprawdziła efekty swojej pracy i wsunęła oś z powrotem na miejsce. Przekręciła zamek, zaglądając do otworu we framudze. Przesuwając przekładnię, zmniejszyła o połowę liczbę ząbków wsuwających rygiel na miejsce. Dlatego zasuw wychodziła na pół cala, lecz nie zamykała drzwi. Hernandez mógłby się o tym przekonać tylko wówczas, gdyby ukląkł i zajrzał w szparę między drzwiami a framugą. Było to mało prawdopodobne.

Cassie wstała i zerknęła przez wizjer. Korytarz wciąż był pusty. Otworzyła drzwi. Rygiel prawie nie skrobał o framugę, ale przy otwieraniu robił niewielki hałas. Cassie wyjrzała na korytarz, po czym szybko sięgnęła do torby za narzędziami. Chwyciła stalowy pilnik i szybko przejechała nim po zadrapaniu, jakie na framudze zrobiła zasuwą. Odłożywszy pilnik, jeszcze raz sprawdziła korytarz i ponownie zamknęła i otworzyła drzwi. Tym razem nic nie skrobało.

Teraz zajęła się zasuwką. Wiertarką ze śrubokrętem wykręciła cztery śruby mocujące ramię rygła do framugi i wyciągnęła ramię. Następnie zmieniła końcówki i wiertłem poszerzyła otwory na śruby. Z torby wygrzebała tubkę wosku, którego odrobiną przykleiła płytkę mocującą na miejsce. Potem nałożyła szybko schnący wosk do otworów, by śruby lepiej się w nich trzymały.

Oglądając drzwi, Cassie przysiadła na piętach. Nie było żadnych śladów majstrowania przy zamkach. Ale uzbrojona w elektroniczny klucz będzie mogła wejść do pokoju, choćby Hernandez użył obu zamków i przenośnego alarmu.

Zakończyła pierwszy etap przygotowań. Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że dochodzi wpół do dziesiątej. Zwinęła gumową torbę z narzędziami, którą razem z czarnymi torbami zaniósła do sypialni. Złożyła wszystko na środku podłogi, po czym zabrała się do pracy. Wydobyła taśmę i kamerę OŚIC, którą umieściła w jednej z atrap obudowy czujnika przeciwpożarowego. Następnie podłączyła do kamery baterię, zamknęła obudowę i usunęła osłonkę z przylepca. Spod biurka wysunęła krzesło i weszła na nie, by móc dosięgnąć ściany nad wejściem do wnęki. Przycisnęła kamerę w fałszywym detektorze do ściany, stopę poniżej linii sufitu.

Rolka taśmy przewodzącej przypominała małą szpulkę zwykłej przezroczystej taśmy klejącej. Po stronie samoprzylepnej przez całą długość taśmy biegły dwa cieniutkie miedziane druczki. Owinęła ich końce wokół złącz i zamknęła osłonę detektora. Poprowadziła taśmę od ściany do położonej niżej sufitu wnęki, a potem wzdłuż sufitu do ściany nad drzwiami szafy. Następnie nakleiła ją nad framugą drzwi i we wnętrzu szafy, przy drzwiach do samej podłogi i wzdłuż listwy podłogowej aż za sejf.

Z czarnej torby wyciągnęła przekaźnik, który położyła za sejfem, gdzie Hernandez raczej nie powinien zaglądać. Odcięła taśmę, owijając koniec na jednym z wejść przekaźnika. Włączywszy aparat, cofnęła się do torby ze sprzętem. Wyjęła z niej odbiornik, postawiła na podłodze i otworzyła. Spojrzała na kawałek taśmy maskującej, którą Paltz nakleił pod rzędem przycisków częstotliwości. Włączyła odbiornik i wcisnęła przycisk opatrzony pod spodem napisem OŚIC. Na ekranie monitora pojawił się widok pokoju i jej sylwetka siedząca na podłodze. Obraz był ostry i obejmował prawie całe pomieszczenie. Najważniejsze, że Cassie

miała widok na łóżko. Wstała i podeszła do drzwi, by wyłączyć światło. Pokój załała ciemność, rozproszona jedynie przenikającą przez zasłony poświatą s zewnętrznych reflektorów, którymi oświetlano w nocy wieżowce Kleopatry.

Wróciwszy na środek sypialni, przyjrzała się uważnie ekranowi. Zarys łóżka był ledwie widoczny na połyskującym zielenią monitorze. Obraz nie był tak dobry, jak zapewniał ją Paltz, lecz wiedziała, że lepiej nie będzie. Znów wstała, podeszła do zasłon i rozchyliła je na cal, by wypuścić do pokoju srebrzyste światło.

Wystarczyło. Na ekranie wyraźniej było widać szczegóły. Teraz musiała mieć nadzieję, że Hernandez nie zauważy wąskiej szpary między zasłonami i nie zasunie ich przed pójściem spać.

Włączyła z powrotem światło i szybko wróciła do szafy. Musiała mieć pewność, że w czasie akcji nie zapali się automatyczne światło w środku, co mogłoby obudzić Hernandeza. Nie mogła po prostu poluzować żarówki na suficie. Hernandez mógłby to zauważyć i dokręcić albo, co gorsza, nabrać podejrzeń. Potrzebowała też światła w szafie, by kamery, które chciała tam zamontować, uchwyciły moment, kiedy Hernandez otwiera sejf.

Podwójne żaluzjowe drzwi odrobinę na siebie nachodziły. Szparę między drzwiami osłaniała wąska drewniana listewka na lewym skrzydle. Oznaczało to, że Cassie mogła otworzyć tylko lewe skrzydło, bez potrzeby otwierania prawych drzwi. Gdyby jednak otworzyła jedynie prawe skrzydło, lewe uchyliłoby się na kilka cali. Automatyczny włącznik światła znajdował się we framudze lewych drzwi. Wystarczyło uchylić skrzydło o cal, by mały guzik umieszczony u góry zwolnił się i zamknął obwód.

Cassie podeszła do biurka i wysunęła szufladę, szukając czegoś do pisania. Znalazła zaostrowany ołówek, z którym wróciła do szafy. Na zewnętrznej części framugi narysowała pionową linię w miejscu, gdzie zamontowany był automatyczny włącznik światła.

Ze swojego zestawu wybrała szpachelkę. Zamknęła szafę, po czym wsunęła płaskie narzędzie w szparę pod zaznaczonym na futrynie miejscem i pociągnęła w dół w ten sposób, że szpachelka nacisnęła guzik włącznika światła. Drugą ręką uchyliła lewe skrzydło drzwi o kilka cali, a potem otworzyła na oścież prawe, którego nie blokowała już drewniana listwa. Następnie zamknęła lewe drzwi, wyciągnęła szpachelkę i weszła do szafy przez nadal otwarte prawe skrzydło.

Znalazła się w szafie, ale nie zapaliła światła w środku. Nie miała jednak czasu, by cieszyć się ze swego osiągnięcia. Kiedy ponownie otworzyła lewe skrzydło drzwi, w szafie zapaliło się światło. Cassie pochyliła się nad przednią ścianką sejfu, jak gdyby chciała go otworzyć lewą ręką. Następnie spojrzała w prawo i położyła palec na ścianie w miejscu, z którego jej zdaniem będzie najlepszy widok na klawiaturę zamka cyfrowego. Zaznaczyła ten punkt ołówkiem. Potem poszła po atrapę gniazdka elektrycznego i jedną ze zwykłych kamer otworkowych.

Szybko zainstalowała kamerę w obudowie fałszywego gniazdka, podłączyła do końcówek baterię i taśmę przewodzącą. Korzystając z wiertarki, zamontowała gniazdko i przykręciła je do ściany pojedynczą śrubą. Wyrównała położenie minikamery w kontakcie, a potem przeciągnęła taśmę do podłogi i za sejf, do przekaźnika.

Wróciwszy na środek sypialni, sprawdziła obraz w odbiorniku. Naciskała guziki, aż na ekranie pojawił się obraz z gniazdka w szafie. Położenie kamery i ostrość były doskonałe. Cassie patrzyła prosto na panel z przyciskami i mogła nawet odczytać cyfry. Poczowała ogarniające ją podniecenie, które jednak szybko ustąpiło, kiedy poczuła na brzuchu wibrowanie pagera.

Zamarła, wstrzymując oddech. Wyszarpnęła pager zza paska i spojrzała na cyfrowy wyświetlacz.

WYPŁACA - IDZIE

- Cholera! - krzyknęła szeptem. Zamiast z powrotem przypiąć pager do paska, cisnęła go do plecaka.

Wiadomość wszystko zmieniła. Cassie porzuciła plan zamontowania w szafie drugiej kamery - na górze - i szybko wycofała się z wnęki. Wiadomość oznaczała, że Hernandez odszedł od stołu do bakaraty i wypłacił wygraną, ale musi jeszcze iść do recepcji po swoją walizeczkę. Miała więc trochę czasu, by skończyć.

Ze sportowej torby wydobyła zamykaną torebkę foliową, w której spoczywała mała puszcza farby w sprayu i środek odwanający w aerozolu. Weszła do wnęki i spojrzała na sufit, wstrząsając równocześnie puszkę z farbą. Następnie poczęła spryskiwać farbą taśmę przewodzącą. Kolor nie był identyczny, ale bardzo zbliżony do barwy ścian i sufitu. Najpierw spryskała szerokim łukiem taśmę i sporą część sufitu, a potem ścianę aż do drzwi szafy.

Wewnątrz szafy zamalowała tylko odcinek taśmy od fałszywego kontaktu do podłogi. Później chwyciła środek odwaniający, przyskajając obficie w szafie i wnęce oraz w pozostałej części apartamentu, przez który pospiesznie przebiegła.

Cassie szybko spakowała cały sprzęt do dwóch toreb, zebrała zdjęcia z łóżka i jeszcze raz podbiegła do szafy. Korzystając z fotografii jako wzoru, uporządkowała ubrania i buty, by wszystko wyglądało tak jak w chwili, gdy weszła do apartamentu. Robiła to bardzo ostrożnie, żeby ubrania nie dotknęły świeżo pomalowanej tylnej ściany szafy.

Gdy przesuwiała na miejsce wieszaki, uderzyło ją coś twardego i ciężkiego tkwiącego w kieszeni sportowej marynarki. Sięgnęła tam i wyciągnęła broń. Dziewięćmilimetrowy smith & wesson z czarną okładziną. Sprawdziła magazynek - był pełen. Zawahała się przez chwilę, chociaż czas naglił. Zostawić czy zabrać? Rozładować? Za dużo się działo naraz, by była w stanie przemyśleć wszystkie możliwości i znaleźć właściwe rozwiązanie. Przypomniała sobie, co Max jej zawsze mówił o efekcie domina.

„Pamiętaj o efekcie domina. Kiedy zmienisz jedną rzecz w pokoju, powodujesz zmiany w całym otoczeniu. Jak gdybyś popchnęła pierwszą kostkę domina”.

I znalazła rozwiązanie. Jeżeli zabierze pistolet, facet się zorientuje i koniec roboty. Jeśli rozładuje, facet się zorientuje i koniec. A jeżeli nie zrobi nic, nie będzie żadnej zmiany w otoczeniu, domino pozostanie na miejscu.

Wepchnęła broń z powrotem do kieszeni i wycofała się z wnęki, jeszcze raz porównując układ w szafie ze zdjęciem. Czas już minął. Oczyma wyobraźni ujrzała Hernandeza z walizką jadącego windą na górę.

Chwyciła swoje torby, zarzucając je na ramię i wybiegła z sypialni. Stojąc już na progu salonu, obejrzała się i zamarła w pół kroku.

Nie postawiła krzesła z powrotem za biurkiem.

Wszystkie kosteczki na miejscu, myślała wracając szybko do sypialni i odstawiając krzesło na miejsce. Rozejrzała się - wszystko wyglądało w miarę dobrze. Nie miała już czasu, by porównać wygląd pokoju ze zdjęciem. Wróciła do salonu, zabrała kapelusz leżący na podłodze przed drzwiami.

Zgasiła światło, po czym wyjrzała przez wizjer na korytarz. Był pusty. Przyłożyła do drzwi ucho, ale nie usłyszała żadnych kroków czy

innych dźwięków. Nałożywszy kapelusz, otworzyła drzwi i wyszła na korytarz.

Zasuważąc drzwi, Cassie usłyszała dzwonek sygnalizujący zatrzymanie się windy na piętrze. Szybko wyszarpnęła z kieszeni elektroniczną kartę i przypadła do drzwi z numerem 2015.

Otworzyła je i znalazła się w środku. Udało się.

Rozdział 14

Korytarz był pusty, lecz Cassie cierpliwie czekała, stojąc oparta o drzwi w pokoju 2015, z okiem przyklejonym do wizjera. Kapelusz zsunął się jej z głowy i wylądował na podłodze. Usłyszała w korytarzu głosy. Zaczęła sądzić, że się pomyliła i że to nie Hernandez, ale jakaś para ludzi wraca do pokoju.

Jednak to był on. W polu widzenia Cassie pojawiła się jego ogromna postać, która w wypukłych soczewkach wizjera wydawała się jeszcze większa. Pochylił się nieznacznie, by jedną ręką wsunąć kartę do czytnika w drzwiach, drugą trzymał przy boku walizkę. Tuż za nim, choć prawie niewidoczny w wizjerze, szedł jeszcze ktoś. Cassie zauważyła niebieską marynarkę z emblematem Kleopatry na kieszeni na piersi. Eskortował go ochroniarz z klubu. Oderwała oko od wizjera, zbliżając ucho do drzwi, żeby lepiej słyszeć.

- Mam najpierw sprawdzić, proszę pana?
- Nie, nie trzeba. Ale dziękuję.
- A więc dobranoc panu.
- Dobranoc.

Cassie usłyszała, jak otwierają się drzwi po przeciwnej stronie korytarza. Znów spojrzała przez wizjer. Człowieka z ochrony już nie było, a Hernandez wchodził do apartamentu. Nagle przystanął i cofnął się na korytarz.

- Martin?

Jej serce na moment zamarło. Co zobaczył, o czym zapomniałam? Szybko odtworzyła w pamięci swoje pospieszne wyjście z apartamentu 2014, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Spojrzała na swoje dwie torby, zamierzając zrobić w myślach błyskawiczny przegląd ich

zawartości. Ledwie jednak zaczęła, Hernandez znów się odezwał, więc ponownie przyłożyła ucho do drzwi.

- Zupełnie bym zapomniał. Skończyłem grać. Jutro wyjeżdżam. Mógłbyś chwilę zaczekać? Chciałbym ci coś dać za to, że mnie pilnowałeś przez kilka ostatnich dni.

Głos Martina odezwał się bardzo blisko drzwi pokoju Cassie.

- Ależ nie trzeba, panie Hernandez. Wystarczy, że podziękuję panu Grimaldiemu. Pragnie, żeby wszyscy goście czuli się bezpiecznie, a poza tym to wbrew naszym zasadom, abym mógł przyjąć...

- Kto się dowie? Vincent Grimaldi nie będzie wiedział, jeżeli sam mu nie powiesz. Zaczekaj chwileczkę.

Rozległ się odgłos zamykanych drzwi, więc Cassie wróciła do wizjera. Człowiek z ochrony, Martin, stał w korytarzu, trzymając przed sobą złączone dłonie. Rozglądał się w prawo i w lewo, jak gdyby się bał, że ktoś - może Vincent Grimaldi, którego nazwisko padło w rozmowie - zobaczy, jak dostaje napiwek. Potem odwrócił się i spojrzał prosto w wizjer pokoju Cassie. Zamarła. Pomyślała, że jeśli się odsunie, człowiek mógłby zauważyć zmianę światła i zorientować się, że jest obserwowany.

Drzwi za Martinem otworzyły się i na progu stanął Hernandez.

- Słuchaj, mógłbyś na chwilę wejść? - zapytał. - Czuć tu jakieś spalinę czy coś w tym rodzaju.

Cassie mocniej przywarła do drzwi, zwijając dłonie w pięści. Patrzyła, jak Martin wchodzi do pokoju, zostawiając za sobą otwarte drzwi.

Widziała tylko część apartamentu widoczną w szparze między drzwiami a futryną. Hernandez i Martin skęcili w lewo i zniknęli, a potem na kilka chwil pojawili się w jej polu widzenia, idąc w stronę sypialni. Cassie usłyszała rozmowę, więc przywarła uchem do drzwi, lecz nie potrafiła wyłowić żadnego słowa. Spojrzała na sąsiednie drzwi, w których po paru chwilach ukazali się Martin i Hernandez. Kiedy zbliżyli się do wyjścia na korytarz, Cassie mogła już zrozumieć, o czym mówią.

- ...w pokojach dla palących - mówił Martin. - Zwykle używają mocnych rzeczy. Nie można otworzyć okien. W żadnym hotelu w Vegas okna się nie otwierają. Za dużo desperatów.

- Chyba zapach stał się silniejszy. Jestem tu już trzy dni i zdążyłem kilka wypalić.

Parsknął śmiechem.

- Jeżeli to panu przeszkadza - powiedział Martin – sprawdzę w recepcji, czy uda się pana przeprowadzić do innego apartamentu. Jestem pewien, że coś się znajdzie.

Nieeeee - miała ochotę krzyknąć Cassie. Ale uratował ją sam Hernandez.

- Nie, naprawdę nie ma potrzeby. Po prostu zapalę jeszcze jedno i zobaczymy, co jest mocniejsze.

Znów się roześmiał i tym razem Martin mu zawtórował.

- Dobrze, dobranoc panu. Miłej podróży do domu.

- Dziękuję. Ach, proszę. O mało nie zapomniałem.

Hernandez wyciągnął do Martina rękę. Cassie usłyszała stukot zetaonów, które wpadły do dłoni ochroniarza. Musiało ich być sporo i pewnie o sporej wartości. Przez zamknięte drzwi wyraźnie usłyszała serdeczne i głośne podziękowania Martina.

- Dziękuję, panie Hernandez! Bardzo panu dziękuję!

- To ja ci dziękuję, Martin. Spróbuj raz szczęścia.

- Z tym mogę spróbować więcej niż raz!

Hernandez roześmiał się i zamknął drzwi, zawiesiwszy przedtem na klamce tabliczkę PROSZĘ NIE PRZESZKADZAĆ. Martin zniknął z pola widzenia Cassie. Usłyszała, jak Hernandez przekreśla zamek, a po chwili rozległ się metaliczny trzask zasuwanego rygla. Przez pięć sekund stała bez ruchu, nie oddychając. Nic się nie stało. Już wiedziała, że nie zauważył żadnych śladów jej pracy przy zamkach.

Cassie oparła się plecami o drzwi i osunęła na podłogę. Szybko rozpięła torbę i wyjęła z niej odbiornik. Otworzyła klapkę z monitorem, wysunęła antenę i pospiesznie wcisnęła guzik włączający obraz z kamery w czujniku przeciwpożarowym.

Na ekranie pojawiło się wnętrze sypialni, pogrążone w cieniu, ponieważ jedynym źródłem światła była wąska szczelina między zasłonami.

Cassie czekała.

Otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Hernandez, wciąż z walizką w ręku. Kiedy Cassie zbliżyła twarz do monitora, zobaczyła, że walizeczka jest przykuta do jego nadgarstka. Poczowała lekki dreszczyk. Człowiek Lea miał oko, żeby wybrać właściwą osobę.

Hernandez palił cygaro, wydmuchując kłęby dymu w sufit, stojąc pośrodku sypialni i rozglądając się. Ani razu nie spojrzął w kierunku

kamery. Potem zniknął u dołu ekranu, przechodząc do wnęki prowadzącej do szafy i łazienki.

Cassie przełączyła odbiornik na obraz z kamery w szafie i czekała. Ekran nie był zupełnie czarny. Przez szpary w żaluzjach wpadał blask z sypialni. Po chwili między listewkami żaluzji ujrzała nogi Hernandeza, który otworzył drzwi. Szybko wcisnęła guzik nagrywania, w razie gdyby Hernandez chciał otworzyć sejf.

Jednak nie otworzył. Chyba grzebał w ubraniach - Cassie mogła się tylko domyślać, bo kąt, pod jakim zamontowała kamerę, nie pozwalał jej tego zobaczyć. Zaraz potem Hernandez odszedł od szafy. Cassie pomyślała o pistolecie i przypomniała sobie, co z nim zrobiła. Była pewna, że odłożyła go do kieszeni w dokładnie takiej samej pozycji, w jakiej go znalazła.

Przełączyła odbiornik na kamerę w sypialni i zdążyła zauważyć, jak Hernandez znika w drzwiach salonu. Natychmiast pożałowała, że nie założyła kamery w tamtym pokoju. Ale nie było sensu płakać nad rozlanym mlekiem. Zresztą gdyby zainstalowała kamerę w salonie, może nie zdążyłaby założyć podglądu w sypialni i szafie, który był jej niezbędny.

Cassie szybko się podniosła, żeby przenieść odbiornik na stolik, na którym leżały rozłożone czasopisma turystyczne, informatory i foldery obsługi hotelowej, notatnik i ołówek oraz stała butelka chardonnaya z winnic Roberta Longa, zaopatrzona w małą karteczkę z powitalną formułką. Cassie odsunęła wszystko na bok, by mieć miejsce do pracy.

Znów wpatrzyła się w ekran. Stwierdziła, że Hernandez wrócił do sypialni. Położył walizeczkę na łóżku, równocześnie manipulując kluczykiem przy zamknięciu kajdanków, które po chwili zdjął z nadgarstka. Już pozbawiony ciężaru, sięgnął po leżącą na poduszce miętówkę. Wrzucił ją do ust całą i od razu zjadł, po czym z cygarem w zębach odwrócił się w stronę szafy we wnęcie. Z wewnętrznej kieszeni marynarki zaczął wydobywać grube pliki banknotów.

Cassie przełączyła się na obraz z kamery w szafie, włączając równocześnie nagrywanie. O to chodziło. Wykonała całą pracę właśnie dla chwili, która miała zaraz nastąpić.

Na ekranie zapaliło się wewnętrzne światło w szafie i w kadrze zjawiało się potężne ramię Hernandeza i część jego tułowia. Zaczął wciskać przyciski na klawiaturze zamka sejfu. Jednak zanim skończył, w kadr

wdarła się jego prawa ręka, którą oparł się o górę sejfu, zasłaniając klawisze.

Cholera, nie! - chciała wrzasnąć Cassie. Ale zamiast tego przycisnęła do ust dłoń zaciśniętą w pięść.

Hernandez otworzył drzwi sejfu, przyklęknął na jedno kolano i sięgnął do środka. Wydobył plik pieniędzy grubości dwóch cali, który położył na sejfie. Następnie włożył do sejfu identycznej grubości plik forsy, który przed chwilą wyciągnął z marynarki. Potem jeszcze raz włożył dłoń do kieszeni, skąd wyjął dwa podobne zwitki banknotów. Wszystkie pieniądze złożył w jedną kupkę, którą z trudem mógł utrzymać w dłoni. Przez chwilę oceniał jej ciężar. Cassie nie widziała jego twarzy, lecz wiedziała, że Hernandez się uśmiecha.

Włożył pieniądze do sejfu i zamknął go, potem wstał i zamknął drzwi szafy, gasząc górne światło w środku.

Obserwując go, Cassie myślała o teczce. Wydawała się za duża, by mogła się zmieścić w sejfie. Dlaczego jednak Hernandez nie wyciągnął z niej forsy i nie przełożył do sejfu?

Ponownie przełączyła odbiornik na kamerę w sypialni, ale w pokoju nie było śladu Hernandeza. Walizka nadal leżała na łóżku. Pytanie o jej zawartość i sejf nie zaprzętało jej uwagi zbyt długo. Musiała odpowiedzieć na znacznie ważniejsze pytanie. Włączyła odtwarzanie zarejestrowanego obrazu i zaczęła oglądać zdjęcia z kamery w szafie. Chwycała hotelowy notes i ołówek, a dokładnie w chwili, kiedy w kadrze zjawiała się dłoń Hernandeza, puściła obraz w zwolnionym tempie.

- No już, mały.

Na ekranie wyraźnie było widać numery. Palce Hernandeza wcisnęły kombinację 4-3-5, lecz zaraz potem prawa ręka przesłoniła lewą, wybierając pozostały fragment kodu. Cassie cofnęła nagranie i puściła jeszcze raz, z tym samym rezultatem. Brakowało ostatnich dwóch cyfr kombinacji.

- Skurwysyn!

Wstała z za stołu i przeszła przez pokój, kierując się w stronę okna. Rozsunęła zasłony i wyjrzała. Miała widok na ciemne kontury gór, rysujące się daleko za miastem neonów. Unosząc głowę, ujrzała księżyc.

Wiedziała, że nie może tam wejść, znając tylko trzy cyfry w nadziei, że otworzy sejf, próbując różnych kombinacji przy dwóch ostatnich.

Sejfy Halseya miały wbudowane zabezpieczenia przed osobami niepowołanymi. Jeśli trzy razy z rzędu wprowadzano błędny kod, włączała się blokada zamka. Wtedy wzywano ochronę hotelową uzbrojoną w elektroniczne urządzenie zwane antyblokadą. Antyblokadę trzymano zwykle zamkniętą w sejfie dyrektora hotelu.

Został już tylko jeden sposób, uznała Cassie. Alarm przeciwpożarowy.

Rozdział 15

Cassie patrzyła w ekran monitora i czekała. W korytarzu ryczał alarm i czuć było dym. Hernandez nie zdradzał jednak żadnych chęci opuszczenia pokoju. Zupełnie ubrany leżał w łóżku na stercie poduszek. Oglądał telewizję, ale kął ustawienia kamery w fałszywym czujniku dymu nie pozwalał Cassie zobaczyć, co dzieje się na ekranie telewizora.

Wykręciła numer jego pokoju i patrzyła, jak Hernandez leniwie sięga po słuchawkę dodatkowego telefonu stojącego na nocnym stoliku.

- Tak?

- Panie Hernandez, tu ochrona hotelowa. Włączył się alarm, mamy informacje, że dym dochodzi z pańskiego piętra. Musi się pan natychmiast ewakuować.

- Pożar? Słyszałem alarm.

Usiadł gwałtownie.

- Nie mamy jeszcze pewności, proszę pana. Wysłaliśmy na górę ludzi. Dostaliśmy informacje od innych gości o dymie na dwudziestym piętrze. Proszę zebrać wszystkie cenne rzeczy i zejść schodami ewakuacyjnymi, a my tymczasem ocenimy sytuację.

- Dobrze, do widzenia.

Hernandez wyskoczył z łóżka, a Cassie zdumiała sprawność i energią tak tęgiego mężczyzny. Wkładał buty, kiedy ona przełączyła się na obraz z kamery w szafie i włączyła nagrywanie. Czekala.

Parę chwil później drzwi szafy otworzyły się. Tym razem Hernandez, zamiast się schylić, ukląkł przed sejfem, żeby wstukać kod. Nic

nie przysłaniało obiektywu i kamera zarejestrowała całą kombinację. Cassie wiedziała na pewno, że ostatnią cyfrą jest dwójka, więc zapisała ją w hotelowym notesie.

Kiedy Hernandez zaczął upychać forsy w kieszeniach, Cassie odechnęła, włączając odtwarzanie, by obejrzeć otwarcie sejfu w zwolnionym tempie.

Tym razem się udało. Zapisała w notesie ostatnią brakującą cyfrę, uzupełniając kod.

4-3-5-1-2

Nie było czasu na radość. Włączyła z powrotem obraz z sypialni. Hernandez stał przy biurku, przykuwając sobie walizkę do nadgarstka. Cassie podniosła słuchawkę i zadzwoniła do niego. Hernandez odebrał natychmiast.

- Tak?

- Panie Hernandez, tu jeszcze raz ochrona. Rozpoznaliśmy sytuację, nie ma zagrożenia. Nie musi się pan już ewakuować.

- Co to było?

- Chyba ktoś zostawił zapalonego papierosa na wózku obsługi hotelowej, niedaleko czujnika. Dlatego włączył się alarm.

- Możecie go wyłączyć?

- Pracujemy nad tym, proszę pana. Przepraszamy za kłó...

- Vincent kazał wam do mnie dzwonić?

Zaskoczona Cassie zamilkła na moment.

- Słucham?

- Pytam o Vincenta Grimaldiego.

- Ach, nie, proszę pana. To rutynowe działanie. Dobranoc panu.

Odłożyła słuchawkę. Drugi raz w ciągu pół godziny padło nazwisko Vincenta Grimaldiego. Cassie była pewna, że już je kiedyś słyszała. Kiedy się nad tym zastanawiała, alarm w korytarzu ucichł.

Podeszła pod drzwi swojego pokoju i chwilę nasłuchiwała. Usłyszała męskie głosy dobiegające z drugiego końca korytarza. Nie rozróżniła słów, lecz domyślała się, że znaleźli palącego się papierosa, którego zostawiła na wózku obsługi hotelowej pod czujnikiem przeciwpożarowym.

Teraz musiała zaczekać, aż Hernandez pójdzie spać.

Przełączyła odbiornik na obraz z sypialni. Hernandez rozebrał się, zostając w koszulce i spodenkach. Leżał na wznak w łóżku i oglądał telewizję. Wszystkie światła były wygaszone, więc pokój oświetlał tylko blask telewizora. Cassie zerknęła na zegarek; dochodziła północ. Myślała o nazwisku, które wspomnieli w rozmowie Hernandez i ochroniarz. Vincent Grimaldi. Gdzieś, kiedyś obito się jej o uszy, jednak nie umiała sobie przypomnieć, przy jakiej okazji.

Podniosła słuchawkę, wykręciła numer centrali hotelowej i poprosiła o połączenie z Vincentem Grimaldim. Po chwili została połączona i już po jednym sygnale ktoś odebrał telefon.

- Ochrona - powiedział męski głos. - Biuro pana Grimaldiego.

- Och - rzekła Cassie. - To chyba pomyłka. Chciałam zapytać o możliwość uzyskania kredytu w kasynie. Pan Grimaldi się tym zajmuje?

Człowiek po drugiej stronie zachichotał.

- Można powiedzieć, że kieruje tym wszystkim, ale nie rozpatruje indywidualnych wniosków. Prowadzi kasyno, proszę pani. Jest dyrektorem obsługi całego kasyna. Musi pani zgłosić się do jednej z tych dużych kas obok Sfinksa. Tam pani pomogą.

- Dobrze, dziękuję.

Cassie odłożyła słuchawkę. Już sobie przypomniwała. Sześć lat temu, po ostatniej robocie Maksa nazwisko Grimaldiego pojawiło się we wszystkich gazetach. Tuszował wtedy sprawę.

Przypomniwała sobie też, że wówczas występował jako szef ochrony kasyna w Kleopatrze. W ciągu sześciu lat wspiął się w hierarchii, osiągając stanowisko dyrektora - być może właśnie dzięki sprawie Maksa.

Nie było w tym nic dziwnego, że Hernandez wspomniwał Grimaldiego. Znajomość gracza pierwszej kategorii, specjalnego gościa kasyna, z dyrektorem wydawała się przecież uzasadniona. Cassie starała się o tym nie myśleć, jednak wspomnienia związane z Grimaldim nie dawały jej spokoju.

Czując potrzebę krótkiego odpoczynku, zdjęła ze stołu odbiornik, postawiła go na podłodze obok krzesła, a z kieszeni plecaka wyjęła talię kart, którą kupiła we Flamingo. Wyciągnęła jokery i odłożyła je na bok razem z pudełkiem.

Zaczęła swoją dawną rozgrzewkę - jedną ręką przekładała talie, rozkładała karty w wachlarzyk i składała, a potem tasowała. W lateksowych rękawiczkach tasowanie nie szło jej za dobrze i w pewnym momencie karty wystrzeliły w górę i kilka wylądowało na podłodze. Cassie zerwała z dłoni rękawiczki i podniosła karty. Później zaczęła rozdawać pięciu nieistniejącym graczom black jacka i sobie jako bankierowi.

Podczas gry, odwracając karty, powtarzała w myślach swoje dawne powiedzonka. Człowiek z toporem, chłopiec spotyka dziewczynę, walet bierze piątkę...

Lecz wkrótce jej myśli poszybowały w czasie do dnia, w którym poznała Maksa. Zawsze się jej wydawało, że było to przypadkowe zderzenie dwóch pokrewnych dusz. Coś, co nie zdarza się często i co na pewno nigdy więcej już się jej nie przydarzy.

Rozdawała wtedy w Tropicanie przy stole do karaibskiego pokera, na spokojnej nocnej zmianie. On zajął miejsce numer dwa. Cassie miała przy stole jeszcze jednego gracza, starszego Azjatę na miejscu numer siedem. Max był przystojny. Świetnie się prezentował i Cassie nie mogła się powstrzymać od posyłania mu ukradkowych spojrzeń, kiedy rozkładał karty, patrzył w nie, a potem szybko kładł je na stole i obstawiał.

Ale stawiał bardzo lekkomyślnie i niebawem wyszło na jaw, że nie jest zbyt doświadczonym graczem. Przegrywał pieniądze, lecz zdawał się tym w ogóle nie przejmować. Po kilkunastu rozdaniach Cassie domyśliła się, że wcale nie przyszedł grać. Przyszedł obserwować innych. Prawdopodobnie był jakimś oszustem i to czyniło go jeszcze bardziej intrygującym.

Kiedy miała przerwę, zaczekała w pobliżu kas i obserwowała Maksa, który z kolei obserwował azjatyckiego gracza. Wreszcie domniemana ofiara opuściła miejsce przy stole, kończąc grę. Po kilku chwilach Max poszedł za jego przykładem, a potem ruszył za nim. Skreślił dopiero wówczas, gdy Azjata wsiadł do windy.

I wtedy Cassie uznała, że przyszedł czas na jej ruch. Podeszła do Maksa.

- Chcę to robić - powiedziała.

Max spojrzął na nią skonsternowany.

- Nie wiem, co zamierzasz, ale chcę się tego nauczyć. I chcę, żebyś został moim nauczycielem.

Przyglądał się jej przez dobre parę minut, a potem na jego ustach pojawił się lekki uśmiech.

- Mam na imię Max. Pójdziemy na drinka czy to niezgodne z zasadami tutejszych krupierów?

- Niezgodne z zasadami, ale dam sobie z nimi spokój.

Błysnął w uśmiechu zębami.

Rozkładając na stole karty, Cassie od czasu do czasu zerknęła na ekran monitora. Minęła pierwsza, a w sypialni wciąż było widać blask telewizora. Ale Hernandez leżał przykryty, z twarzą odwróconą od ekranu. Cassie zauważyła, że natężenie światła padającego z telewizora nie zmienia się - jak gdyby obraz pozostawał taki sam od dłuższego czasu. Wiedziała, że Hernandez zasnął, a zamówiony przez niego film już się skończył. Telewizor pokazywał zapewne niebieski ekran z nieruchomą listą filmów do wyboru.

Znów spojrzała na zegarek. Oceniała, że Hernandez wejdzie w fazę najgłębszego snu około drugiej czterdzieści pięć. Postanowiła wejść do niego o trzeciej. Dzięki temu będzie miała dużo czasu, by zdążyć przed okresem martwego księżyca, przed którym ostrzegał ją Leo.

Schowała pudełko z kartami do plecaka. Postanowiła zrobić coś, co narażało ją na niepotrzebne ryzyko i na co Max na pewno by sobie nie pozwolił. Ale miała wrażenie, że musi to zrobić. Dla Maksa i dla siebie.

Rozdział 16

Cassie precyzyjnie przeszła przez kasyno, nadal zatłoczone mimo późnej pory, i weszła do baru cocktailowego, który znajdował się za hallem. W barze też panował tłok, lecz stolik, o który jej chodziło, był pusty. Usiadła przy nim i spojrzała na salę gier, choć wcale nie widziała ludzi przy stolikach. Przypominała sobie, jak po ich skoku „Sun” i „Review-Journal” nazwali ją i Maksa „złodziejami wielkich wygranych”, a Stowarzyszenie Kasyn Las Vegas wyznaczyło nagrodę za ich złapanie i doprowadzenie do skazania. Przypominała sobie, że po pewnym czasie przestało im zależeć na pieniądzach, a zaczęło chodzić już tylko o

dreszczyk, jaki im wówczas towarzyszył. Wspominała, jak po skończonej robocie potrafili się kochać całą noc.

- Czym mogę służyć?

Cassie uniosła wzrok na stojącą przed nią kelnerkę.

- Cołę z wisienką i jakieś piwo beczkowe.

Kelnerka położyła na okrągłym blacie dwie serwetki, jedną przed Cassie, drugą przy miejscu naprzeciwko. Posłała jej znużony uśmiech kobiety, która niejednego już w życiu doświadczyła.

- Czeka pani na kogoś czy drugi drink ma działać odstrasząco?

Cassie uśmiechnęła się w odpowiedzi i skinęła głową.

- Chcę być dzisiaj sama.

- Wcale nie mam pani tego za złe. Dziś jest okropny tłum. Pewnie przez księżyc.

Cassie spojrzała na nią uważniej.

- Księżyc?

- Pełnia. Nie widziała pani? Jaśniejsza od wszystkich neonów w mieście. Pełnia przynosi tu szczęście. Pracuję tutaj już dość długo i sporo widziałam.

Kiwnęła głową, jak gdyby ucinając wszelką dyskusję na ten temat. Cassie w odpowiedzi wykonała podobny gest. Kelnerka oddaliła się, a Cassie starała się zignorować jej słowa i skupić myśli na wspomnieniach o nocy sprzed sześciu lat, kiedy siedziała w tym barze przy tym samym stoliku. Jednak mimo wysiłków, by myśleć tylko o przystojnej twarzy Maksa, wszystko przesłaniał jej obraz zła, które potem nastąpiło. Nawet dziś zdumiewała ją łatwość, z jaką wielka radość tamtej nocy mogła się przerodzić w dzisiejszy ból i strach.

Z rozmyślań wyrwało ją nadejście kelnerki, która postawiła na serwetkach szklanki. Potem położyła na stoliku kartkę i odeszła. Cassie spojrzała na rachunek, który opiewał na cztery dolary. Wyciągnęła z kieszeni dziesiątkę i położyła na blacie.

Przyglądała się, jak płynące w górę bąbelki tworzą na szczycie szklanki warstwę piany grubości pół cala. Przypomniała sobie strzępek piany na wąsach Maksa tamtej nocy. To, co chciała zrobić dzisiaj, miała zrobić przede wszystkim dla niego. Uwierzyła, że jeżeli dzisiejszej nocy da sobie radę, przynajmniej w części zmaże swoją winę, odpokutuje za wszystko, co się stało wtedy. Szalona myśl, lecz Cassie uczepiła się jej,

a teraz zaczęła uważać za jeden z najważniejszych powodów, dla których się tu dziś znalazła. Sądziła, że gdyby się udało, mogłaby pokonać czas i naprawić przeszłość, choćby na krótką chwilę.

Uniosła do ust szklankę z colą, rozglądając się, czy nikt na nią nie patrzy. Zauważyła, że przygląda się jej jakaś kobieta, lecz zorientowała się zaraz, że patrzy na własne odbicie w lustrzanej ścianie z tyłu baru. Nie poznała się z powodu peruki, kapelusza i okularów.

Szybko odwróciła wzrok. Uniosła szklankę i stuknęła nią lekko w stojące naprzeciw piwo Maksa.

- Za szczęśliwy koniec - powiedziała cicho. - Za miejsce, gdzie pustynia jest oceanem.

Wypiła łyk, czując nieznaczny posmak wisienki. Potem odstawiła szklankę i wstała od stolika. Wyszła z baru i wróciła przez kasyno, kierując się do windy.

Zgodnie z rytuałem nie spojrzała za siebie.

Rozdział 17

Pięć po trzeciej rano Cassie Black otworzyła drzwi pokoju numer 2015, rozejrzała się i wyszła na korytarz, trzymając przed sobą krzesło. Nie miała już na sobie przebrania, tylko czarne dżinsy i obcisłą czarną koszulkę bez rękawów. Na pasie zawiesiła małą saszetkę z niezbędnymi narzędziami. Postawiła krzesło pod kinkietem obok drzwi pokoju 2014 i weszła na nie. Zwilżywszy śliną palce w lateksowych rękawiczkach, sięgnęła ponad krawędź do wnętrza klosza i odrobinę przekręciła żarówkę, by zgasała. Potem przesunęła krzesło pod kinkiet obok drzwi z numerem 2015 i zrobiła to samo z drugą żarówką. Następnie zaniósła krzesło do swojego pokoju i wróciła na korytarz z pustą czarną poszwą na poduszkę oraz goglami noktowizyjnymi, które zawiesiła sobie na szyi.

Przymknęła drzwi, nie zamykając ich jednak do końca, pozostawiając zasuniętą zasuwkę. Stanęła przed drzwiami apartamentu Hernandeza i zdjęła wywieszkę „PROSZE NIE PRZESZKADZAC”, którą położyła na podłodze. Sprawdziła godzinę, wyciągnęła kartę elektroniczną i wsunęła ją do czytnika. Zapaliła się zielona lampka nad klamką.

Cassie cicho przekreśliła gałkę i zaczęła pchać drzwi.

Rozległo się lekkie cmoknięcie, kiedy puścił wosk mocujący zasuwkę do framugi. Cassie wsunęła palce w szparę między drzwiami a futryną i złapała metalowe ramie, zanim, spadając, zdążyło narobić hałasu. W tym samym momencie usłyszała odgłos spadającego z drzwi urządzenia alarmowego, które wcześniej zdążyła unieszkodliwić. Wsunęła się do środka, ostrożnie zamykając za sobą drzwi. Odczepiła zasuwkę i położyła na dywanie. Przez chwilę stała nieruchomo, przyzwyczajając wzrok do ciemności i czując rosnące napięcie. Upłynęło dużo czasu, ale świetnie pamiętała to wrażenie. We krwi zaczynała pulsować adrenalina, po plecach przebiegł rozkoszny, gorący dreszcz. Cassie miała wrażenie, jak gdyby wszystkie włoski na jej ramionach zjeżyły się jak naleytryzowane.

Wreszcie ruszyła w głąb apartamentu, najpierw badając wnętrze salonu. Tak jak się spodziewała, był pusty. Potem jej wzrok spoczął na podwójnych drzwiach prowadzących do sypialni. Jedno skrzydło było uchylone, a z wnętrza dobiegało głębokie i głośne chrapanie. Leo znów trafił w dziesiątkę, pomyślała Cassie. Hernandez chrapał jak mało kto. Działał niczym system wczesnego ostrzegania.

Cassie podeszła do uchylonych drzwi i po chwili znalazła się w zalanej błękitnym blaskiem sypialni. Miała rację: ekran telewizora pokazywał główną listę na niebieskim tle, która pojawiła się po zakończeniu oglądanego przez Hernandeza filmu. W pokoju było dzięki temu dużo światła, więc Cassie uznała, że nie musi zakładać gogli.

Widziała kształt wielkiego ciała Hernandeza, jak miarowo porusza się w niebieskiej poświacie. Chrapał głęboko i donośnie. Cassie zadała sobie w myślach pytanie, czy jest żonaty i czy żona potrafi spać z nim w jednym pokoju.

Na nocnym stoliku jarzyły się czerwone cyfry zegara. Miała mnóstwo czasu. Obok zegara leżał zegarek i portfel Hernandeza - oraz pistolet. Widocznie wyciągnął broń z kieszeni marynarki, żeby była pod ręką. Cassie podeszła do stolika, okrążając łóżko. Hernandez chrapliwie jęknął i poruszył się. Cassie zamarła.

Hernandez uniósł głowę, opuścił, otworzył usta i zamknął, po czym zaczął zmieniać położenie ciała. Leżał na wznak, przykryty po samą

brodę. Sprężyny łóżka zaprotestowały z jękiem pod jego ciężarem, ale po chwili znalazł wygodną pozycję i przestał się ruszać.

Cassie powstała jeszcze chwilę, a potem zrobiła trzy kroki dzielące ją od stolika. Powoli rozwinęła poszewkę i włożyła do niej pistolet. Następnie schowała portfel. Wzięła zegarek, obracając go ostrożnie w dłoni, żeby metalowa bransoleta nie wydała żadnego dźwięku. Przesunęła palcem po płytce koperty. Gładka stal. Nie wyczuła żadnej nierówności w miejscu, gdzie powinien być wytłoczony znaczek firmowy Roleksa. Zegarek był podróbką. Bezszelestnie odłożyła go na stolik i powoli się wycofała.

Musiąca powstrzymać ochotę, by od razu rzucić się do sejfu, wyciągnąć forszę i uciec. Najpierw trzeba było usunąć kamery. Sprzęt był markowy i mógł zaprowadzić prosto do Hootena. Gdyby tak się stało, możliwe, że zostałby namierzony Jersey Paltz, a po nim Cassie i Leo.

Wysunęła krzesło spod biurka, postawiła pod fałszywym czujnikiem przeciwpożarowym i powoli na nie weszła. Otworzyła pokrywę i nożycami do drutu, które wydobyla z saszetki na pasku, przecięła połączenie z taśmą przewodzącą. Następnie, ostrożnie zamknawszy osłonę, zerwała czujnik ze ściany. Towarzyszył temu cichy trzask, gdy oderwał się przyklepic. Stojąc na krześle, odwróciła się, by spojrzeć na łóżko. Hernandez ani drgnął.

Schodząc na podłogę, Cassie o mały włos nie krzyknęła, kiedy dostrzegła swoje odbicie w dużym lustrze na wewnętrznej stronie drzwi, myśląc w pierwszej chwili, że w pokoju jest ktoś jeszcze. Wepchnęła detektor do poszewki i odstawiła krzesło na miejsce. Odwracając się plecami do łóżka, uniosła nadgarstek na wysokość piersi i wcisnęła guzik podświetlacza w zegarku. Była trzecia jedenaście. Została jeszcze szafa i sejf.

Z saszetki wydobyla szpachelkę, odszukała na framudze narysowany ołówkiem znaczek i wsunęła płaskie ostrze w szparę. W taki sam sposób jak przedtem otworzyła drzwi, nie włączając automatycznego światła. Gdy znalazła się w środku i zamknęła za sobą drzwi, ostrożnie i cicho odsunęła na bok ubrania Hernandez, weszła na sejf, wykręciła żarówkę i położyła na półce obok poduszki.

Kucnęła na podłodze i śrubokrętem odkręciła fałszywe gniazdko elektryczne z drugą kamerą, po czym odcięła taśmę od styków. Na koniec sięgnęła po ukryty za sejfem przekaźnik. Odcięła końcówki od taśmy

i schowała aparat razem z resztą sprzętu w poszewce.

Teraz sejf. Nabrała głęboko powietrza i ostrożnie wstukwała zapamiętany kod: 4-3-5-1-2. Sejf otworzył się z cichym „puf”, jak gdyby odskoczyła pokrywka puszki z piłkami tenisowymi. Zastygła w bezruchu, łowiąc lewym uchem dźwięki dochodzące zza żaluzjowych drzwi. Hernandez chrapał w najlepsze.

Ostrożnie otworzyła drzwi sejfu na oścież, po czym zmieniła pozycję, tak by jej ciało znalazło się między sejfem a sypialnią. Wyciągnęła latarenkę, ale zanim ją zapaliła, sięgnęła w głąb sejfu.

W nikłym świetle żaróweczki zobaczyła plik banknotów, które włożył tam wcześniej Hernandez. Obok pieniędzy leżał łańcuszek z czterema kluczami na kółku. Nic więcej.

Cassie wyłączyła latarkę, siedząc chwilę bez ruchu i zastanawiając się. Gdzie jest zawartość walizeczki? Gdzie te pół miliona, które obiecali wspólnicy Lea?

Znów sięgnęła do sejfu, wydobyła pieniądze i rozłożyła je na kolanach. Kiedy na sekundę zapaliła latarkę, stwierdziła, że to same studolarówki. Na pierwszy rzut oka oceniła, że ma na kolanach blisko sto tysięcy dolarów. Kupa forsy - więcej niż kiedykolwiek miała czy ukradła. Ale spodziewała się znacznie większej sumy. Mówiono jej, że będzie więcej. Coś było nie tak. Gdzie walizka?

Zorientowała się, że nie widziała jej, przechodząc przez inne pomieszczenia. Musiałaby wrócić do apartamentu i poszukać walizeczki. Być może Hernandez postanowił jej nie otwierać i nie przekładać zawartości do sejfu w szafie z lenistwa. Być może uznał, że jest bezpieczna, bo zainstalował na drzwiach alarm i obok łóżka położył broń.

Cassie włożyła pieniądze do poszewki, zamknęła sejf i podniosła się. Wokół prawej dłoni pieczołowicie owinęła wolny koniec poszewki, ściskając go mocno, aby elementy sprzętu nie robiły hałasu, stukając o siebie nawzajem. Pchnęła prawe skrzydło drzwi i zaczęła wychodzić z szafy, gdy niespodziewanie zadzwonił telefon na nocnym stoliku.

Cassie wskoczyła z powrotem do szafy, bezszelestnie przysmykając za sobą drzwi.

Telefon zadzwonił drugi raz i usłyszała, jak Hernandez drgnął. Zorientowała się, że popełniła błąd. Zamiast zmykać do szafy, powinna

uciec stąd jak najprędzej z tym, co miała, i schronić się w pokoju po drugiej stronie korytarza.

A teraz utknęła na dobre. Prawdopodobnie dzwonił z ochrony. Odkryli, że ktoś wszedł do apartamentu!

Hernandez poruszył się przy akompaniamencie stękania sprężyn. Podniósł słuchawkę po czwartym dzwonku.

- Halo? - odezwał się zachrypniętym głosem.

Cassie zamknęła oczy, nasłuchując. Była bezradna.

- Co ty, kurwa, wyprawiasz? - rzekł ze złością Hernandez. - Która godzina?

Cassie otworzyła oczy. Przypomniała sobie o pistolecie i portfelu. Jeżeli Hernandez zapali światło, na pewno odkryje, że ich nie ma, a potem pójdzie prosto do szafy, żeby sprawdzić sejf.

- Trzy godziny różnicy, kretynie.

Cassie sięgnęła do torebki na pasie i zacisnęła palce na paralizatorze. Nie wyciągając broni, włączyła ją i dopiero wtedy ostrożnie wyciągnęła. Zauważyła jednak, że czerwona lampka sygnalizująca, że paralizator jest gotowy do działania, nie pali się. Jeszcze raz włączyła i wyłączyła, ale bez skutku. Paralizator nie działał. Przypomniała sobie, że nie wyłączyła broni po tym, kiedy schowała ją w plecaku, idąc na spotkanie z Jerseyem Paltzem. Przez to i przez wstrząs, jakim poczęstowała Paltza, paralizator zupełnie się wyładował. Był bezużyteczny.

Spojrzała przez żaluzje drzwi i w błękitnym świetle zobaczyła cieleśko Hernandeza siedzące na skraju łóżka. Położyła poszewkę na podłodze i sięgnęła do środka.

- No dobra, to zadzwoni. Nie obchodzi mnie stan jego nerwów. Cholera, co mogę zrobić w tej sprawie piętnaście po trzeciej rano?

Cassie wyciągnęła pistolet.

- Tak, tak, później. Cześć.

Usłyszała, jak odkłada z traskiem słuchawkę.

- Kurwa! - zawołał.

Zgłośło niebieskie światło telewizora, pogrążając szafę w całkowitych ciemnościach. Cassie słyszała skrzywienie sprężyn, gdy Hernandez wiercił się, próbując znaleźć wygodną pozycję i z powrotem zasnąć. Włączyła gogle noktowizyjne, lecz kiedy zaczęła je nakładać, Hernandez wydał następny okrzyk.

- Kurwa!

W sypialni zapaliło się światło. Cassie usłyszała głośny protest sprężyn, a potem zbliżające się ciężkie kroki na dywanie. Hernandez szedł w jej stronę. Powoli cofnęła się w głąb szafy jak najdalej pod ścianę i oburącz uniosła pistolet. Powiedziała sobie, że nie strzeli. Każe mu się tylko cofnąć, a sama ucieknie.

Szeroki cień Hernandeza przysłonił wpadające przez listewki żaluzji światło. Cassie zebrała się w sobie.

Lecz po chwili cień zniknął, a drzwi szafy pozostały zamknięte. Cassie przestała celować i zrobiła krok w kierunku drzwi. Po paru chwilach do jej uszu dobiegł stukot otwieranego sedesu i odgłos strumienia moczu spływającego po ściankach muszli. Opuściła zupełnie broń, powstrzymując chęć, by dać sobie spokój i uciec, złapać poszewkę i wypaść za drzwi. Zanim Hernandez się zorientuje, Cassie znajdzie się już na schodach. I będzie miała broń. Hernandezowi pozostanie tylko zadzwonić po ochronę. O tej porze jest tam niewielu ludzi, sami dyżurujący. Zanim ktokolwiek zdąży zareagować, ona już zniknie z hotelu.

Mimo to została w szafie i czekała. Wiedziała, że najlepsza ucieczka to ucieczka przez nikogo niezauważona. Ale to nie był główny powód. Chodziło przede wszystkim o walizkę. Musiała ją mieć.

Hernandez pociągnął spłuczkę i po dłuższej chwili znów przeszedł obok szafy, wracając wreszcie do łóżka. Położywszy się, zgasił światło, nie zauważył więc, że na stoliku nie ma portfela ani pistoletu.

Cassie powolutku osunęła się na podłogę, siadając ze zgiętymi kolanami i opierając się plecami o sejf. Uniosła lewą rękę i nacisnęła guzik, który włączał podświetlanie tarczy zegarka. Dwadzieścia po trzeciej. Ogarnęło ją dojmujące poczucie straty. Objęła rękami kolana i spuściła głowę. Wiedziała już, że nie opuści szafy przed początkiem okresu martwego księżycy. Nie mogła ryzykować.

Pomyślała o Leo. Zastanawiała się, czy śpi o tej porze i czy myśli o księżycu, jeżeli patrzy teraz na zegarek. Nazwał ten okres pechowym czasem. Ale pech Cassie zaczął się jeszcze przed martwym księżycem. Pechowy był telefon do Hernandeza. Będzie musiała powiedzieć o tym Leowi. Wy tłumaczyć. Na pewno zrozumie. A jeżeli nie, Cassie zmusi go, by zrozumiał.

Rozdział 18

O trzeciej czterdzieści sześć Cassie Black otworzyła oczy, siedząc w szafie w sypialni człowieka, którego próbowała obrabować. Facet narazie zaczął znowu chrapać, więc Cassie mogła wykonać ostatni ruch. Wolno wstała i pchnęła żaluzjowe drzwi. Nałożywszy gogle noktowizyjne, spojrzała na łóżko. Widziała, że Hernandez leży przykryty na dwu poduszkach. Gdyby otworzył oczy, patrzyłby prosto na nią, ale głęboki oddech i gardłowe chrapanie świadczyły, że na powrót pograżył się w głębokim śnie. Cassie przestała się przejmować tym, że mógłby się obudzić. Za bardzo zmęczyło ją czekanie. Przyszedł czas znaleźć walizkę i raz na zawsze opuścić apartament i Las Vegas.

Schyliła się, żeby rozmasować lewą łydkę, w której chwycił ją kurcz. Potem owinęła poszewkę wokół dłoni i znów pchnęła drzwi, które otworzyły się na oścież.

Przez chwilę Cassie stała w sypialni bez ruchu, przyglądając się uśpionemu cielsku. Obserwacja śpiącej ofiary zawsze wydawała się jej najdziwniejszą częścią roboty. Jak gdyby poznawała tajemnicę, której nie powinna znać. Zaczęła się rozglądać po całym pokoju, szukając walizki, ale nigdzie jej nie zauważyła.

Cofnęła się do wnęki, by zlustrować łazienkę. Nic. Wróciła do sypialni, przysiadła na podłodze i oświetliła latarką przestrzeń pod łóżkiem. Była pusta, jeśli nie liczyć kłębow kurzu i listy usług oferowanych przez obsługę hotelową.

Cassie wstała, po czym przeszła do salonu. Przeszukała każdą stopę kwadratową pokoju, ale nie znalazła nic, co naprowadziłoby ją na ślad walizki. Zaczęła wpadać w panikę. Lekkomyślnie zapragnęła zejść do baru na colę, by powspominać swoje ostatnie chwile z Maksem, a może właśnie wtedy Hernandez wstał z łóżka, wyszedł z apartamentu i ukrył gdzieś walizeczkę, a potem jak gdyby nigdy nic wrócił i zasnął? Wydawało się to śmieszne, ale Cassie naprawdę nigdzie nie mogła znaleźć walizki.

Nagle przypomniała sobie o sejfie. Nie rozumiała, dlaczego znalazły się tam klucze Hernandeza. Zastanowiwszy się nad tym, szybko doszła do jedyne go możliwego wniosku. Na łańcuszku musiały być klucze do

walizeczki i kajdanek. Jeżeli schował klucze w sejfie, zamiast zabezpieczyć walizkę i jej zawartość, oznaczało to, że wcześniej zatroszczył się o jakieś zabezpieczenie. Skoro nie wychodził z apartamentu, jakie miał lepsze zabezpieczenie od sejfu?

Cassie cofnęła się do sypialni i obejrzała łóżko. Przypomniała sobie, że kiedy patrzyła na niego przez wizjer, Hernandez miał walizkę przykutą do prawej ręki. Podeszła do łóżka z prawej strony i delikatnie położyła dłoń na kołdrze, ostrożnie omijając zarys ciała Hernandeza. Wstrzymała oddech. Nigdy nie była tak blisko ofiary. Zbyt blisko. Wszystkie zmysły skupiła na łóżku i wielkim cieple pochrapującym pod kołdrą.

Wreszcie namacała coś twardego i płaskiego. Znalazła walizeczkę. Powolutku zaczęła unosić kołdrę, aż odkryła walizkę przykutą do prawego nadgarstka Hernandeza.

Zorientowała się, że potrzebuje kluczy, więc wróciła do szafy, by otworzyć sejf. Zauważyła, że zostawiła na sejfie pistolet. Chwyliła go, wstukała kombinację cyfr i ostrożnie zabrała klucze. Obejrzała je w zielonym świetle noktowizora. Było ich pięć. Doświadczenie powiedziało Cassie, że do kajdanek będzie pasował mały kluczyk z tulejką. Odczepiła go więc od pozostałych, żeby nie podzwaniały, po czym znów wróciła do sypialni.

Hernandez nie ruszał się. Cassie położyła broń na łóżku i bezszelestnie włożyła kluczyk do bransolety przykutej do stalowej rączki walizki. Kiedy go przekreśliła, zamknięcie puściło z metalicznym trzaskiem. Już zaczęła zdejmować bransoletę, gdy Hernandez, zapewne zaalarmowany dźwiękiem, drgnął.

Cassie cicho zdjęła bransoletę kajdanek i wyprostowała się, zacierając walizkę z łóżka. Potem chwyciła pistolet. Hernandez westchnął i zaczął poruszać nogami pod kołdrą. Budził się.

Cassie uniosła broń. Powiedziała sobie, że zrobi to, jeżeli będzie musiała. Może zawinił ten nocny telefon, może martwy księżyc albo po prostu pech. Nieważne. Teraz robi, co będzie trzeba. Trzymała przed sobą pistolet wycelowany prosto w środek poruszającej się w łóżku zwalistej postaci.

Rozdział 19

Idąc przez kasyno w Kleopatrze, Jack Karch od razu zauważył, że i bocianie gniazdo jest puste. Wiedział, że nie zobaczy w nim Grimaldiego, ponieważ świetnie się orientował, gdzie teraz jest Vincent. Jednak według zwyczaju panującego w kasynie od dnia otwarcia, w punkcie obserwacyjnym zawsze ktoś był. Czyli dwadzieścia cztery godziny na dobę, przez siedem dni w tygodniu. Jeżeli nie Grimaldi, to ktoś inny. Karch dobrze wiedział, że to tylko fasada. Sprytna sztuczka, by gracze mieli poczucie bezpieczeństwa. Ale teraz w gnieździe nie dostrzegł nikogo, z czego Jack wyciągnął wniosek, że sprawa, w której wezwał go Vincent, musi być poważna. Świadomość ta dodała mu znacznie więcej energii niż wypita po drodze duża kawa.

Robiąc slalom między stołami do gry i wymijając pijanych hazardzistów, którzy po nocy spędzonej w kasynie na oślep wchodzili mu w drogę, Karch cały czas patrzył na drzwi wychodzące na balkonik. Przypuszczał, że za chwilę wybiegnie zza nich ktoś z ochrony i poprawiając kołnierzyk lub krawat, zajmie stanowisko. Lecz nikt się nie pojawił, więc Karch oderwał wreszcie wzrok od drzwi i skierował się do windy wieżowca Euftrat.

Wnęka z windami była prawie pusta - czekała tu tylko jakaś kobieta z plastikowym kubkiem na drobne w ręku. Spojrzawszy przelotnie na surową twarz Karcha, odwróciła się, zakrywając wolną dłońią kubek, jak gdyby chciała ochronić jego zawartość. Jack swobodnym krokiem podszedł do stojącej obok wejścia do windy donicy z piaskiem, postawił na jej brzegu stopę i pochylił się, jakby chciał zawiązać sznurowadło. Był odwrócony tyłem do kobiety i zamiast poprawić but, zanurzył palec w czarnym piasku, który właśnie oczyszczono z niedopałków i wygładzono. Przejechał palcem przez całe naczynie, aż namacał to, czego szukał. Wyciągnął kartę elektroniczną i wyprostował się dokładnie w momencie, gdy rozległ się dzwonek nadjeżdżającej windy.

Wszedłszy za kobietą do windy, zdmuchnął pył z karty i wsunął ją do czytnika, by wcisnąć guzik ostatniego piętra. Jego współpasażerka jechała na szóste. Stojąc obok niej, Karch mógł zajrzeć między jej stulonymi palcami do wnętrza kubka. Był do połowy wypełniony piątakami.

Kobieta należała do najdrobniejszych z drobnych graczy. Nie chciała widocznie, żeby Karch o tym wiedział, albo uznała, że podejrzenie wygląda. Była mniej więcej w jego wieku, miała bardzo bujne włosy. Jack przypuszczał, że przyjechała do Vegas z Południa. Stała z opuszczoną głową, ale Karch domyślał się, że obserwuje jego odbicie w drewnianej okleinie drzwi. Wiedział, że jego twarz wzbudza w ludziach nieufność: ostro zarysowane nos i podbródek, cera zawsze ziemista (mimo że mieszkał pod pustynnym słońcem), włosy czarne jak węgiel. Jego oczy miały barwę zimnej stali i wyglądały jak martwe.

Karch sięgnął do kieszeni po papierosy. Złączył cztery palce prawej dłoni i używając ich jako zasłony, wytrząsnął z paczki dwa papierosy, ukrywając jeden w dłoni, a drugi przekładając do lewej ręki. Spodziewał się, że kobieta zaprotestuje na widok papierosów, ale się nie odezwała. Potem mistrzowsko odegrał trick „z ucha do ust”, którego wiele lat temu nauczył go ojciec. Trzymając drugiego papierosa końcami palców lewej dłoni, udał, że wpycha go do ucha, a potem prawą ręką „wyciągnął” papierosa z ust i włożył między wargi.

Obserwował odbicie kobiety w drzwiach. Zauważył, że widziała sztuczkę. Odwróciła się nieznacznie, jak gdyby chciała coś powiedzieć, lecz w końcu się rozmyśliła. Otworzyły się drzwi i kobieta wysiadła na szóstym piętrze. Kiedy skręciła w lewo, ale jeszcze była niedaleko, a drzwi windy zaczynały się zasuwać, Karch zawołał za nią:

- Nabrałem panią!

Potem zaśmiał się do siebie, widząc w zamykających się drzwiach, jak kobieta odwraca się do niego.

- Następnym razem zabierz te grosze do Bransona - powiedział, kiedy winda ruszyła w górę.

Pokręcił głową. Kiedyś Kleopatra świetnie się zapowiadała. Teraz stanowiła cel wypraw golców, którzy mieli przy duszy parę centów. Dywany wyłysiały, a przy basenie tłoczyli się faceci w sandałach i czarnych skarpetkach. Karch znów zaczął zachodzić w głowę, jak to się stało, że sprzedał się Vincentowi Grimaldiemu.

Dziesięć sekund później wysiadł na dwudziestym piętrze. Było pusto, nie licząc wózka obsługi, który ktoś popchnął w głąb korytarza. Mijając go i idąc w prawo, Karch stwierdził, że wózek wydziela nieświeży zapach.

Spojrzał na pierwsze drzwi, na których widniał numer 2001. Pamiętał ten pokój z bardzo dawna. Właśnie tu po raz pierwszy zagrał po stronie Vincenta Grimaldiego. Tak strasznie dawno - rozdrażniło go to wspomnienie. Co osiągnął od tego czasu? Niewiele. Bardzo niewiele. Być może sam był golcem w pałacu dla gólców. Pomyślał o pustym bocianim gnieździe w kasynie, wyobrażając sobie, jaki stamtąd jest widok na salę gier.

Dotarł do pokoju 2014 i otworzył drzwi kartą.

Wchodząc do apartamentu, zobaczył Vincenta Grimaldiego, który stał w salonie przy sięgającym od sufitu do podłogi oknie. Wydawało się, że patrzy daleko poza miasto, w stronę pasa pustyni rozciągającego się przed czekoladowymi górami, które ograniczały horyzont. Był jasny, słoneczny dzień.

Grimaldi najwidoczniej nie usłyszał wejścia Karcha i nie odwrócił się. Minąwszy krótki korytarzyk, Jack wszedł do apartamentu. Zauważył, że drzwi do sypialni są zamknięte. W pokoju unosił się zastały zapach cygar, środka dezynfekującego i czegoś jeszcze. Próbując rozpoznać ostatnią woń, poczuł przyspieszone bicie serca. Palony proch. Może tym razem Vincent naprawdę go potrzebował.

- Vincent?

Grimaldi odwrócił się od okna. Był niski, miał ostro zarysowaną, ogorzałą, trójkątną twarz, której skóra wydawała się za mocno naciągnięta na kości policzkowe. Siwe włosy miał starannie zaczesane do tyłu i był ubrany w nieskazitelnie zaprasowany garnitur od Hugo Bossa. Zawsze się ubierał, jakby kierowane przez niego hotel i kasyno nazywały się Mirage. Ale to on ulegał mirażowi. Kleopatra należała do drugiej kategorii, a ostatnio zaczęła zbliżać się do trzeciej. Na razie ten spadek powstrzymywała jedynie lokalizacja przy głównym pasażu. Niewątpliwie Vincent Grimaldi był kapitanem starej barki rzecznej płynącej wśród luksusowych liniowców, noszących takie nazwy jak Bellagio, Mandalay Bay czy Venetian.

- Jack! Nie słyszałem cię. Gdzie byłeś?

Karch zbył pytanie milczeniem. Spojrzał na zegarek. Było dziesięć po ósmej, więc od chwili gdy dostał od Grimaldiego wiadomość z sygnałem SOS na pager, minęło zaledwie czterdzieści minut. Nieźle, zwłaszcza wobec faktu, że Grimaldi odmówił podania szczegółów przez telefon.

- Co jest?

- To jest, że mamy cholerne kłopoty.

Wyciągnął do Karcha rękę po kartę, którą ten wciąż trzymał w dłoni. Jack oddał mu elektroniczny klucz, wahając się, czy zapalić papierosa, postanowił jednak zaczekać.

- Mówiłeś mi już przez telefon, Vincent. Co mam teraz robić, zgadywać, o co chodzi, czy zechcesz mi w końcu powiedzieć?

- Nie, Jack, pokażę ci. Zresztą sam zobacz.

Wskazał głową zamknięte drzwi do sypialni. Ruch typowy dla Grimaldiego, który zawsze był oszczędny w gestach i słowach.

Karch patrzył na niego przez chwilę, czekając na dalsze wyjaśnienia, lecz się nie doczekał. Odwrócił się więc, otworzył drzwi i wszedł do sypialni.

Ciemny pokój rozświetlały tylko promienie słońca wpadające przez wąski pasek między zasuniętymi zasłonami. Światło kładło się ukośnie na łóżku, gdzie leżały na wznak zwłoki tegoż mężczyzny. Zmarły nie miał prawego oka, które zdruzgotał pocisk, wchodząc przez oczodoł prosto w mózg. Drewniane wezłowie i ściana były zbrzyżane krwią i biało-szarą masą mózgową. Sześć cali nad wezłowiem w ścianie widniała dziura po kuli.

Karch podszedł bliżej, żeby dokładniej przyjrzeć się ciału. Zmarły był ubrany w białą koszulkę i bladoniebieskie bokserki. Na prawym nadgarstku miał kajdanki - obie bransolety na jednej ręce. Między jego nogami na łóżku leżał połyskujący czernią pistolet. Karch pochylił się i stwierdził, że to dziewięciomilimetrowy smith & wesson.

Grimaldi podszedł do drzwi sypialni, ale nie przestąpił progu.

- Kto go znalazł? - spytał Jack, wciąż patrząc na zwłoki.

- Ja.

Karch posłał mu przelotne spojrzenie, unosząc w zdumieniu brwi. Spodziewał się, że ciało znalazła pokojówka, choć miał wrażenie, że za wcześniej na jej wizytę w pokoju. W każdym razie nie dyrektor obsługi kasyna. Rzadka historia. Grimaldi wyczuł jego podejrzliwość i zaczął tłumaczyć:

- O siódmej jedliśmy razem śniadanie; to znaczy byłem z nim umówiony na siódmą. Kiedy nie zszedł, zadzwoniłem. Nie odpowiadał, więc sprawdziłem. I go znalazłem. Wtedy ciebie wezwałem.

Robi się coraz ciekawiej, pomyślał Karch.

- Kto to był, Vincent?

- Tylko kurier. Z Miami. Nazywa się - nazywał - Hidalgo, ale zameldowaliśmy go pod fałszywym nazwiskiem.

Karch czekał. Grimaldi nie powiedział nic więcej.

- Słuchaj, Vincent, chcesz, żebym ci pomógł, to mi powiedz. Chyba że mam sprowadzić Seymoura-medium, żeby odgadywał wszystko krok po kroku.

Grimaldi westchnął ciężko. Karch czuł swoją przewagę. Stary był w tarapatkach i potrzebował go. Jack wiedział jedno: rozegra tę sytuację na swoją korzyść, cokolwiek to jest, bez względu na przeszkody, jakie będzie musiał pokonać. A jeżeli dzięki niemu Vincent Grimaldi miał wyjść z opresji, Karch zabierze się do tego z przyjemnością. Od dawna myślał o bocianim gnieździe. Wyobrażał sobie na nim siebie, patrzącego z góry na pieniądze. Obserwującego wszystko.

- Dobra, powiem ci.

Grimaldi wszedł do sypialni i spojrzał na zwłoki.

- Chodzi o pieniądze, Jack. Gruby skurwiol miał przy sobie dwa i pół miliona dolarów. Forsy nie ma, a on raczej mi nie powie, co się z nią stało.

- Dwa i pół? Po co tyle? Chyba nie chciał tyle postawić w black jacku.

Karch zauważył, że na czole Grimaldiego zaczyna pulsować żyła. Stary był rozdrażniony. Karch wiedział, jak niebezpieczny potrafi być w złości Vincent. Ale był jak chłopiec, który stoi obok choinki z kijem od miotły w rękę. Musiał się koniecznie przekonać, jak kruche są bombki.

- Miał przekazać pieniądze - powiedział Grimaldi. - Dziś rano. Właśnie tego dotyczyło nasze spotkanie.

Wskazał ciało.

- Przychodzę rano i widzę to. Dureń wpuścił tu kogoś, a teraz forsa zniknęła. Musimy odzyskać te pieniądze, Jack. Ktoś na nie czeka, rozumiesz? Trzeba je szybko znaleźć, trzeba...

Karch pokręcił głową, po czym wyjął z ust niezapalonego papierosa i przerwał:

- Kto na nie czeka?

- Jack, są rzeczy, o których nie musisz wiedzieć. Masz tylko ustalić...

- Daj sobie spokój, Vincent. Powodzenia.

Machnął ręką i ruszył do drzwi. Wyszedł do salonu, a kiedy był już prawie przy wyjściu, Grimaldi dogonił go.

- Dobrze, już dobrze, Jack! Czekaj. Powiem ci. Powiem ci o wszystkim, skoro wydaje ci się, że musisz wiedzieć.

Karch przystanął. Nadal stał zwrócony do drzwi twarzą, mając za plecami Grimaldiego. Zauważył, że na framudze nie ma zasuwki. Dotknął niezamalowanego prostokąta, gdzie wcześniej musiał być przykręcony zamek. W otworach po śrubach tkwiła jakaś szarawa, lepka substancja. Roztarł odrobinę w palcach. Chyba już kiedyś coś takiego widział. Wreszcie odwrócił się do Grimaldiego.

- W porządku, Vincent. Zacznijmy od początku. Jeżeli potrzebujesz mojej pomocy, musisz mi opowiedzieć wszystko. Niczego nie pomijaj.

Grimaldi skinął głową, pokazując kanapę w salonie. Karch cofnął się do pokoju i usiadł. Grimaldi wrócił na swoje miejsce pod wielkim oknem. Wyglądał, jakby stał na tle błękitnego nieba! Był na tym czystym niebie ciemną i groźną chmurą. Karch wyjął z ust papierosa i włożył do kieszeni razem z drugim, który wykorzystał jako rekwizyt do sztuczki w windzie.

- Sprawa wygląda tak - rzekł Grimaldi. - Dwa tygodnie temu dostałem informację, że będą jakieś kłopoty z transakcją. Coś nieprzyjemnego wyszło przy badaniu działalności. Nazywają to „sprawą powiązań”.

Karch kiwnął głową. Nie był tak blisko góry jak Grimaldi, ale ze względu na swoje zajęcie dość dobrze orientował się w bieżących sprawach. Hotel i kasyno miały być sprzedane. Konsorcjum przemysłu rozrywkowego z Miami, Grupa Buena Suerte, było skłonne kupić Kleopatrę. Dział kontroli Komisji Hazardu stanu Nevada przez dwanaście tygodni badał przeszłość i działalność potencjalnych kupców i wkrótce miał przedstawić końcowy raport, w którym radził komisji zaakceptować albo odrzucić ofertę kupna. Komisja - złożona z osób mianowanych - prawie zawsze skłaniała się ku opinii kontrolerów, tak więc raport stanowił podstawę każdej oferty kupna lub otwarcia kasyna w Nevadzie.

- Co się stało? - spytał. - Z tego, co słyszałem, Buena Suerte miała być czysta.

- Nieważne, co się stało. Ważne są pieniądze, Jack.

- Wszystko jest ważne. Muszę o wszystkim wiedzieć. Co takiego wyszło?

Grimaldi machnął zrezygnowany ręką, poddając się.

- Nazwisko. Znaleźli związek między jednym z dyrektorów a pewnym człowiekiem, Hectorem Blanca. Spytasz mnie teraz, kto to jest Hector Blanca. Niech ci wystarczy tylko, że jest cichym współnikiem, który miał pozostać cichy. To wszystko, co mogę ci o nim powiedzieć.

- Niech zgodzę, Vincent. La Cuba Nostra?

Karch powiedział to takim tonem, jak gdyby chciał przypomnieć Grimaldiemu „a nie mówiłem?”. Rozmawiali już przedtem o tej dziwnej hybrydzie gangów. Członkowie regularnej mafii z północnego wschodu połączyli siły z kubańskimi emigrantami z Miami, zamierzając przejąć kontrolę nad światem przestępczym południowej Florydy. W kołach zbliżonych do półświatka krążyły pogłoski o tym, że grupa w tajemnicy sfinansowała referendum na temat hazardu, jakie odbyło się kilka lat temu na Florydzie i zakończyło się kompletnym fiaskiem. Logiczne więc było, że skoro nie mogli zorganizować kasyn na Florydzie, będą szukali innej lokalizacji dla swoich inwestycji.

Było niemal oczywiste, że wybiorą Nevadę, gdzie nie trzeba przeprowadzać referendum, by otworzyć lokal hazardowy; wystarczy poradzić sobie z kontrolerami z Komisji Hazardu i liczyć na krótką pamięć włodarzy miasta. Fakt, że powstanie Las Vegas było ucieleśnieniem marzeń szefów mafii, a od dziesiątków lat rządili tu ludzie o podobnych zapatrywaniach - przepadł w zbiorowej amnezji społeczeństwa. Las Vegas odrodziło się jako miasto rdzennie amerykańskie. Można tu było znaleźć statki piratów, wieżę Eiffla wielkości połowy oryginału, zjeżdżalnie wodne, kolejki górskie. Rozrywki rodzinne. Gangsterzy nie musieli się o nic ubiegać. Problemy pojawiały się wtedy, gdy przyznawano nowe tereny na budowę, a koparki wcinały się głębiej w pustynię, niebezpiecznie blisko miejsc, w których mogły odgrzebać pozostałości prawdziwego dziedzictwa miasta. Synowie i wnukowie założycieli - nawet tych, których pogrzebano na pustyni - nie mogli wypuścić z rąk dawnych terenów.

- Nie będziemy rozmawiać o La Cuba Nostra - rzekł Grimaldi, wymawiając tę nazwę z włosko-hiszpańskim akcentem. - Mój tyłek jest zagrożony i mam gdzieś twoje inteligentne domysły.

- W porządku, Vincent, pogadajmy więc o twoim zagrożonym tyłku. Co się stało?

Grimaldi odwrócił się i zaczął mówić ze spojrzeniem utkwionym w oknie.

- Jak mówię, dostałem cynk, że mogą być kłopoty. Zwrócono się do mnie i zostałem poinformowany, że problem może zniknąć za odpowiednią cenę.

- Dlaczego ty?

- Dlaczego? Bo mam kontakty. Możesz sobie myśleć, że moja pozycja jest gówniana, Jack, ale pracuję w tym mieście czterdzieści pięć lat. Byłem tu już od dawna, kiedy twój stary szykował się do pierwszego występu. Sporo widziałem i sporo wiem.

Obejrzał się przez ramię i przy ostatnich słowach posłał Karchowi znaczące spojrzenie. Jack zrozumiał, że stary chce mu przypomnieć, co o nim wie. Odwrócił wzrok i natychmiast tego pożałował.

- Dobra, Vincent. Ile miała kosztować ta mała operacja wybielająca?

- Pięć milionów. Dwa i pół z góry, reszta po głosowaniu w komisji.

- Domyślam się, że pośredniczenie w tym układzie miało umocnić twoją pozycję u nowych szefów.

- Mniej więcej, Jack. Twoją też by umocniło. Każdy, kto jest ze mną, skorzystałby na umowie. Zostałbym dyrektorem naczelnym. Mógłbym wtedy wyznaczyć zaufanego człowieka do kierowania obsługą kasyna, postawić go w gnieździe.

- A Hector Blanco? Chciałby tam widzieć swojego człowieka.

- Nieważne. Układ dawał mi wolną rękę przy wyborze.

Karch wstał i stanął przy oknie obok Grimaldiego. Razem patrzyli na góry wznoszące się za pustynią.

- Czyli ten facet w łóżku - Hidalgo - zjawił się z pierwszą ratą i został oskubany. Wydaje mi się, że to ich problem, Vincent. Nie twój. Nie nasz.

Grimaldi odpowiedział opanowanym ostrym tonem. Powoli ważył każde słowo. Jego głos przestał drgać od emocji i Karch wiedział, że wtedy Vincent jest najniebezpieczniejszy. Jak pies ze złamanym ogonem. Pozwala się głaskać, ale w każdej chwili może odgryźć rękę.

- To jest mój problem, a więc i twój - rzekł Grimaldi. - Ja zorganizowałem transakcję. W chwili kiedy Hidalgo wysiadł z samolotu na McCarranie, on i pieniądze znalazły się pod moją opieką. Tak to widzi Miami, czyli mój tyłek jest zagrożony.

Karch uniósł brwi.

- Powiedziałaś im?

- Rozmawiałem z Miami, zanim zadzwoniłem do ciebie. Niezbyt przyjemny telefon. Ale przedstawili mi sprawę jasno. Kurier to niewielka strata, lecz pieniądze to co innego. Mnie obarczają odpowiedzialnością.

Przerwał na moment, a gdy znowu zaczął mówić, w jego głosie zabrzmiała niemal błagalna nuta rozpacz. Nieznaczną, ale słyszalną. W ciągu wielu lat ich znajomości Karch nigdy nie słyszał, by Grimaldi mówił do niego w ten sposób.

- Muszę odzyskać forszę, Jack. Raport dla komisji ma iść do druku we wtorek. Potem będzie za późno na zmiany. Muszę odzyskać pieniądze i zapłacić, inaczej nici ze sprzedaży. A jeżeli do sprzedaży nie dojdzie, Miami przyśle tu swoich ludzi.

Ruchem głowy wskazał pustynię za oknem.

- Tam mnie zabiorą. Do innych, którzy nie dali sobie rady w mieście. Do piachu.

Grimaldi pokręcił głową, krótko i energicznie.

- Mam sześćdziesiąt trzy lata, Jack. Czterdzieści pięć lat spędziłem w tym mieście i zobacz, co mnie spotyka.

Zanim Karch odpowiedział, odczekał chwilę, rozkoszując się każdą sekundą.

- Nie dopuścimy do tego, Vincent. Nie dopuścimy.

Grimaldi skinął głową, a na jego ustach pojawił się smutny uśmiech.

- Dobry stary Jack, walet pikowy. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

Rozdział 20

Karch zaczął od badania ułożenia zwłok i oględzin śladów krwi rozprysniętej na wezgielciu i ścianie. Wszystko wskazywało na to, że w momencie strzału grubas siedział. Zabójca stał w nogach łóżka.

- Lewus - powiedział.

- Co? - spytał Grimaldi.

- Zabójca. Był leworęczny. Najprawdopodobniej.

Karch stanął w miejscu, gdzie zapewne znajdowała się osoba z bronią, i wyciągnął przed siebie lewe ramię. Pokiwał głową. Ponieważ Hidalgo dostał w prawe oko, a morderca był zwrócony twarzą do niego, przypuszczalnie strzał padł z broni trzymanej w lewej dłoni.

Jack spojrzął na wezglowie łóżka i ścianę. W swoim gabinecie miał kilka książek na temat badania śladów krwi - jak należy odczytywać eliptyczne, a jak okrągłe krople krwi i tak dalej. Nigdy jednak nie wyszedł poza rozdziały wstępne, bo wszystkie podręczniki traktowały o śmiertelnie nudnych sprawach, które zresztą były mało użyteczne w jego pracy. Cóż mógł wyczytać z plam na ścianie i drewnie łóżka? Niewiele. Facet żył, a potem zginął. I tyle.

- Nikt nie zgłaszał, że słyszał strzał? - zapytał.

- Nie - odrzekł Grimaldi. - Ale chciałem, żeby był odizolowany od pozostałych gości. Pokoje obok i naprzeciwko były wolne. Poza tym, chociaż nie wiem, czy to ma jakiś związek, wieczorem włączył się na tym piętrze alarm przeciwpożarowy.

Karch spojrzął na niego.

- Około jedenastej - powiedział Grimaldi. - Ktoś zostawił zapalonego papierosa na wózku obsługi, który stał dokładnie pod czujnikiem.

Karch wskazał głową ciało w łóżku.

- Został ewakuowany? Wychodził z pokoju?

- Na razie nie wiemy. Kazałem swojemu człowiekowi zebrać taśmy, żebyśmy mogli wszystko obejrzeć.

Karch kiwnął głową, lecz nie był pewien, jaką rolę mógłby odegrać w tej sprawie alarm przeciwpożarowy. Znów rzucił okiem na ciało.

- Wiesz co, zabójca chyba chciał, żeby to wyglądało na samobójstwo, ale zrobił to do kitu. Chociaż...

- Nie samobójstwo, kurwa, tylko kradzież.

- Wiem, wiem, Vincent. Posłuchaj. Powiedziałem, że chciał, żeby tak wyglądało. Ale zupełnie spartolił sprawę. Najpierw posłuchaj, zanim zaczniesz się wściekać.

Postanowił przestać robić głośne uwagi. Niech Grimaldi sam się wszystkiego domyśla. Najbardziej zastanawiała Jacka kwestia kajdanek. Nie rozumiał, dlaczego nie zostały zdjęte.

- Vincent, zakładam, że przeszukałeś cały apartament, żeby znaleźć pieniądze?

- Tak, zniknęły. Razem z walizką.
- A kluczyki?
- Kluczyki? ,
- Kluczyki. - Wskazał przegub nieboszczyka w zatrzaśniętych kajdankach. - Gdzie jest kluczyk do kajdanek?
- Nie wiem, Jack. Nie widziałem żadnych kluczy. Chyba ten, kto wziął forszę, zabrał też klucze. Ale czeka ich niespodzianka.
- Jaka?

- W tamtych kluczach na pewno nie będzie kluczyka od walizki. Grubas go nie miał. Pan Bla... hm, jego szef nie chciał, żeby ją otwierał. Mógłby jeszcze wziąć trochę tych pieniędzy i postawić w kasynie. Klucz przysłali do mnie i to ja miałem otworzyć walizkę w czasie porannego spotkania. No i mam klucz, ale nie mam pieprzonej walizki. Miała elektroniczne zabezpieczenie, coś w rodzaju szokowego paralizatora. Jeżeli ktoś spróbuje otworzyć walizkę bez klucza, nieźle mu przetrzepie dupę. Dziewięćdziesiąt tysięcy woltów.

Karch skinął głową, po czym z kieszeni wyciągnął notes i długopis. Zanotował informację o kluczyku i walizce.

- Co tam piszesz, Jack?
- Parę notatek, żeby mieć wszystko uporządkowane.
- Nie chcę, żeby któraś z tych informacji dostała się w niepowołane ręce.

Karch odwrócił się, żeby spojrzeć na Grimaldiego. Ten natychmiast się wycofał.

- Wiem, Jack. Będziesz dyskretny.

Karch obszedł łóżko z drugiej strony i obejrzał leżący na nocnym stoliku zegarek. Wyglądał jak autentyczny rolex. Długopisem wziął zegarek za metalową bransoletę i spojrzął na tylną płytkę koperty.

- Ktokolwiek to zrobił, zorientował się, że to fałszywka.
- Byle złodziej by się zorientował, Jack. Sprzedają takie na ulicy pod każdym lokalem na Fremont. Ktokolwiek to był, dobrze wiedział, że chce forsy i niczego więcej.

Karch skinął głową, po czym odłożył zegarek na stolik. Podeszedł do szafy, otworzył ją i zajrzał do sejfu. Drzwiczki były otwarte, a sejf pusty.

- Powiedz mi coś więcej o tym facecie, Vincent. Kiedy przyjechał do miasta?

- Trzy dni temu. Nie wiedziałem, kiedy dokładnie odbędzie się przekazanie pieniędzy. Decydował facet, któremu mieliśmy zapłacić. Musieliśmy po prostu mieć przygotowaną forszę. Hidalgo przyjechał w poniedziałek i czekaliśmy.

Karch przykucnął, przymknął drzwi sejfu, nie zamykając go jednak do końca. Przyjrzał się klawiaturze zamka cyfrowego.

- Cały czas siedział w pokoju?

- Nie, spędzał czas przede wszystkim w kasynie. Dałem mu mały kredyt, a potem skurwiel zaczął mi czyścić konto. Jezu, już myślałem, że jeżeli szybko nie załatwimy sprawy, możemy przez niego zbankrutować.

Karch obejrzał się na Grimaldiego.

- Ile wygrał, Vincent?

- W poniedziałek dostał w kasie pięćdziesiąt pszczołek. Do wczorajszego wieczoru ugrał na tym sto tysięcy z kawałkiem. Nieźle mu szło. Rozdawał na prawo i lewo studolarowe napiwki, jakby to był papier toaletowy.

Karch wrócił do oględzin sejfu. Otworzył drzwi i znów zajrzał do środka, ale nic nie zauważył. Zastanawiał się nad tym, co mówił Grimaldi.

- Rozumiesz, co się stało, Vincent? Sam do tego doprowadziłeś.

- O czym ty mówisz, do kurwy nędzy?

- Dałeś facetowi pieniądze, on dzięki nim sporo zarobił. Pokazywał to wszystkim naokoło. W tym mieście to tak, jakbyś wpuścił do wody trochę krwi. Zaraz nadpłynie rekin i rzuci się na twojego grubasa.

- Co ty mi chcesz wmówić - że ktoś to zrobił dla stu tysięcy zamiast dwóch i pół melona?

- Mówię, że ten, kto to zrobił, przyszedł po sto tysięcy, a potem znalazł resztę. Największy fart w życiu.

- Niemożliwe, Jack. To po prostu...

- Kto wiedział o pieniądzach? To znaczy, kto wiedział, że są tutaj i że ma je grubas. Kto?

- Tylko ja.

- A Miami? Możliwe, że stamtąd był przeciek?

- Nie, w Miami wiedziała tylko jedna osoba.

- Może kurier komuś powiedział.

- Mało prawdopodobne, Jack. Pracował bezpośrednio u źródła. Gdyby pieniądze zniknęły, wiedział, że od razu znajdzie się pod lupą.

- O ile sam nie zginie. A facet, który miał odebrać pieniądze?
- Wiedział, że forsa nadeszła, ale nie wiedział, kto ją ma ani gdzie dokładnie jest. Poza tym po co by kradł coś, co i tak miał dostać?

- Otóż to. Skoro więc nikt nie wiedział, moja hipoteza jest słuszna. To było wejście na gorąco, Vincent. Ktoś przyuważył, że facet wygrał sto kawałków i zaczął go śledzić. A potem zgarnął całą pulę.

Nie wstając z kucek, Karch przyjrzał się wnętrzu szafy. Oglądał ubrania Hidalgo przesunięte na jedną stronę, by złodziej miał lepszy dostęp do sejfu. Jego wzrok przyciągnęło coś na ścianie za sejfem. Wyglądało jak łuszcząca się farba. Podpełził bliżej na kolanach, by zajrzeć za sejf. Z bliska zobaczył, że to nie farba, lecz zamalowana taśma. Złapał odstający kawałek i pociągnął. Taśmę naklejono na tylnej ścianie szafy i suficie, a potem na suficie wnęki na zewnątrz szafy. Kończyła się na ścianie nad wejściem do wnęki.

- Co to, kurwa, jest? - spytał Grimaldi.

- Taśma przewodząca. To był zawodowiec, Vincent. Obserwował twojego grubasa.

- Przez kamerę?

Karch kiwnął głową. Wrócił do szafy, by jeszcze raz obejrzeć sufit i ściany. W prawej ścianie był wywiercony mały otwór i nalepiony jeszcze kawałek taśmy. Jack zerwał go i przekonał się, że ten odcinek taśmy też prowadzi za sejf.

- Przez dwie kamery. Jedna była w pokoju, żeby obserwować faceta. Druga tutaj, żeby podejrzeć kod do sejfu. Nieźle.

- Nie słyszałem, żeby ktoś używał kamer od... ostatniego razu. Ostatni był Max Freeling.

Karch spojrział na Grimaldiego.

- Ja też nie słyszałem. Ale obaj wiemy, że nasz Max tego nie zrobił.

- Masz rację.

Karch wycofał się z szafy, po czym obszedł cały apartament, dokładnie oglądając ściany i sufit. Otworzył drzwi wejściowe i kucnął, żeby się przyjrzeć mechanizmowi zamka.

- A odciski palców? - zapytał Grimaldi.

- Nie będzie żadnych.

Przekręcił zamek i zauważył, że zasuwka wychodzi tylko do połowy. Zamknął drzwi z wysuniętym rygłem. Pokiwał głową. Doceniał

dobrą robotę. Wstał, zamknął drzwi na zamek i spojrzął na Vincenta. Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Widzisz w tym coś śmiesznego? - spytał ostro Grimaldi.

- Nic - odrzekł Karch z coraz szerszym uśmiechem. - Cieszę się, że trafiłem na godnego siebie przeciwnika, to wszystko. Naprawdę fajnie, że mnie wezwałeś do tej sprawy, Vincent. Chyba będzie mi się podobało.

- Słuchaj, nie o to chodzi, żebyś się bawił, ale żeby odzyskać forszę.

Karch pozwolił się skarcić. W ogóle się nie przejął. Już sobie wyobrażał, jak może wykorzystać tę sprawę dla własnych celów i zdobyć to, czego zawsze pragnął.

- Vincent, naprawdę masz kłopoty.

- Wiem! A jak myślisz, dlaczego tu jesteś?

- Mam na myśli kłopoty w większym kłopotcie. Popatrz.

Odsunął się, żeby Grimaldi mógł zobaczyć mechanizm zamka.

- Spreparował zamek. Grubas myślał, że jest zamknięty, ale rygiel w zamku i zasuwka to były atrapy. Ten gówniany brzęczyk zresztą też.

Karch zerwał z klamki elektroniczny alarm i cisnął na podłogę.

- To wszystko zabezpieczenia wewnętrzne. Ale główny zamek, otwierany z zewnątrz, nie był spreparowany. A to znaczy...

- Miał klucz.

Karch skinął głową.

- Bystry z ciebie facet, Vincent - rzekł tonem, który świadczył o czymś zupełnie innym. - Miał klucz. Czyli ktoś mu go dał. Ktoś z hotelu.

Grimaldi wbił spojrzenie w podłogę. Karch zobaczył, że stary znów mieni się na twarzy i nie chcąc czekać, aż fala gniewu opadnie, dodał:

- Przypuszczam też, że nasz złodziej dysponował też kluczem do jednego z pustych pokoi obok, żeby miał gdzie oglądać obraz z kamer i mógł wejść w odpowiednim momencie.

- Chcesz tam zajrzeć?

- Tak, jasne.

Najpierw weszli do pokoju 2015 znajdującego się dokładnie po drugiej stronie korytarza. Karch stwierdził natychmiast, że właśnie tu złodziej czekał, aż Hidalgo pójdzie spać.

- Skąd wiesz? - zdziwił się Grimaldi.

Karch wskazał stół. Czasopisma, informator hotelowy i lista dla obsługi były odsunięte na bok, razem z butelką wina.

- Tu czekał.

Karch rozejrzał się po apartamencie, lecz nie spodziewał się niczego znaleźć. Facet był dobry, więc prawdopodobieństwo popełnienia przez niego błędu było znikome. Sypialnia wyglądała, jakby nikt do niej nie wchodził. Jack wsadził głowę do łazienki, ale tu również nie znalazł nic niezwykłego. Sprawca zamknął nawet klapę toalety, jeżeli w ogóle z niej korzystał.

Jack wrócił do salonu, pośrodku którego stał z założonymi rękami Grimaldi. Karch chciał powiedzieć coś jeszcze, by bardziej podrażnić Vincenta, kiedy zauważył, że coś leży pod stołem, niedaleko zasłon okiennych. Na czworakach wlaź pod stół.

- Co tam masz, Jack?

- Jeszcze nie wiem.

Uniósł zasłonę. Na podłodze leżała karta do gry. As kier. Przez chwilę Karch patrzył na nią w zamyśleniu. Zauważył, że dwa przeciwległe rogi karty są odcięte - znak, że pochodziła z talii z kasyna. W każdym kasynie używanym kartom obcinano rogi i sprzedawano w sklepiku pamiątkowym. Pozbawiano je rogów ze względów bezpieczeństwa - żeby nikt nie próbował ich wprowadzić do gry przy stole.

- Co to? - spytał zza jego pleców Grimaldi.

- Karta. As kier.

Jackowi przyszedł na myśl ojciec, który zawsze mówił, że as kier to karta pieniędzy. Idź za kartą pieniędzy, mawiał.

- As kier? - powtórzył Grimaldi. - Co to twoim zdaniem znaczy?

Karch nie odpowiedział. Sięgnął po kartę i podniósł ją, trzymając za brzegi kciukiem i palcem wskazującym. Wypełził spod stołu, trzymając przed sobą asa. Wstał, odwracając kartę, by spojrzeć na koszulkę. Miała wzór wyobrażający dwa różowe flamingi, splecione szyjami, które układały się w kształt serca.

- Z Flamingo - powiedział. Grimaldi wpatrywał się w kartę.

- Co to może znaczyć? Karch wzruszył ramionami.

- Być może nic. Ale wygląda na to, że nasz złodziej spędził tu jakiś czas. Może patrzył w monitor, a dla zabicia czasu stawiał sobie pasjan-sa.

- Jeżeli zgubił asa kier, pasjans nie mógł mu wyjść.
- Wnikliwa uwaga, Vincent.

Grimaldi nie wytrzymał.

- Słuchaj, Jack, chcesz mi pomóc czy zamierzasz cały czas mi przygadywać i robić ze mnie idiotę? Bo jeżeli tak, znajdę kogoś innego, kto się weźmie do roboty i nie będzie mnie wkurzał.

Karch odczekał chwilę, po czym odrzekł spokojnie:

- Vincent, wezwałeś mnie, bo wiesz, że nikt nie zajmie się tym lepiej.

- No to zajmij się tym, zamiast gadać. Czas ucieka.

- W porządku, Vincent. Jak sobie życzysz.

Karch spojrział na kartę, którą wciąż trzymał w palcach. Wiedział, że może zadzwonić z prośbą do Iversona z miejskiej, by poszukał na niej odcisków palców. Ale oznaczałoby to wciągnięcie Iversona do sprawy, która jego zdaniem mogła się okazać dość śmierdząca. Podszedł do stołu i otworzył informator hotelowy. W środku, w jednej z kieszeni folderu tkwiły koperty i papier listowy. Wsunął asa kier do jednej z kopert, którą schował w wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Odciski? - zapytał Grimaldi.

- Może. Najpierw spróbuję czegoś innego.

Wrócili do apartamentu 2014 i ostatni raz rozejrzeli się, dyskutując o dalszych krokach. Grimaldi twierdził, że ludzi z Miami zupełnie nie obchodzi, co się stało z kurierem, więc mają wolną rękę. Mogli wycofać się z pokoju i zostawić sprawę ich własnemu biegowi. Ciało odkryłaby pokojówka. Mogli też przywieźć do pokoju wózek na brudną bieliznę, załadować na niego zwłoki i zwieźć je windą na dół, na rampę, a potem wpakować do czekającej furgonetki. Z komputerów i taśm można było wymazać wszystkie ślady pobytu kuriera w Kleopatrze, natomiast jego zwłoki po zapadnięciu zmroku wywieźć na pustynię.

- Trzeba by czterech facetów, żeby unieść ten wór gówna - narzekał Grimaldi.

- Jeżeli wciągniesz w sprawę za dużo ludzi, narazisz się na większe ryzyko wpadki - zauważył Jack.

- Ale jeżeli zostawimy wszystko tak jak jest, zjawi się tu miejska - oficjalnie - i zacznie mówić o złej reputacji hotelu. Nie pamiętam, kiedy było ostatnie zabójstwo w hotelu w Vegas. Rzucą się na to jak Tyson na ucho Hollyfielda.

- To prawda. Ale taki nacisk na naszego złodzieja może się przydać. Zmusi go do popełnienia błędu.

- No dobrze, a jeżeli ci od zabójstw z miejskiej dopadną go przed tobą?

Karch posłał Grimaldiemu spojrzenie, które mówiło, że uważa tę myśl za absurdalną.

- Ty decydujesz, Vincent. Marnujemy czas. Chcę obejrzeć taśmę na dole i zabrać się do roboty.

Grimaldi skinął głową.

- W porządku, a więc nie wzywamy glin. Każę przyjść tu kilku ludziom, żeby posprzątaali.

- Dobra decyzja, Vincent - rzekł Karch, choć bez przekonania, by Grimaldi nie był pewien, czy tak jest rzeczywiście. - Chodźmy obejrzeć taśmę.

Obaj wycofali się z apartamentu, zostawiając w łóżku zwłoki grubasa. Na kłamce Grimaldi zawiesił tabliczkę PROSZĘ NIE PRZESZKADZAC.

Rozdział 21

Karch był już przy różnych okazjach w gabinecie Grimaldiego na piętrze kasyna. W Kleopatrze pracował jako tajny konsultant do spraw ochrony - ani śladu w papierach, płatności gotówką - więc najczęściej spotykał się z Grimaldim w jego gabinecie, mimo że zadania, jakie zwykle otrzymywał, miały niewiele wspólnego z tym, co działo się w kasynie na dole. Karch najczęściej zajmował się czymś, co Grimaldi lubił nazywać drugorzędnymi problemami bezpieczeństwa. Jackowi bardzo podobał się status osoby z zewnątrz. Wiedział, że nigdy z własnej woli nie włoży niebieskiego mundurka z wizerunkiem profilu królowej Egiptu na piersi.

Gabinet był duży i bogato urządzone. Składał się z części, gdzie stało biurko, części wypoczynkowej i małego prywatnego baru. , Wchodziło się przez potężne centrum ochrony, gdzie przed ekranami monitorów siedziało kilkudziesięciu techników wideo, obserwujących zmieniające się co chwilę obrazy z setek kamer, których obiektywy śledziły

wnętrze kasyna. Pomieszczenie było słabo oświetlone, a temperatura nie przekraczała sześćdziesięciu pięciu stopni Fahrenheita, ze względu na wrażliwe na ciepło urządzenia elektroniczne. Większość techników pod obowiązkowymi niebieskimi marynarkami nosiła swetry. Jeżeli spotykało się w Las Vegas kogoś, kto latem chodzi do pracy w swetrze, od razu było wiadomo, że cały dzień gapi się w monitory.

Okna po jednej stronie gabinetu Grimaldiego wychodziły na centrum ochrony, a po drugiej - na kasyno. Bezpośrednio za biurkiem Grimaldiego znajdowały się drzwi prowadzące na bocianie gniazdo. Można tam się było dostać tylko przez gabinet, a Vincent nigdy nie zaproponował Karchowi, by popatrzył na kasyno z góry. Jack miał o to żal do Grimaldiego i podejrzewał, że on o tym wie, co tym bardziej go denerwowało.

Kiedy weszli do gabinetu, Karch zauważył, że przy biurku siedzi jakiś mężczyzna i manipuluje przy skomplikowanym zestawie wideo umieszczonym po prawej stronie biurka.

- Co tam masz? - zapytał Grimaldi, zasłaniając żaluzjami okna wychodzące na centrum ochrony.

- Niespodziankę - rzekł człowiek, nie unosząc głowy znad czterech włączonych monitorów.

- Powiedz nam.

Na słowo „nam” technik odwrócił wzrok od ekranów. Skinął Karchowi głową i wrócił do wideo.

- Wydaje mi się, że tego faceta mogła okraść kobieta - powiedział.

Grimaldi podszedł do biurka, by zajrzeć technikowi przez ramię.

- Pokaż.

Karch został po drugiej stronie biurka. Obrzucił przelotnym spojrzeniem obu mężczyzn, a potem spojrzął przez oszklone drzwi prowadzące na bocianie gniazdo. Grimaldi nie zadał sobie trudu, by przedstawić Jackowi technika.

Przez następne pięć minut technik pokazywał wrywkowe ujęcia Hidalga nagrane z różnych kamer wczorajszego wieczoru. Nazywało się to tropem wideo. Na terenie kasyna - każdego kasyna w Las Vegas - było dość kamer, by ani na chwilę nie zgubić osoby, która weszła w tak zwaną sieć wideo. Najlepsi technicy znali na pamięć rozkład kamer w poszczególnych wycinkach sieci i skacząc palcami po klawiszach umieli

przeskakiwać z kamery na kamerę, aby bez przerwy obserwować jakiegoś człowieka.

Coś takiego robił właśnie pracownik Grimaldiego siedzący za biurkiem, tyle że akcja nie działa się na żywo. Zmontował cały trop Hidalgo z poprzedniego wieczoru. Pokazywał im, jak Hidalgo gra w bakarata i black jacka, kilka razy obstawia nawet w ruletce. Niezależnie od rodzaju gry do minimum ograniczał rozmowy z innymi graczami i pracownikami kasyna. Wreszcie kiedy licznik na taśmie pokazał godzinę dwudziestą drugą trzydzieści osiem, zobaczyli, jak Hidalgo kieruje się w stronę recepcji dla VIP-ów, gdzie odbiera ze skrytki matową aluminiową walizeczkę. Od recepcji do windy towarzyszyła mu eskorta - ochroniarz.

- Kto go konwojował? - zapytał Karch.

- Ma na imię Martin - odrzekł Grimaldi. - Sześć całej zmiany. Jest u mnie kilka lat, przeszedł z Nuggeta. Przez cały tydzień był eskortą grubasa.

- Trzeba będzie z nim pogadać.

- Nie wiem, co ci z tego przyjdzie, ale nie ma sprawy. Możesz z nim porozmawiać.

Technik wskazał ekran, który pokazywał dalszy ciąg tropu Hidalgo. Grubas wsiadał do windy w towarzystwie człowieka w niebieskiej marynarce. Hidalgo wyciągnął z kieszeni kartę-klucz i podał Martinowi, który wsunął ją w szczelinę panelu, po czym wcisnął guzik oznaczający najwyższe piętro. Choć taśma nie nagrała fonii, wyraźnie było widać, że ze sobą nie rozmawiali.

- I tu widzimy go ostatni raz - powiedział technik.

- W korytarzu nie ma kamer? - spytał Karch.

- Nie ma. Zgubiliśmy go, gdy wysiadł z windy.

- A wtedy gdy odezwał się alarm przeciwpożarowy? - przypomniał Grimaldi. - Nie pokazał się?

- Nie - odparł technik. - Sprawdziłem wszystkie kamery w windzie i klatkach schodowych. Nie ewaku...

- Chwileczkę - przerwał mu nagle Karch. - Z powrotem. Cofnij taśmę.

Technik zerknął na Grimaldiego, który skinął głową. Przewinął więc taśmę, aż Karch dał mu znak, że wystarczy, po czym włączył odtwarzanie. Patrzyli w milczeniu. Zobaczyli, że Martin powiedział coś do Hidalgo, który zaraz potem sięgnął do kieszeni i wyciągnął kartę. Następnie Martin wcisnął guzik.

- Vincent, mówiłeś, że Martin to szef zmiany?
- Tak. Dlaczego?
- Możliwe, żeby nie miał karty na ostatnie piętro?

Grimaldi milczał przez chwilę, rozważając to, co przed chwilą zobaczył na ekranie monitora i usłyszał od Karcha.

- Sukinsyn. Wziął kartę od Hidalgo, a mógł przecież użyć swojej.
- Chyba że nie miał jej przy sobie.
- Chyba że dał komuś... gdzie ta kobieta, o której mówiłeś?

Technik wstukał jakiś kod wywołania zapamiętanego obrazu i taśma na jednym z monitorów cofnęła się do ustawionej wcześniej klatki. Na ekranie ukazał się ogólny widok na pokój do bakarata. Czynny był tylko jeden stolik, a Hidalgo był jedynym graczem. Używając wbudowanego w panel pokrętki kulkowego, technik przesuwiał taśmę do przodu o kilka klatek naraz. Wskazał palcem na dół ekranu, gdzie widać było jakąś kobietę opierającą się o balustradę, która oddzielała salę do bakarata od reszty kasyna.

- To ona - rzekł.
- Co ona? - spytał Grimaldi.
- Próbuje nie zwracać na siebie uwagi, ale go obserwuje.

Dalej przesuwiał taśmę do przodu. Trzej mężczyźni w ciszy wpatrywali się w monitor. Kobieta wyglądała, jakby przystanąła przy balustradzie, żeby odpocząć - albo na kogoś czekała. Na ramieniu miała nieduży plecak, a w dłoni trzymała czarną torbę. Wyglądała, jak gdyby dopiero co zameldowała się w hotelu i czekała na kogoś, być może męża, który przed pójściem do pokoju zatrzymał się na parę rozdań black jacka. Jednak dwa razy zajrzała do salki, patrząc wyraźnie w stronę Hidalgo. Za każdym razem zatrzymywała na nim wzrok trochę dłużej, niż gdyby miały to być przypadkowe spojrzenia. Zaciekawiła Karcha, choć nie za bardzo.

- Tylko on gra - powiedział. - Na kogo jeszcze miałyby patrzeć?
- To prawda. Ale jej trop też mam.

Wyciągnął jedną kasetę i załadował następną. Grimaldi podszedł bliżej, żeby lepiej widzieć. Karch oparł się dłońmi o biurko i przechylił w stronę monitora. Taśma pokazywała kobietę, która o dwudziestej weszła do kasyna z dwiema torbami i skierowała się do recepcji dla VIP-ów, gdzie dostała kopertę.

- Tam musi być klucz - rzekł Grimaldi. - Pieprzony klucz Martina!

Karch pomyślał tak samo, lecz nic nie powiedział. Sądził też, że ciemne, długie loki zasłaniające twarz tej kobiety to peruka. Przyglądał się, jak odwraca się w stronę telefonu w hallu, prawdopodobnie otwierając kopertę poza zasięgiem obiektywów kamer. Następnie odwraca się i idzie w stronę kasyna. Nie waha się, idzie opanowanym krokiem. Jej torby wyglądają na ciężkie, mimo to kobieta trzyma je dość pewnie.

Kamery śledziły ją, jak idzie przez kasyno i zbliża się do windy wieżowca Euftrat.

- Fachowiec - powiedział technik. - Ani razu nie popatrzyła w górę. Nic nie widać. Te włosy i kapelusz... Równie dobrze mogłaby chodzić pod parasolem.

Patrząc w monitor, Karch uśmiechnął się. Technik miał rację. Kobieta rzeczywiście była fachowcem, a wiedząc już, co zrobiła na górze, Jack poczuł, że jest nią zafascynowany. Mimo przebrania potrafił zobaczyć na nagraniu wideo parę istotnych szczegółów. Młoda, może trzydzieści kilka lat, napięta skóra na podbródku, zarys szczęki pod rondem kapelusza zdradzający zdecydowanie. Brak kolczyków, pierścionków czy innej widocznej biżuterii. Nic, co mogłoby przeszkadzać. Nic poza celem, który miała przed sobą. Karch żałował, że nie widzi jej oczu, bo byłby to widok szczególnie.

W windzie kobieta wyjęła kartę z tylnej kieszeni spodni i wduśliła guzik ostatniego piętra.

- Proszę, ma klucz - powiedział Grimaldi.

Karch chciał, żeby Vincent się zamknął i patrzył, lecz nic nie powiedział.

- Dobra - powiedział technik, wstukując w klawiaturę nowe polecenie. - Wsiada z windy na dwudziestym. Potem jednak widać ją jeszcze dwa razy.

- Dwa? - zdziwił się Grimaldi.

- Tak. Jest. Pierwszy raz schodzi na dół, żeby się z kimś spotkać, ale ta osoba się nie pojawiła.

Wskazał na monitor, gdzie ukazał się dalszy ciąg wideotropu. Trzej mężczyźni oglądali ją w milczeniu, jak na ujęciach z kolejnych kamer idzie przez kasyno, wchodzi do baru, siada przy wolnym stoliku i zamawia coś u kelnerki. Taśma przeskoczyła dwanaście minut naprzód i

pokazała kobietę, która nadal siedziała sama, ale stały przed nią dwa drinki.

- Co jest? - odezwał się Grimaldi. - Mówiłeś przecież, że nikt się nie zjawił.

- Bo tak było - odrzekł technik. - Zamówiła dwa drinki, ale nikt nie przyszedł.

- Może po prostu to obejrzymy, dobrze? - powiedział Karch rozdrażniony ich paplaniną.

Kobieta na ekranie rozejrzała się ukradkiem, jak gdyby chciała się upewnić, że nikt nie patrzy, a potem uniosła szklankę. Napój zdaniem Jacka wyglądał jak cola. Kobieta wyciągnęła rękę i stuknęła swoją szklanką w stojącą po drugiej stronie małego stolika szklankę z piwem. Karch zbliżył twarz do monitora, przyglądając się uważnie jej ustom, ponieważ kobieta głośno coś powiedziała.

- Chyba śledziłeś niewłaściwą osobę - zauważył Grimaldi. Mówił podniesionym ze zdenerwowania głosem. - Baba siedzi i gada sama do siebie. Nie mamy czasu na...

- Chwileczkę, proszę pana. Niech pan popatrzy na to. Wraca do windy i jedzie z powrotem na dwudzieste piętro.

Technik przewinął taśmę do przodu.

- A potem nie widać jej aż do czwartej. Wtedy wraca na dół i prosię zobaczyć, co niesie. Na górę pojechała z dwiema torbami i wraca też z dwiema, ale coś jest nie tak.

Kobieta ponownie zjawiła się w kasynie, szybkim krokiem mijając szczupłe o tej porze grono najbardziej zatwardziałyh hazardzistów. Karch od razu zorientował się, że technik ma rację. Coś się zmieniło. Na ramieniu miała plecak, ale sportowa torba zniknęła. Zamiast niej kobieta niosła dużą torbę z czarnego brezentu zaopatrzoną w dwa paski. Technik wcisnął klawisz i zatrzymał obraz. W torbie znajdował się jakiś prostokątny przedmiot, którego kształt był wyraźnie widoczny przez płótno. Walizka grubasa.

- To dziwka - wycedził spokojnie Grimaldi. - Zabrała moje pieniądze.

- Śledziliście ją, jak wychodziła? - spytał Karch.

Technik ponownie uruchomił taśmę, bez słowa wskazując na ekran.

Kamery odprowadziły kobietę przez całe kasyno, aż do południowego wyjścia. Nie było to główne wejście ani wyjście Kleopatry. Karch

wiedział też, że nie można tamtędy dojść na parking ani podjazd dla gości. Wyjście prowadziło na chodnik, którym można było dostać się na Las Vegas Boulevard.

- Nie wyszła głównymi drzwiami, Vincent - powiedział.

W jego głosie zabrzmiał taki niepokój, że Grimaldi oderwał wzrok od monitora i uniósł brwi. Stary dosłyszał ton, lecz nie rozumiał jego znaczenia.

- Nie zaparkowała tutaj, bo nie chciała, żeby kamery widziały jej wóz - wyjaśnił Karch. - Zaparkowała gdzie indziej i kawałek się przeszła.

Pokazał ekran, na którym nie było już żadnego obrazu.

- Południowe wyjście - rzekł. - Poszła w stronę Flamingo.

Grimaldi z podziwem przytaknął.

- As kier. Znasz tam kogoś?

Karch skinął głową.

- Nie ma sprawy.

- To idź.

- Chwileczkę, Vincent. A co z Martinem? Powinniśmy zacząć od niego.

- Ja się nim zajmę. Ty idź po forse, Jack. Forsa jest najważniejsza, a czasu coraz mniej.

Karch skinął głową. Prawdopodobnie Grimaldi rozumował słusznie. Jack pomyślał o asie kier znalezionym na górze. Idź za pieniędzmi. Idź za kartą pieniądza.

- No, na co jeszcze czekasz?

Karch otrząsnął się z zamyślenia i spojrzał na Grimaldiego.

- Już idę.

Jeszcze raz rzucił okiem przez oszklone drzwi na bocianie gniazdo, po czym ruszył w stronę wyjścia. Przystanął przy drzwiach.

- Vincent, może wyślesz kogoś na górę do drugiego pokoju, żeby sprawdził otwory wentylacyjne?

- Po co?

- Weszła tu z plecakiem i torbą sportową. Wyszła z plecakiem i walizką. Gdzie jest sportowa torba?

Grimaldi zamilkł na moment, zastanawiając się. Po chwili uśmiechnął się. Był pełen uznania, że Karch zauważył brak torby.

- Sprawdź, Jack. Będziemy w kontakcie. I pamiętaj, zegar cały czas tyka.

Karch udał, że strzela do niego z palca, a potem zniknął za drzwiami.

Rozdział 22

Karch wyszedł z Kleopatry tą samą drogą co przed kilkoma minutami kobieta na nagraniu wideo. Przemykając się między stołami i omijając idiotów, którzy zastępowali mu drogę, myślał tylko o niej. Mało brakowało, żeby udał się jej skok doskonały. Gdyby nie jedno przeciągłe spojrzenie za dużo, które posłała ofierze, stojąc przy balustradzie. Jedyny błąd, jaki popełniła. W przeciwnym razie prawdopodobnie nadal dreptałiby w miejscu, bez żadnego punktu zaczepienia. Mimo wszystko kobieta imponowała Jackowi. Nie mógł doczekać się chwili, kiedy ją pozna. Ani przez chwilę nie wątpił, że do tego dojdzie. Była dobra w tym, co robiła, ale on był lepszy. Musieli się w końcu spotkać.

Potrącił jakiegoś człowieka w szortach, który wlaźł mu pod nogi, spoglądając z roztargnieniem przez szklane panele atrium.

- Może byś pan przeprosił - zaprotestował gracz.

Karch obejrzał się, nie zwalniając kroku.

- Spadaj, gnojku. Idź lepiej dalej przegrywać forszę.

- Hej! - zawołał za nim facet.

Karch przystanął i odwrócił się do niego. Człowiek zaraz się zorientował, że trochę przesadził, więc zaczął człapać w przeciwnym kierunku. Jack patrzył za nim, dopóki facet się nie obejrzał, a ich spojrzenia się spotkały. Karch uśmiechał się, dając mu do zrozumienia, że spławił go jak dzieciaka.

Jack szedł korytarzem Nilu, zmierzając ku wyjściu, którym wyszła nad ranem kobieta. Potem znalazł się w pasażu, którym mógł dojść do Flamingo oddalonego o jedno skrzyżowanie. Kiedy dotarł do szacownego, kilkakrotnie remontowanego i rozbudowywanego kasyna, zdał sobie sprawę, że potrzebuje trochę gotówki. Zbeształ się w myślach za to, że nie poprosił Grimaldiego o zaliczkę na wydatki. Przez chwilę miał ochotę wrócić, ale potem pomyślał, że Vincent wścieknie się na takie przeciąganie sprawy. Rozejrzał się po kasynie i znalazł bankomat,

z którego po chwili wziął trzysta dolarów - tyle, na ile pozwalał stan jego konta. Don Cannon zwykle brał od niego pięć stów za trop, ale dziś powinny wystarczyć trzy. Jack nie sądził, aby z Cannonem były jakieś kłopoty. Dostał pieniądze w banknotach studolarowych, inaczej niż w innych bankomatach poza kasynem. Stojąc pod maszyną, Jack złożył pieniądze wóół, by można je było ukryć w dłoni. Potem zgnióół banknoty i ukrył w prawej dłoni, którą lekko przymknął, następnie naturalnym gestem opuścił rękę wzdłuż boku. Na myśl przyszły mu ręce z rzeźb Michała Anioła. Mistrza. Wyobraził sobie prawą rękę Dawida luźno zwieszoną wzdłuż boku. Albo swobodnie spoczywające na grobie Lorenza de Medici dłonie Zmierzchu. Ojciec Karcha jako młody człowiek pojechał do Włoch, by studiować dłonie mistrza. Syn nie musiał się fatygować. W rotundzie handlowej w Pałacu Cezara znajdowała się oryginalnej wielkości replika Dawida Michała Anioła.

Karch podszedł do telefonów w hallu i podniósł słuchawkę aparatu wewnętrznego. Poprosił o połączenie z Donem Cannonem z ochrony, potem zgłosił się ktoś inny i zapytał go o nazwisko. Znów kazano mu czekać, tym razem ponad minutę. Przez ten czas Jack zastanawiał się, co powie Donowi. Cannon był szefem zmiany w pokoju telewizyjnym. Poznali się przy okazji sprawy zaginięcia przed pięciu laty i od tego czasu chętnie - i za odpowiednią cenę - współpracował z Karchem. W ciągu kilkunastu lat pracy w pasażu Jack nawiązał podobne kontakty prawie w każdym kasynie. Wszystkie były w pełni legalne - prócz kontaktów z Vincentem Grimaldim. Tak czy inaczej, teraz jednak wiedział już, jak się wyrwać z jego rąk.

Po drugiej stronie ktoś warknął:

- Jack Karch?!
- Don? Co u ciebie?
- Silny, zwarty, gotowy. Czym mogę służyć?
- Pracuję nad pewną sprawą. Chyba twoje kamery będą mi mogły pomóc.
- Musisz skorzystać z magii elektronicznej, co? O co chodzi?
- Mniej więcej o to, co zwykle. Jakaś panienka okradła faceta w egipskiej. Zadzwońił po mnie, bo chce załatwić rzecz dyskretnie, rozumiesz. Bez glin, oficjalnych zgłoszeń. Baba zabrała mu jakąś biżuterię - zegarek i pierścień - pamiątkową, jak twierdzi. No wiesz, grawerowanie

i takie tam bzdury. Nie może ich wymienić od ręki, a jeżeli wróci jutro do Memphis bez tego, będzie się musiał tłumaczyć przed żoną.

- Rozumiem. Co to ma wspólnego z Flamingo?

- Ta dziwka chyba u was zaparkowała - na parkingu od strony Koval. Facet poznał ją wczoraj wieczorem w barze u Bugsy'ego, potem taksówką pojechali do egipskiej. Okradła go, kiedy gość padł. Widziałem na wideo, jak przez kasyno wyszła na ulicę, a potem chyba przyszła tu. Około czwartej rano.

- Czekał, mówisz „tu”. Dzwonisz stąd?

- Jestem na dole.

- Czemu od razu nie mówisz? Właż na górę.

Odłożył słuchawkę, zanim Karch zdążył cokolwiek powiedzieć. Jack poszedł do windy i wjechał na drugie piętro. W windzie wyjął z tylnej kieszeni spodni chustkę, zwinął w kulę i wsunął do przedniej kieszeni marynarki. Wcisnął ją głęboko, tak że nie było jej widać, ale kieszeń była rozchylna na szerokość cala. Następnie poszukał w kieszeni drobnych i znalazł ćwierćdolarówkę i dziesięć centów. Obie monety były w miarę nowe i lśniące. Jack pochylił się i włożył ćwierćdolarówkę do jednego buta, a dziesięć centów do drugiego. Potrząsnął najpierw lewą, potem prawą nogą, by monety znalazły się pod podbiciem stóp. Miał nadzieję, że Cannon nie przygląda mu się teraz przez kamerę.

Wysiadłszy z windy, poszedł w lewo, gdzie znajdowało się wejście do siedziby ochrony. Nacisnął guzik brzęczyka przy stalowych drzwiach. Nad przyciskiem był zamontowany głośnik z mikrofonem, ale urządzenie milczało. Po pięciu sekundach odezwał się brzęczyk, drzwi otworzyły się i Karch wszedł.

Don Cannon był wysokim i krępkim, ciemnowłosym mężczyzną. Miał gęstą brodę i nosił okulary. Prawdopodobnie dostał tę pracę dzięki swojej posturze i możliwościom fizycznym przydatnym w pewnych sytuacjach w kasynie. Jednak po latach awansował i odtąd oglądał kasyno jedynie na ekranach monitorów, w które gapił się razem ze swoimi ludźmi w tak zwanej sali telewizyjnej. Czekał na Karcha w małym przedsionku po drugiej stronie stalowych drzwi. Jak zwykle uściślił sobie dłonie. Złożone banknoty przemieściły się gładko z jednej ręki do drugiej. We Flamingo, podobnie jak w innych hotelach w pasażu, nie akceptowano przyjmowania jakiegokolwiek wynagrodzenia za pomoc w śledztwach kryminalnych. Jednak Karch znał wartość takich gratyfikacji, dzięki którym następnym razem znów mógł usłyszeć przyjazny

brzęczyk w stalowych drzwiach.

- Trochę krucho dziś u mnie z kasą - powiedział cicho Karch. - Przy następnej okazji wyrównam, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

- Nie ma sprawy. Kiedy byłeś w drodze, załadowałem obrazki z czwartej rano. Chodź.

Chowając pieniądze do kieszeni, Cannon poprowadził Jacka do sali telewizyjnej, która wyglądała trochę inaczej niż centrum ochrony w Kleopatrze. Technicy siedzieli w rzędach składających się z dwudziestu pięciu stanowisk roboczych i bez przerwy popatrywali z ekranu na ekran, za pomocą klawiatury i joysticków wybierając kamery, zmieniając kąt, powiększając i pomniejszając obraz. Przyglądali się wszystkiemu, ale przede wszystkim pieniądzom. Wszystko sprowadzało się do pieniędzy.

Cannon wszedł na podwyższenie na końcu sali, gdzie stała samotna konsola. Jako szef mógł oglądać obraz z kamer, równocześnie monitorując swoich techników.

- Mówiłeś, że przyszła z egipskiej, tak? Szła pieszo?

Cannon usiadł na krześle na kółkach i podjechał bliżej stanowiska. Karch stanął za jego plecami.

- Wszystkie na to wskazuje. Parę minut po czwartej.

- To miała niezły spacer. Dobra, zobaczymy. Zaczniemy od wejścia północnego.

Jego palce poczęły śmigać po klawiaturze, wstukując polecenia przeszukania. Don nie przestawał przy tym gadać.

- Od twojej ostatniej wizyty przeszliśmy na cyfrowy. Zasuwa jak ta lala.

- Super.

Karch nie wiedział dokładnie, co „cyfrowego” ma na myśli Cannon, ale nie było to najważniejsze.

- Mamy drzwi od czwartej. Dam podwójną prędkość obrazu, aż coś zauważysz.

Wskazał duży monitor znajdujący się dokładnie naprzeciw jego twarzy. Ekran był podzielony na dwadzieścia cztery kwadraty, z których każdy pokazywał obraz z kamery ustawionej pod innym kątem. Kiedy Cannon za pomocą joysticka przesunął strzałkę na jeden z kwadratów i wcisnął enter, obraz z tego wycinka zajął cały ekran. Umieszczona pod sufitem kamera pokazywała automatycznie otwierane szklane drzwi.

Obraz poruszał się szybko. W pewnej odległości za drzwiami przejeżdżały samochody, a ludzie zdawali się biegać truchtem po chodnikach. Karch uważnie wpatrywał się w ekran i w postaci przechodzące przez drzwi od czasu do czasu.

- Jest! - powiedział po niecałych trzech minutach. - To chyba ona. Cofnij.

- W porządku.

Cannon cofnął cyfrowy zapis i postać, która tak szybko przemknęła przez drzwi, pojawiła się z powrotem, wychodząc przez nie tyłem.

- Jest.

Obraz zatrzymał się, a potem ruszył do przodu w zwolnionym tempie. Drzwi rozsunęły się i weszła kobieta, którą Karch oglądał na monitorach w Kleopatrze. Miała plecak i torbę z walizeczką grubasa w środku.

- To ona.

- Nieźle wygląda jak na dziwkę. Ciekawe, ile sobie liczy.

- Mój klient mówił, że minimum pięć setek.

Cannon gwizdnął.

- To się nazywa złodziejstwo. Wszystko jedno, jak kobieta wygląda. Żadna dupa nie jest warta pięciu setek.

Karch zaśmiał się z obowiązku.

- Wzięła też bagaż tego gościa?

- Tak. Ale za bardzo mu na nim nie zależy. Chce tylko zegarek i pierścionek.

- No, nie wiem. Trzyma tę torbę, jak gdyby miała tam całe złoto z Fortu Knox.

Karch zaczął się pocić. Miał nadzieję, że Cannon pokaże mu po prostu zapis, nie próbując za bardzo interpretować obrazu.

- Zobaczmy, dokąd poszła - powiedział w nadziei, że Cannon przestanie analizować to, co widzi, i przejdzie dalej.

Chyba podziałało. Cannon zamilkł, przełączając monitor na obraz z kolejnych kamer. Kobieta przeszła przez budynek, wychodząc przez tylne wyjście, skąd skierowała się na ośmiopoziomowy parking znajdujący się od strony Koval Road.

- Chyba ma na głowie perukę, ale i tak wygląda na nową - zauważył wreszcie Cannon po pięciominutowej ciszy. - Jak chcesz, mogę ją sprawdzić w koszu z dziwkami.

- W koszu z dziwkami?

- Tak to nazywamy. Mamy większość pańienek z miasta w komputerze. Wystarczy wprowadzić zdjęcie, żeby znaleźć nazwisko. Kłopot w tym, że ani razu nie podniosła głowy. Na razie nie ma żadnego w miarę wyraźnego ujęcia.

I nie będzie, pomyślał Karch, a głośno powiedział:

- Zobaczmy, co robi, a potem będziemy się martwić.

Kobieta wjechała windą na ósmy poziom, gdzie skierowała się w stronę niebieskiej nieoznakowanej furgonetki, zaparkowanej tyłem w najbardziej oddalonym od windy miejscu. O tej porze górne poziomy parkingi były prawie puste. Na dwudziestu miejscach z obu stron furgonetki nie było ani jednego samochodu.

- Nie ma tablicy rejestracyjnej - rzekł Cannon. - Zdaje się, że dziewczyna jest ostrożna. Jesteś pewien, że to dziwka, Jack? Mówiłem już, że nie wydaje mi się znajoma, a poza tym dziewczynki zwykle mają kierowców. Zwłaszcza te po pięćset za godzinę.

Karch nie odpowiedział. Uważnie wpatrywał się w ekran. Kobieta otworzyła kluczykiem drzwi po stronie kierowcy, wrzuciła torby i wsiadła. Włączyła silnik i światła samochodu. Zanim wrzuciła bieg, sięgnęła do tyłu i zapukała w przepierzenie oddzielające siedzenia z przodu od przestrzeni bagażowej. Karch zauważył, że jej usta poruszają się. Mówiła coś do kogoś, kto siedział z tyłu furgonetki.

- Don, pokaż mi jeszcze raz ten fragment, co?

- Nie ma sprawy.

Cannon cofnął cyfrowy zapis obrazu i Jack znów zobaczył, jak kobieta puka w ściankę. Don zatrzymał obraz, wstukał kilka poleceń, starając się go oczyścić. Potem przełączył na kulkowe pokrętko i wolno przesunął obraz do przodu.

- Coś powiedziała - zauważył. - Nie wiem... wyglądało na coś w rodzaju „czujesz?” albo „żyjesz?”.

- Powiedziała „żyjesz” - rzekł Karch.

- Cholera, Jack, chyba masz rację. Niezły jesteś, stary. Przydałbyś się nam tutaj.

- Chyba bym zwariował, gdybym musiał cały tydzień siedzieć w jednym pokoju. Będziesz mógł pokazać mi tył samochodu?

- Jak tylko wyjedzie z parkingu.

Cannon wrócił do ekranu podzielonego na dwadzieścia cztery kwadraty - na których teraz widać było tylko różne punkty parkingu - i obserwował furgonetkę, jak mijała siedem poziomów i wyjeżdżała na

Koval Road. Przy wyjeździe mniej więcej na wysokości tablic rejestracyjnych była umieszczona kamera. Furgonetka nie miała też tablicy z tyłu.

- Cholera! - krzyknął Karch, zdziwiony gwałtownością swojego wybuchu.

- Czekaj chwilę - powiedział Cannon.

Cofnął zapis i włączył jeszcze raz w zwolnionym tempie. Potem zatrzymał obraz, równocześnie go powiększając. Jack spojrział na niego, potem na monitor i wreszcie zrozumiał, co Don robi. Samochód nie miał tablic, ale z lewej strony zderzaka miał naklejkę parkingową. Kiedy Cannon powiększył tę część obrazu, duże litery i cyfry stały się niemal wyraźne. Karch odczytał liczbę oznaczającą bieżący rok i próbował przeczytać litery, gdy nagle Cannon gwizdnął.

- Co jest?

- Wygląda mi na HLS.

- Mnie też. Co to jest?

- Zakłady elektryczne Hootena. No wiesz, robią cały ten szmelc. - Pokazał konsolę przed sobą.

- No, dobrze.

Karch nie wiedział, co jeszcze powiedzieć. Przez to odkrycie historyjka, którą opowiedział Cannonowi, zaczęła wyglądać na mało prawdopodobną. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, jak zimno jest w sali telewizyjnej. Zaplótł ręce na piersi.

- Coś tu nie gra - rzekł Cannon. - Dziwka sama prowadzi wóz Hootena. Jesteś pewien, że ten twój, hm, klient mówił prawdę?

Spojrzał na Karcha, który uznał, że musi jakoś się wyplątać z tej sytuacji.

- Nie. Ale będę to musiał ustalić, zanim zrobię następny krok w tej sprawie. Jeżeli facet kłamie, to się wkurzę. Dzięki za pomoc, Don. Lepiej wróć do egipskiej i pogadam z tym gościem.

- Taa, podejrzana rzecz. Może jednak chcesz przejrzeć kosz z dziwkami? Mamy tam prawdziwe piękności.

Karch zmarszczył brwi, kręcąc przecząco głową.

- Nie, może później. Najpierw muszę pogadać z tym facetem, zobaczyć co i jak. Aha, i dostaniesz resztę za przysługę.

Karch wskazał głową aparaturę wideo.

- Daj spokój. W każdym razie mam wrażenie, że więcej ci namieszałem, niż wyjaśniłem. Chciałbym tylko, żebyś mi pokazał jakąś sztuczkę. Możesz?

Jack rozpoczął swój numer, udając, że prośba Cannona zupełnie go zaskoczyła.

- No...

Poklepał się po kieszeniach, szukając drobnych.

- Masz jakieś drobne? Ćwierć dolca albo dziesiątkę?

Cannon odchylił się na krzesło, by poszperać w kieszeni spodni. Wreszcie wyciągnął garść bilonu. Karch podwinął rękawy po łokcie, po czym prawą ręką wziął z dłoni Cannona nową i najbardziej lśniąca monetę ćwierćdolarową. Potem odegrał słynny numer wymyślony przez J.B. Bobo. Tę wymagającą zręczności sztuczkę ze znikającą monetą zaczął ćwiczyć w wieku dwunastu lat. Umiał ją zrobić przez sen. Prezentował ją jak zawodowiec, z lekkością i płynnością ruchów rasowego iluzjonisty.

Uniósł prawą rękę na wysokość piersi i położył na dłoni monetę, którą przytrzymał między kciukiem a pozostałymi palcami, przechylając ją lekko, by Cannon widział awers. Następnie przysunął lewą dłoń nad prawą, jak gdyby chciał zabrać monetę. Zamykając lewą dłoń nad pieniążkiem, rozprostował lekko palce prawej ręki, pozwalając monecie wpaść do jej wnętrza i udając równocześnie, że teraz trzyma ją w lewej dłoni.

Zacisnął lewą dłoń w pięść, wyciągając ją w stronę Cannona. Zaczął poruszać palcami, jak gdyby chciał zmiążdżyć rzekomo znajdującą się tam monetę na proszek. Jednocześnie prawą ręką zaczął wykonywać koliste ruchy nad zaciśniętą dłonią, nie odrywając od niej spojrzenia.

- Ence-pence, w której ręce...?

Koła stawały się coraz szersze i nagle Jack pstryknął palcami i otworzył obie dłonie, pokazując ich wnętrza Cannonowi. Monety nie było. Don obrzucił szybkim spojrzeniem ręce Jacka, a potem twarz rozjaśnił mu szeroki uśmiech. Zawsze tak reagował. Sztuczka opierała się na dwóch zmyłkach. Sceptyczny widz jest przekonany, że moneta została w lewej dłoni, ale ze zdumieniem stwierdza, że nie ma jej ani w jednej, ani w drugiej.

- Fantastyczne! - wykrzyknął Don. - Gdzie teraz jest moneta?

Karch pokręcił głową.

- Z tym będzie kłopot. Nigdy nie wiadomo, gdzie się znajdzie. Nie opanowałem jeszcze tej części. Lepiej dolicz tę ćwiartkę do mojego rachunku.

Cannon wybuchnął głośnym śmiechem.

- Supergość z ciebie, Jack. Skąd to znasz, nauczyłeś się od ojca?
- Tak.
- Ciągłe występuje?
- Nie, dawno już z tym skończył.
- Pracował kiedyś w pasażu, nie?
- Zgadza się, raz tu, raz tam. W latach sześćdziesiątych. Tydzień występował w Sands przed Joeyem Bishopem, który występował przed Sinatrą. Mam zdjęcia wszystkich trzech.

- Super! Szczurza Paczka. Stare dobre czasy, co?

- No, czasem były dobre.

Karch przypomniał sobie widok ojca, kiedy wrócił do domu ze szpitala po zajściu w „Circus, Circus”. Obie ręce w białych bandażach. Wyglądał, jakby trzymał w nich dwie wielkie białe piłki baseballowe. Jego oczy zdawały się spoglądać na coś bardzo, bardzo dalekiego.

Karch zdał sobie sprawę, że przestał się uśmiechać, i popatrzył na Cannona.

- Będę uciekał. Muszę się zająć sprawą. Dzięki za pomoc. Wyciągnął do niego rękę, a Don uściśnął ją.

- Zawsze do usług, Jack.

- Nie musisz mnie odprowadzać.

Odwrócił się w stronę schodów i zaczął iść. Po chwili jednak przystanął i oparł się o balustradę.

- Co jest do...?

Podniósł lewą nogę i zdjął but. Nie patrząc na Cannona, choć ze świadomością, że ten mu się przygląda, zajrzał do buta i potrząsnął nim. W środku coś zagrzechotało, więc obrócił but podeszwą w górę, a wtedy na jego dłoń wypadła ćwierćdolarówka, którą Jack wcześniej tam włożył. Uniósł ją w górę i spojrzał na Cannona. Barczysty ochroniarz walnął pięścią w konsolę i zaczął się uśmiechać, kręcąc z niedowierzaniem głową.

- To draństwo, mówiłem ci - powiedział Karch. - Nigdy nie wiadomo, gdzie wlezie.

Rzucił monetę Cannonowi, który chwycił ją w locie.

- Zatrzymam ją, Jack. Niech mnie szlag, jeżeli to nie magia.

Karch zasalutowował mu i wyszedł z sali telewizyjnej. Dopiero kiedy już był poza obrębem Flamingo i zasięgiem kamer Cannona, wyciągnął z kieszonki na piersi chustkę i ćwierćdolarówka, którą wrzucił tam, wykonując koliste ruchy prawą ręką.

Dziesięciocentówkę postanowił wyciągnąć z buta później, gdy gdzieś usiądzie.

Rozdział 23

Półtorej godziny minut później Karch z telefonem komórkowym w dłoni stał przed ogrodzonym parkingiem dla pracowników zakładów elektrycznych Hootena. Dokładnie po drugiej stronie ogrodzenia parkowała niebieska furgonetka, która, jak wynikało z zapisu wideo, sześć godzin temu wyjechała z parkingu przy Flamingo. Tyle że teraz na tylnym zderzaku miała już tablicę rejestracyjną. Karch spacerował nerwowo, czekając na telefon. Zastrzyk adrenaliny spowodował, że z tyłu czaszki zaczynał czuć lekkie podniecające mrowienie. Był coraz bliżej. Bliżej pieniędzy i tej kobiety. Odchylił w tył głowę i dzięki temu gestowi ów dreszcz przeniósł się z kręgosłupa wprost do mózgu.

Kiedy zadzwonił telefon, jego kciuk spoczywał już na przycisku.

- Karch.

- Tu Ivy. Mam.

Ivy był detektywem w miejskiej i nazywał się Iverson. Od dawna sprawdzał dla Jacka numery rejestracyjne za pięćdziesiąt dolarów sztuka. Robił też inne rzeczy za odpowiednią cenę, dzięki swojej odznace zarabiając drugie tyle co w policji. Karch zawsze był ostrożny, zwracając się do niego z jakąś prośbą, nawet gdy chodziło o zupełnie legalną sprawę. W ciągu wielu lat doświadczeń z policją nauczył się, że wobec gliniarzy trzeba zachować tę samą przezorność i dystans co wobec prostytutek, właścicieli lombardów i kasynowych cwaniaczków, z którymi miał do czynienia dość regularnie.

Karch przekrzywił głowę, przytrzymując telefon między uchem a ramieniem i wyciągając notes z długopisem.

- Co masz?

- Wóz zarejestrowany na Jerome'a Zandera Paltza, czterdzieści siedem lat. Adres: Mission Street trzysta dwanaście. To w północnej części Las Vegas. Sprawdziłem go też w głównej kartotece, jest czysty. Zrobiłem to gratis, nawiasem mówiąc.

Karch przerwał pisanie już po „Zander”. Znał Jerome'a Paltza. A w każdym razie był prawie pewien, że go zna. Znał Jersey'a Paltza, który pracował u Hootena za ladą. Zawsze sądził, że jego imię ma związek z miejscem pochodzenia Paltza. Teraz zdał sobie sprawę, że „Jersey” to zapewne „dwa w jednym” - złożenie pierwszego i drugiego imienia.

- Hej, szefie, jesteś tam?

Karch otrząsnął się z zamyślenia.

- Tak. Dzięki, Ivy. To mi rozwiązuje problem.

- Naprawdę? Jaki?

- Nic takiego. Dostałem taką rzecz do sprawdzenia na budowie Venetian. Kilka razy pokazała się tam ta furgonetka i zacząłem coś podejrzewać. Ale Paltz figuruje na liście dostawców. Pracuje u Hootena, który instaluje tam kamery. Możesz wykreślić i zapamiętać.

- A co tam mają, jakąś kradzież?

- Tak, giną głównie materiały budowlane. Wóz tego Paltza nie jest oznakowany, więc pomyślałem sobie, że lepiej go sprawdzić.

- I wracasz do punktu wyjścia, co? Szukasz złodzieja z taczką.

Karch miał wrażenie, że Iverson powiedział to z uśmiechem.

- Właśnie. Ale dzięki, stary. Stracę trochę mniej czasu.

- Na razie.

Karch zamknął kłapkę telefonu i spojrzał przez ogrodzenie na niebieską furgonetkę, zastanawiając się, co teraz ma zrobić. Trop prowadzący do Paltza stanowił pewną niespodziankę.

Wreszcie ponownie włączył telefon i zadzwonił do informacji, skąd dostał numer centrali Hootena. Zadzwonił tam i poprosił Jersey'a Paltza, który odezwał się po upływie pół minuty.

- Jerome Paltz?

Chwila ciszy.

- Tak, a kto...?

- Jersey Paltz?

- Kto mówi?

- Jack Karch.

- A... O ci chodzi z tym Jerome'em? Nikt nigdy...

- Ale tak się nazywasz, nie? Jerome Zander Paltz. Stąd wziął się Jersey.

- No, tak, ale jak dotąd nikt...

- Musisz wyjść z salonu. Natychmiast.

- O czym ty mówisz?

- Mówię, żebyś zaraz wyszedł z salonu. Czekam. Wyjdź przez parking dla pracowników. Zaparkowałem przy ogrodzeniu, tam gdzie postawiłeś swój samochód.

- O co chodzi? Ja nic...

- Powiem ci, kiedy wyjdiesz. Być może jeszcze jestem w stanie ci pomóc, ale musisz pracować dla mnie. Dlatego powtarzam, wyjdź w tej chwili.

Zanim Paltz zdążył odpowiedzieć, Karch wyłączył telefon. Potem podszedł do swojego samochodu i wsiadł. Był to czarny lincoln - stylizowany na stary model towncar z wielkim bagażnikiem. Przez przyciemniane szyby z zewnątrz nic nie można było zobaczyć. Jack lubił swój wóz, ale bak opróżniał się za szybko, a jego często brano za kierowcę limuzyny. Poprawił lusterko wsteczne, by widzieć wejście na parking znajdujące się trzydzieści jardów od samochodu. Rozpiął marynarkę i wyciągnął z kabury sig-sauera dziewięć. Następnie sięgnął pod siedzenie i między sprężynami namacał tłumik, który tam ukrył. Oderwał mocujące go taśmy, po czym przykręcił tłumik do pistoletu, który położył z boku, między siedzeniem a drzwiami.

Po pięciu minutach Karch zobaczył w lusterku Jersey Paltza, który zmierzał w kierunku lincolna. Palił cygaretkę i szedł zdecydowanym krokiem, zdradzającym rozdrażnienie. Karch uśmiechnął się. Zapowiadała się niezła zabawa.

Paltz wsiadł do samochodu, zajmując fotel z przodu. Sapał ze złością, a jego oddech miał zapach cebuli.

- Lepiej, żeby to było coś ważnego. Jestem w pracy.

Karch spojrzał na niego, zwlekając z odpowiedzią i czekając, aż Paltz na niego popatrzy.

- Mam nadzieję.

Powiedział tylko tyle.

Paltz czekał jeszcze chwilę, a potem wybuchnął:

- Kurwa, czego ode mnie chcesz?

- Nie wiem. Powinienem zapytać, czego ty chcesz? To ty dałeś mi znać.

- O czym ty mówisz? Dzwonisz, a potem...

Karch wybuchnął śmiechem, na co Paltz zamilkł z niepewną miną. Jack przekręcił kluczyk, włączając silnik. Szybko wrzucił bieg, spoglądając przez lewe ramię, by włączyć się do ruchu. Usłyszał, jak automatycznie zamyka się zamek centralny.

- Hej, zaczekałbyś chwilę - zaprotestował Paltz. – Jestem w pracy, człowieku. Nigdzie nie poje...

Próbował otworzyć drzwi, ale nie mógł. Kiedy zaczął się rozglądać za guzikiem odblokowującym zamek, Karch dodał gazu i wyjechał na ulicę.

- Uspokój się, nie otworzysz drzwi podczas jazdy. Takie zabezpieczenie. Myślę sobie, że Ted Bundy powinien jeździć lincolnem.

- Niech cię szlag - powiedział Paltz, wymachując z obrzydzeniem rękami. - Dokąd jedziemy?

- Masz kłopoty, Jerome - rzekł spokojnie Karch.

Skręcił na zachód w Tropicane. Zobaczył szczyty gór wznoszące się ponad wysokimi budynkami.

- O czym ty mówisz? Nie mam żadnych kłopotów. Nie rozmawiałem z tobą od roku, poza tym nie nazywaj mnie tak.

- Jerome Zander Paltz... Jerry Z... Jerr-SEY. Jakie imię chcesz mieć wyryte na kamieniu?

- Jakim kamieniu? Mógłbyś...

- Kamieniu nagrobnym.

Paltz wreszcie zamilkł. Karch posłał mu krótkie spojrzenie i pokiwał głową.

- Sam widzisz, że to cholernie poważna sprawa. Widziano twój samochód. Dziś w nocy. Mam to na taśmie.

Paltz zaczął kręcić głową, jak gdyby chciał się obudzić i wytrząsnąć z niej zły sen.

- Nie wiem, o czym mówisz. Dokąd jedziemy?

- Do jakiegoś spokojnego miejsca. Gdzie można pogadać.

- O niczym nie będziemy gadać. Na razie to ty mówisz, a ja nie mam pojęcia o czym.

- Dobra, pogadamy, kiedy będziemy na miejscu.

Dziesięć minut później byli już za labiryntem przemysłowej części Vegas i wśród coraz rzadszych budynków jechali w stronę pustyni. Karch zerknął na Paltza i zobaczył, że ten wreszcie zaczął rozumieć swoje położenie. Z każdym tak było, kiedy zaczynali się zbliżać do pustyni. Jack sięgnął po sig-sauera i położył go na kolanach, kierując lufę w korpus Paltza.

- Cholera jasna - powiedział Paltz, ujrawszy broń. Zrozumiał. - Pieprzona suka.

Karch rozpromienił się w uśmiechu.

- Kto taki?

- Nazywa się Cassie Black - odrzekł bez wahania Paltz. – Mam ją gdzieś. Pierdole, nie mam zamiaru jej chronić.

Karch zmrużył oczy, zamyślając się. Cassie Black. Nazwisko coś mu mówiło, ale „nie był w stanie przypomnieć sobie, przy jakiej okazji je słyszał.

- To ona sześć lat temu była z Maksem Freelingiem.

Karch spojrział na niego badawczo.

- Mówię prawdę. Nie pamiętasz?

Karch pokręcił głową. Bez sensu.

- Pomagała mu wtedy tylko, stała na czatach, ale nie weszła razem z nim.

- Chyba jednak Max musiał ją paru rzeczy nauczyć.

- Ale w końcu ją capnęli. Trafiła do High Desert za morderstwo.

- Nieumyślne spowodowanie śmierci, Karch. Już wyszła. Mówiła, że mieszka w Los Angeles.

Karch zamyślił się nad tym przez chwilę. Spojrział na zegarek. Od jego spotkania z Grimaldim w pokoju 2014 minęły trzy godziny, a on miał już nazwisko sprawcy i całą jego historię. Poruszył ramionami, rozkoszując się ogarniającym go podnieceniem. Zaraz jednak wrócił do rzeczywistości i osoby, która siedziała obok.

- Słuchaj, Jerome, myślałem, że mamy umowę. Sądziłem, że gdyby zdarzyło się coś, co miałyby cokolwiek wspólnego z Kleopatą, od razu dałbyś mi cynk. Dobrze wiesz, że kiedy nie ma mnie w biurze, sprawdzam sekretarkę dwa, trzy razy dziennie. Zabawne, ale w tym tygodniu ani w zeszłym, ani wcześniej nie miałem żadnego telefonu od ciebie.

- Nie wiedziałem, że chodzi o Kleopatę, a zresztą i tak nie mógłbym zadzwonić. Zostałem obezwładniony.

- Obezwładniony? W jaki sposób?

- Związany na pace furgonetki.

Przez następne dziesięć minut Paltz ze wzburzeniem relacjonował mu swoją wersję wydarzeń minionego wieczoru i nocy. Karch słuchał w milczeniu, notując w pamięci wszystkie nielogiczności i sprzeczności w opowiadaniu.

- Nie mogłem zadzwonić - rzekł na koniec Paltz. – Chciałem i na pewno bym to zrobił, ale trzymała mnie w furgonetce całą noc. Popatrz na to.

Odwrócił się i przechylił przez siedzenie. Karch uniósł ostrzegawczo pistolet, a Paltz podniósł ręce, odwracając wnętrza dłoni do Jacka. Potem

pokazał na kąciki ust, gdzie widniały dwie bliźniacze ranki, jeszcze świeże.

- To od knebla. Zakneblowała mnie pieprzonym zaciskiem z plastiku. Mówię prawdę, Karch.

- Odsuń się.

Paltz cofnął się na swój fotel. Przez minutę jechali w ciszy. Karch myślał o wczorajszych wydarzeniach zrelacjonowanych przez Paltza.

- Nie powiedziałaś mi wszystkiego. Wiedziała, że to ty ich wtedy zakapowałeś?

- Nie. Wiedziałaś o tym tylko ty.

Karch skinął głową. Procesu nie było, więc nie musiał opowiadać o tym publicznie. Tylko gliniarzom - a jednym z prowadzących tę sprawę był Iverson.

- Kto był jej współnikiem?

- Nikt, była sama. Wczoraj przyszła do mnie do pracy i od tego się zaczęło. Nie widziałem przy niej nikogo.

Mimo to historyjka Paltza nadal nie trzymała się kupy.

- Dalej nie mówisz wszystkiego. Coś jej zrobiłeś. Próbowaleś ją obrabować?

Paltz nie odpowiedział, więc Karch wziął to za potwierdzenie swoich domysłów.

- Próbowaleś. Widziałeś, że jest sama i próbowałeś jej zabrać pieniądze. Tylko że ona była na to przygotowana i zrobiła cię na cacy. Dlatego nie mogła cię wypuścić, dopóki nie skończyła roboty.

- No dobrze, tak było. Ale co z tego?

Karch nie odpowiedział. Byli już daleko za miastem. Jackowi zawsze się tu podobało, zwłaszcza wiosną, zanim zrobiło się za gorąco.

- Co robiła w Los Angeles? - zapytał.

- Nie mówiła, a ja nie pytałem. Słuchaj, dokąd właściwie jedziemy? Powiedziałem ci już wszystko, co wiem.

Karch zbył pytanie milczeniem.

- Słuchaj, Karch, wiem, co sobie myślisz. Wydaje ci się, że wyszedłem z pracy i nikomu nie powiedziałem, z kim mam się spotkać na parkingu.

Karch posłał mu zadumane spojrzenie.

- Tak, Jersey, właśnie tak myślę.

Tani bluff. Karch dobrze wiedział, że ze względu na charakter ich kontaktów Paltz na pewno powiedział swoim kumplom zza lady, że wychodzi zapalić, nic więcej.

Skręcił w lewo, w nieoznakowaną drogę, która na mapach okręgu figurowała jako Saddle Ranch Road. Był to teren wymierzony i opisany w planach już trzydzieści lat temu. Zamierzano go zbudować, ale skończyło się na kilku drogach, plany wzięły w łeb i nie stanął tu ani jeden nowy budynek. Błyskawicznie rozrastające się miasto potrzebowało jeszcze dekady. Dopiero za dziesięć lat miały tutaj wyrosnąć domy. Karch miał nadzieję, że do tego czasu już się stąd wyniesie.

Zatrzymał lincolna przed starym i opuszczonym biurem sprzedaży. Okien i drzwi od dawna nie było. Ściany w środku i na zewnątrz były upstrzone graffiti i dziurami po kulach, a na podłodze wały się puszki po piwie i potłuczone szkło. W porannym słońcu błyszczała pajęczyna wisząca w otworze, gdzie kiedyś były drzwi. Karch spojrzał na jukę, która rosła dziesięć jardów za szkieletem budynku. Sam ją zasadził przed wielu laty, żeby po prostu zaznaczyć to miejsce. Zawsze się dziwił, że tak wysoko wyrosła na takim pustkowiu.

Wyłączył silnik i popatrzył na Paltza. Wydawało się, że z twarzy jego pasażera odpłynęła cała krew.

- Słuchaj, opowiedziałem ci wszystko, co wiem o tej dziwce i co się wczoraj stało. Nie trzeba...

- Wsiadaj.
- Co, tutaj?
- Tak, wyłaź.

Uniósł sig-sauera, przypominając mu o jego położeniu. Paltz próbował otworzyć drzwi, które wciąż były zamknięte. Karch patrzył rozbawiony, jak gorączkowo Jersey szuka przycisku odblokowującego. Wreszcie go znalazł i otworzył drzwi. Wsiadł z samochodu, a zaraz po nim wysiadł Karch.

Jack okrążył przód lincolna i podszedł do Paltza. Pistolet trzymał przy boku.

- Co chcesz zrobić? - spytał Paltz, trzymając ręce w górze.

Karch zignorował pytanie i rozejrzał się dookoła.

- Przyjeżdżam tutaj od lat. Od dzieciństwa. Ojciec przywoził mnie tu w nocy, żebyśmy mogli oglądać gwiazdy. Zimą siadaliśmy na masce dodge'a i ogrzewaliśmy się ciepłem z silnika.

Odwrócił się, by spojrzeć w stronę miasta.

- W nocy wystarczyło popatrzeć stąd na pasaż, żeby po kolorze i świetle neonów rozpoznać każde kasyno. Sands, egipska, Stardust... Wtedy uwielbiałem to miasto. Teraz... to jedno wielkie gówno. Gówniane parki rozrywki. Skończyła się klasa. Fakt, że wtedy rządziła tu banda krzywonosów, ale miasto miało klasę. A teraz...

Nie dokończył. Spojrzał na Paltza, jak gdyby zobaczył go pierwszy raz.

- Ile ci zapłaciła?

- Nic.

Karch zaczął podchodzić bliżej, a Paltz wyrzucił z siebie nową wersję.

- Osiem kawałków. Ani centa więcej. Za sprzęt. Nie odpaliła mi działki. Dała mi osiem i wypuściła.

Jackowi przyszło na myśl, że to trochę dziwne. Cassie Black puściła Paltza wolno - a nawet mu zapłaciła - gdy tymczasem Hidalgowi nie pozwoliła ująć z życiem. Dziwna sprzeczność, nad którą będzie się musiał zastanowić. W pokoju hotelowym coś się musiało stać i prawdopodobnie tylko jedna osoba mogła mu o tym opowiedzieć.

- Gdzie te osiem kawałków?

- W kasetce w moim domu. Chodźmy, pokażę ci. Dam ci kasetkę.

Karch uśmiechnął się ze smutkiem.

- Mówiła ci o robocie, kiedy cię wypuszczała?

- Ani słowa. Rozwiązała mnie i wysiadła z samochodu. Forsę i kluczyki znalazłem na przednim siedzeniu.

- A walizka?

- Jaka walizka?

Karch zamilkł na chwilę, postanawiając dać spokój walizce. Wątpił, by Black poinformowała o niej Paltza. Prawdopodobnie zorientowała się, że walizeczka ma elektroniczne zabezpieczenie i postanowiła jej na razie nie otwierać.

Karch doszedł do wniosku, że uzyskał już od Paltza wszystko, co miał uzyskać - może poza ośmioma tysiącami w jego domu.

- Chodź no tu - powiedział, wskazując maskę Lincolna. – Połóż na masce portfel. I klucze.

Paltz spełnił polecenie. Stał z przodu samochodu, Jack z boku, przy lewym błotniku.

- Okradliście niewłaściwych ludzi. A ona zastrzeliła niewłaściwego człowieka.

Paltz otworzył usta, ale szybko otrząsnął się z osłupienia.

- O czym ty... kurwa, nic nikomu nie ukradłem, ja...

- Pomogłeś jej i dlatego jesteś tak samo winien. Rozumiesz?

Paltz zamknął oczy, a po chwili zaczął mówić żałośnie płaczącym głosem:

- Przepraszam. Nie wiedziałem. Proszę, nic mi nie rób.

Karch spojrział na otaczające ich pustkowie porośnięte karłowatymi roślinami. Znowu zatrzymał wzrok na juce. Pustynia była naprawdę piękna.

- Wiesz, dlaczego cię tu przywiozłem?

- Tak.

Karch o mało nie wybuchnął śmiechem.

- Mam na myśli to miejsce. To konkretne miejsce.

- Nie.

- Bo trzydzieści lat temu, kiedy zrobili plany i zaczęli sprzedawać frajerom działki, sprofilowali cały teren, żeby wyglądał jak gotowy. Żeby klient myślał, że zaczną budować dom od razu, jak tylko dostaną pieniądze. To była część kantu i nieźle się sprawdziła.

Paltz kiwał głową, jak gdyby bardzo go ta historia interesowała.

- Mój stary kupił działkę...

- Dlatego tu przyjechałeś, tak?

Beztrouski ton Paltza był wymuszony, a jego głos rozpaczliwie drżał. Karch zignorował pytanie.

- Trzydzieści lat to kupa czasu. Ziemia znowu stwardniała, ale jak pójdziesz kawałek dalej i zaczniesz kopać, zobaczysz, że pod stopą piasku jest ziemia twarda jak lita skała. Ludzie myślą, że kopie się jak na plaży, ale wcale nie. Ziemi pod piaskiem nie ruszano od kilku milionów lat. Łopata odbija się jak od kamienia.

Popatrzył na Paltza.

- No więc podoba mi się tutaj. Nie zrozum mnie źle, tu też ciężko idzie, ale da się wykopać dół na jakieś trzy stopy. Tyle ci wystarczy.

Karch uśmiechnął się do niego porozumiewawczo. Nagle Paltz rzucił się do ucieczki. Jack liczył się z taką możliwością. Paltz pobiegł za budynek starego biura, potem minął jukę, próbując wykorzystać ją jako

osłonę. To także nie stanowiło dla Karcha żadnego zaskoczenia. Spokojnie odsunął się od samochodu i odszedł na lewo od budynku, by mieć lepszy ką. Idąc, odkręcił od lufy tłumik, którego już nie potrzebował i który mógłby zepsuć strzał. Na strzelnicy ćwiczył bez tłumika.

Paltz był już w odległości około trzydziestu jardów, biegł z prawej na lewo, wzbijając przy każdym kroku małe chmurki piasku i pyłu. Rozpaczliwie próbował biec zygzakiem. Karch wrzucił tłumik do kieszeni i zatrzymał się. Rozstawił szeroko stopy, przyjmując klasyczną pozycję do oburęcznego strzału i przez chwilę prowadził Paltza na muszce. Starannie wycelował i strzelił raz, wyprzedzając cel o jakieś dwie stopy. Opuścił broń i patrzył, jak Paltz zaczyna młócić ramionami powietrze i pada twarzą w piasek. Karch wiedział, że trafił go w plecy, może nawet w kręgosłup. Czekał na jakiś ruch i po kilku chwilach zobaczył, jak Paltz przebiera nogami w piachu i odwraca na plecy. Ale na pewno nie wstawał.

Jack rozejrzał się za łuską. Znalazł ją w piasku niedaleko. Kiedy ją podnosił i chował w kieszeni, była jeszcze gorąca. Wrócił do samochodu i pilotem otworzył bagażnik. Zdjął marynarkę, przewiesił przez zde rzak, a potem sięgnął do bagażnika po kombinezon. Włożył go, zapinając zamek po samą szyję. Kombinezon był czarny i workowaty, przeznaczony do pracy w nocy.

Potem wyciągnął łopatę i ruszył w stronę miejsca, gdzie upadł Paltz. Na środku pleców Paltza widniała duża plama ciemnoczerwonej krwi. Twarz miał oblepioną piaskiem i ziemią. Miał krew na ustach i zębach. Znak, że kula przeszła przez płuco. Oddychał szybko i chrapliwie. Próbował coś powiedzieć.

- Dobrze, wystarczy - rzekł Karch.

Pochylił się i przyłożył lufę sig-sauera za lewym uchem Paltza. Trzymając łopatę za stylisko, ustawił ją tak, żeby zasłoniła go przed strumieniem krwi. Strzelił prosto w mózg Paltza i poczuł, że ten znieruchomiał. Łuska, która wypadła z pistoletu, odbiła się z brzękiem od łopaty, lądując w piasku. Karch podniósł ją i włożył razem z pierwszą do kieszeni.

Schowal sig-sauera w kaburze, po czym spojrzal w niebo. Nie lubił tego robić w dzień. Nie chodziło tylko o to, że stał w słońcu pustyni ubrany w czarny kombinezon. Czasem przy dużym ruchu na lotnisku McCarran krążyły tu samoloty, czekając na pozwolenie lądowania.

Mimo to zabrał się do kopania w nadziei, że nic takiego się nie stanie. Zastanawiał się, czy tym razem przez przypadek łopata nie trafi ze zgrzytem w kość tkwiącą już w ziemi.

Rozdział 24

Karch stał przed lustrem, poprawiając krawat i czysty garnitur. Krawat należał jeszcze do jego ojca i miał modny wzór spirali w stylu art deco. Garnitur składał się z dwubarwnej gabardynowej marynarki i spodni z zakładkami, które wypatrzył kiedyś u Valentina w mieście.

Zadzwęczał pager. Jack podniósł go z komody i stwierdził, że wyświetlacz pokazuje numer Vincenta Grimaldiego. Usunął numer, przypiął pager do paska i skończył poprawiać krawat. Nie zamierzał dzwonić do Grimaldiego. Chciał wpaść do niego i osobiście poinformować o swoich postępach.

Gdy skończył z krawatem, wrócił do komody po broń. Włożył do kabury sig-sauera i zapiął pasek zabezpieczający. Potem wziął małą berettę kalibru .25. Pukawka mieściła mu się w dłoni. Odwrócił się do lustra, trzymając pistolecik we wnętrzu dłoni, swobodnie opuściwszy rękę. Wykonał kilka ruchów i gestów, starając się, by ani przez chwilę nie było widać beretty. Prawa ręka Dawida, pomyślał. Prawa ręka Dawida.

Następnie przećwiczył zakończenie. Poruszając na pozór pustymi rękami, jak gdyby gestykulował w trakcie rozmowy, nagle ujrzał wycelowany w siebie samego pistolecik. Kiedy przećwiczył parę razy cały numer, schował berettę do jedwabnej kieszonki, którą krawiec wszył mu wewnątrz spodni, tuż pod paskiem z tyłu - kazał przyszywać taką samą w każdej parze spodni. Potem wyciągnął dłonie w stronę lustra i złożył jak do modlitwy. Lekko skłonił głowę, po czym wycofał się spod lustra. Kurtyna.

W drodze do garażu Karch wstąpił do kuchni i z szafki wyjął słoik. Odkręcił wieczko i wrzucił do środka dwie łuski z pustyni. Podniósł słoik, by obejrzeć jego zawartość. Był do połowy wypełniony innymi łuskami. Potrząsnął szklanym naczyniem, słuchając metalicznego grzechotu. Następnie wstawił słoik z powrotem do szafki i wyjął pudełko

płatków z miodem. Był potwornie głodny. Nie jadł cały dzień, a fizyczny wysiłek na pustyni wyciągnął z niego resztki energii. Zaczął jeść płatki prosto z pudełka, pakując do ust całe garści i uważając, żeby nie pobrudzić ubrania.

Wszedł do garażu, który nielegalnie przerobił na biuro, i zasiadł za biurkiem. Nie musiał wynajmować pomieszczenia w jakimś biurowcu jak inni prywatni detektywi. Większa część jego pracy - legalnej - polegała na przyjmowaniu telefonów spoza stanu. Specjalizował się w zaginięciach. Dwóm detektywom prowadzącym grupę do spraw osób zaginionych w policji miejskiej płacił pięćset dolarów miesięcznie za przysyłanie mu klientów. Zgodnie z procedurą policja nie mogła zacząć szukać zaginionej dorosłej osoby przed upływem czterdziestu ośmiu godzin od zgłoszenia zaginięcia. Wprowadzono ten przepis dlatego, że większość osób zniknęła celowo i często odnajdywała się sama, najczęściej po dniu od rzekomego zaginięcia. W Las Vegas zdarzało się to nadzwyczaj często. Ludzie przyjeżdżali na urlop lub jakiś zjazd i urywali się, korzystali z wolności i tracili wszelkie hamulce, ale przecież właśnie po to powstało to miasto. Spędzali noce ze striptizerkami i dziwkami, tracili pieniądze, za bardzo się wstydzili, żeby wrócić do domu, a potem wygrywali mnóstwo pieniędzy i już nie chcieli wracać do domu. Było mnóstwo powodów, dla których policja przyjmowała taktykę „poczekamy, zobaczymy”.

Jednak ani te powody, ani czterdziestoośmiogodzinna zwłoka nie wpływały uspokajająco na bliskich owych rzekomo zaginionych osób. Wtedy na scenę wkraczał Karch i armia podobnych prywatnych detektywów. Dając w łapę gliniarzom, Jack mógł mieć pewność, że ludzie zgłaszający zaginięcie dostaną jego nazwisko i numer telefonu i nie będą musieli czekać przepisowych czterdziestu ośmiu godzin.

Pięćset dolarów, które Karch wpłacał co miesiąc na konto dwóch gliniarzy, było niezłą inwestycją. Miesięcznie dostawał mniej więcej dwanaście telefonów o zaginionych osobach. Za usługę życzył sobie czterysta dolarów dziennie plus wydatki, licząc co najmniej dwa dni. Często udawało mu się zlokalizować rzekomo zaginionych już po godzinie - wystarczyło namierzyć kartę kredytową - ale nigdy nie informował o tym klientów. Zanim zdradził rodzinie miejsce pobytu poszukiwanego, zaczekał, aż na konto wpłyną pieniądze od zleceniodawcy.

Dla niego była to swoista forma sztuki iluzjonistycznej. Utrzymywać wszystko w ruchu, zwodząc jednocześnie publiczność. Nigdy nie pokazywać, co się trzyma w dłoni.

Jego biuro wyglądało jak świątynia Las Vegas przeszłości. Ściany pokrywał kolaż fotografii artystów, którzy występowali w mieście w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Dużo zdjęć Franka, Deana i Sammy'ego, pojedyncze i grupowe. Były zdjęcia tancerek i oprawione w ramki programy walk bokserskich.

Na ścianie wisały pocztówki przedstawiające kasyna, których dawno już nie było. Oprawiona w ramki kolekcja żetonów - po jednym z każdego kasyna, które otwarto w latach pięćdziesiątych. Jedna fotografia pokazywała zbliżenie walącego się na ziemię Sands po tym, jak za pomocą dynamitu wysadzono lokal, by zrobić miejsce nowej epoce Las Vegas. Wiele zdjęć było opatrzonych podpisami i autografami, ale w dedykacjach nie wymieniano Jacka Karcha. Wszystkie były dedykowane Wspaniałemu Karchowi - jego ojcu.

Pośrodku ściany, którą Jack miał przed sobą, gdy siedział za biurkiem, wisała największa rama. Duże zdjęcie przedstawiało wielki neonowy napis wystawiony przed kasynem Sands.

Dziś w programie
FRANK SINATRA
JOEY BISHOP
WSPANIAŁY KARCH!

Zanim Karch zabrał się do pracy, długo patrzył na tę fotografię. Miał dziewięć lat, kiedy zobaczył nazwisko ojca na dużym neonie. Ojciec zabrał go kiedyś na przedstawienie, by obejrzał je z boku sceny. Jack stał w kulisie i przyglądał się, jak ojciec wykonuje numer pod tytułem „Sztuka z peleryną”, kiedy nagle ktoś stuknął go w ramię. Obejrzał się i zobaczył przed sobą Franka Sinatrę. Człowiek, który był prawdziwym ucieleśnieniem Las Vegas, udał, że daje mu fangę w brodę i z uśmiechem zapytał, czy Jack też ma wykrzyknik po nazwisku. Było to najbardziej niezatarte wspomnienie Karcha z dzieciństwa, nie licząc tego, co zdarzyło się ojcu kilka lat później w lokalu „Circus, Circus”.

Karch odwrócił wzrok od zdjęcia i sprawdził, czy ma jakieś wiadomości na automatycznej sekretarce. Były trzy. Wdusił przycisk

odtworzania i wziął ołówek, gotowy robić notatki. Pierwsza wiadomość pochodziła od niejkiej Marion Rutter z Atlanty, która chciała, żeby Jack poszukał jej męża Clyde'a, gdyż ten nie wrócił do domu po zjeździe producentów sprzętu kuchennego, odbywającym się w Las Vegas. Była bardzo zaniepokojona i domagała się, żeby Jack natychmiast przystąpił do poszukiwań. Karch zapisał jej nazwisko i numer telefonu, lecz nie zamierzał do niej dzwonić, ponieważ na razie miał na głowie inną sprawę.

Następne dwie wiadomości były od Vincenta Grimaldiego. W jego głosie słychać było złość. Domagał się, żeby Karch natychmiast się do niego zgłosił.

Jack skasował wszystkie wiadomości, po czym odchylił się w tył na obitym skórą krześle. Wziął sobie jeszcze garść płatków i jedząc, przyglądał się dwóm plikom banknotów, które leżały na biurku. Wracając z pustyni, wstąpił do mieszkania Jersey Paltza. Dostał się do środka, używając jego kluczy, którymi potem otworzył znaną w szafce kasetkę. Pieniądze wewnątrz podzielono na dwie części: osiem tysięcy w setkach i cztery tysiące czterysta osiemdziesiąt w banknotach dwudziestodolarowych. Karch doszedł do wniosku, że osiem tysięcy należy się Grimaldiemu. Minus pięćset pięćdziesiąt, czyli dotychczasowe wydatki Jacka. Zaokrąglone do sześciuset, wliczając paliwo i drobniejsze koszty. Drugą część Karch zamierzał zostawić sobie. Pieniądze te nie miały nic wspólnego ze skokiem w Kleopatrze. Wszystko wskazywało, że są to oszczędności Paltza.

Swoją część schował w szufladzie biurka, którą zamknął na klucz. Wyciągnął druk faktury i wypisał na niej rachunek na siedem tysięcy czterysta dolarów, które zamierzał zwrócić Grimaldiemu. Dodał informację o potrąceniu kwoty na własne wydatki. Nigdzie nie napisał swojego nazwiska. Skończywszy, złożył rachunek, schował razem z pieniędzmi do koperty i umieścił w wewnętrznej kieszeni płaszcza.

Przez kilka chwil siedział nieruchomo, zastanawiając się, czy nie odliczyć sobie większej kwoty na podróż do Los Angeles, którą będzie musiał odbyć. W końcu postanowił tego nie robić. Wstał i podszedł do jednej z szafek na akta, których rządęk stał pod wielkim zdjęciem walącego się Sands. Kluczykiem otworzył szufladę i począł przerzucać akta, dopóki nie znalazł tego, czego szukał. Wyjąwszy teczkę, wrócił za biurko.

Na teczce widniał napis FREELING, MAX. Karch otworzył ją i rozłożył na biurku zawartość. Kilka raportów policyjnych i parę stron odręcznych notatek. Do tego plik starannie złożonych, pożółkłych już wycinków z gazet. Rozłożył wycinki i zaczął czytać ten z największym nagłówkiem. Artykuł ukazał się na pierwszej stronie „Las Vegas Sun” sześć i pół roku temu.

ŚMIERTELNY SKOK
„ZŁODZIEJA WIELKICH WYGRANYCH”
DARLENE GUNTER

W środę o godzinie 4.30 nad ranem z apartamentu na ostatnim piętrze kasyna i hotelu Kleopatra wyskoczył człowiek, którego dziełem, zdaniem policji, była seria rabunków hotelowych w klubach głównego pasażu Las Vegas. Groziło mu przyłapanie na gorącym uczynku. Zginął na miejscu.

Ciało mężczyzny przebiło dach słynnego atrium kasyna, rozpryskując szkło na przerażonych graczy i lądując na wolnym stole do gry w kości. Poza nim nie było żadnych ofiar.

Według słów rzecznika policji miejskiej, ofiarę zidentyfikowano jako trzydziestoczteroletniego Maxwella Jamesa Freelinga, zamieszkałego w Las Vegas. Freeling wypadł przez okno apartamentu na dwudziestym piętrze, gdy stanął oko w oko z agentem ochrony Kleopatry, który zastawił na niego pułapkę.

Wieczorem w środę nadal nie było wiadomo, dlaczego o zasadzce nie została powiadomiona policja miejska. Nie jest też jasne, dlaczego Freeling zdecydował się na śmiertelny skok, próbując uniknąć zatrzymania.

Vincent Grimaldi, szef ochrony kasyna, nie udziela informacji na temat wypadku, ale uspokaja, że wydarzył się w czasie, gdy w kasynie było najmniej ludzi.

- Mieliśmy szczęście, że to się zdarzyło właśnie wtedy - mówi Grimaldi. - W kasynie nie było zbyt wielu gości. Gdyby wypadek zdarzył się w okresie największego natężenia ruchu w kasynie, kto wie, jak mogłoby się to skończyć.

Grimaldi oświadczył, że lokal będzie czynny podczas naprawy dachu atrium. Odgradzona zostanie jedynie nieduża część kasyna.

Po śmierci Freelinga aresztowano i przekazano policji dwudziestosześcioletnią kobietę, która podbiegła do ciała ofiary bezpośrednio po wypadku. Jej reakcja wskazywała, że musiała pozostawać w jakimś związku z Freelingiem.

Policja odmówiła podania danych aresztowanej do czasu postawienia jej zarzutów. Przez cały dzień przesłuchiowano ją w centrali policji miejskiej Las Vegas.

Według policji Freeling był wysoko wykwalifikowanym złodziejem, który w ciągu ostatnich siedmiu miesięcy dokonał jedenastu kradzieży w hotelach i kasynach przy głównym pasażu miasta. Za każdym razem okradał gości kasyna z gotówki i biżuterii, wchodząc do ich pokoju hotelowego, kiedy spali.

Policja nazwała go „złodziejem wielkich wygranych”, ponieważ brał na cel tylko „graczy” - gości hotelowych, którzy stawiali i wygrywali duże sumy. Według informacji policji Freeling podczas jedenastu skoków zrabował przeszło trzysta tysięcy dolarów.

Złodziej prawdopodobnie wchodził do pokoi hotelowych w różny sposób - przekradał się kanałami wentylacyjnymi lub używał kluczy od niczego niepodejrzewającej służby i pracowników recepcji. Żadna z ofiar nie widziała sprawcy, który zjawiał się, kiedy już spali. Policja sugeruje, że złodziej mógł obserwować ofiary przez ukryte kamery, ale nie podaje żadnych szczegółów.

Karch przerwał czytanie. Był to pierwszy artykuł, więc podawał najmniej informacji. Z garści faktów reporterka zdołała skleić ledwie kilka akapitów. Przeszedł do artykułu, który ukazał się następnego dnia.

OSKARŻENIE WSPÓLNICZKI PO ŚMIERCI „ZŁODZIEJA WIELKICH WYGRANYCH”

DARLENE GUNTER

Kobieta, która zdaniem policji była współniczką tak zwanego złodzieja wielkich wygranych, została oskarżona o jego zabójstwo. Złodziej zginął w wyniku upadku z ostatniego piętra kasyna i hotelu Kleopatra.

Dwudziestosześcioletniej Cassidy Black, zamieszkałej w Las Vegas, postawiono ten zarzut zgodnie z prawem stanu Nevada,

według którego każdy, kto bierze udział w przestępstwie, jest odpowiedzialny za śmierć, jaka nastąpiła w trakcie popełnienia zbrodni.

Prokurator okręgowy Clark, John Cavallito, twierdzi, że choć w czasie wypadku Black czekała na Maksa Freelinga w hallu Kleopatry, w oczach prawa jest odpowiedzialna za jego śmiertelny upadek z dwudziestego piętra.

Według słów prokuratora Cavallito Black została również oskarżona o włamanie i współudział w przestępstwie, za co może jej grozić od piętnastu lat więzienia do dożywocia, gdyby zarzuty udowodniono. Kobieta przebywa w areszcie okręgowym bez możliwości zwolnienia za kaucją.

- Miała taki sam udział w tym zdarzeniu i serii przestępstw co Freeling - powiedział podczas konferencji prasowej Cavallito. - Jest współwinna i zasługuje na najsurowszą karę, jaką przewiduje prawo.

Śmierć Freelinga uznano za wypadek, wykluczając samobójstwo. Według relacji stłukł szybę i wyskoczył z okna apartamentu na ostatnim piętrze, próbując uniknąć zatrzymania.

W czwartek policjanci i prokurator Cavallito ujawnili więcej szczegółów dramatycznych wydarzeń z środy.

„Złodziej wielkich wygranych” w ciągu siedmiu miesięcy dokonał jedenastu rabunków w lokalach pasażu, dlatego też Stowarzyszenie Kasyn Las Vegas za jego schwytanie i doprowadzenie do skazania wyznaczyło nagrodę w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Policja przypuszcza, że złodziej obserwował graczy odbierających w gotówce wysokie wygrane i śledził ich aż do pokoju hotelowego.

We wtorek, na dzień przed wypadkiem, skuszony perspektywą nagrody pieniężnej prywatny detektyw skontaktował się z kierownictwem kasyna i hotelu, twierdząc, że „złodziej wielkich wygranych” zamierza obrabować jednego z gości Kleopatry.

Detektyw, Jack Karch, zgodził się wystąpić w roli pozoranta. Gdy gracz, którego nazwiska nie zdradzono, opuścił kasyno z zamiarem powrotu do pokoju, dokonano zamiany i przebrany za gościa Karch udał się do apartamentu na ostatnim piętrze.

Karch wyłączył światło, udając, że kładzie się spać, a po upływie dwóch godzin w apartamencie zjawiał się Freeling, wchodząc przez przewód wentylacyjny, do którego dostał się z sąsiadującego z pokojem pomieszczenia gospodarczego. Zdumiony Freeling ujrzał w sypialni detektywa, który trzymał go na muszce, jednocześnie wzywając przez radio na pomoc agentów ochrony, czekających w pobliżu na sygnał.

- Zanim agenci zdążyli wejść do apartamentu, Freeling z nieświadomych powodów podbiegł do okna - mówił prokurator Cavallito. - Rzucił się prosto na szybę, rozbił ją i wypadł.

Cavallito powiedział, że tuż pod oknem biegnie wąski gzyms i być może Freeling sądził, że uda mu się przejść po nim wzdłuż fasady budynku do liny, za pomocą której opuszcza się platformę dla obsługi myjącej okna hotelu - i uciec tą drogą.

Jednak Freeling wyskoczył z takim impetem, że jego ciało, przebijając szybę, minęło gzyms i poleciało w dół. Następnie roztrzaskało okno atrium, wznecając panikę wśród nielicznych, na szczęście, gości kasyna. Nikt inny nie został ranny.

Na czwartkowej konferencji prasowej prokurator Cavallito odpowiedział na kilka pytań dotyczących śledztwa i oskarżenia Black. Nie chciał powiedzieć, skąd Karch, prywatny detektyw, dowiedział się, że Freeling zamierza obrabować gracza z Kleopatry.

Próby uzyskania komentarza w tej sprawie od Karcha okazały się bezskuteczne - detektyw nie odpowiada na wiadomości pozostawiane na sekretarce. Jako dziecko Karch od czasu do czasu występował ze swoim ojcem, nieżyjącym już iluzjonistą Wspaniałym Karchem, który był znaną postacią w kasynach Las Vegas w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

Młodsze Karcha nazwano „Waletem pik” na pamiątkę jednego z numerów jego ojca, który w tej iluzji umieszczał syna w zawiązanym worku pocztowym, a potem zamykał w skrzyni. Młody Karch zniknął, a zamiast niego w worku pojawiała się karta do gry - właśnie walet pik.

Cavallito poinformował, że Karch został oczyszczony z zarzutów o przyczynienie się do śmierci Freelinga, natomiast prokurator skrytykował decyzję detektywa i kierownictwa Kleopatry, by urządzić zasadzkę bez wiedzy i udziału policji.

- Oczywiście żałujemy, że przedtem nie skontaktowali się z policją miejską - powiedział Cavallito. - Być może udałoby się uniknąć tego zdarzenia.

Vincent Grimaldi, szef ochrony Kleopatry, odmówił skomentowania krytycznych uwag prokuratora.

Rzecznik Stowarzyszenia Kasyn nie odpowiedział na pytanie, czy Karch może domagać się nagrody, skoro złodziej nie żyje, a aresztowano tylko jego współniczkę.

Wczoraj wyszło na jaw więcej szczegółów na temat postaci Freelinga. Władze potwierdziły, że był dwukrotnie skazany za włamania i w sumie spędził w więzieniach stanowych cztery lata. Wychował się w Las Vegas i - podobnie jak Jack Karch - był synem znanej postaci. Jego ojciec, Carson Freeling, w 1963 roku został skazany za udział w śmiałym zbrojnym napadzie na Royale Casino, który zdaniem wielu mieszkańców Vegas był zainspirowany filmem „Ocean 11” z Frankiem Sinatrą i innymi członkami tak zwanej Szczurzej Paczki.

W chwili aresztowania ojca Maxwell Freeling miał trzy lata. Carson Freeling zmarł w więzieniu w roku 1981.

Karch przyglądał się zdjęciu dołączonemu do artykułu. Była to fotografia Cassidy Black zrobiona w dniu jej aresztowania. Jej jasne włosy były potargane, a oczy zaczerwienione, najprawdopodobniej od płaczu. Przypomnił sobie, że ani słowem nie odezwała się do gliniarzy z miejskiej, mimo że przesłuchiwali ją przez dwanaście godzin. Wytrzymała i Karch podziwiał ją za to.

W trakcie śledztwa w sprawie śmierci Freelinga Karch nie poznał jej ani nawet nie zdarzyło mu się przebywać w tym samym pomieszczeniu co ona. Nie sposób było stwierdzić, czy właśnie ją widział na zapisie wideo w Kleopatrze i Flamingo, lecz przecucie mówiło mu, że to była ona.

Przerzucił pozostałe wycinki i odnalazł artykuł, który ukazał się jako ostatni z serii. Tu też było zdjęcie Cassidy Black. Ubraną w więzienny

kombinezon i skutą wyprowadzali z sali sądowej dwaj konwojenci. W ułożeniu jej szczęki i wyrazie oczu wpatrzonych gdzieś w górę było coś, co Jackowi bardzo się spodobało. Wyglądała, jakby mimo kajdanek, więziennego stroju i całej sytuacji, w jakiej się znalazła, udało się jej zachować godność.

Karch spojrzął na tekst i zaczął czytać. Ostatni rozdział sagi, epilog. Krótka notka zamieszczona w środku „The Sun”.

SPRAWA ZŁODZIEJA WIELKICH WYGRANYCH:
BLACK WINNA I SKAZANA
DARLENE GUNTER

Cassidy Black, jedna z pary tak zwanych złodziei wielkich wygranych, przyznała się do zarzucanych jej czynów - współudziału w serii przestępstw, zakończonych tragiczną śmiercią jej współnika, który zginął dwa miesiące temu. Została skazana i osadzona w więzieniu stanowym.

W oświadczeniu wynegocjowanym z biurem prokuratury okręgu Clark dwudziestosześcioletnia Black przyznała się do nieumyślnego spowodowania śmierci i udziału w planowaniu włamania. Sędzia sądu okręgowego Barbara Kaylor skazała oskarżoną na piętnaście lat pozbawienia wolności z prawem zwolnienia po pięciu.

Ubrana podczas procesu w żółty uniform więzienny, Black niewiele mówiła podczas rozprawy. Po odczytaniu zarzutów przez sędzię Kaylor powiedziała tylko „winna”, a potem poinformowała sąd, że rozumie konsekwencje swojego oświadczenia.

Adwokat Black, Jack Miller, stwierdził, że porozumienie jest najlepszym wyjściem dla oskarżonej wobec niezbitych dowodów na jej współdziałanie z Maxwelllem Jamesem Freelingiem w serii włamań, która trwała siedem miesięcy i zakończyła się śmiertelnym skokiem Freelinga z ostatniego piętra wieżowca kasyna i hotelu Kleopatra.

- Porozumienie pozostawia jej nadzieję, by zacząć wszystko od nowa - powiedział Miller. - Przy dobrym sprawowaniu w więzieniu ma szansę odzyskać wolność po pięciu, sześciu albo siedmiu latach. Będzie miała wówczas trzydzieści kilka lat i jeszcze odnajdzie swoje miejsce w społeczeństwie.

Według władz sądowych z materiałów dowodowych wynika, że Black pomagała i asystowała Freelingowi w nocnych włamaniach do pokoi hotelowych graczy kasyna i rabunku ogromnych wygranych.

Karch rzucił wycinek na resztę artykułów, nie przeczytawszy go do końca. Przyznanie się Cassidy Black do winy skróciło proces i pozwoliło mu uniknąć zeznań na temat szczegółów tego, co wydarzyło się tamtej nocy w apartamencie. Dzięki wyrokowi skazującemu mógł też zażądać nagrody, choć musiał wynająć adwokata i pozwać Stowarzyszenie Kasyn. Po zapłaceniu podatku i honorarium adwokata, zostało mu dwadzieścia sześć tysięcy dolarów i smycz Grimaldiego na szyi. Został człowiekiem Grimaldiego od brudnej roboty i zaczął często jeździć na pustynię z pełnym bagażnikiem.

Wszystko to się zmieni, powiedział sobie Karch. I to niedługo, już bardzo niedługo.

Starannie złożył wycinki prasowe i zamknął teczkę. Następnie zamknął pudełko płatków i zabrał je do kuchni, wychodząc.

Stojąc przy drzwiach, wziął torbę na ubrania, którą wcześniej spakował, i zdjął z wieszaka filcowy podróżny kapelusz. Zanim go nałożył, spojrzął na podszewkę. Mallory, na metce miał napis „Elegancja dla młodych”. Nasadził kapelusz na głowę, pociągając w dół brzeg ronda jak stary muzyk jazzowy - wyglądał zupełnie jak Joe Louis, którego widział kiedyś przed wejściem do Cezara. Wyszedł z domu wprost w mlecznobiały blask słońca.

Rozdział 25

Idąc przez kasyno w Kleopatrze, Karch poczuł na sobie czyjś i wzrok, a kiedy spojrzął spod ronda kapelusza, zobaczył Vincenta Grimaldiego, który przyglądał mu się z bocianiego gniazda. Grimaldi nie musiał gestykulować - Karch od razu wiedział, że stary jest zły i zniecierpliwiony. Jack odwrócił wzrok i przyspieszywszy kroku, poszedł w stronę wind.

Kiedy dwie minuty później wprowadzono go do gabinetu Grimaldiego, pierwszą osobą, jaką zobaczył, był zwalisty mężczyzna, którego znał jako prywatnego goryla Vincenta. Karch nie mógł sobie przypomnieć jego nazwiska, ale pamiętał, że kończy się na samogłoskę. Rocco, Franco czy coś w tym stylu.

- Czeka na mnie - powiedział Jack.

- Tak, całe rano próbowaliśmy się z tobą skontaktować.

Uwagi Karcha nie umknęła liczba mnoga ani protekcyjny uśmiešek na twarzy draba, kiedy wskazał mu drzwi prowadzące do krótkiego korytarzyka, z którego wychodziło się na bocianie gniazdo.

Przechodząc obok biurka Grimaldiego, Karch zauważył na nim mnóstwo rozłożonych narzędzi i sprzętu: wiertarkę elektryczną, aparat fotograficzny Polaroid, dużą latarkę i małą tubkę szybko-schnącego wosku. Wziął do ręki wiertarkę, która była opakowana w zszyty żyłką kawałek czarnej gumy.

- Znaleźliśmy to wszystko w otworze wentylacyjnym w pokoju...

- Dwa tysiące piętnaście - przerwał mu Karch. - Wiem. Mówiłem mu, że tam będzie sprzęt.

Odłożył wiertarkę na biurko i posłał osiłkowi podobnie protekcyjny uśmiešek. Następnie wszedł do korytarzyka i zamknął za sobą drzwi, nie spuszczać oka z człowieka zza szyby.

Grimaldi nie odwrócił się, gdy Karch stanął za jego plecami. Stał, zaciskając dłonie na balustradzie i patrzył na morze grających w dole. Karch nigdy nie był na bocianim gnieździe. Rozglądał się wkoło z poczuciem lęku i szacunku. Zerknąwszy za siebie, zobaczył człowieka Grimaldiego, który stał przy szklanych drzwiach i przypatrywał mu się. Karch postąpił naprzód i znalazł się obok Grimaldiego.

- Vincent.

- Gdzie byłeś, Jack? Dzwoniłem.

- Przepraszam, Vincent. Byłem zajęty.

- Czym? Zmianą garnituru? A kim ty jesteś, Bugsym Seigelem albo Artem Pepperem?

- Już jestem, Vincent. Czego chcesz?

Grimaldi wreszcie spojrział na niego i Jack dostrzegł w jego oczach ostrzeżenie.

- Wiesz co, zastanawiam się, czy dobrze zrobiłem, dając ci tę sprawę. Mnie się grunt pali pod nogami, a ty nie wiem, czym się zajmujesz,

poza przebieraniem się w garnitury i przymierzaniem kapeluszy. Może powinienem dać tę robotę Romerowi. Jest w tym niezły.

Karch zachował spokój. Dobrze wiedział, że Vincent musi się wyładować.

- Jak sobie chcesz, Vincent. Ale mnie się wydawało, że chcesz odzyskać pieniądze.

- Bo chcę, do cholery!

Przy stole do gry w kości kilku graczy zdziwionych wybuchem Grimaldiego uniosło głowy. Grali przy tym samym stole, na którym sześć lat temu wylądował Max Freeling.

Karch postanowił przerwać zabawę.

- Słuchaj, Vincent, pracowałem nad sprawą, rozumiesz? Dowiedziałem się wielu rzeczy. Mam już nazwisko tej kobiety i wiem, gdzie ona jest. Gdybyś do mnie nie zadzwonił i nie wezwał przez pager, już bym tam jechał.

Grimaldi zwrócił do niego twarz, na której malowało się podniecenie.

- Masz nazwisko?

- Tak. - Karch wskazał głową stół do gry w kości. - Pamiętasz tamtą historię z Maksem Freelingiem? Mistrzem skoków z wysokości?

- Pewnie.

- Pamiętasz tę dziewczynę, którą potem zgarnęli? Jego czujkę?

- Tak. Miała proces, dostała chyba piętnaście.

- Piętnaście z warunkowym po pięciu, Vincent. Widocznie była grzeczną dziewczynką. Odsiedziała pięć i wyszła. To była ona.

- Pieprzysz. Przecież stała tylko na czatach. Sam rano mówiłeś, że to był zawodowiec. Ta dziewczyna musiałaby się świetnie znać na tym, co robi.

- Wiem. I to była ona. Uwierz mi, to ona.

- Powiedz, skąd o tym wiesz.

Przez dziesięć minut Karch opowiadał mu o namierzeniu Jersey Paltza i rozmowie ze sprzedawcą sprzętu elektronicznego.

- Skurwysyn - oświadczył Grimaldi. - Mam nadzieję, że się nim zajęłeś.

- Nie musisz się nim martwić.

Na ciemnej i wyrazistej twarzy Vincenta Grimaldiego pojawił się uśmiech, w którym ukazały się śnieżnobiałe zęby.

- Nie na darmo nazywają cię waletem pik. Zawsze gotów na służby, z łopatą w bagażniku*. [Spade (ang.) - „pik” albo „łopata” (przyp. tłum.)]

Karch zignorował tę uwagę. Przypomniał sobie o czymś i dotknął wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Mam tu osiem kawałków, które dostał za sprzęt. Minus moje wydatki. Zostawię ci na biurku.

- Dobrze, Jack. I wiesz co, też mam coś dla ciebie. My też poznaliśmy pewne nazwisko.

Karch spojrzał na niego.

- Martin był współnikiem w hotelu?

Grimaldi skinął głową.

- Zgrywał głupiego, ale w końcu wydobyliśmy to z niego. Zdradził wszystko poza nazwiskiem dziewczyny, bo go nie znał. Razem z tym, co ty wiesz, mamy pełny obraz całej historii.

- I jak on wygląda?

- Wszystko ustawił facet z Los Angeles, niejaki Leo Renfro. Skontaktował się z Martinem, a potem postarał się o tę dziewczynę, żeby wykonała zadanie. Ale jest tylko pośrednikiem.

- Jak poznał Martina?

- W ogóle nie poznał. Skontaktowali go z Martinem.

- Jak?

- W tym właśnie sęk. Okazuje się, że Martin miał powiązania z Chicago. Kiedy jeszcze pracował w Nugget kilka lat temu, był wtyką Joeya Marksa. Kiedy grupę Marksa rozbiło FBI, wszystko się rozsypało, a Martin rzucił Nugget i z czystym kontem zaczął pracować u nas. Oczywiście, gdy go przyjmowałem, nic nie wiedziałem o tamtej sprawie. W każdym razie nie zna tego Renfra. Ale kiedy zobaczył, jak Hidalgo zgarnia forszę przy stole do bakarata i co wieczór wraca do pokoju z walizką przykutą do ręki, doszedł do wniosku, że szykuje się niezły łup. Dał cynk Chicago, a oni skontaktowali go z Leem Renfrem, żeby ten wszystko przygotował.

Karch prawie go nie słuchał. Na wspomnienie Chicago i wiadomość o udziale w skoku tak zwanej „Ekipy”, krew zaczęła mu huczeć w skroniach. Zacisnął dłonie w pięści.

- Hej, Jack, słuchasz mnie?

Karch skinął głową.

- Tak.

- Wiem, co się stało z twoim ojcem i tak dalej... Chciałem tylko, żebyś zobaczył wszystkie karty, rozumiesz?

- Dzięki, Vincent. Jesteś pewien, że Martin chciał sprzątnąć tylko to, co Hidalgo wygrał w kasynie? Nie wiedział o dwóch i pół miliona?

Grimaldi zbliżył się do niego. Na jego twarzy pojawił się niewesoły uśmiech.

- Powiedzmy, że wypytywaliśmy go w tej sprawie dość szczegółowo i intensywnie. Nie wiedział. Chicago też nie wiedziało. Chodziło im tylko o wygraną z kasyna. Było dokładnie tak, jak mówiłeś, Jack. Popeliłem błąd, dając mu kredyt. Zarobił dzięki niemu forszę i ściągnął rekiny. Martina i jego kumpli z Chicago. Wszyscy zamieszani w to pracują dla Chicago.

Karch skinął tylko głową, mocno zaciskając wargi.

- Jeżeli więc i dziewczyna, i Renfro są z Los Angeles, na pewno właśnie tam znajdują się teraz pieniądze. Musisz tam pojechać i je przejąć, zanim trafią do Chicago.

- Prawdopodobnie już tam trafiły, Vincent.

- Może tak, może nie. Przecież ona zabiła śpiącego w łóżku faceta. Być może chcą sprawdzić, czy wokół tego zrobi się gorąco, a dopiero potem zdecydują się na następny ruch. Trzeba tam pojechać i się przekonąć. Poza tym, nawet gdyby przekazali forszę, chcę, żeby zająć się tymi ludźmi. Z należytą starannością. Znasz cenę.

Grimaldi spojrział na zegarek.

- Chyba jednak możemy spróbować odzyskać forszę. Minęło dopiero sześć godzin, a my wiemy już wszystko. Pojedziesz tam i odzyskasz pieniądze. Wiesz coś więcej o dziewczynie?

- Jeszcze nie. Ale jeżeli przyjechała z Los Angeles, musiała złamać przepisy zwolnienia warunkowego. Mógłbym sprawdzić, ale wtedy zostawilibyśmy ślad w oficjalnej instytucji. Chyba na razie tego nie chcesz, prawda, Vincent?

- Nie chcę. Zrób to tylko w ostateczności. Może powinieneś zacząć od Renfra.

Karch skinął głową.

- Masz jego adres?

Grimaldi pokręcił głową.

- Znamy tylko numer na komórkę. Martin miał jedynie nazwisko i

numer. Będziesz go musiał namierzyć tylko na tej podstawie. Romero ma wszystko zapisane w biurze. Razem z nazwiskiem człowieka z Los Angeles, którego znam. Jeżeli będziesz potrzebował pomocy - z numerem, z czymkolwiek - dzwoń i wprowadź go we wszystko. Przy nim nie musisz się bać żadnych oficjalnych kanałów. Jest w porządku i ma kupę różnych dojsć, które ci chętnie udostępni.

- W porządku, Vincent.

- A teraz pędź na samolot i najpóźniej o trzeciej będziesz na miejscu, a potem...

- Przecież wiesz, że nigdy nie latam, Vincent. Nigdy.

- Jack, najbardziej liczy się tu czas.

- To niech sprawę załatwi twój człowiek w Los Angeles. Pojadę samochodem. Będę tam przed piątą.

- No dobrze, zgoda. Jedź. Może zrobisz jeszcze jeden przystanek na pustyni. Wiesz, po drodze.

Karch bez słowa spojrział na niego.

- Gruby i Martin leżą w koszu z brudną bielizną na rampie.

- Stoi tam jak gdyby nigdy nic?

- Longo pilnuje kosza. Nikt się nie zbliży.

Karch pokręcił głową.

- Niech Longo i Romero to załatwią. Muszę jechać, Vincent.

Grimaldi wycelował w niego palec.

- W porządku, Jack, ale tym razem chcę, żebyś mnie o wszystkim informował. Rozumiesz?

- Doskonale.

- To przywieź mi pieniądze, Jack.

Przed opuszczeniem bocianiego gniazda Karch jeszcze raz popatrzył z góry na kasyno. Podobał mu się ten widok. Pokiwał głową, po czym skierował się do oszklonych drzwi?

Rozdział 26

W południe Cassie Black wcisnęła guzik dzwonka na drzwiach domu Lea Renfra i niemal zgięła się wpół, gdy na skutek tej prostej czynności ból przeszył jej i tak już obolałą rękę. Kiedy Leo otworzył drzwi,

mijając go, wpadła z walizką do środka. Renfro wyrzwał na ulicę i zaraz cofnął się do domu, odwracając się do Cassie i zamykając drzwi. U boku trzymał broń. Zanim zdążył wypowiedzieć jedno słowo, zaczęła mówić, nie zauważwszy pistoletu.

- Mamy spore kłopoty, Leo. Ta walizka... po co ci to?
- Nie tutaj. Nie rozmawiamy przy drzwiach. Chodź do gabinetu.
- Co to, znowu jakieś feng shui?
- Nie, John Gotti. Co za różnica? Chodź.

Zaprowadził ją przez dom do usytuowanego w głębi gabinetu. Leo był ubrany w biały szlafrok i miał mokre włosy. Cassie przypuszczała, że właśnie wyszedł z basenu - dość późno jak na swoje zwyczaje, chyba że musiał rozładować stres.

Kiedy weszli do gabinetu, Cassie prawą ręką uniosła walizkę i z hukiem położyła ją na blacie biurka.

- Jezu, uspokój się, dobrze? Ja tu wariowałem. Gdzieś ty była?
- Leżałam plackiem na podłodze w pokoju. Pokazała walizeczkę.
- To cholerstwo próbowało mnie porazić prądem.
- Co?
- Ma wbudowany elektryczny paralizator. Próbowałam otworzyć i nagle jakby mnie piorun trzepnął. Zwaliło mnie z nóg, Leo, i trzy godziny leżałam nieprzytomna. Popatrz.

Nachyliła się do niego i rozgarnęła włosy, spod których ukazało się lekkie rozcięcie i napuchnięty guz. Musiał bardzo boleć.

- Padając, uderzyłam w kant stołu. Chyba dlatego tak mnie ogłuszyło. Bardziej to niż prąd.

Złość Lea z powodu niemożności porozumienia się z Cassie w jednej chwili ustąpił miejsca szczeremu zdumieniu i trosce.

- Chryste, na pewno nic ci nie jest? Może lepiej niech to ktoś obejrzy.
- Czuję się, jakbym miała ramię tego bejsbolisty Nolana O'Briena.
- Ryana.
- Wszystko jedno. Mam wrażenie, że jest martwe. Staw w łokciu boli jeszcze bardziej niż głowa.
- Cały ten czas leżałaś w domu na podłodze?
- Prawie. Na dywanie jest krew.
- Jezu. Myślałem, że już nie żyjesz. Naprawdę wariowałem ze strachu.

Dzwoniłem do Vegas i wiesz, czego się dowiedziałem? Mój człowiek powiedział, że stało się coś dziwnego.

- O czym ty mówisz?

- Ten facet zniknął. Nasz cel. Zupełnie jak gdyby w ogóle go tam nie było. Nie ma go w pokoju, jego nazwiska nie ma w komputerze. Ani śladu.

- Tak? To jeszcze nic. Popatrz.

Sięgnęła do zatrząsków walizeczki, ale Leo szybko złapał ją za ręce.

- Nie, nie rób tego!

Strząsnęła jego dłonie.

- Spokojnie, Leo. W domu nałożyłam grube gumowe rękawice - takie jakich używają przy naprawie linii wysokiego napięcia. Prawie godzinę męczyłam się wytrychami, ale w końcu otworzyłam. Odłączyłam baterię. Walizka jest bezpieczna, ale to, co w środku - nie. Sam zobacz.

Odbezpieczyła zamki i otworzyła walizeczkę. Jej wnętrze w całości wypełniały pliki banknotów studenckich opakowanych w celofan, na którym grubym czarnym flamastrem wypisano „50”. Patrzyła, jak Leo otworzył usta, a na jego twarzy odmalowała się konsternacja. Oboje wiedzieli, że widok walizki pełnej gotówki o wysokich nominałach nie jest powodem do świętowania. Złodziej nigdy nie myśli o garncu złota jako swoim celu. Złoto było raczej źródłem troski i podejrzeń. Jak adwokat, który nigdy nie zadaje świadkowi pytania, jeżeli z góry nie zna odpowiedzi, tak złodziej zawodowiec nigdy nie kradnie ślepo i nie bierze nic, jeżeli nie zna konsekwencji. Nie chodzi o konsekwencje prawne, lecz o sprawy znacznie poważniejsze.

Leo zdołał się odezwać dopiero po dobrych dziesięciu sekundach.

- Kurwa...

- No...

- Kurwa...

- Wiem.

- Liczyłeś to?

Cassie skinęła głową.

- Policzyłam paczki. Jest pięćdziesiąt. Jeżeli pięćdziesiątka na każdej znaczy to, co znaczy, masz przed sobą dwa i pół miliona w gotówce. On nie wygrał tyłu pieniędzy, Leo. Przywiózł je do Vegas.

- Czekaj, moment. Trzeba chwilę nad tym pomyśleć.

Cassie bezwiednie zaczęła masować obolały łokieć.

- O czym tu myśleć? W kasie kasyna nie wypłacają forsy w paczkach po pięćdziesiąt tysięcy dolarów owiniętych w folię. Nie wygrał tych pieniędzy w Vegas. Koniec, kropka, Leo. Przywiózł je ze sobą. Jakaś łapówka, może forsa za narkotyki, może za coś innego. Ale zabraliśmy ją - ja zabrałam - zanim trafiła do odbiorcy. Ten gość musiał być jakimś kurierem, przy sobie nie miał nawet klucza do walizki. Miał ją tylko komuś doręczyć i pewnie nie wiedział, co jest w środku.

- Nie miał klucza?

- Leo, czy ty mnie w ogóle słuchasz? Prąd mnie rozłożył, kiedy próbowałam otworzyć walizkę wytrychami. Po co bym to robiła, gdybym miała klucz?

- Przepraszam, przepraszam. Zapomniałem.

- Wzięłam wszystkie klucze, jakie miał przy sobie. Był kluczyk do kajdanek, ale nie do walizki.

Leo opadł na krzesło, a Cassie położyła na biurku plecak i zaczęła w nim grzebać. Po chwili wyciągnęła cztery zwitki studolarówek owiniętych gumkami.

- Tyle wygrał. Sto dwadzieścia pięć tysięcy. A połowa informacji, które dostałeś od swojej wtyczki albo współników, była gównem warta.

Ponownie sięgnęła do plecaka. Wydobyła portfel, który zabrała z nocnego stolika w apartamencie 2014 i rzuciła mu.

- Facet nie nazywa się Hernandez i nie jest z Teksasu.

Leo otworzył portfel i obejrzał prawo jazdy z Florydy, wetknięte w przezroczystą kieszonkę.

- Hector Hidalgo - powiedział. - Miami.

- Ma tu też karty kredytowe. Jest prawnikiem jakiejś firmy Buena Suerte Corporation.

Leo energicznie pokręcił głową, ale nie przecząco. Jak gdyby próbował otrząsnąć się po tych nowinach, lecz przyjął je do wiadomości. Cassie milczała przez chwilę. Oparła się dłońmi o blat biurka, pochylając się i patrząc na niego. Jej mina mówiła, że zauważyła jego gest i chce wiedzieć to, co on. Leo spojrział w kierunku basenu i Cassie podążyła za jego wzrokiem. Zobaczyła poruszający się wolno na powierzchni wąż filtra podciśnieniowego, którego koniec pływał gdzieś pod wodą.

Leo popatrzył na nią.

- Przysięgam ci, Cass, że nie miałem pojęcia.

- Wierzę, że nie wiedziałeś o takich pieniądzach, Leo. A Buena Suerte? Powiedz, co o nich wiesz.

- Kupa forsy. Kubańczycy z Miami.

- Forsa jest legalna?

Wzruszył ramionami w geście, który oznaczał, że nie sposób dać jednoznacznej odpowiedzi.

- Chcą kupić Kleopatę - powiedział.

Cassie ciężko opadła na stojące naprzeciw niego krzesło.

- Czyli to była łapówka za licencję. Ukradłam pieprzoną łapówkę.

- Trzeba spokojnie pomyśleć.

- Bez przerwy to powtarzasz, Leo.

Przycisnęła do siebie rozbite ramię.

- A co więcej możemy zrobić? Trzeba coś wymyślić.

- Co to za ludzie, dla których to robiłeś? Wcześniej nie chciałeś powiedzieć. Teraz musisz.

Leo skinął głową i wstał. Podeszedł do rozsuwanych drzwi, otworzył je i zbliżył się do basenu. Stojąc na brzegu, patrzył na automat ślizgający się cicho po dnie. Zaczął mówić, nie odrywając oczu od wody.

- Są z Vegas, pośrednio z Chicago.

- Z Chicago. Leo, chcesz mi powiedzieć, że to Ekipa?

Nie odpowiedział, lecz milczenie wystarczyło za odpowiedź.

- Jak do cholery wszedłeś w kontakt z Ekipą, Leo? Mów.

Zaczął spacerować wzdłuż brzegu basenu z rękami wbitymi w kieszenie szlafroka.

- Słuchaj, po pierwsze mam na tyle rozumu, żeby świadomie nie wchodzić z nimi w żadne kontakty. Chyba należy mi się od ciebie odrobina zaufania, nie? Ale nie miałem wyboru.

- W porządku, Leo, rozumiem. Opowiedz o wszystkim.

- To się zaczęło jakiś rok temu, kiedy poznałem tych facetów. Byłem w Santa Anita i spotkałem tam Carla Lennertza, pamiętasz go, nie?

Cassie skinęła głową. Lennertz był zwiadowcą, zawsze rozglądał się za jakąś okazją, dużym numerem, jak mawiał. Dawał Leowi cynk, biorąc za to stałą stawkę albo dziesięć procent zysku Lea. Kilka lat temu Cassie spotkała go raz czy dwa z Leem albo Maksem.

- No więc był tam z dwoma facetami i przedstawił nas sobie. Ci dwaj kręcili się tam po prostu, wchodząc od czasu do czasu w jakąś sprawę. Mówili, że są inwestorami.

- A ty im uwierzyłeś na słowo.

Leżącą niedaleko autostradą gnała jakaś ciężarówka z zepsutym tłumikiem i Leo zaczekał z odpowiedzią, aż ucichnie ryk silnika.

- Nie miałem powodu im nie wierzyć. Byli z Carlem, a on zawsze był w porządku. Poza tym nie miałem wtedy forsy. Musiałem coś zorganizować, a tu nagle spotykam tych dwóch. Umówiłem się z nimi na później. Potem poprosiłem, żeby pomogli mi w paru sprawach, które miałem na biurku. Powiedzieli: jasne, zrobi się.

Podszedł do brzegu basenu, gdzie na ogrodzeniu wisiała siatka na dziesięciostopowym drągu. Zdjął ją i wyłowił z wody martwego kolibra.

- Biedactwa. Chyba nie widzą basenu. Wpadają prosto do wody. To już trzeci w tym tygodniu.

Pokręcił głową.

- Martwe kolibry przynoszą pecha, wiesz?

Rzucił martwego ptaka za ogrodzenie, na podwórko sąsiada. Cassie pomyślała, że być może trzy kolibry były w rzeczywistości jednym, którego sąsiad za każdym razem wrzucał przez płot z powrotem do basenu, ale nic nie powiedziała. Czekala, aż Leo podejmie wątek.

Leo zawiesił siatkę na miejscu i wrócił do Cassie.

- No i tak się zaczęło. Wziąłem od nich sześćdziesiąt pięć kawałków, mieli skasować sto po wypłacie. Wszystko miało trwać góra sześć tygodni. W grę wchodziły dwie rzeczy: brylanty - z którymi nigdy nie ma kłopotów - i magazyn z włoskimi meblami. Na meble miałem nagrałego człowieka w Pensylwanii i za co najwyżej sześć tygodni interes miał mi się zwrócić. Zarobiłbym dwieście, a facetom byłbym winien sto. Nieźle. Większości pieniędzy, które od nich wziąłem, potrzebowałem na informacje. Ludzie, z którymi pracowałem, mieli własny sprzęt.

Zaczął zbaczać z tematu, wdając się w niepotrzebne szczegóły planów, zamiast przejść do rzeczy.

- Leo, daruj sobie detale. Powiedz mi tylko, jak się to skończyło.

- Skończyło się tak, że obydwie sprawy szlag trafił. Informacje o brylantach były gówno warte. Chcieli mnie zrobić. Utopiłem w tym czterdzieści, a facet zniknął. Potem meble okazały się podróbkami z

Meksyku. Metki „Made in Italy” były równie autentycznie jak większość cycków w tym mieście. Nie miałem o tym pojęcia, aż ciężarówka przyjechała do Filadelfii i kupiec zobaczył meble. Pierdolone szczęście. Kazałem zostawić wóz przy drodze w Trenton.

Zamilkł, jak gdyby starał się przypomnieć sobie więcej szczegółów, po czym machnął zrezygnowany ręką.

- I tak się skończyło. Byłem winien tym facetom sto tysięcy, których nie miałem. Wyjaśniłem im sytuację i okazali mi tyle życzliwości co obudzony w nocy sędzia kurwie. Ale już po wszystkim miałem wrażenie, że kupiłem sobie trochę czasu. Tyle że zaraz potem zmienili zdanie i sprzedali mój dług komuś innemu.

Cassie pokiwała głową. Mogła już sama dopowiedzieć koniec tej historii.

- Pojawili się u mnie dwaj nowi i powiedzieli, że reprezentują nowego wierzyciela - rzekł Leo. - Wyraźnie dali do zrozumienia, że nowym wierzycielem jest Ekipa, choć nie powiedzieli tego wprost. Rozumiesz? Mówili, że musimy ustalić harmonogram spłaty. Skończyło się na tym, że płaciłem dwa kawałki tygodniowo samego procentu. Żeby utrzymać płynność. Ledwie ciągnąłem. Cały czas byłem winien sto, ale nie mogłem spłacić ani centa. Aż pewnego dnia przyszli do mnie z propozycją.

- Jaką?

- Powiedzieli mi o tej robocie.

Przez otwarte drzwi pokazał leżącą na biurku walizeczkę.

- Powiedzieli, że mam zorganizować skok razem z ich człowiekiem w Vegas, a wtedy oni spalą papier, a nawet dadzą mi działkę.

Leo pokręcił głową. Podeszedł do stolika przy płytce cz

- Jakiegokolwiek, Leo. Na przykład ten, który przyniósł ci wiadomość?

- A, tak. Turcello. To samo, które było na przesyłce do ciebie w recepcji. Pewnie tak się nazywa facet, który zastąpił Joeya Marksa.

Cassie odwróciła wzrok. Nie знаła nazwiska Turcello, ale dobrze wiedziała, kim był Joey Marks, szpica Ekipy w Las Vegas - znany z okrucieństwa wykonawca wyroków. Naprawdę nazywał się Joseph Marconi i sływał z pamiętek, jakie zostawiał po sobie ofiarom, którym pozwolił ujść z życiem. Cassie przypomniała sobie, jak przez rok żyli z Maksem w strachu przed Marksem, który chciał dostać działkę z ich skoku. Kiedy siedziała już w High Desert, pewnego dnia przeczytała w gazecie, że Marks zginął w swojej limuzynie podczas zagadkowej strzelaniny z FBI i policją na parkingu obok banku w Las Vegas. Potem uczciła tę wiadomość - co w więzieniu oznaczało wychylenie kubka jabłecznej wódki kupionej za paczkę papierosów.

Nie wiedziała, kim jest następca Marksa, ale przypuszczała, że podobnym psychopatą jak jego poprzednik, skoro awansował na tak eksponowane stanowisko.

- I ty wystawiłeś mnie takim facetom - powiedziała Cassie. - Dzięki, Leo. Wielkie dzięki za...

- Nie, mylisz się. Chroniłem cię. W ogóle o tobie nie wiedzą. Wziąłem robotę i to ja ją organizowałem. Mówiłem ci już, że nikt nikogo nie znał. Nie wiedzą o tobie i nigdy się nie dowiedzą.

Zapewnienia Lea wcale jej nie pocieszyły. Cassie nie mogła dłużej usiedzieć, kiedy wydawało się, że całe życie przelatuje jej przed oczami. Wstała, podeszła do krawędzi basenu i spojrzała w przezroczystą wodę. Jej lewe ramię zwisało jak martwe.

- Co teraz zrobimy, Leo? O ile dobrze zrozumiałam, mafia z Chicago wykorzystała nas, żeby ukraść łapówkę, którą Kubańczycy szykowali dla kogoś trzeciego, żeby wykupić Kleopatę. Siedzimy w oku cyklo-nu i za chwilę wybuchnie wojna, rozumiesz? Co mamy robić?

Leo wstał i podszedł do niej. Objął ją mocno i spokojnym głosem powiedział:

- Nikt o tobie nie wie. Przyrzekam. I nigdy się nie dowie. Nie musisz się martwić.

Wyrwała się.

- Oczywiście, że muszę, Leo. Wróć na ziemię, dobra?

Jej ton sprawił, że Leo natychmiast umilkł. W geście kapitulacji uniośł i opuścił ręce. Zwinął dłoń w pięść i zaczął nią nerwowo postukiwać w usta. Cassie chodziła wzdłuż basenu. Po długiej minucie odezwała się:

- Co wiesz o Buena Suerte?

- Mówiłem już, że nic. Ale mogę podzwonić i popytać.

Po kolejnej chwili milczenia Leo wzruszył ramionami.

- Może po prostu oddamy pieniądze i powiemy, że to była pomyłka - powiedział. - Znajdziemy jakiegoś łącznika, który...

- I będziemy mieli Chicago na karku. Mam na myśli tego Turcello. Pomyśl trochę, dobrze? Nie możemy tego zrobić.

- Powiem im, że kiedy weszłaś w nocy do pokoju, walizki tam nie było.

- Na pewno ci uwierzą. Zwłaszcza że nagle facet zniknął bez śladu.

Leo z powrotem klapnął na krzesło pod parasolem. Wyglądał na pokonanego. Nastąpiła długa cisza, podczas której nie patrzyli na siebie.

- Czasami kradnie się za dużo - powiedziała Cassie, bardziej do siebie niż do Lea.

- Co?

- Max mawiał, że czasami kradnie się za dużo. Właśnie nam się to przydarzyło.

Leo rozmyślał w milczeniu nad tymi słowami. Cassie skrzyżowała ramiona na piersi. Kiedy się odezwała, w jej głosie zabrzmiało zdecydowanie. Patrzyła prosto na Lea.

- Weźmy tę forszę. Całą. Podzielimy się i znikniemy, Leo. Każde po milion trzysta tysięcy. To więcej, niż nam trzeba. Pieprzyć Chicago i Miami. Bierzemy forszę i w nogi.

Leo zaczął kręcić głową, zanim zdążyła skończyć.

- Nie ma mowy.

- Leo...

- Nie ma mowy. Myślisz, że można uciec tym ludziom? Dokąd chcesz uciekać? Wymień chociaż jedno miejsce, gdzie warto mieszkać i gdzie cię nie znajdą. Nie ma takiego miejsca. Będą cię gonić aż na pieprzony koniec świata tylko po to, żeby ci udowodnić, że potrafią to zrobić. Zawiozą do Chicago albo Miami twoje ręce w pudełku po butach, a potem jakiś mądrała wstawi je do gabloty ze swoimi trofeami.

- Zaryzykuję. Nie mam nic do stracenia.

- Ale ja mam! Wpadłem w pułapkę, tkwię po uszy w gównie. Nie mam najmniejszej ochoty spędzić reszty życia, zmieniając co miesiąc nazwisko i trzymając za plecami glocka za każdym razem, kiedy będę otwierał drzwi.

Cassie kucnęła obok krzesła Lea. Chwyliła się obiema rękami oparła i spojrzała mu w oczy, lecz on szybko odwrócił wzrok.

- Nie, Cass. Nie mogę.

- Leo, weź dwa miliony, a ja resztę. To i tak więcej, niż mi trzeba. Dwa dni temu wydawało mi się, że będę miała szczęście, jak mi się uda zdobyć kilka stów. Weź dwa. Wystarczy ci, żeby...

Wstał i odszedł. Wrócił na krawędź basenu. Cassie oparła czoło o plastikowy podłokietnik. Wiedziała, że go nie przekona.

- Nie chodzi o pieniądze - rzekł Leo. - Słyszałaś, co mówiłem? Nie ma znaczenia, czy to milion, czy dwa. Co to za różnica, jeśli nie możesz ich wydać? Posłuchaj, kilka lat temu był jeden facet. Śledzili go przez całą drogę do Juneau w Alasce. Dopiero tam wypatroszyli go jak łososa. Wydaje mi się, że co kilka lat muszą pokazać wszystkim, co spotyka tych, którzy nie słuchają. Nie chcę służyć za przykład.

Nadal w kucki, jak chowające się przed rodzicami dziecko, Cassie odwróciła się, by spojrzeć na plecy Lea.

- Co więc chcesz zrobić? Czekać, aż ktoś przyjdzie i cię wypatroszy? Nie lepiej uciekać? Wtedy masz przynajmniej jakąś szansę.

Leo wpatrzył się w wodę. Filtr poruszał się cicho po dnie basenu.

- Kurwa... - powiedział.

W jego głosie zabrzmiała jakaś nowa nuta, na której dźwięk Cassie spojrzała na niego z nadzieją. Zaczęło się jej wydawać, że zdołała go przekonać. Czekwała na to, co powie.

- Dwa dni - rzekł w końcu, nadal patrząc na basen. - Daj mi czterdzieści osiem godzin. Zobaczę, co się da zrobić. Znam parę osób w Miami. Podzwonię, spróbuje się czegoś dowiedzieć. Zobaczę też, co w Vegas i Chicago. Może mi się uda coś załatwić. Tak, może uda się zawrzeć jakiś układ, żebyśmy mogli zatrzymać część forsy.

Kiwał głową, jak gdyby przygotowywał się do najważniejszych negocjacji w swoim życiu - w ich życiu. Nie widział Cassie, która z powątpiewaniem kręciła głową. Nie wierzyła, by jego plan miał szansę powodzenia. Podniosła się i podeszła do niego.

- Leo, musisz coś zrozumieć. Turcello nie da ci działki z tego, co jest w walizce. Nigdy nie miał takiego zamiaru. Jeżeli zadzwonisz do jego ludzi i powiesz, że ją masz, to tak samo jakbyś mówił: „Hej, tu jestem, złapcie mnie”. I ty zostaniesz patroszonym łososiem w tym roku.

- Nie! Mówię ci, że uda mi się nas wyciągnąć. Mogę negocjować. Pamiętaj, że chodzi o forszę. Jeśli każdy coś dostanie, uda nam się wyjść z tego cało.

Cassie już wiedziała, że go nie przekona. Była zrezygnowana.

- Dobra, Leo, dwa dni. Nie więcej. Potem damy spokój i uciekamy. Rzykujemy.

Leo przytaknął.

- Zadzwoń wieczorem. Może już coś będę wiedział. Poza tym rób to, co zwykle. Można cię zastać tylko w tym salonie samochodowym?

Dała mu numer telefonu komórkowego. Przestała się już bać, że go przymkną, a gliny znajdą numer. Ten lęk wydawał się mieć sens milion lat temu, nie teraz.

- Idę, Leo. Co zrobimy z pieniędzmi?

Zanim zdążył odpowiedzieć, Cassie przypomniała sobie o czymś, co w natłoku wydarzeń zupełnie wyleciało jej z głowy.

- A, dostałeś moje paszporty?

- Dostałem słowo, że są w drodze. Jeszcze dzisiaj sprawdzę skrytkę. Jeżeli nie będzie ich wieczorem, na pewno będą jutro. Mogę ci zagwarantować.

- Dzięki, Leo.

Skinął głową. Cassie odwróciła się w stronę rozsuniętych drzwi.

- Poczekaj chwilę - powiedział. - Zapomniałem cię zapytać, o której weszłaś do pokoju?

- Co?

- O której weszłaś do pokoju tego faceta dziś w nocy? Na pewno patrzyłaś na zegarek.

Spojrzała na niego. Domyśliła się, o co pytał.

- Pięć po trzeciej.

- I co, wszystko trwało góra pięć, dziesięć minut, zgadza się?

- Normalnie.

- Normalnie?

- Zadzwoił telefon, Leo. Siedziałam w szafie, gdzie był sejf. Potem facet z kimś rozmawiał, chyba o łapówce. Miał ją dostarczyć dzisiaj. Potem odłożył słuchawkę, wstał i poszedł do łazienki.

- A ty się wymknęłaś.
- Nie. Zostałam w szafie.
- Jak długo?
- Aż znowu zasnął. Kiedy usłyszałam chrapanie. Musiałam, Leo. Było niebezpiecznie. Nie byłeś tam. Nie mogłam wyjść, dopóki...
- Byłaś tam w czasie martwego księżyca, tak?
- Nie mogłam nic na to poradzić, Leo, właśnie staram ci się...
- Jezu!
- Leo...
- Przecież mówiłem. Prosiłem, żebyś tego nie robiła.
- Nie mogłam nic poradzić. Zadzwoił telefon - o trzeciej nad ranem. Leo, to był po prostu pech.
- Leo pokręcił głową, jak gdyby w ogóle jej nie słuchał.
- A więc to dlatego - powiedział. - Teraz... Nie dokończył.
- Cassie zamknęła oczy.
- Przykro mi, Leo. Naprawdę.
- Nagle usłyszała jakiś bzyk obok lewego ucha. Odwróciwszy się, zobaczyła zawieszonoego w powietrzu kolibra; jego trzepoczące skrzydła tworzyły rozmazaną plamę.
- Ptak śmignął w lewo i lotem nurkowym pomknął prosto do basenu. Zawisł stopę nad powierzchnią wody, jak gdyby oglądał własne odbicie. Potem zniżył się, dotykając powierzchni. Bił powietrze skrzydłami, ale były za ciężkie, by mogły go unieść. Koliber wpadł w wodną pułapkę.
- Widzisz, mówiłem - rzekł Leo. - Głupie ptaki.
- Ruszył w stronę zawieszonoego na płocie siatki, by spróbować uratować stworzonku życie.

Rozdział 27

Tuż przed wjazdem do Los Angeles Jack Karch zjechał z autostrady numer dziesięć w stronę lotniska Ontario i kierując się drogowskazami, znalazł się na dużym płatnym parkingu. Krążył wokół zaparkowanych w pięciu rzędach aut, aż znalazł lincolna dokładnie takiego jak jego wóz, tylko na kalifornijskich numerach. Stanął tuż za samochodem i

zostawiając silnik na chodzie, wysiadł, w rękę trzymał zasilaną baterią elektryczną wiertarkę, która była wśród narzędzi znalezionych przez człowieka Grimaldiego w otworze wentylacyjnym pokoju 2015.

Wiertarka działała doskonale. Karch odkręcił tablice z przodu i z tyłu w ciągu niecałej minuty. Wepchnął je pod siedzenie we własnym samochodzie i ruszył w stronę wyjazdu. Był na parkingu tak krótko, że kasjer w budce oświadczył, że udało mu się zmieścić w dziesięciominutowym limicie i nie musi płacić ani grosza. Potem poprosił go o papierośa i Jack z przyjemnością go poczęstował.

Droga z Vegas upłynęła bardzo szybko. Karch jechał ze stałą prędkością stu mil na godzinę, dopóki nie trafił na tłok przed samym Los Angeles. Ostatnie pięćdziesiąt mil pokonywał w ciągu godziny. Doszedł do wniosku, że ludzie w Los Angeles jeżdżą w podobny sposób, jak goście w Las Vegas poruszają się po kasynie: nieświadomi faktu, że poza nimi na drodze są inni, którzy też muszą się gdzieś dostać. W centrum Jack skręcił z dziesiątej w sto pierwszą i pojechał na północny zachód, w kierunku San Fernando Valley. Choć od jego ostatniego pobytu w Los Angeles minęło co najmniej parę lat, Karch był tu na tyle często, by orientować się co nieco w mieście. Konkretnie ulice i miejsca mógł znaleźć dzięki atlasowi wydanemu przez braci Thomas, który miał w podręcznej walizce. Atlas miał już kilka lat, ale w zupełności wystarczył. Karch pojechał w stronę Valley, ponieważ numer komórki Lea Renfra, który Grimaldi uzyskał od Martina, miał kierunkowy 818. Jack wiedział, że to numer obszaru północnych przedmieść -Valley. Przypuszczał też, że będzie mógł znaleźć Lea w zasięgu działania telefonu komórkowego.

Skręcił z autostrady w zjazd na Ventura Boulevard i podjechał do najbliższej stacji benzynowej, gdzie znajdował się automat telefoniczny. Otworzył leżącą na siedzeniu pasażera walizeczkę i wyciągnął z niej złożoną kartkę z firmowym nadrukiem Kleopatry, na której miał zapisane nazwisko „Leo Renfro” i numer telefonu. Pod spodem, z drugiej strony złożonej kartki, zanotował nazwisko zaufanego człowieka, którego Grimaldi miał w Los Angeles, ale wcale nie zamierzał do niego dzwonić. Pod żadnym pozorem nie chciał wtajemniczać zupełnie obcej osoby (ktokolwiek by za nią ręczył) w szczególności sprawy i kroki, jakie chciał podjąć. To by było głupie, a Jack nie zamierzał się wygłupiać. Z tego samego powodu nie wykorzystał swoich

kontaktów ze stróżami prawa, by znaleźć namiary Lea Renfra i Cassie Black. Po tej robocie nie mógł zostać żaden ślad.

Zdziwił się, że w budce jest książka telefoniczna w nienaruszonym stanie. Zaczął od białych stron, ale raczej się nie spodziewał, by nazwisko Lea figurowało wśród abonentów. Rzeczywiście nie znalazł go. Następnie Jack zaczął przerzucać strony z firmami, aż trafił na reklamy telefonii komórkowej. Kierując się rozmiarami i jakością reklam, zapisał sobie nazwy największych firm i ich numery telefonów serwisowych. Potem o brzeg półki pod aparatem rozerwał rulon ćwierćdolarówek, w które zaopatrzył się jeszcze w kasie Kleopatry, i wykręcił pierwszy numer.

Zgłosił się automat, proponując mu mnóstwo różnych połączeń. Karch wybrał odpowiedni numer i został połączony z informacją o rachunkach. Po dwóch minutach oczekiwania usłyszał ludzki głos.

- Dziękuję, że dzwoni pan do Telefonii Komórkowej Los Angeles. Czym mogę służyć?

- Wezwano mnie i muszę wyjechać z miasta na nieokreślony czas - rzekł Karch. - Chciałbym anulować obsługę rachunku mojego telefonu.

Wysłuchawszy argumentów na rzecz zwiększenia zasięgu sieci, agent przeszedł do rzeczy.

- Pana nazwisko?

- Leo Renfro.

- Numer konta?

- Nie mam go pod ręką w tej...

- Jest taki sam jak numer telefonu.

- Ach, rzeczywiście.

Karch zerknął na kartkę i odczytał numer podany przez Martina, kiedy ten był przesłuchiwany przez Grimaldiego.

- Proszę chwileczkę poczekać.

Karch usłyszał po drugiej stronie stukot klawiatury.

- Przykro mi, proszę pana. Nie mam konta na takie nazwisko, a może...

Karch odłożył słuchawkę i zaraz potem wykręcił numer drugiej na liście firmy. Powtarzał to samo kilkakrotnie, aż wreszcie za siódmym razem trafił. Renfro miał rachunek w firmie Tele-Komórka. Kiedy dziewczyna z obsługi miała już na ekranie komputera informacje o koncie, Karch zaraz poczęstował ją ostatnim kitem.

- Poproszę o przesłanie ostatniego rachunku pod mój nowy adres w Phoenix, jeżeli można.

- Oczywiście, proszę pana. Tylko najpierw otworzę odpowiedni ekran.

- Och, tyle kłopotu.

- Nie ma o czym mówić. To potrwa parę sekund.

- Proszę się nie spieszyć.

Karch odczekał parę sekund, a potem znów zaczął.

- Wie pani co, właśnie sobie przypomniałem, że pod koniec przyszłego tygodnia przyjadę na kilka dni do Los Angeles, żeby uporządkować parę spraw. Mogę wtedy potrzebować telefonu. Chyba poczekam z tym trochę.

- Jak pan uważa.

- Hm... w takim razie zaczekam.

- Dobrze, proszę pana. Ze zmianą adresu też chce pan zaczekać?

Karch uśmiechnął się. Błaga zawsze wychodzi najlepiej, kiedy ofiarą sama cię do niej zachęca.

- Może jednak... nie, chyba też zaczekam. I tak przesyłają mi pocztę z poprzedniego adresu. A właśnie, zapomniałem, pod który adres przychodzi rachunek? Do domu czy do biura?

- Nie wiem, proszę pana. Mam tu adres Warner Boulevard 4000, numer 520. Który to adres?

Karch nie odpowiedział. Zapisywał adres na firmowym nagłówku kartki.

- Proszę pana?

- Biuro. Dobrze, więc wszystko w porządku. Zostawmy to na razie. Zadzwoń za tydzień i zajmę się tą sprawą.

- Dobrze. Dziękuję panu za telefon.

Odłożył słuchawkę i wrócił do samochodu. Sprawdził adres w indeksie atlasu i stwierdził, że miał rację. Adres był w obszarze objętym numerem kierunkowym 818, ale nie w Los Angeles. W Burbank. Uruchoił silnik, zerkając na cyfrowy zegar na tablicy rozdzielczej. Była dokładnie piąta. Nieźle, pomyślał. Był coraz bliżej.

Piętnaście minut później Lincoln stał przy Warner Boulevard 4000 przed punktem pocztowym, gdzie nadawano paczki i gdzie mieściły się prywatne skrytki. Karch nie był zaskoczony. To by było zbyt proste i podejrzanе, gdyby adres uzyskany podstępem od Tele-Komórki zaprowadził go prosto pod drzwi domu Lea Renfra.

Sprawdził godziny urzędowania. Za czterdzieści pięć minut zamykali, ale według drugiej wywieszki na drzwiach klienci mieli dostęp do skrytek dwadzieścia cztery godziny na dobę. Karch zastanawiał się przez chwilę, co ma zrobić. Uznał, że Renfro jest typem człowieka, który prawdopodobnie sprawdza skrytkę po godzinach, by uniknąć spotkania z pracownikami. Razem z tą myślą zaświtał mu pewien plan.

Jack wszedł do urzędu i zobaczył, że pomieszczenie ma kształt litery L, w której na końcu jednego ramienia stała długa lada, a wzdłuż drugiego ciągnął się rząd skrytek. Na lewo od drzwi znajdował się pulpit dla klientów, na którym stał zszywacz, taśma samoprzylepna i kilka plastikowych kubków z długopisami, spinaczami i gumkami. Za ladą pracował nad czymś jakiś człowiek. Karch zauważył opuszczaną roletę, która pozwalała odgrodzić i zamknąć część urzędową, a klienci zaopatrzeni w klucz mogli wchodzić przez frontowe drzwi do części ze skrytkami, która była czynna dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Jack spojrział w lewo i stwierdził, że każda skrytka ma z przodu małe okienko, przez które jego właściciel mógł sprawdzić, czy jest jakaś poczta. Podeszedł do wnęki i szybko odnalazł skrytkę z numerem 520. Musiał się pochylić, żeby zajrzeć do środka. Zobaczył kopertę leżącą płasko na dnie schowka. Obejrzał się w prawo. W rogu u góry wisiało lustro, które pozwalało urzędnikowi za ladą widzieć wnękę ze skrytkami, ale ten nadal był zajęty.

Karch wyjął z kieszeni koszuli małą latarkę i zapalił ją. Oświetliwszy wnętrze skrytki 520, przeczytał napis na kopercie. Przesyłka była adresowana do Lea Renfra, lecz nie było adresu zwrotnego, tylko jakieś inicjały. Pochylił się niżej i spostrzegł, że to liczba: 773.

Ponieważ w skrytce była już jakaś przesyłka, Karch zastanawiał się przez chwilę, czy w ogóle musi wprowadzić w życie swój plan. Postanowił jednak przystąpić do dzieła. Gdyby plan się udał, mógł pomieścić szyki Leowi.

Schował kluczyki i podeszedł do lady. Stał za nią młody, dwudziestokilkuletni człowiek, który sypał styropianowe kulki do stojącego na podłodze pudła.

- Czym mogę służyć? - zapytał, nie unosząc głowy.

Karcha irytował tak bezosobowy sposób zwracania się do klientów, z jakim zawsze stykał się w Las Vegas, lecz tym razem było mu to na rękę, bo nie chciał zbytnio zwracać uwagi urzędnika.

- Potrzebuję koperty.
- Jaki format?
- Nieważne. Normalny.
- Numer dziesięć?

Mężczyzna, zostawiwszy na chwilę swoje pudło, podszedł do ściany z tyłu stanowiska obsługi. Stało tam kilka pudeł i wisiały półki z różnymi kopertami, posegregowanymi według rozmiaru. Karch zerknął na wywieszki i znalazł numer dziesięć.

- Tak, może być dziesięć.
- Z folią zabezpieczającą, bez?
- Hm, z folią.

Urzędnik zdjął z półki kopertę, wrócił za ladę i podał Jackowi, informując go wysokim, niemal zrzędliwym tonem, że należą się pięćdziesiąt dwa centy, razem z podatkiem. Karch zapłacił dokładnie odliczonym bilonem.

- Ładny kapelusz - powiedział urzędnik.
- Dzięki.

Karch podszedł z kopertą do pulpitu przy drzwiach. Przyszło do głowy, że urzędnik mógł sobie stroić żarty z jego kapelusza, ale dał spokój.

Stanawszy plecami do lady, Karch sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął kopertę z asem kier, którego znalazł na podłodze w pokoju 2015 w Kleopatrze. Wyjął kartę, wsunął ją do kupionej koperty, a potem za pomocą zszywacza zamknął kopertę.

Najgrubszym flamastrem, jaki znalazł w plastikowym kubku, Jack napisał na kopercie nazwisko Lea Renfra i adres, który dostał od operatora komórkowego. Dużymi literami dopisał z obu stron DORECZYĆ NATYCHMIAST i PILNE! W miejscu na adres zwrotny wpisał 773, a na odwrocie numer telefonu komórkowego Lea Renfra.

Wrócił do stanowiska obsługi, przy którym urzędnik zaklejał już paczkę taśmą. I tym razem człowiek nie podniósł oczu, a nawet nie zapytał, o co chodzi. Karch spostrzegł, że urzędnik ma na piersi plakietkę z napisem STEPHEN.

- Przepraszam, Steve, mógłbyś włożyć tę przesyłkę do skrytki?

Młodzieniec z ponurą miną odłożył szpulkę taśmy i podszedł do lady. Wziął kopertę z wyciągniętej ręki Jacka, po czym spojrzął na nią, jak gdyby miał wątpliwości, czy może spełnić prośbę.

- Trzeba ją włożyć już teraz, bo ten facet zawsze sprawdza skrytkę z samego rana.

Dzieciak uznał wreszcie, że może wykonać to zlecenie i ruszył za przepierzenie, za którym prawdopodobnie była sala z dostępem do skrytek.

- Mam na imię STEPHEN! - zawołał na odchodnym.

Karch wycofał się pod ścianę ze schowkami i pochylił się nad okienkiem numer 520. Zobaczył, jak jego koperta wpadła do środka, przykrywając przesyłkę czekającą już na Lea Renfra.

Zanim urzędnik zdążył wrócić za ladę, Jack wyszedł na ulicę. Idąc do samochodu, powiedział do siebie głośno: „Należą się pięćdziesiąt dwa centy... mam na imię Stephen”.

Siedząc już w aucie, kilka razy powtórzył tę kwestię, starając się nadać głosowi odpowiednią wysokość i zręczliwy, nadąsany ton. Kiedy uznał, że już mniej więcej umie naśladować głos naburmuszonego urzędnika, uruchomił silnik i ruszył.

Chciał zadzwonić, lecz nie mógł skorzystać z automatu na ulicy, gdzie słychać by było odgłos samochodów. Przez dziesięć minut jeździł po Burbank, szukając odpowiedniego miejsca. Wreszcie znalazł restaurację Bob's Big Boy i zaparkował z tyłu, wjeżdżając w lukę obok kubła na śmieci.

Znalazł automat telefoniczny we wnęce korytarzyka prowadzącego do toalet. Wrzucił kilka monet i wykręcił numer komórkowy Lea Renfra. Zdawał sobie sprawę z ryzyka. Wprawdzie skrytka należała do Lea, ale nie było na niej adresu i Jack nie miał pojęcia, czy firma dysponuje jego numerem komórkowym. W swoim planie przewidział jednak taką ewentualność.

Po dwóch dzwonekach ktoś odebrał telefon, ale milczał.

- Halo? - odezwał się w końcu Karch wysokim i zrzędzącym tonem.

- Kto mówi?

- Pan Renfro? Tu Stephen z poczty przy Warner.

- Skąd masz mój numer?

- Był na kopercie.

- Jakiej kopercie?

Karch skupił się na swoim głosie.

- Właśnie w tej sprawie dzwonię. Dostał pan dzisiaj przesyłkę. Napisano na niej, żeby bezzwłocznie doręczyć i że to pilne. Jest na niej

zapisany pana numer telefonu. Pomyślałem, że do pana zadzwonię. Właśnie zamykamy, pana nie było, więc pomyślałem, że powinienem zadzwonić, w razie gdyby pan czekał na jakąś...

- Jest na kopercie adres zwrotny?

- Tak... to znaczy nie ma. Tylko jakieś cyferki. Siedem, siedem, trzy.

- W porządku, dziękuję. Ale proszę, żebyś więcej nie dzwonił na ten numer.

Renfro rozłączył się raptownie. Karch trzymał słuchawkę przy uchu, jak gdyby chciał dać Leowi szansę, żeby wrócił na linię i zadał mu jeszcze kilka pytań. Wreszcie odłożył słuchawkę. Chyba zadziałało. Nabrał pewności siebie. Z rozmowy odniósł wrażenie, że Renfro należy do ludzi ostrożnych i nieufnych. Oznaczało to, że może go czekać długa noc.

Wszedł do sali restauracyjnej i przy bufecie zamówił dwa wysmażone hamburgery z keczupem i dwie czarne kawy. Czekając na jedzenie, wyszedł na parking. Spod siedzenia lincolna wyciągnął ukradzione tablice rejestracyjne i wymienił tylny numer, wykorzystując kubek jako zasłonę. Następnie wsiadł do samochodu, wyjechał z parkingu i zatrzymał się z przodu restauracji.

Zmienił przednią tablicę. Dzięki wiertarce Cassie Black zrobił to błyskawicznie. Postanowił, że zatrzyma ją sobie po skończonej robocie. Wiertarkę i parę innych rzeczy.

Rozdział 28

Tego i tak straszego dnia Cassie przeżyła jeszcze jeden lęk. Silnik boxstera chodził na wolnych obrotach. Zaparkowała na wprost domu przy Lookout Mountain Road. Wielkie panoramiczne okno od frontu było odsłonięte. Cassie widziała salon i dalej jasne wnętrze kuchni, gdzie wszyscy troje siedzieli przy stole i jedli. Nie widziała stąd za dobrze, ale z wizyty w domu pamiętała, że na krześle, na którym siedziała teraz dziewczynka, leżała książka telefoniczna. Prawdopodobnie dziewczynka uważała, że jest za duża, by mieć krzeselko dla dzieci, lecz mimo wszystko przy stole potrzebowała kilku dodatkowych cali.

Cassie przeniosła wzrok na tabliczkę z nazwiskiem pośrednika przed domem. Przywieszono pod nią kawałek pomalowanego drewna z napisem:

W DEPOZYCIE

Cassie nigdy nie kupowała domu, ale wiedziała, że nowa tabliczka świadczy o tym, że zaakceptowano ofertę kupna. Dom był już właściwie sprzedany i rodzina niebawem będzie się wyprowadzać. Cassie ścisnęła mocno kierownicę. Łokieć i ramię przeszły ból. Myślała o planach Lea, by oddać pieniądze. Wiedziała, że na następną robotę może już nie wystarczyć czasu - a z żadnej roboty nie miałaby takiej forsy jak ta w walizce. Stwierdziła, że w duchu życzy sobie, by Leowi nie udały się negocjacje. Nie mogła nic na to poradzić. Chciała tych pieniędzy. Chciała uciec.

Zadzwoił jej telefon komórkowy. Wyrzebała aparat z plecaka. Dzwonił Leo, ale nie przedstawił się. Jakość połączenia była fatalna. Cassie dziwiła się, że w ogóle zdołał się dodzwonić na wzgórze.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Tak samo.

- Wiesz, te... na które czekasz. Właśnie dostałem wiadomość. Zdaje się, że... i odbiorę je dzisiaj wieczorem.

Usłyszała tyle, by zrozumieć, o co chodzi.

- Dobrze. Ale do niczego mi się nie przydadzą, jeżeli nie będę miała pieniędzy.

- ...ągle nad tym pracuję. Powoli... Może jutro będę coś wiedział. Tak czy ina...

- Co mam robić do tego czasu?

- Nie rozumiem.

- Pytam, co mam robić do tego czasu? - powtórzyła głośno, jak gdyby siła głosu mogła poprawić połączenie.

- Mówiliśmy o tym, Cassie. Jedź do pra... Rób wszystko jak gdyby nigdy nic, dopóki nie będziemy...

- Wszystko jedno. Połączenie jest do kitu. Chcę już uciekać. Jej głos zabrzmiał ponuro, ale nic jej to nie obchodziło.

- Posłuchaj, skarbie, już się prawie udało. Czekam tylko, żeby...

- Nie chcę oddawać, Leo. Popelniamy błąd. Ty popelniasz błąd. Mam naprawdę złe przeczucia. Musimy uciekać. I to zaraz!

Przez długą chwilę Leo milczał. Nie przypomniał jej nawet, by nie wymieniała jego imienia. Cassie już myślała, że połączenie się przerwało, ale w końcu odezwał się.

- Słuchaj, Cassie - rzekł z przesadnym spokojem. - Ja też czuję... ibracje. Bardziej niż zwykle. Ale musimy... i obstawić wszystkie bazy. To jedyny sposób, żeby...

Cassie pokręciła głową, jeszcze raz rzucając okiem na tabliczkę pośrednika handlu nieruchomościami.

- Jasne, Leo. Jak sobie życzysz. Nie zapomnij do mnie zadzwonić, kiedy będziesz już wiedział, co zrobić z moim życiem.

Przerwała połączenie i wyłączyła telefon na wypadek, gdyby Leo próbował dzwonić jeszcze raz. Nagle przyszła jej do głowy myśl, czyby nie zakraść się w nocy do Lea i zabrać pieniądze, gdy będzie spał. Wzięłaby tylko swoją część, zostawiając mu resztę, a on zrobiłby z forszą, co zechce. Jednak mimo złości na Lea, poczuła się winna, że w ogóle wpadła na taki pomysł. Porzuciła tę myśl i jeszcze raz spojrzała w stronę domu.

Zobaczyła, jak mąż wstaje od stołu i patrzy przez salon na ulicę. Patrzył prosto na nią. Cassie zobaczyła, jak odkłada serwetkę i odchodzi od stołu. Pewnie chciał wyjść do niej i dowiedzieć się, co robi przed jego domem. Szybko wrzuciła bieg i odjechała.

Rozdział 29

„Summer Wind” to była dopiero piosenka. Zawsze robiła na Karchu wrażenie. Ilekroć słuchał jej na kompakcie z największymi przebojami Sinatry, włączał ponowne odtwarzanie, żeby ją powtórzyć. Wszystkie piosenki były dobre, ale żadna nie umywała się do „Summer Wind”. To była klasa sama dla siebie. Klasa Sinatry.

Karch słuchał płyty czwarty raz z rzędu, obserwując wejście na pocztę przy Warner z samochodu stojącego na zatłoczonym parkingu pod barem Presnick, który znajdował się skrzyżowanie dalej. Dokładnie o jedenastej zobaczył, jak w samochodzie mijającym urząd zapaliły się czerwone światła stopu. Był to czarny jeep cherokee, model sprzed pięciu lat. Już drugi raz wolno przejeżdżał przed pocztą. Karch ściszył odtwarzacz i przygotował się. Przebrał się już w czarny kombinezon,

choć tym razem do innych celów. Na rękawach ponalepiał różnej długości odcinki mocnej taśmy izolacyjnej, którą wcześniej pociął. Sięgnął do walizeczki i ze styropianowych kształtek wyciągnął zdalny odbiornik GPS, komórkową skrzynkę połączeniową i antenę GPS. Przygotował potrzebne narzędzia, otworzył od wewnątrz bagażnik i wysiadł z lincolna. Z bagażnika wyjął wyściełaną deskę na calowych kółkach do pracy przy naprawie podwozia samochodów. Następnie zamknął samochód i szybko przeszedł Warner Boulevard.

Punkt pocztowy przy Warner mieścił się w wolno stojącym jednopiętrowym budynku, jednym z wielu podobnych, tworzących długi rząd, a każdy zajmował niemal całą działkę, tak że między budynkami była przestrzeń szerokości od jednej do trzech stóp. Karch wśliznął się w taką szparę oddaloną od poczty o jeden sklep. Miała szerokość dwudziestu cali i była chyba wykorzystywana przez przechodniów jako uliczny kosz na śmieci. Jack stwierdził, że stoi po kolana w odpadkach - głównie butelkach i zmiętych papierowych torebkach po hamburgerach. W ciasnej przestrzeni unosiła się obezwładniająca woń moczu. Kiedy Karch wszedł do tej szczeliny, jakieś niewidzialne stworzenie zaczęło się z hałasem gramolić w odpadkach, po czym uciekło w ciemność.

Jack stał jakieś trzy stopy w głębi szczeliny, osłonięty przed światłem z ulicy i czekał. Był pewien, że cherokee wróci i że za jego kierownicą będzie siedział Leo Renfro. To, co Karch musiał zrobić później, robił już wiele razy podczas poprzednich zadań. Ale nigdy nie miał tak mało czasu. Doszedł do wniosku, że na instalację będzie mu musiała wystarczyć niecała minuta. Nie będzie czasu na błędy ani poprawki.

W swojej kryjówce usłyszał odgłos zbliżającego się samochodu. Kucnął, zasłaniając się podkładką na kółkach jak tarczą. Nawet gdyby Renfro zaglądał między budynki, nie mógł raczej zauważyć Karcha, chyba żeby się zatrzymał i skierował w szczelinę snop światła.

Auto powoli przejechało ulicą i zatrzymało się przed punktem pocztowym. Jack również wolno przesunął się w stronę rogu budynku, o którego ścianę się opierał. Wyjrzał zza węgła i stwierdził, że istotnie był to cherokee. Wóz stał przy krawężniku z włączonym silnikiem i zgaszonymi światłami. Karch cofnął się w szparę i czekał. Wiedział, że w

tej chwili mógłby wyjść i zgarnąć Renfra. Ale byłoby to zbyt ryzykowne, a poza tym, co ważniejsze, nie o niego chodziło. Najważniejsze były pieniądze. Żeby je odzyskać, musiał pojechać za Renfrem do jego domu, do miejsca, gdzie facet czuł się najbezpieczniej. Karch wiedział, że właśnie tam znajdzie albo pieniądze, albo trafi na trop, który doprowadzi go do Cassidy Black.

Silnik jeepa zamilkł. Karch zebrał się w sobie i przywarł do ściany, gotów ruszyć. Czuł nierówności tynku wrzynające się w plecy. Pochylił się w przód, nasłuchując. Drzwi samochodu otworzyły się i zamknęły. Usłyszał szybkie kroki na asfalcie. Ponownie wyjrzał zza węgła. Zobaczył czterdziestokilkuletniego szczupłego mężczyznę, który wkładał klucz do zamka drzwi punktu pocztowego.

Leo Renfro.

Otworzywszy drzwi, mężczyzna spojrział w lewo, potem w prawo. Karch cofnął się za róg i czekał. Gdy usłyszał odgłos zamykanych drzwi, natychmiast wyszedł z ukrycia i przeciął chodnik dzielący go od samochodu. Włączył latarkę i włożył ją do ust. Zbliżając się do tyłu jeepa, skulił się. Robił już podobną instalację w Cherokee i nie sądził, że będzie miał z tym jakiś kłopot.

Postawił na jezdni podkładkę i położył się na niej na wznak. Łapiąc dolną krawędź zderzaka, wsunął się cały pod samochód. Było tu ciasno i gorąco; Jack w kilku miejscach ocierał się piersią o upačkane smarem podwozie i musiał odwracać twarz bokiem, by się nie zadrapać albo nie oparzyć o gorące rury układu wydechowego. Sięgnął do bocznej kieszeni nogawki, skąd wyciągnął odbiornik satelitarny i przekaźnik komórkowy. Były to małe kwadratowe urządzenia, przymocowane do siebie taśmą. W skład paczuszki wchodziła również krótka antena do połączenia komórkowego. Odbiornik miał zamontowany mocny magnes. Jack sięgnął nad głowę i przymocował zestaw urządzeń do ramy podwozia dokładnie pod siedzeniem kierowcy. Choć magnes zdawał się trzymać mocno, Jack zawsze wolał mieć pewność. Z prawego rękawa odkleił dwa długie kawałki taśmy, którymi dodatkowo umocował urządzenia do podwozia.

Za pomocą cichej wiertarki Cassidy Black szybko przymocował przewód uziemiający do powierzchni podwozia wkrętem samogwintującym. Następnie wysunął się spod samochodu, próbując zajrzeć przez witrynę do wnętrza punktu pocztowego. Miał jednak kiepską pozycję obserwacyjną i nie widział Renfra, nie mógł też ocenić, ile czasu mu pozostało na dokończenie instalacji.

Szybko wrócił pod samochód i wyciągnął wiązkę przewodów elektrycznych, które biegły przez środek podwozia. Za pomocą ostrego noża zdjął plastikową obudowę i zaczął szukać właściwego przewodu. Znalazł przewód w czerwonej izolacji, która oznaczała, że kabel jest pod stałym napięciem z akumulatora. Najprawdopodobniej biegł do lampki oświetlającej wewnątrz bagażnika. Koniec przewodu zasilającego odbiornika GPS miał samoczynny zacisk, który Jack przypiął do czerwonego przewodu i ścisnął, aż poczuł, że ostrze przecięło izolację i zetknęło się z metalem. Spojrzał na odbiornik i pod taśmą zobaczył słaby blask czerwonej diody zasilania.

Nie miał już czasu, by chować przewody na miejsce. Natychmiast zabrał się do montowania ostatniego elementu - anteny GPS. Z lewej kieszeni w spodniach wydobyl niewielką antenę satelitarną i zaczął odwijać przewód, którym dysk był owinięty. W momencie kiedy podłączał go do odbiornika, usłyszał odgłos otwieranych drzwi. Szybko przełożył latarkę, tak że oświetlała mu teraz wnętrze ust. Czekał.

Drzwi poczty zamknęły się i zobaczył nogi Renfra zbliżające się do samochodu od strony kierowcy. Karch miał ochotę zakląć, ale wiedział, że musi leżeć cicho. Dalej odwijał przewód z anteny. Czekał.

Gdy Renfro otworzył drzwiczki, Jack wykorzystał ten dźwięk i przesunął się wzdłuż jeepa, tak że jego głowa znalazła się dokładnie pod tylnym zderzakiem, a dolna część ciała wystawała spod tyłu samochodu. Wyciągnął w górę rękę z anteną, a kiedy owijał przewód wokół rury wydechowej, zawarczał silnik, częstując Jacka gorącymi spalinami.

Karch zdusił kaszel i szybko postawił antenę na zderzaku, aby była w prostej linii z satelitami. Ostatnim kawałkiem taśmy umocował ją i przewód do powierzchni zderzaka.

Nie była to zbyt porządna robota, ale zważywszy na okoliczności, w jakich mu przyszło pracować, lepsza być nie mogła. Jack wiedział, że Renfro zauważy antenę GPS, gdy tylko spojrzy na tył samochodu. Ale nie bez ryzyka zakładał, że nie stanie się to jeszcze dziś wieczorem. Teraz liczyła się tylko najbliższa godzina, może nawet niecała.

Cherokee zadrżał i ruszył. Karch zaczął, aż zderzak przesunie się nad jego twarzą, po czym szybko przewrócił się na brzuch, przywierając

do krawężnika. Trzymając opuszczoną głowę, nasłuchiwał, czy w pracy silnika jeepa nie zabrzmi jakieś wahanie. Jednak nie. Renfro odjechał, trzymając nogę na gazie. Nie obejrzał się. A gdyby nawet, to patrzyłby na drogę za sobą, a nie na krawężnik.

Karch uniósł wreszcie głowę i zobaczył oddalający się tył jeepa. Uśmiechnął się i wstał.

Kiedy tylko Karch wszedł do lincolna, wyciągnął z walizki laptopa, ustawił antenę i włączył program do lokalizacji FasTrak. Dzięki odbiornikowi i pozostałym urządzeniom zamontowanym w samochodzie Renfra Karch mógł ustalić pozycję jeepa za pomocą globalnego systemu lokalizacji. Sygnał nadawany przez samochód do trzech satelitów zawieszonych wiele mil nad Ziemią, był potem przekazywany z powrotem. Satelity określały dokładną pozycję samochodu i przez skrzynkę komórkową przesyłały dane do modemu komórkowego w komputerze Jacka. Program FasTrak pozwalał na bieżąco śledzić ruch samochodu na mapie przedstawiającej ulice miasta albo gromadzić dane o całej trasie, jaką samochód pokonał w ciągu określonego czasu, i odtworzyć je później.

Karch chciał przede wszystkim sprawdzić, czy instalacja się udała i czy będzie mógł śledzić jeepa za pomocą satelitów. Na wszelki wypadek zapamiętał też numer rejestracyjny samochodu i jeśli GPS zawiedzie, będzie mógł jutro rano ustalić adres właściciela w archaicznym rejestrze pojazdów, ale wolał tego uniknąć, ponieważ wówczas zostałyby oficjalny ślad.

Wstukał kod odbiornika i częstotliwość. Po chwili oczekiwania, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność, kiedy Jack zaczął czuć kropelki potu spływające z czoła, na ekranie zamigotały linie mapy. Zaraz po nitkach ulic pojawił się napis „Los Angeles i okolice”. Następnie na ekranie zaczęła pulsować czerwona gwiazdka, która ruszyła wzdłuż jednej z ulic. Cherokee. U dołu wyświetliła się dokładna informacja o lokalizacji obiektu.

RIVERSIDE - KIERUNEK ZACHÓD - 23.14.06

Karch uśmiechnął się. Jest. Wszystko grało. Miał przed sobą mapę, która doprowadzi go do skarbu. Taką miał w każdym razie nadzieję.

- Kurwa twoja mać - powiedział głośno.

Postanowił na razie nie śledzić na żywo trasy jeepa. Doszedł do wniosku, że Leo Renfro otworzył kopertę od niego albo jeszcze na poczcie, albo w samochodzie. W każdym razie widok karty mógł go spłoszyć lub co najmniej zastanowić. Ponieważ Renfro dwukrotnie przejeżdżał przed pocztą, Karch przypuszczał, że teraz też pojedzie do celu okrężną drogą, by zmylić ewentualnych tropicieli. Wstukał odpowiednie polecenie i utworzył plik, w którym miały zostać chronologicznie zapisane wszystkie dane z transpondera. Następnie zamknął program i odłożył laptopa z powrotem do walizeczki.

Kiedy Jack rozpiął zamek błyskawiczny kombinezonu i odkręcił szybę, żeby wpuścić do samochodu trochę świeżego powietrza, usłyszał przeraźliwy krzyk kobiety dobiegający z drugiego końca parkingu. Spojrzał w tę stronę, lecz nic nie zobaczył. Otworzył drzwi, wysiadł i rozejrzał się. Włożył do ust papierosa i zapalił. Już miał wsiąść z powrotem do lincolna, gdy usłyszał kolejny krzyk i dostrzegł jakiś ruch za bmw zaparkowanym dziesięć miejsc dalej.

Karch nie miał przy sobie kabury z sig-sauerem. Przed nałożeniem kombinezonu zdjął ją i zostawił pod siedzeniem w aucie. Zamiast zabrać stamtąd broń, zdarł z siebie górę kombinezonu i sięgnął do swojej magicznej kieszonki wszytej z tyłu spodni, gdzie miał małą dwudziestkępiątkę. Potem związał w pasie rękawy i ruszył sprawdzić źródło przeraźliwych dźwięków.

Chowając pistolecik we wnętrzu dłoni, szedł swobodnym krokiem wzdłuż rzędu samochodów. Kiedy dotarł do bmw, usłyszał głośny płacz. Ujrzał dwoje młodych ludzi. Mężczyzna przyciskał kobietę do maski samochodu i całował w szyję, a głowa kobiety poruszała się w tę i z powrotem, jak gdyby chciała oderwać się od reszty ciała.

- Wszystko w porządku? - zawołał Karch.

Mężczyzna popatrzył na niego.

- W zupełnym. Odpieprz się, co?

Karch zaczął iść wzdłuż boku bmw. Mężczyzna oderwał się nagle od kobiety i zwrócił w stronę Jacka. Czekał, rozstawiwszy szeroko stopy i przyjąwszy bojową postawę.

- Zostaw tę panią w spokoju, co? - rzekł Karch. - Nie sądzę, że by jej się to podo...

- Pierdol się, dobra? Nic jej nie jest. Po prostu lubi krzyczeć.

- Nie sądzę. A może ty lubisz, kiedy krzyczy. Wtedy czujesz, że masz władzę.

Nagle facet skoczył naprzód, na co Karch był przygotowany. Niczym doświadczony torreador zrobił unik przed atakującą bestią i pomagając sobie rękami, skierował energię napastnika w zaparkowaną obok małą furgonetkę. Człowiek uderzył głową w drzwi samochodu, robiąc w nich wgłębienie. Kiedy się podnosił i odwracał, Karch ruszył na niego. Błysnął dwudziestkapiątką w dłoni i przystawił lufę do podbródka napastnika, wciskając wylot głęboko w miękką skórę tuż pod kością.

- Czujesz to? Wydaje się małe, co? Dwudziestkapiątką, prawie jak zabawka. Z daleka często zawodzi, ale z bliska to co innego. Kiedy strzelę z takiego kapiszona, kula wejdzie ci prosto w mózg, lecz będzie za słaba, żeby wylecieć z drugiej strony. Odbije się tam kilka razy i zmieni wszystko w szarą breję. Może nawet nie umrzesz, ale będziesz musiał nosić śliniak i jeździć na wózku przez resztę...

- Zostaw go w spokoju - powiedziała zza jego pleców dziewczyna. - Nic złego nie zrobił.

Karch nawet nie spojrzał w jej stronę i to był błąd.

- Zamknij się. I cofnij. Ten gość...

Złapała Jacka od tyłu, a on lewą ręką odepchnął ją, przyciskając lufę pistoletu do szyi mężczyzny. Usłyszał, jak ciało kobiety uderzyło mocno w bmw, a potem padło na jezdnię.

- Johnny! - wrzasnęła.

- Widzisz, co zrobisz? - zawołał Johnny. - Gościu, zobacz, co jej zrobisz! Rycerz jebany.

Karch odsunął się od niego i zaczął wycofywać, zatrzymując się dopiero wtedy, gdy miał ich oboje przed sobą. Dziewczyna siedziała na jezdni z rozrzuconymi nogami i sprawiała wrażenie lekko ogłuszonej. Johnny podbiegł do niej, a ona złapała go za szyję. Znow zaczęła płakać.

Karch odwrócił się i szybkim krokiem zaczął iść do swojego samochodu. Po co to, kurwa, zrobiłem? Przecież jestem tu tylko z jednego powodu - myślał.

Wsiadł do lincolna, wycofał i wyjechał z parkingu. Zobaczył, że Johnny stoi i patrzy w ślad za jego samochodem.

Karch zatrzymał się przy krawężniku na Magnolia Boulevard, włączył światło wewnętrzne i ze schowka wyciągnął rejestr częstotliwości wydany przez Narodowe Stowarzyszenie Instytucji Przestrzegania Prawa. Kupił tę książkę od Iversona za pięćset dolarów. Wyszczególniono w niej wszystkie instytucje stróżów prawa - federalne, stanowe i lokalne oraz częstotliwości radiowe, których każda z nich używała do pracy. U góry każdej strony wielkimi literami wydrukowano uwagę: „Do użytku wewnętrznego”. Kiedy Karch pierwszy raz to zobaczył, wybuchnął śmiechem.

Znalazł Departament Policji Burbank i ustawił w zamontowanym pod tablicą rozdzielczą odbiorniku przeszukującym trzy używane przez nich częstotliwości. Następnie włączył funkcję powtórnego przeszukiwania na wszystkich trzech częstotliwościach i nasłuchując, czekał. Gdyby para ludzi, z którymi się zetknął, zgłosiła incydent na policji, musiał o tym wiedzieć.

Jak na późny czwartkowy wieczór Burbank wydawało się dość spokojne. Centrala nadała kilka wewnętrznych komunikatów do patroli, a potem wezwanie na parking przy barze Presnick. Zgłoszono napad i zagrożenie bronią.

- Jasna cholera! - wrzasnął Karch.

Walnął pięścią w kierownicę. Spojrzał na zegarek. Dochodziła północ. Wiedział, że jest niedaleko lotniska Burbank. Mógłby tam pojechać i na parkingu postarać się o nowe tablice rejestracyjne. Ale robiło się późno, a on musiał się wydostać z Burbank. Wrzucił bieg i jechał, dopóki nie dotarł na jakąś ulicę, przy której stały tylko domy mieszkalne. Skręcił w nią, przejechał jedno skrzyżowanie i zatrzymał wóz. Zgasił światła, sięgnął pod siedzenie po swoje własne tablice i wiertarkę i wysiadł. Minutę później wrócił z kradzionymi tablicami w rękę. Wepchnął je pod siedzenie i ruszył. Dopiero po dojechaniu do następnego skrzyżowania włączył światła.

Kierując się na zachód, nigdzie się nie zatrzymywał, dopóki nie wyjechał z Burbank i znalazł się w północnej części Hollywood. Słuchał swojego rysopisu podawanego przez policję i nie mógł powstrzymać uśmiechu. Dodano mu pięćdziesiąt funtów wagi i dziesięć lat. Reszta to były takie ogólne, że właściwie nie miały znaczenia. Podany numer rejestracyjny zgadzał się z numerami na tablicach spoczywających teraz pod siedzeniem, ale z marką samochodu zupełnie nie trafili. Rozpoznał jego wóz jako forda LTD. Karch zapalił papierosa, próbując się

rozluźnić. Z Burbank nie powinno być problemów.

Minęła już północ i Jack sądził, że to dość czasu, by Leo Renfro dojechał tam, gdzie zmierzał. Zatrzymał się na parkingu pod czynnym dwadzieścia cztery godziny na dobę supermarkecie Ralph. Właśnie otworzył program FasTrak, gdy nagle odezwał się pager. Sprawdził numer - wiadomość pochodziła od Grimaldiego. Postanowił nie odzwaniać, a nawet wyłączył pager. Nie miał ochoty, by znowu zabręczał w nieodpowiednim momencie.

Jack wstukał polecenie wywołujące dane o trasie pokonanej przez nadajnik umieszczony pod samochodem Renfra. Na ekranie pojawiła się mapa północnego Los Angeles z czerwoną linią, która oznaczała drogę jeepa. Karch miał rację. Renfro krążył po całym Valley, kręcąc się w kółko i kilka razy zawracając. Komputer pokazał, że nadajnik od dwunastu minut jest w jednym miejscu. Renfro zatrzymał auto. Lokalizację komputer określił jako Citron Street na Tarzanie.

- Jadę do ciebie, Leo - powiedział głośno Karch.

Uruchomił silnik i wyjechał z parkingu, kierując lincolna w stronę Tarzany.

Rozdział 30

Bez kłopotów znalazł jeepa cherokee. Wóz zaparkowano na podjeździe przed niewielkim domem przy Citron Street. Przejeżdżając obok, Karch zastanawiał się, dlaczego Renfro nie wstawił samochodu do garażu. Objechał wkoło grupę domów, sprawdzając, czy w okolicy nie dostrzeże niczego niezwykłego czy podejrzanego. Następnie zatrzymał lincolna przy krawężniku, skrzyżowanie za domem Renfra. Z powrotem nałożył górę kombinezonu, który zapiął pod samą szyję. Z kabury wyciągnął sig-sauera, do którego dokręcił tłumik. Wysiadł z lincolna, nie zamykając go na klucz, w razie gdyby musiał szybko się ewakuować, i ruszył ulicą.

Przed wejściem do domu Karch kucnął obok samochodu Lea i sięgnął po sprzęt nawigacji satelitarnej. Wyciągnął urządzenia spod podwozia i krótkim szarpnięciem wyrwał kable. Następnie przeszedł na tył

jeepa, żeby zdjąć ze zderzaka antenę. Cały sprzęt wrzucił do skrzynki pocztowej, która znajdowała się na początku podjazdu. Zamierzał zabrać go potem, gdy będzie wracał do samochodu.

Ciekaw, dlaczego Renfro pozostawił auto na widoku, podszedł do garażu i przez jedno z małych okienek w drzwiach zajrzał do środka. Garaż od podłogi po sufit wypełniały ustawione w piramidy skrzynki z szampanem. Jack przypuszczał, że to kradziony towar. Zastanawiał się, czy warto później poświęcić nieco czasu i wysiłku, by go sprzedać. Mógłby pewnie za sporą sumkę sprzedać szampana Vincentowi Grimaldiemu.

Dał spokój temu pomysłowi, koncentrując się na czekającym go zadaniu. Przeszedł przed frontem domu i ruszył wzdłuż lewej ściany, rozglądając się uważnie, czy nigdzie nie ma psów. Alarmami się nie przejmował. Ludzie z półświatka rzadko mieli takie zabezpieczenia. Zdawali sobie sprawę z ryzyka, na jakie się narażają, i nie chcieli żadnym hałasem sprowadzać sobie na kark policji.

Na wysokości połowy bocznej ściany domu znajdowała się drewniana brama. Karch z łatwością pokonał tę przeszkodę. Przechesał snopem światła latarki trawę i grządki krzewów ciągnące się wzdłuż ściany domu. Nigdzie nie było widać psich odchodów ani śladów kopania wokół roślin. Wyłączył latarkę i poszedł w stronę podwórka. Księżyc świecił jasno, więc nie potrzebował sztucznego światła.

Doszedłszy do rogu domu, Jack wychynął zza węgła i zobaczył połyskującą błękitem powierzchnię basenu. Kiedy zaczął iść wzdłuż tylnej ściany domu, usłyszał odgłos rozsuwanych drzwi. Szybko cofnął się za róg i zajął taką pozycję, by móc obserwować tył domu. W drzwiach stanął człowiek i podszedł do krawędzi basenu. Ten sam, który wchodził na pocztę. Leo Renfro. Spojrzał w wodę, a Jack dostrzegł poruszający się po dnie basenu automatyczny filtr próżniowy. Leo uniósł głowę i zdawał się patrzeć prosto w księżyc. Karch wyszedł z ukrycia, unosząc broń.

Przez szum dobiegający z pobliskiej autostrady Renfro nie usłyszał go. Karch przyłożył zimną lufę do karku Renfra. Ten w jednej chwili naprężył mięśnie, lecz była to jego jedyna reakcja. Ludzie tacy jak on muszą się spodziewać, że prędzej czy później poczują na karku chłód lufy.

- Ładna noc, co? - odezwał się Karch.
- Właśnie tak sobie myślałem - odpowiedział mężczyzna. - To ty jesteś walet kier?

- **Ja.**

- Rozglądałem się wszędzie, ale cię nie widziałem.
- Bo mnie nie było. Jesteś zapóźniony o jakąś dekadę, Leo. Założyłem ci na samochód pluskwę satelitarną. Nie musiałem za tobą jechać.

- Nigdy nie jest za późno na naukę.
- Może. Chodźmy do środka i pogadajmy. Trzymaj ręce w górze, tak żebym widział.

Karch jedną ręką chwycił Renfra za kołnierz, a drugą przycisnął lufę pistoletu do jego pleców. Weszli do domu.

- Jest tu ktoś jeszcze?

- Nie, jestem sam.

- Na pewno? Jeżeli kogoś znajdę, przysięgam, że już jesteś martwy.

- Nie wątpię. Nikogo nie ma.

Przez rozsunięte drzwi weszli do pokoju, który wyglądał jak gabinet. Na jednym końcu stało biurko. Całą ścianę zajmowały skrzynki z szampanem. Karch pchnął mocno Renfra w stronę biurka i puścił go. Później sięgnął za siebie i zasunął drzwi.

- Stój przed biurkiem.

Leo spełnił polecenie. Stał wyprostowany, wyprężywszy pierś, z uniesionymi wysoko rękami. Karch stanął za biurkiem. Zauważył, że na blacie leży koperta, którą sam zostawił Leowi w skrytce, oraz druga koperta, w której była wcześniejsza przesyłka. Obydwie zostały otwarte. Karch usiadł na krześle za biurkiem i spojrzął na Renfra.

- Ciężko pracujesz, Leo.

- No, nie wiem. Ostatnio nie idzie za dobrze.

- Naprawdę? - Jack wskazał ruchem głowy skrzynki szampana. - Wygląda, jakbyś chciał uczcić jakąś wielką okazję.

- To moja inwestycja.

Karch wziął kopertę z folią i potrząsnął nią, aż na biurko wypadł as kier. Rzucił kopertę przez ramię, pokazując Leowi kartę.

- As kier. Karta pieniędzy, Leo.

Włożył asa do jednej z kieszeni kombinezonu. Potem wziął drugą kopertę i zajrzał do środka.

- Ciekaw jestem, co znaczy to siedem, siedem, trzy? Jakiś kod?
- Tak, coś w tym rodzaju. Numer kierunkowy. Karch pokręcił głową.

- Powinienem się domyślić. Dokąd?
- Do Chicago. Nowy.
- Tak, no jasne. Pracujesz dla Chicago.
- Nie, nieprawda. Dla nikogo nie pracuję.

Karch skinął głową, ale jego uśmiech świadczył, że nie wierzy Leowi. Wziął drugą kopertę i wytrząsnął z niej dwa paszporty. Otworzył jeden na stronie ze zdjęciem. Do stronicy doczepiono spinaczem prawo jazdy z Illinois oraz dwie karty kredytowe. Jacka jednak bardziej interesowało zdjęcie.

- Jane Davis - przeczytał głośno. - Zabawne, wydaje mi się bardzo podobna do Cassidy Black.

Spojrzał na twarz Lea Renfra, czekając na reakcję. Rzeczywiście, na jego twarzy odmalowało się przez moment zaskoczenie, może nawet szok. Karch uśmiechnął się.

- Tak, wiem trochę więcej, niż myślisz.

Wziął drugi paszport, spodziewając się zobaczyć tam zdjęcie Renfra. Jednak była tam fotografia małej dziewczynki. Podpis głosił, że jest to Jodie Davis.

- No, może jednak nie wiem wszystkiego. Kto to jest?

Renfro nie odpowiedział.

- Daj spokój, Leo, dlaczego nie chcesz współpracować? Nie możemy mieć przed sobą tajemnic.

- Pierdol się. Zrób, co musisz, ale się pierdol.

Karch odchylił się w tył, spoglądając na Renfra, jakby starał się go ocenić.

- Wszystkim wam z Ekipy wydaje się, że jesteście nietykalni.

- Nie jestem z Ekipy, ale mimo to się pierdol.

Karch uśmiechnął się, jak gdyby rozbawiły go protesty Lea.

- Opowiem ci coś o Ekipy. Dawno temu był sobie w Las Vegas pewien magik. Od jakiegoś czasu występował to tu, to tam, pracował we wszystkich kasynach, ale nigdy nie zyskał prawdziwej sławy. Zawsze występował przed kimś, nigdy jako główna atrakcja. W dodatku sam wychowywał syna. W każdym razie kiedyś występował w salonie kłownów w „Circus, Circus”. Żadna wielka sztuka. Tricky przy stole, żeby wyciągnąć parę groszy od naiwniaków - głównie napiwki. I pewnego wieczoru grał w trzy karty przy stoliku, gdzie siedziało trzech

gości, którzy ciągle chcieli, żeby zrobił to jeszcze raz. Wiesz: „Pokaż to jeszcze raz, a na pewno odgadnę”. Tyle że ani razu nie trafili. Ani razu nie wskazali asa. Szczególnie jeden coraz bardziej się wkurzał. Wydawało mu się, że magik kpi sobie właśnie z niego. Przejdźmy do końca wieczoru. Magik kończy pracę i idzie do garażu. Zgadnij, kto na niego czeka przy samochodzie. Ci trzej z baru.

Karch przerwał na chwilę, ale nie dla większego efektu. Za każdym razem, kiedy myślał o tamtej chwili albo o niej opowiadał, czuł gotującą się w nim złość, która ścisnęła go za gardło, nie pozwalając przez chwilę wydobyć głosu.

- Jeden z nich, szef całej trójki, miał w ręce młotek. Żaden nie powiedział ani słowa. Chwycili iluzjonistę i rozciągnęli go na masce samochodu. Jeden z nich zakneblował go własnym krawatem. Potem każdy po kolei młotkiem łamał magikowi kostki palców. W pewnym momencie magik zemdłał, a gdy tamci skończyli, zostawili go leżącego na betonie obok auta. Później już nie pracował jako iluzjonista. Nie potrafił ukryć w dłoni ćwierćdolarówki. Za każdym razem spadała na podłogę. Siedziałem w swojej sypialni i słyszałem, jak ćwiczy w pokoju obok. Za każdym razem moneta stukała o drewnianą podłogę...

- Potem jeździł taksówką, żeby zarobić. Wreszcie wykończył go rak, ale tak naprawdę umarł już na długo przedtem.

Karch spojrzał na Renfra.

- Wiesz, kim był ten facet z młotkiem?

Renfro pokręcił głową.

- To był Joey Marks. Człowiek Ekipy w Vegas.

- Joey Marks nie żyje - odrzekł Leo. - Poza tym mówię, że nie pracuję dla Ekipy ani kogokolwiek innego.

Karch wstał i podszedł do niego.

- Przyszedłem po pieniądze - rzekł cicho. - Ukradłeś je niewłaściwym ludziom i przyszedłem, żeby ci to wyjaśnić. Nie obchodzi mnie, czy pracujesz dla Chicago, czy nie. Nie wyjdę stąd bez pieniędzy.

- Jakich pieniędzy? Sprzedaję paszporty. Inwestuję w szampana. Nie kradnę ludziom pieniędzy.

- Słuchaj, Leo. Martin nie żyje. Jersey Paltz też. Chyba nie chcesz skończyć tak jak oni? Gdzie jest forsa? Gdzie jest Cassie Black?

Renfro odwrócił się twarzą do Karcha. Plecami był zwrócony do szklanych drzwi i basen za nim połyskiwał w ciemności. Pochylił głowę, jak gdyby spoglądał w głąb samego siebie i podejmował decyzję. Po chwili uniósł brodę, spoglądając na Karcha.

- Pierdol się.

Karch pokręcił głową.

- Nie, Leo, tym razem twoja kolej.

Opuścił lufę pistoletu i spokojnie strzelił. Pocisk trafił w lewe kolano Renfra. Przeszył gładko kość i tkankę, uderzył w kafelki podłogi, od których się odbił, lądując na szybie drzwi. Szkło roztrzaskało się w wielkie, nierówne kawałki, które poleciały na podłogę, rozbijając się na mniejsze odłamki. Renfro padł na podłogę i chwycił się za kolano z twarzą skurczoną z bólu.

Rozbijane szkło narobiło więcej hałasu, niż Karch się spodziewał. Drzwi zostały zupełnie stłuczone, poza dużym kawałkiem, który pozostał w dolnej części ramy. Karch doszedł do wniosku, że dom zbudowano jeszcze przed wprowadzeniem szkła bezodpryskowego. Wyjrzał na podwórko w nadziei, że szum autostrady skutecznie zagłuszył trzask.

Renfro rzucał się z jękiem po podłodze, rozcinając sobie ręce i plecy o potłuczone szkło. Podłoga szybko zrobiła się śliska od krwi. Karch zbliżył się i pochylił nad Leem.

- Oddaj mi pieniądze, Leo, a obiecuję, że skończę z tobą szybko i bezboleśnie.

Nie doczekał się odpowiedzi. Twarz Renfra stała się szkarłatna. Wargi odsłaniały mocno zaciśnięte zęby.

- Leo? Leo, posłuchaj. Wiem, że bardzo cię boli, ale posłuchaj mnie. Jeżeli nie oddasz mi pieniędzy, spędzimy tu całą noc. Myślisz, że teraz cię boli? Nie wyobrażasz sobie, jak...

- Pierdol się! Nie mam tej forsy.

Karch skinął głową.

- Przynajmniej robimy jakiś postęp, co? Przeszliśmy fazę pytania „Jakie pieniądze?”. Jeżeli ich nie masz, to gdzie są?

- Przekazałem je Chicago.

Odpowiedź padła za szybko. Karch spojrzał uważnie w twarz Renfra i stwierdził, że kłamie.

- Nie sądzę, Leo. Gdzie dziewczyna? Cassie Black, Leo. Gdzie ona jest?

Renfro nie odpowiedział. Karch odsunął się i spokojnie strzelił w drugie kolano.

Leo wydał z siebie głośny wrzask, a potem bluznął serią epitetów, które utoneły w majaczeniu i jękach. Przewrócił się na brzuch, wciskając pod siebie rękę zgiętą w łokciu i ukrywając twarz w dłoniach. Z jego kolan sączyła się krew, tworząc pod rozrzuconymi nogami dwie bliźniacze kałuże. Karch wyjrzał przez strzaskane drzwi, sprawdzając, czy nie pojawiły się gdzieś światła albo inne oznaki, że sąsiedzi słyszeli hałas. Usłyszał tylko dobiegający z autostrady pomruk. Miał nadzieję, że dzięki niemu jest bezpieczny.

- Dobra - wybulgotał Leo. - Powiem ci. Pokażę.

- Dobrze, Leo, bardzo dobrze. Wreszcie do czegoś dochodzimy.

Renfro uniósł głowę i wsparł się na łokciach. Zaczął się czołgać w stronę rozbitych drzwi, ciągnąc za sobą bezwładne nogi, które znaczyły podłogę smugami krwi.

- Powiem ci - wykrztusił przez łyżę bólu. - Pokażę ci.

- Więc mów, Leo - powiedział Karch. - Dokąd się wybierasz? Nigdzie nie pójdziesz. Nie możesz w ogóle chodzić, chyba że wyjąć z bólu. Po prostu mi powiedz, gdzie ona jest.

Renfro podczołgał się jeszcze stopę w stronę drzwi. Kiedy się odezwał, mówił urywanym głosem, przez zaciśnięte zęby.

- Widzisz... wszystko przez ten jebany księżyc... martwy...

- Co ty bredzisz? Gdzie pieniądze?

Karch zorientował się, że przesadził. Renfro majaczył z bólu, stracił za dużo krwi. Za chwilę stanie się bezużyteczny.

- Martwy księżyc - powiedział Renfro. - Martwy księżyc.

Karch dał krok w stronę drzwi.

- Martwy księżyc? - rzekł. - Co to znaczy?

Renfro zatrzymał się. Odwrócił głowę i spojrzał na Karcha. Napięcie z jego twarzy zniknęło. Wyglądał na niemal rozluźnionego.

- To znaczy, że wszystko się może zdarzyć, skurwysynu.

Jego głos zabrzmiał teraz mocno i czysto. Nagle podniósł się wyżej i oparł na rękach, wyciągając górną część ciała maksymalnie w górę, a potem rzucił się naprzód w ramę drzwi. Szyją trafił w wystający kawał szkła, który tam pozostał.

Karch za późno się zorientował.

- Niech cię szlag!

Złapał Renfra za kołnierz i szarpnął, zdejmując go ze szkła. Rzucił nim o podłogę, chwycił za ramię i obrócił twarzą do siebie.

Za późno. W poprzek szyi Renfra biegła głęboka rana. Sam poderżnął sobie gardło. Z rozerwanej tętnicy szyjnej z bulgotem wypływała krew.

Leo Renfro patrzył na Karcha jasnymi oczyma. Na jego zakrwawionych ustach pojawił się uśmiech. Powoli unióśł dłoń i zasłonił nią ranę na szyi.

- Przegrałeś - wycharczał szeptem.

Leo opuścił dłoń, pozwalając krwi płynąć. Wciąż się uśmiechał i patrzył na Karcha.

Karch padł na kolana, przybliżając się do Renfra.

- Myślisz, że mnie pokonałeś? Co? Myślisz, że wygrałeś?

Leo mógł odpowiedzieć jedynie uśmiechem. Karch wiedział, że ten uśmiech mówi „Pierdol się!”. Podniósł pistolet i wcisnął lufę w zakrwawione usta Renfra.

- Nie wygrałeś.

Odchylił się, odwracając twarz. Pociągnął za spust. Strzał rozerwał tył czaszki Renfra, zabijając go w jednej chwili.

Karch zabrał broń i popatrzył uważnie w twarz trupa. Leo miał otwarte oczy i wyglądał, jakby wciąż się uśmiechał.

- Pierdol się. Ze mną nie wygrałeś.

Przysiadł na piętach, rozglądając się wokół siebie. Zobaczył plamkę krwi na podbiciu jednego ze swoich dwubarwnych półbutów. Stał ją kciukiem, który następnie wytarł o koszulę Lea.

Wstał i rozejrzał się po gabinecie. Westchnął głośno. Wiedział, że ma przed sobą długą noc poszukiwań. Musiał odnaleźć pieniądze. Musiał odnaleźć Cassie Black.

Rozdział 31

W piątek o dziesiątej rano Cassie Black przyjechała do salonu samochodowego i poszła do Raya Moralesa, żeby zobaczyć co i jak. Ray odbierał telefony do niej podczas jej kilkudniowej nieobecności. Powiedział, że na razie jest spokój, ale o trzeciej miał przyjść klient na próbną jazdę nowym boxsterem. Morales namierzył kolejnego szczęśliwca, który podpisał z Warner Brothers kontrakt na siedmiocyfrową kwotę. Trafił na niego przez „Hollywood Reporter” i sądził, że będzie to

łatwa zdobycz. Cassie podziękowała mu za pamięć i już chciała iść do swojego pokoiku, gdy Ray ją zatrzymał.

- Wszystko w porządku, mała? - zapytał.
- Jasne, dlaczego pytasz?
- Nie wiem. Wyglądasz, jakbyś niewiele ostatnio spała.

Cassie położyła stuloną dłoń na lewym łokciu, który jeszcze ją bolał po zetknięciu z elektrycznym zabezpieczeniem walizki.

- Wiem - odrzekła. - Dużo myślałam o różnych rzeczach. Wtedy czasem nie mogę zasnąć.

- O czym myślałaś?
- O różnych rzeczach. Będę u siebie, gdybyś czegoś potrzebował.

Wycofała się do azylu swojego pokoiku. Rzuciła plecak obok biurka i usiadła. Oparła łokcie o podkładkę na blacie, zanurzając dłonie we włosach. Miała ochotę wrzasnąć: JUŻ NIE MOGĘ! Starą się jednak opanować niepokój, mówiąc sobie, że tak czy inaczej jej życie niedługo się zmieni.

Podniosła słuchawkę, żeby odsłuchać pocztę głosową, choć we wtorek zostawiła ogólnie brzmiącą informację, że przez kilka dni jej nie będzie i żeby do jej powrotu wszystkie telefony kierować do Raya Moralesa. Mimo to dostała cztery wiadomości. Pierwsza pochodziła z warsztatu i informowała, że są już gotowe chromowane koła zamówione do speedstera 1958, którego niedawno sprzedała. Drugi telefon był od potencjalnego klienta - producenta z Fox - z którym miała próbną jazdę w zeszłym tygodniu. Nie dzwonił w sprawie samochodu. Chciał powiedzieć Cassie, że bardzo mu się podobał jej styl i pytał, czy chciałaby iść z nim na premierę filmu przyjaciela w przyszłym tygodniu. Cassie nie chciało się zapisać numeru komórkowego producenta.

- Jeżeli podobał ci się mój styl, dlaczego nie kupiłeś wozu? - powiedziała do słuchawki.

Trzecia wiadomość była od Lea i nadeszła dziesięć minut po północy. W jego głosie brzmiało zdenerwowanie, którego nigdy wcześniej nie słyszała. Tę wiadomość przesłuchała trzykrotnie.

- Hej, to ja. Co jest z twoją komórką? Nie mogę się połączyć. Właśnie wróciłem z poczty. W skrytce znalazło się to, co chciałaś, ale było tam coś jeszcze. Ktoś zdobył adres i coś mi przysłał. Asa kier z Flamingo. Nie wiem, co to znaczy, ale coś musi znaczyć: Zadzwoń, kiedy

dostaniesz wiadomość. Pamiętaj o środkach ostrożności i zachowaj spokój. Aha, i skasuj tę wiadomość, dobra?

Zanim Cassie przesłuchała czwarty telefon, wcisnęła klawisz z trójką, kasując wiadomość od Lea. Ostatnia wiadomość przyszła o wpół do ósmej dziś rano. Głuchy telefon, bez żadnych hałasów w tle. Ktoś odychał przez kilka sekund, a potem odłożył słuchawkę. Zastanawiała się, czy to mógł być Leo.

Odłożyła słuchawkę, sięgnęła po plecak i położyła go sobie na kolanach. Grzebała w nim przez chwilę, aż wreszcie namacała telefon komórkowy. Był wyłączony. Przypomniała sobie, że sama go wyłączyła po rozmowie z Leem, kiedy nie chciała, by znów do niej dzwonił.

Włączyła telefon i położyła na biurku. Potem jeszcze raz sięgnęła do plecaka i znalazła talię kart, którą kupiła w sklepie pamiątkowym we Flamingo. Szybko otworzyła pudełko, wyciągnęła karty i zaczęła je po kolei oglądać, szukając asa kier. Im bardziej zbliżała się do końca talii, tym większy lęk w niej narastał. Odwracając ostatnią kartę, głośno zakląła i rzuciła talią, która uderzyła w plakat z Tahiti, a karty rozsypały się, lądując na podłodze i na biurku.

- Niech to szlag!

Ukryła twarz w dłoniach, próbując zadecydować, co robić dalej. Chwyciła słuchawkę, żeby zadzwonić do Lea, ale zaraz się rozmyśliła. Pamiętaj o środkach ostrożności. Pomyślała o telefonie komórkowym, ale to też nie był dobry pomysł. Otworzyła szufladę i z przegródki, w której powinny leżeć długopisy i ołówki, wyciągnęła garść monet i wstała zza biurka.

W drzwiach omal nie zderzyła się z Rayem Moralesem, który przyszedł zaalarmowany hałasem rozsypujących się kart.

- Przepraszam - powiedziała, próbując go ominąć.

Ray spojrział w głąb pokoju i zobaczył karty.

- Co ty, stawiasz pasjansa z pięćdziesięciu dwóch kart?

- Raczej z pięćdziesięciu jeden.

- Co?

- Za parę minut wrócę, Ray. Muszę się przejść.

Patrzył w milczeniu, jak przecina salon i wychodzi przez oszklone drzwi.

Cassie poszła w kierunku Cinerama Dome, gdzie - jak wiedziała - od strony ulicy znajdował się automat telefoniczny. Wykręciła numer komórkowy Lea, który znała już na pamięć. Po dziesięciu dzwonek,

po których nikt nie odebrał, odłożyła słuchawkę. Nie dowierzając samej sobie, jeszcze raz wykręciła jego numer. Tym razem zaczęła do dwunastego dzwonka. Lęk, który zaczęła odczuwać, oglądając karty, nasilił się. Zaczęła wpadać w panikę.

Próbowała się uspokoić, myśląc, dlaczego Leo mógł nie odebrać telefonu. Leo i jego komórka byli ze sobą zrośnięci jak bliźniacy syjamscy. Gdyby telefon był wyłączony, odezwałaby się poczta głosowa. Skoro nikt nie odbierał, musiał być włączony. Pytanie tylko, czemu Leo nie odpowiada.

Nagle przypomniała sobie o basenie. Okrążenia, które Leo robił co rano. Pewnie położył komórkę na stoliku, ale jeżeli pływa, mógł nie słyszeć dzwonka, gdyż zagłuszył go chłopot wody i szum dobiegający z autostrady.

Uspokoiła się trochę. Jeszcze raz zadzwoniła do Lea i znowu nikt nie odebrał. Odłożyła słuchawkę, postanawiając wrócić do salonu. Za pół godziny albo czterdzieści minut spróbuje jeszcze raz. Przypomniała sobie, jak Leo mówił jej kiedyś, że dziennie przepływa trzy mile. Nie miała pojęcia, ile to może potrać, ale domyślała się, że nie krócej niż pół godziny.

Pięć minut później weszła do salonu i ujrzała Raya w towarzystwie jakiegoś mężczyzny w filcowym kapeluszu, który patrzył na srebrną carrerę z grzybkowym spoilerem. Ray dostrzegł ją i dał znak, żeby podeszła.

- Cassie, to jest pan Lankford. Chce kupić samochód.

Klient odwrócił się i uśmiechnął z zażenowaniem.

- Właściwie chciałbym najpierw obejrzeć. To znaczy przejechać się. A potem zobaczę.

Wyciągnął rękę.

- Terrill Lankford.

Uścisnęła jego dłoń, która była silna i sucha.

- Cassie Black.

Spojrzała na Raya. Nie miała ochoty jechać z tym facetem. Nie miała w tej chwili głowy do sprzedawania samochodów.

- Ray, Billy już przyszedł? Albo Aaron? Może któryś z nich mógłby...

- Meehan jest na jeździe, a Curtiss przychodzi dopiero o dwunastej. Chcę, żebyś ty pokazała panu Lankfordowi samochód.

Ton Raya wskazywał, że jej chimeryczne zachowanie zaczęło go irytować i nie miał ochoty na żadne dyskusje. Spojrzała na Lankforda.

Był to człowiek elegancki - ubrany w garnitur retro, który świetnie pasował do kapelusza. Sądząc po jego niezdrowo bladej cerze, Cassie uznała, że będzie go interesował model coupe. Nie było boxsterow coupe, zostawała więc droższa carrera.

- Jaki model pana interesuje?

Lankford uśmiechnął się, ukazując nieskazitelnie białe zęby. Cassie zauważyła, że ma szare oczy, które zdawały się nie pasować do jego kruczoczarnych włosów.

- Chyba nowa carrera.

- Dobrze, przygotuję samochód. Proszę tymczasem dać Rayowi prawo jazdy i kartę ubezpieczeniową, żeby zrobił kopie.

Lankford otworzył usta, ale nic nie powiedział.

- Ma pan chyba dowód ubezpieczenia, prawda? - spytała Cassie.

- Ach, tak, oczywiście.

- A więc Ray się tym zajmie, a ja pójdę po samochód. Coupe czy kabrio?

- Słucham?

- Model ze stałym dachem czy kabriolet?

- Ach, tak. Cóż, mamy taki ładny dzień. Może dach nie będzie potrzebny?

- Niezły pomysł. Mamy taki wóz, srebrny - może być?

- Wspaniale.

- Dobrze, kiedy skończy pan z Rayem, proszę przyjść na boczny parking, tam pod dach.

Pokazała oszklone drzwi po drugiej stronie salonu.

- Do zobaczenia - rzekł Lankford.

Kiedy Ray wziął klienta do działu finansowego, gdzie stała kopiarka, Cassie poszła do gabinetu Raya i z tablicy zdjęła kluczyki od srebrnej carrery. Następnie wstąpiła do swojego pokoiku i z plecaka wyciągnęła portfel. Zobaczyła, że wszędzie leżą rozrzucone karty, i pomyślała, że jeżeli Lankford zechce kupić auto, będzie go musiała zaprowadzić na chwilę do gabinetu Raya, a sama posprzątać pokoik. Teraz nie było na to czasu.

Już wychodziła, kiedy przypomniała sobie o czymś jeszcze. Złapała leżący na biurku telefon komórkowy i przypięła do paska. Na wypadek gdyby zadzwonił Leo, pomyślała.

Wsiadła do samochodu, wrzuciła portfel do schowka na kompakty w desce rozdzielczej i uruchomiła silnik. Złożyła dach i opuściła szyby.

Stwierdziła, że ma ćwierć baku paliwa. Potem podjechała pod drzwi salonu dokładnie w momencie, gdy wychodził z nich Lankford.

- Na razie ja poprowadzę, dopóki stąd nie wyjedziemy - zawołała, przekrzykując ryk rozgrzewającego się silnika. - Potem pan siądzie za kółkiem.

Lankford uśmiechnął się, dając jej znak, że się zgadza, po czym заняł miejsce pasażera. Cassie wyjechała na Sunset Boulevard, a potem skręciła na północ, w stronę Vine. Z Hollywood Boulevard zjechała w lewo na Cahuengę, którą pojechała na północ, w kierunku wzgórz i Mulholland Drive.

Z początku oboje milczeli. Cassie wołała, by klient najpierw wsłuchał się w dźwięk samochodu, by poczuł jego moc na zakrętach, by się w nim zakochał, zanim padną pierwsze słowa. Wołała powstrzymać się na jakiś czas od zachwalania możliwości wozu i wyjaśniania szczegółów, dopóki klient nie zasiadł za kierownicą. Poza tym w tej chwili nie interesował jej Lankford ani jego chęć nabycia auta za siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Cały czas myślała o telefonie od Lea i zdenerwowaniu w jego głosie.

Carrera bez wysiłku wspinała się po zakrętach Mulholland od Cahuengi w kierunku szczytów gór Santa Monica. Zatrzymała się na poboczu, w miejscu, skąd widać było Hollywood Bowl. Wyłączyła silnik i wysiadła.

- Pańska kolej - powiedziała. Były to jej pierwsze słowa od chwili, gdy Lankford wszedł do samochodu.

Podeszła do bariery nad przepaścią i popatrzyła na leżącą głęboko w dole muszlę Hollywood Bowl. Ogarnęła spojrzeniem całe Hollywood i przeniosła wzrok na wieżowce centrum. Zalegał tam ciężki smog, który miał pomarańczoworóżowy odcień. Mimo to miasto wcale nie wyglądało tak źle.

- Ładny widok - zauważył zza jej pleców Lankford.

- Czasami.

Cassie odwróciła się i patrzyła, jak klient zajmuje fotel kierowcy. Sama wysiadła z drugiej strony.

- Może pojedziemy jeszcze kawałek Mulholland. Zobaczysz pan, jak wóz się prowadzi. Potem wrócimy na dół Kanionem Laurel i pojedziemy sto pierwszą do Hollywood. Na autostradzie będzie pan mógł trochę mocniej przycisnąć i przekonać się, ile wyciąga.

- Niezły pomysł.

Lankford szybko znalazł stacyjkę z lewej i uruchomił silnik. Wycofał wóz, wrzucił jedynkę i wyjechał na Mulholland. Prowadził, cały czas trzymając rękę na dźwigni zmiany biegów. Cassie w jednej chwili stwierdziła, że klient zna się na rzeczy.

- Widzę, że jeździł pan już takim autem, ale i tak nie zamierzam dawać sobie paru wskazówek.

- Świetnie.

Zaczęła wyliczać parametry samochodu, poczynając od chłodzonego wodą silnika i skrzyni biegów, po zawieszenie i hamulce. Następnie omówiła przeznaczenie wszystkich przyrządów w środku i przeszła do wyliczania udogodnień.

- W standardzie jest kontrola stałej prędkości, kontrola przyczepności, komputer pokładowy. Odtwarzacz kompaktów, elektrycznie otwierane okna i dach, dwie poduszki powietrzne. A tu na dole...

Wskazała przód fotela pasażera, między swoje nogi. Lankford zerknął tam przelotnie, ale zaraz wrócił spojrzeniem na drogę.

- ...tu ma pan blokadę poduszki powietrznej pasażera - w razie gdyby pan podróżował z dzieckiem. Ma pan dzieci, panie Lankford?

- Proszę mówić mi Terrill. Nie, nie mam dzieci. A pani?

Cassie chwilę zwlekła z odpowiedzią.

- Właściwie nie.

Lankford uśmiechnął się.

- Właściwie? Myślałem, że kobieta nigdy nie ma kłopotów z odpowiedzią na takie pytanie.

Cassie zignorowała tę uwagę.

- Co... sądzisz o aucie, Terrill?

- Płynnie się prowadzi. Jest... urocze.

- Rzeczywiście. Czym się zajmujesz?

Zerknął na nią. Wiatr lada chwila mógł mu zerwać z głowy kapelusz, więc Lankford naciągnął rondo na czoło.

- Można powiedzieć, że jestem kimś w rodzaju mediatora - powiedział. - Konsultantem w interesach. Mam własną firmę. Zajmuję się różnymi rzeczami. Właściwie jestem magikiem. Sprawiam, że ludziom znikają kłopoty. Dlaczego pytasz?

- Jestem po prostu ciekawa. Te auta są bardzo drogie. Musisz być bardzo dobry w tym, co robisz.

- I jestem. Cena nie stanowi problemu. Płacę gotówką. Spodziewam się dostać niedługo sporą sumkę, Cassie. Bardzo niedługo.

Cassie spojrzała na niego i nagle poczuła dreszcz lęku. Bardziej instynktownie niż intuicyjnie. Lankford przycisnął gaz nieco mocniej i porsche zaczął ciąć zakręty trochę szybciej. Lankford znów zerknął na nią.

- Cassie - od jakiego imienia to zdrobnienie? Od Cassandry?

- Od Cassidy.

- Jak Butch Cassidy? Twoi rodzice są fanami przestępców?

- Jak Neal Cassidy. Mój ojciec zawsze był w drodze*. Tak mi w każdym razie mówiono. [Właśc. Neal Cassady - pierwowzór postaci Deana Moriarty'ego, bohatera powieści Jacka Kerouaca „W drodze” (przyp. tłum.)]

Lankford zmarszczył brwi, mocniej deptając pedały gazu.

- To niedobrze. Ja z moim ojcem byłem bardzo blisko.

- Nie chcę się nad sobą użalać. Może pan trochę zwolni, panie Lankford? Chciałabym wrócić do salonu całego, jeśli to możliwe.

Lankford nie odpowiedział ani nie zwolnił. Samochód wpadł w kolejny wiraż, a opony, protestując z piskiem, starały się trzymać drogi.

- Powiedziałam...

- Wiem - odrzekł w końcu Lankford. - Chcesz wrócić żywa.

W tonie Lankforda było coś, co sugerowało, że wcale nie miał na myśli niebezpieczeństwa wypadku drogowego. Cassie zerknęła na niego i poprawiła się na fotelu, przyciskając się ciałem do drzwi.

- Słucham?

- Powiedziałem, że bardzo chcesz wrócić żywa, Cassidy.

- Dobra, zatrzymaj samochód. Wydaje ci się, że...

Lankford wduśił pedały hamulca i szarpnął kierownicę w lewo.

Porsche wpadło w poślizg, obróciło się o sto osiemdziesiąt stopni i stanęło. Lankford spojrzał na Cassie i uśmiechnął się, po czym wrzucił bieg i gwałtownie puścił sprzęgło. Samochód wystrzelił do przodu i począł mknąć przez zakręty, wracając tą samą drogą, którą przyjechali.

- Co ty wyprawiasz, do diabła? - zawołała Cassie. - Zatrzymaj się! Stój!

Prawą ręką złapała górną krawędź przedniej szyby. Jej myśli gnały równie szybko jak porsche, próbując sklecić jakiś plan, pomysł na ucieczkę.

- Właściwie nie nazywam się Lankford - powiedział siedzący obok niej mężczyzna. - Wziąłem to nazwisko z książki, którą wczoraj w nocy znalazłem na półce u twojego przyjaciela Lea Renfra. Miała tytuł „Strzelcy” i zacząłem ją przeglądać. Myślałem, że jest o ludziach z mojej branży, ale nie była. Kiedy podszedł do mnie twój szef, tylko to mi przyszło do głowy. Nazywam się Karch. Jack Karch. I przyjechałem po pieniądze, Cassie Black.

Mimo przerażenia, w głowie Cassie kołatała uporczywa myśl: Jack Karch. Znam to nazwisko.

Rozdział 32

Porsche pędził slalomem przez Mulholland. Jack Karch jechał za szybko, nawet jak na swoje umiejętności i samochód co chwilę przekraczał żółtą linię biegnącą środkiem dwupasmowej drogi, po czym odbijając w drugą stronę, wjeżdżał na pobocze. Wskazówka obrotomierza dochodziła do czerwonej linii, ale Karch nie chciał oderwać dłoni od kierownicy, by wrzucić wyższy bieg. Silnik ryczał i skowyczał, gdy auto wchodziło w zakręty. Cassie trzymała się obiema rękami ramy przedniej szyby, ale i tak rzucało nią w tę i z powrotem. Karch wrzeszczał, żeby przekrzyczeć wycie silnika.

- ODDAJ, KURWA, PIENIĄDZE!

Nie odpowiedziała. Nie odrywała oczu od wijącej się przed nimi drogi pewna, że zjadą z pobocza i runą w dół nasypu.

- MARTIN NIE ŻYJE! PALTZ NIE ŻYJE! LEO NIE ŻYJE!

Na dźwięk imienia Lea odwróciła się do niego. Poczowała bolesne ukłucie w sercu. Karch przymknął gaz. Samochód jechał dalej, ale hałas i wiatr trochę przycichły.

- Wszyscy nie żyją - powiedział. - Ale tobie nie chcę i nie muszę robić krzywdy, Cassie Black.

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Właściwie to cię nawet podziwiam. Zawsze umiem docenić dobrą robotę. Ale przyjechałem po pieniądze i oddasz mi je. Wtedy będziemy kwita.

Cassie zaczęła mówić powoli, ostrym tonem:

- Nie wiem, o czym mówisz. Proszę, żebyś zatrzymał samochód.

Na twarzy Karcha pojawił się wyraz szczerego rozczarowania. Pokręcił głową.

- Całą noc spędziłem u Lea. Przekopałem cały dom. Znalazłem hektolitry szampana i walizkę, której szukałem. Ale nie znalazłem tego, co miało być w walizce. I nie znalazłem ciebie aż do świtu, kiedy stwierdziłem, że mam cię jak na dłoni. Komórka Lea. Włączyłem ostatnio wybrany numer i odezwał się salon Porsche. Usłyszałem listę numerów wewnętrznych i proszę - jest numer Cassie Black. Potem twój głos powiedział: „Tu Cassie z Porsche Hollywood. Przez kilka dni nie ma mnie w pracy, ale proszę zadzwonić jeszcze raz i poprosić Raya Moralesa, który na pewno wszystkim się zajmie”. Pierdu, pierdu, przestań kitować, bo mi się to nie podoba. ODDAJ MI PIENIĄDZE!

- POWIEDZIAŁAM, ZATRZYMAJ SAMOCHÓD.

- Proszę bardzo.

Karch gwałtownie skręcił w prawo i wjechali na zwirową drogę, która przecinała sosnowy zagajnik. Cassie przypuszczała, że to droga ewakuacyjna albo dojazdowa do jakiejś stacji benzynowej czy lokalu. Bez względu na jej przeznaczenie, było jasne, że Karch chce się oddalić od głównej drogi i od potencjalnych świadków.

Gdy ujechali około dwustu jardów, Karch wcisnął gwałtownie hamulec i porsche wpadł w krótki poślizg, po czym stanął na żwirze. Pasy wpiły się w ciało Cassie, kiedy poleciała do przodu, a potem do tyłu. Ledwie zdążyła ochłonać po ostrym hamowaniu, a Karch przechylał się w jej stronę nad dźwignią zmiany biegów i wciskał jej w twarz długą czarną lufę. Drugą ręką uchwycił ją za dolną szczękę, tuż za podbródkiem.

- Posłuchaj mnie. Słuchasz?

Zaciskał dłoń na jej szczęce, więc nie mogła nic powiedzieć. Skinęła tylko głową.

- To dobrze. Musisz wiedzieć, że ludziom, dla których pracuję, zależy teraz tylko na jednym. Na pieniądzech. I niczym innym. Bądź więc mądrzejsza od swoich kumpli - Lea czy Jersey. Chyba nie chcesz zginąć.

Cassie tylko się w niego wpatrywała. Widziała, że na końcu lufy jest przykręcony tłumik.

- Nie myśl - rzekł Karch. - Mów.

- W porządku - powiedziała. - Jeżeli nie zrobisz mi krzywdy, powiem ci, gdzie są pieniądze.

- To nie wystarczy, skarbie. Musisz mnie do nich zabrać.
- W porządku. Co tylko...

Uciszył ją, ściskając jej szyję.

- Masz jedną szansę. Rozumiesz?

Cassie skinęła głową. Karch powoli rozluźnił uścisk i cofnął rękę. Już prostował się na fotelu, gdy nagle pstryknął palcami, jak gdyby coś sobie przypomniał i ponownie się pochylił. Znow sięgnął do jej twarzy, a kiedy się wzdrygnęła, przesunął dłoń na jej ucho.

- Zanim przysłaś, zajrzałem do twojego pokoju. Wszędzie walały się karty. Jakbyś czegoś szukała. Tego?

Zabrał rękę, robiąc ruch, jak gdyby wyciągał coś z jej ucha. Podsunął jej pod oczy ów przedmiot. Był to as kier. Karch uśmiechnął się.

- Czary - powiedział.

I dopiero wtedy ją olśniło. Czary. Nazwisko Karch. Przypomniała sobie artykuły w prasie. Czytała je w areszcie miejskim przed formalnym oskarżeniem. Jack Karch. To był on.

Dostrzegł zmianę w jej twarzy.

- Nie podobało się, co? Znam więcej sztuczek. Kiedy skończymy z interesami, pokażę ci, jak się znika.

Usadowił się w fotelu, wciąż trzymając w ręce pistolet, którego lufę wciskał jej między zębra.

- Teraz będziemy pracować razem, co ty na to? Wrzuć bieg.

Wcisnął sprzęgło, a Cassie przesunęła dźwignię zmiany biegów do pozycji jedyńki. Samochód ruszył. Karch zawrócił i zwirową drogą ruszył z powrotem w kierunku Mulholland. Gdy wyjechali na prostą, kazał Cassie wrzucić dwójkę, a ona posłusznie spełniła polecenie. Znow zaczął mówić, jak gdyby byli na niedzielnej przejażdżce.

- Wiesz co, muszę ci powiedzieć, że twoja robota tam w hotelu... czapki z głów. Może w innych okolicznościach... ty i ja moglibyśmy... coś razem zrobić.

Zdjął dłoń z kierownicy i wskazał dźwignię zmiany biegów.

- Widzisz, nawet nieźle nam idzie.

Nie odpowiedziała. Wiedziała, że ma do czynienia z psychopatą, zdolnym do szczerzej rozmowy z kobietą o rzeczach, które mogliby wspólnie robić, tylko wtedy, gdy trzymał ją na muszce. Cassie musiała coś zrobić, by zmienić tę sytuację. Wiedziała, że ten człowiek chce ją

zabić. Miała zagrać w jego numerze ze znikaniem, który obiecał jej pokazać. Myśląc o groteskowej sytuacji, w jakiej się znalazła, nie mogła powstrzymać smutnego uśmiechu. Właściwie ten człowiek zabił ją już sześć i pół roku temu.

- Co cię tak bawi?

Spojrzała na niego. Jej zagadkowy uśmiech nie uszedł jego uwagi.

- Nic. Chyba tylko kaprysy losu. I zbiegi okoliczności.

- Czyli coś w rodzaju przeznaczenia, pecha, tak?

Od niechcenia położyła dłoń na siedzeniu między swoimi nogami. Karch zauważył to i mocniej wepchnął jej łufę w żebra.

- Coś w rodzaju martwego księżycyca?

Odwróciła się raptownie i spojrzała na niego.

- Tak, Leo wspominał coś wczoraj w nocy. Później, kiedy się rozglądałem po domu, wpadł mi w oko taki tytuł na jednej z książek. Chyba mocno wierzył w takie rzeczy. Ale nie wyszedł na tym za dobrze, co? Dokąd?

Jechali przez sosnowy zagajnik, zbliżając się do Mulholland. Cassie uznała, taka okazja może się już nie powtórzyć. Nabrała głęboko powietrza i przystąpiła do dzieła.

- Jak będziemy na skrzyżowaniu...

Zaczęła podnosić lewą rękę, jak gdyby chciała wskazać mu kierunek, ale zaraz gwałtownym ruchem wyprostowała ją, odpychając jego dłoń z pistoletem od swojego boku. Chwyciła kierownicę lewą ręką i równocześnie prawą nacisnęła znajdującą się z przodu blokadę poduszki powietrznej dla pasażera. Szarpnęła kierownicą w prawo i samochód zjechał ze żwirowej nawierzchni, pakując się prosto w pień sosny. Wszystko rozegrało się tak szybko, że Karch nie zdążył krzyknąć ani strzelić.

W momencie zderzenia z drzewem z kierownicy wystrzeliła poduszka po lewej stronie, wciskając Karcha w zagłówek.

Dzięki pasom bezpieczeństwa Cassie nie uderzyła głową w przednią szybę. Przez chwilę była oszołomiona, ale wiedziała, że musi uciekać. Odpięła pas i gorączkowo szarpnęła drzwi. Nie chciały ustąpić. Zamiast próbować jeszcze raz, dzwignęła się na rękach i wyskoczyła z samochodu górą. Natychmiast zaczęła biec w dół zbrocza między drzewami, nie oglądając się za siebie.

Po zderzeniu z drzewem Karch siedział ogłuszony przez dłuższą chwilę. Uderzenie poduszką było jak cios prosto w szczękę. Mały ładunek

wybuchowy - wypychający urządzenie z kierownicy - oparzył mu lekko twarz i szyję. Impet uderzenia wytrącił mu z ręki pistolet, który wylądował na jednym z maleńkich tylnych siedzeń. Kiedy z poduszki zaczął uchodzić gaz, Karch otrząsnął się i zdarł ją z twarzy. Próbował wyskoczyć z samochodu, ale zatrzymał go pas bezpieczeństwa. Szybko go odpiął i ukląkł na fotelu, rozglądając się. Wreszcie dostrzegł uciekającą Cassie Black, której sylwetka mignęła między drzewami.

Instykt mówił mu, że nie zdoła jej złapać. Miała sporą przewagę i zapewne doskonale wiedziała, dokąd biegnie. To był jej teren, nie jego.

- O żeż kurwa!

Jack spojrzął do tyłu i zauważył sig-sauera na tylnym siedzeniu. Złapał go i z powrotem zasiadł za kierownicą. Przekręcił kluczyk, próbując uruchomić silnik. Nic. Obrócił kluczyk do tyłu i spróbował jeszcze kilka razy, ale usłyszał jedynie cichy stuk.

- Kurwa!

Chciał otworzyć drzwi, lecz były unieruchomione. Widocznie w wyniku zderzenia karoseria została wgnieciona w taki sposób, że zablokowała drzwi. Znów zaczął się gramolić na fotel, a gdy to zrobił, zauważył niewielki czarny portfel, który Cassie Black włożyła do schowka na płyty kompaktowe. Wyjął go i otworzył. W środku było prawo jazdy wydane przez stan Kalifornia. Przyjrzał się zdjęciu Cassie Black, a potem spojrzął na adres. Mieszkała na Selmie w Hollywood.

Karch popatrzył w głąb zagajnika. Cassie Black dawno już nie było widać. Mimo to, stojąc na siedzeniu porsche, podniósł wysoko portfel, jak gdyby siedziała gdzieś między drzewami i widziała go.

- Zobacz, co znalazłem - zawołał. - Jeszcze nie wygrałaś, skarbie!

Odkręcił od sig-sauera tłumik i wystrzelił w powietrze, żeby dać jej znać, że jeszcze się go nie pozbyła.

Zbiegając ostrożnie z góry, Cassie usłyszała jakąś muzykę i zaczęła się nią kierować, przyjmując jej źródło za znak nawigacyjny. W końcu wybiegła z lasu prosto na parking, który jak sądziła znajdował się za Hollywood Bowl. Poszła drogą dojazdową do Highland, a potem zeszła na Sunset.

Po dwudziestu minutach dotarła do swojego salonu. Zbliżając się do niego, zobaczyła dwa czarno-białe radiowozy policyjne ustawione przy wjeździe na parking. Przed wejściem do salonu stał również jeden nieoznakowany wóz z policyjnym kogutem na desce rozdzielczej. Za nim zaparkowano karetkę, ale jej tylne drzwi były zamknięte.

Na chodniku stało dużo ludzi, wśród których była większość sprzedawców i obsługi salonu Porsche. Cassie podeszła do sprzedawcy, który nazywał się Billy Meehan i patrzył na budynek salonu z przygnębioną miną.

- Billy, co się stało?

Gdy na nią spojrzął, oczy zaokrągliły mu się ze zdziwienia.

- Dzięki Bogu! Myślałem, że jesteś z nimi w środku. Gdzie byś była?

Cassie zawahała się, po czym postanowiła skłamać, choć ściśle biorąc, nie było to kłamstwo.

- Byłam się przejść. Z nimi - to znaczy z kim?

Meehan położył jej dłonie na ramionach i spojrzął prosto w oczy, jak gdyby zamierzał przekazać jej złą wiadomość. I rzeczywiście wiadomość była bardzo zła.

- Był napad. Ktoś kazał Rayowi i Connie położyć się na podłodze w jej gabinecie, a potem ich zastrzelił.

Cassie uniosła do ust dłoń, tłumiąc krzyk.

- Potem ukradli srebrny kabriolet. Myśleliśmy, że wzięli cię jako zakładniczkę. Cieszę się, że nic ci nie jest.

Cassie skinęła tylko głową. Jej przeszłość była tajemnicą pilnie strzeżoną przez Moralesa. Zdała sobie sprawę, że gdyby inni pracownicy znali szczegóły jej życia, prawdopodobnie daliby policji do zrozumienia, że to ona powinna być podejrzana. Może właśnie na to liczył Karch.

Nagle zrobiło się jej bardzo słabo, tak że musiała usiąść. Praktycznie zsunęła się po Meehanie i siadła na krawężniku. Próbowwała zrozumieć, co się stało i doszła do wniosku, że Karch musiał zastrzelić Raya i Connie, bo nie miał fałszywego prawa jazdy na nazwisko Lankford. Doskonale wiedział, że nigdzie nie może podawać swojego prawdziwego nazwiska, jeżeli miał wobec niej takie, a nie inne plany.

- Cassie, dobrze się czujesz?

- Po prostu nie mogę uwierzyć... nie żyją?

- Nie, oboje. Zajrzałem tam przed przyjazdem policji. Nie był to miły widok.

Cassie pochyliła się i zwymiotowała do kanału ściekowego. Był to jeden silny skurcz, który, jak się zdawało, pozwolił jej wyrzucić z siebie wszystko. Otarła usta ręką.

- Cassie! - zawołał Meehan, patrząc na nią zaniepokojony. - Pójdę po jakiegoś sanitariusza.

- Nie, nie trzeba. Już wszystko dobrze. Tylko... biedny Ray. Chciał tylko pomóc.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Zdała sobie sprawę, że popełniła błąd, wypowiadając głośno swoje myśli.

- Tylko tyle, że był miły. Connie też. Przecież oddaliby po dobroci kluczyki albo pieniądze. Dlaczego musiał ich zastrzelić?

- Wiem, to nie ma sensu. A propos, widziałaś kogoś?

- Nie, dlaczego pytasz?

- Zauważyłem, że powiedziałaś „musiał”.

- Nie, nie było mnie. Powiedziałam tak, bo to chyba był „on”. Nie mogę myśleć zbyt jasno.

- Wiem, co masz na myśli. Ja też nie umiem w to uwierzyć.

Siedziała na krawężniku z twarzą ukrytą w dłoniach, czując na sobie ciężar wszystkich win świata. Przez głowę przebiegały jej słowa: „Ja to zrobiłam, ja to zrobiłam, ja to zrobiłam”. Wiedziała, że musi stąd uciec, nie oglądając się za siebie.

Odnalazła w sobie jeszcze tyle sił, by wstać, chwytając się ramienia Meehana, żeby utrzymać równowagę.

- Na pewno dobrze się czujesz? - spytał.

- Nic mi nie jest. Dzięki, Billy.

- Powinnaś chyba powiedzieć policji, że nic ci się nie stało i że tutaj jesteś.

- Dobrze, powiem im. A może ty byś mógł? Nie jestem pewna, czy chcę tam wchodzić.

- Jasne, Cassie, zaraz powiem.

Cassie zaczęła, aż Meehan się oddali, a potem poszła na aleję, która biegła z tyłu salonu. Idąc w stronę drugiego końca salonu, minęła stanowiska obsługi i weszła na parking dla aut na sprzedaż. Stał tu srebrny boxster, z którego pozwalał jej korzystać Ray. Zawsze tu parkowała, w razie gdyby jakiś klient był zainteresowany kupnem wozu.

Samochód był otwarty, ale jej kluczyk został w plecaku w biurze. Otworzyła drzwi i pociągnęła dźwigenkę zamka bagażnika. Potem podniosła klapę i wyciągnęła oprawiony w skórę podręcznik użytkownika. Za skrzydełkiem spoczywał plastikowy kluczyk, który właściciel auta powinien włożyć do portfela, by być przygotowanym na sytuacje awaryjne. Wzięła kluczyk, zapaliła i wyjechała z parkingu w aleję. Potem skręciła w Sunset i zjechała w prawo, oddalając się od salonu i kierując w stronę sto pierwszej.

Łzy spływały jej po policzkach. To, co się stało w salonie, zmieniło wszystko. Głęboko przeżyła śmierć Lea, która była strasznym ciosem. Ale Leo brał udział w tej grze i znał ryzyko. Ray Morales i Connie Leto, szefowa finansów, byli niewinni. Ich śmierć była dla niej znakiem, do czego jest zdolny posunąć się Karch, by odzyskać pieniądze. Przeszły istnieć granice. Dla Karcha, dla niej, wszelkie.

Rozdział 33

Karch patrzył przez okno taksówki na mijany salon Porsche. Nie obchodziły go liczne radiowozy policyjne ani telewizyjne wozy transmisyjne otaczające przeszklone ściany salonu sprzedaży. Przyglądał się uważnie ludziom stojącym na chodnikach. Miał nadzieję ujrzeć Cassie Black, ale wiedział, że na to jest już za późno. Jego telefon komórkowy nie odbierał sygnału na wzgórzach. Musiał zejść pieszo do Mulholland, a potem do punktu widokowego na Hollywood, gdzie, jak pamiętał, stał automat telefoniczny. Wędrówka zabrała mu niemal godzinę. Kolejne dwadzieścia minut czekał na taksówkę, którą telefonicznie zamówił.

Taksówkarz bardzo łamaną angielszczyzną poinformował go, co się stało w salonie Porsche, lecz Karch w ogóle go nie słuchał. Minąwszy jeszcze kilka skrzyżowań, wjechali do Willcox. Karch kazał zatrzymać się pod sklepem z hollywoodzkimi pamiątkami. Zapłacił i wysiadł. Kiedy taksówka odjechała, skręcając z powrotem w Sunset, przeszedł przez ulicę i wsiadł do swojego lincolna zaparkowanego przy krawężniku. Na zderzakach miał nowe tablice rejestracyjne, które zdobył na

płatnym parkingu przy lotnisku Los Angeles.

Uruchomił silnik, lecz zanim ruszył, poszukał Selmy w atlasie. Miał szczęście. Czekąco go niecałe pięć minut jazdy.

Ani przed bungalowem na Selmie, który według adresu w prawie jazdy wynajmowała Cassie Black, ani na podjeździe nie parkował żaden samochód. Dom stał przy ślepej ulicy i Karch postanowił zatrzymać się bezpośrednio przed nim. Wjechał prosto na podjazd. Włamanie w biały dzień to nie był mądry ruch, ale Karch musiał się dostać do domu, by sprawdzić, czy Cassie Black zdążyła już tam być. Uznał, że najbezpieczniej będzie zrobić to jawnie. Zatrzymując samochód, zatrąbił dwa razy i czekał. Wreszcie zgasił silnik, wysiadł i pokonał kilka schodków, bawiąc się łańcuszkiem z kluczami. Stanąwszy pod drzwiami, pochylił się i wyciągnął wytrychy. Szybko zaczął gmerać w zamku, udając kogoś, kto ma problemy z kluczami. Nie miał pojęcia, czy jest obserwowany, lecz mimo to wołał nie ryzykować.

Poradził sobie z zamkiem w ciągu czterdziestu sekund. Nacisnął klamkę i wszedł do środka.

- Hej, Cassie? - zawołał głośno, w razie gdyby słyszał albo widział go jakiś sąsiad. - Chodź, czekam na ciebie!

Zamknął drzwi, wyciągając pistolet i dokręcając tłumik. Zaczął szybko sprawdzać pokój po pokoju.

Dom był pusty. Karch przystąpił więc do metodycznego przeszukania, by stwierdzić, czy Cassie Black była tu po swojej ucieczce ze wzgórza. Dom, choć skromnie umeblowany, wyglądał porządnie. Jack doszedł do wniosku, że jeszcze jej tu nie było. Usiadł na kanapie w salonie, żeby zastanowić się, co to znaczy. Miała już pieniądze czy jeszcze nie? Może były u Lea Renfra, a on jakimś cudem ich nie znalazł mimo całonocnych poszukiwań? Istniała jeszcze jedna możliwość, znacznie gorsza; że Renfro mówił prawdę, gdy twierdził, że przekazał pieniądze ludziom z Chicago.

Karch poczuł, że siedzi na jakimś twardym wybrzuszeniu. Wyciągnął poduszkę spod miejsca, na którym siedział. Pod spodem leżał wieszak na ubrania z przyczepionymi do niego siedmioma kłódkami. Widok ten uświadomił mu, jak niebezpiecznym przeciwnikiem okazała się Cassie Black. W tym momencie postanowił, że jeżeli uciekła z pieniędzmi, będzie ją ścigał choćby na koniec świata. Nie dla Grimaldiego

ani na pewno nie dla anonimowej grupy, która pociągała za sznurki z Miami. Chciał to zrobić dla samego siebie.

Zostawił wieszak na kanapie i zaczął po raz trzeci przeczesywać dom. Jeszcze dokładniej.

Najrozsądniej było rozpocząć od sypialni. Karch wiedział, że ludzie lubią spać, mając obok siebie najdroższe im rzeczy. W pokoju z białymi ścianami stały tylko najpotrzebniejsze meble: duże łóżko, dwa nocne stoliki, komoda i lustro. Na ścianie wisiał oprawiony w ramki plakat przedstawiający plażę na Tahiti. Karch przyglądał mu się przez chwilę i zaraz się zorientował, że identyczny widział w salonie Porsche w pokoju Cassidy Black, do którego wstąpił, szukając jej. Kiedy oglądał tamten plakat, po chwili do pokoiku wsadził głowę szef, pytając, czy może mu w czymś pomóc.

Karch podszedł bliżej, zastanawiając się, czy plakat może mieć jakieś znaczenie dla jego misji. Kobieta na plaży nie była podobna do Cassie Black. Wreszcie uznał, że później będzie się tym martwić i zabrał się do nocnego stolika, otwierając górną szufladę.

Spoczywał tam plik popularnych czasopism o mechanice, które wyglądały, jakby kupiono je na wyprzedaży staroci. Wszystkie były w kiepskim stanie i pochodziły sprzed kilku lat. Mimo to Karch przekartkował każdy numer, w razie gdyby gdzieś była jakaś notatka albo adres. Nie znalazł nic, więc wrzucił ostatnie czasopismo do szuflady i zamknął ją kopniakiem.

Dolna szuflada była pusta, jeśli nie liczyć małej wiązanki wiórów cedrowych i gałązek rozmarynu. Zasunął szufladę z trzaskiem i podszedł do stolika stojącego po drugiej stronie łóżka.

Zanim jeszcze otworzył szufladę, poczuł, że tu będzie miał więcej szczęścia. Na stoliku stała lampka, a na poduszce leżącej po tej stronie łóżka widniało lekkie wgłębienie. Wiedział, że spała z tej strony.

Karch usiadł na łóżku, kładąc pistolet obok siebie. Wziął oburącz poduszkę i przycisnął ją do twarzy. Poczuł jej zapach. Jej włosów. Nie był zbyt dobry w identyfikowaniu zapachów, ale zdawało mu się, że czuje woń liści herbacianych, jak przy otwieraniu świeżego pudełka herbaty. Po chwili odłożył poduszkę na miejsce.

Wysunął górną szufladę i już wiedział, że trafił w dziesiątkę. W środku było pełno osobistych rzeczy. Biżuteria, gumki do włosów, albumy ze zdjęciami. Leżał tu aparat fotograficzny z długim obiektywem

i kamera wideo. Na samym wierzchu spoczywała oprawiona w ramki fotografia. Karch wyciągnął ją i dokładnie obejrzał. Na zdjęciu dostrzegł Cassidy Black siedzącą na kolanach mężczyzny ubranego w koszulę hawajską. W ręku trzymała szklankę z jakimś różowopomarańczowym płynem, ozdobioną papierową parasolką. Karch ledwo ją poznał, ponieważ jej twarz rozpromieniał radosny uśmiech.

Bez problemów jednak rozpoznał mężczyznę ze zdjęcia. Jego twarzy nigdy nie zapomni. Był to Max Freeling, człowiek, który w jednej chwili na zawsze odmienił jego życie. Karch wiedział, że nie siedziałby tu teraz, gdyby nie Max Freeling i decyzja, którą podjął sześć lat temu na dachu wieżowca. Od tamtego dnia z powodu wydarzenia w hotelu był zdany na łaskę Grimaldiego.

Odrzucił zdjęcie i rąbnął ramką o kant stolika. Usłyszał trzask tłuczonego szkła. Zauważył jakiś napis na tekturce na odwrocie fotografii, który brzmiał:

Kiedy tam spojrzałem, zobaczyłem zarysy Tahiti.
Zrozumiałem, że właśnie tego miejsca szukałem całe życie.
- W. Somerset Maugham

Karch jeszcze raz popatrzył na zdjęcie. Twarz Cassidy Black przykryła delikatna pajęczyna pęknięć, sięgając końcami nitek ramki. Karch wrzucił fotografię do kosza na śmieci, który stał obok nocnego stolika.

Wyciągnął z szuflady album ze zdjęciami oprawiony w miękką brązową skórę. Spodziewał się znaleźć tu więcej fotografii Maks Freelinga, ale spotkała go niespodzianka. Album był pełen zdjęć małej dziewczynki. Prawie wszystkie zrobiono z daleka - Karch rzucił okiem na aparat z długim obiektywem - i w tym samym miejscu: na szkolnym podwórku.

Przerzucił karty albumu i znalazł jedno zdjęcie dziewczynki grającej w koszykówkę. Na ścianie budynku za boiskiem był wymalowany duży napis: Szkoła Wonderland.

Zamknął album, po czym sięgnął po drugi. Tu również były fotografie dziewczynki, ale tych nie zrobiono na podwórku. Na niektórych dziewczynka ciągnęła wózek, na innych bawiła się piłką, na jeszcze innych ślizgała się na zjeżdżalni albo śmiała się, siedząc na huśtawce. Z

tytu albumu tkwił plik zdjęć, których jeszcze nie włożono do plastikowych kopert. Przedstawały dziewczynkę podczas wycieczki do Disneylandu. Na jednym z nich stała w objęciach Myszki Mickey.

Karch nagle sobie coś uświadomił i sięgnął do kieszeni marynarki. Wyciągnął dwa paszporty, otworzył jeden na stronie ze zdjęciem. Była na nim dziewczynka z albumów. Jodie Davis, jak głosił podpis w paszporcie.

Schował paszporty do kieszeni, pozwalając albumowi spaść na podłogę. Doznał objawienia - jednego z tych, w których na pozór niezwiązane ze sobą wspomnienia i nowe informacje łączą się, by ujawnić nową prawdę. Zrozumiał coś, co przez sześć lat nie dawało mu spokoju.

Powoli w głowie zaczął mu się układać plan odzyskania pieniędzy i znalezienia Cassie Black jednocześnie. Zasunął górną szufladę i otworzył dolną. Ta była mniej wypchana. Leżała tu elektryczna suszarka do włosów, która wyglądała, jakby jej nigdy nie używano, oraz kilka starych listów od towarzyszek z więzienia dla kobiet High Desert. Otworzywszy jeden z nich, Karch stwierdził, że zawiera jedynie pozdrowienia od byłej więźniarki, niejakiej Letitii Granville. Wszystkie listy również wyrzucił do kosza i sięgnął po szarą kopertę, która znajdowała się pod suszarką i leżała stroną adresową do dołu.

Przesyłkę zaadresowano do Cassidy Black w High Desert. To, co w niej było, musiała zabrać ze sobą z więzienia. Karch zobaczył nadruk z adresem zwrotnym, z którego wynikało, że przesyłka pochodziła z firmy detektywistycznej „Odrodzenie”, która mieściła się przy Paradise Road w Las Vegas. Karch znał tę agencję. Średniej wielkości firma - składała się z pięciu czy sześciu detektywów i prawdopodobnie miała tyle samo specjalności. Rywalizował z nimi o informacje z wydziału zaginięć policji miejskiej. Karch otworzył kopertę i wyciągnął dość sfatygowany raport z dochodzenia. Właśnie miał zacząć czytać, kiedy zmroził go wrzask, który nagle rozległ się w drzwiach za jego plecami.

- NIE RUSZAJ SIĘ, SKURWIELU!

Karch upuścił raport i uniósł ręce. Wolno odwrócił głowę i ostupiał. W drzwiach sypialni stała zwalista postać czarnej kobiety. Przyjęła klasyczną pozycję, której uczono w każdej akademii policyjnej w kraju. Stopy rozstawione szeroko, ciężar ciała równomiernie rozłożony, obie ręce wysoko, trzymające pistolet, łokcie lekko zgięte i wysunięte na

zewnątrz. Na szyi miała łańcuszek z odznaką. Karch w życiu nie widział takiego gliniarza, ale wycelowana w niego dziewięćmilimetrowa beretta była argumentem nie do odparcia.

- Spokojnie - powiedział opanowanym głosem. - Jesteśmy po tej samej stronie.

Rozdział 34

Od chwili gdy Cassie Black usłyszała nowiny pod salonem Porsche, czuła się, jakby znalazła się pod wodą, w jakimś surrealistycznym świecie zupełnie oderwanym od jej życia. W głębi duszy wiedziała, że to instynktowny mechanizm obronny. Dzięki niemu mogła dalej funkcjonować i robić to, co trzeba.

Stała na podwórku za domem Lea, wpatrując się w krew zakrzepłą na ostrym kawałku szkła wystającym z dolnej części ramy rozsuwanych drzwi.

Sam widok szkła wystarczył, by zrozumiała, że Karch mówił prawdę. Wiedziała już, że Leo naprawdę nie żyje. Jeżeli wejdzie do domu, znajdzie jego ciało. I bez względu na to, jak będzie wyglądał, nigdy nie pozbędzie się tego obrazu z pamięci.

Zaglądając do basenu, ujrzała spoczywający nieruchomo na dnie filtr. Jednak zaraz potem wróciła spojrzeniem do ostrego szkła w otwarte drzwi. Wiedziała, że musi wejść. W końcu przemogła się i podeszła do drzwi. Od razu zobaczyła ciało leżące na podłodze gabinetu. Jej ciężkie od rozpaczyny westchnienie zagłuszył ryk przejeżdżającej autostradą ogromnej osiemnastokołowej ciężarówki. Cassie przekroczyła rozbite szkło i weszła do domu.

Ciało Lea leżało rozciągnięte na wznak niedaleko drzwi. Krew była niemal wszędzie. Mimo całej potworności tej nieruchomej sceny, wzrok Cassie przyciągnął wyraz jego twarzy - Leo uśmiechał się z wyraźną satysfakcją. Kucnęła obok niego i dotknęła zimnego policzka.

- Och, Leo - powiedziała. - Co ja narobiłam?

Z oczu znów popłynęły jej łzy. Próbowała je powstrzymać, zaciskając mocno powieki i zwijając dłonie w pięści.

Wreszcie otworzyła oczy, by przyjrzeć się ciału i śladom w pokoju, tak jakby to uczynił detektyw. Chciała wiedzieć, jak to się stało. Z faktu, że Karch żądał od niej pieniędzy, wynikało, że Leo nic mu nie powiedział. Spojrzała na smugi krwi na kafelkach podłogi i domyśliła się. Leo zrobił to sam. Sam poczołgał się do ostrego kawałka szkła. Zrobił to dla niej.

- Leo...

Znów zamknęła oczy, opierając głowę na jego nieruchomej piersi.

- Wiedziałam, że powinniśmy uciekać.

Wyprostowała się nagle, jak gdyby podjęła ważną decyzję. Ucieknie. Wiedziała, że to egoistyczne z jej strony, ale wiedziała też, że gdyby jej się nie udało, szlachetna śmierć Lea okazałaby się daremna. Umarł, mając nadzieję, że jej się uda, modląc się o pomyślny koniec. Stąd uśmiech na jego twarzy. Cassie chciała to uszanować.

Wstała i rozejrzała się po gabinecie. Karch niemal wszystko zdemolował, lecz szukał dwóch i pół miliona dolarów, a nie tego, co ona. Przeszła ciało Lea, podchodząc do przewróconego biurka i spoglądając na porozrzucone na podłodze szpargały. Leżały tam pomieszane książki astrologiczne, papiery i notatniki. Karch wyspał też zawartość szuflad biurka. Wśród tego bałaganu Cassie dostrzegła dwie koperty adresowane do Lea z tym samym dziwnym adresem zwrotnym, który składał się jedynie z liczby 773. Schyliła się, by wyłowić je spośród szpargałów. Obie były puste. Na jednej był znaczek i stempel datowany dwa dni wcześniej w Chicago. Wtedy zrozumiała, że Karch znalazł paszporty i je zabrał.

Prostując się gwałtownie, uderzyła głową w czerwone monety i Ching zwieszające się z sufitu, które wcześniej znajdowały się bezpośrednio nad biurkiem. Patrzyła na nie przez chwilę, a potem przyciągnęła krzesło, wspięła się na nie i zdjęła sznur monet z haka. Chciała zabrać stąd coś, co należało do Lea. Jeżeli nie przyniosą szczęścia, to przynajmniej będą jej przypominać Lea.

Zszedłszy z krzesła, pomyślała, że nie ma sensu iść do pozostałej części domu. Karch miał paszporty, a nie chciała brać stąd już niczego więcej. Jeszcze raz podeszła do ciała Lea i popatrzyła na niego. Pomyślała o piosence, której tak często słuchała w drodze do Vegas. Miała nadzieję, że w ostatnich chwilach szeptał do niego anioł.

- Żegnaj, Leo - powiedziała.

Ostrożnie przestąpiła szkło i wyszła na podwórko. Idąc brzegiem basenu, patrzyła na filtr próżniowy. Szła wzdłuż węża automatu, który tuleją łączył się z zaworem w murze. Gdy znalazła się po drugiej stronie basenu, rzuciła się na kolana i sięgnęła do wody. Chwyciwszy wąż, zaczęła go wyciągać, kładąc kolejne zwoje na wybetonowanym brzegu basenu. Była to ciężka praca i Cassie dwa razy omal nie wpadła do wody. W końcu na powierzchni ukazała się głowica razem z workiem na śmieci, którą z trudem dźwignęła na beton.

Biały beton pociemniał od wody, która zmoczyła czarne dżinsy Cassie. Nie zważała na to. Mocowała się z kołnierzem zabezpieczającym i dopiero po chwili zobaczyła zamek błyskawiczny biegnący wzdłuż całego worka. Szybko go rozpięła. W środku znajdował się jeszcze jeden worek, z mocnego białego plastiku, który był zawiązany na supeł. Ostrożnie wyjęła go i próbowała rozsuptać węzeł. Był jednak za ciasny, a ona miała za krótkie paznokcie. Sięgnęła do tylnej kieszeni spodni po składany nóż, którym rozcięła węzeł.

Zajrzała do środka. Spoczywały tam pliki studolarówek. Wciąż opakowane w folię i suchutkie, jak w dniu, kiedy je pocięto w mennicy.

Zamknęła worek, spoglądając na przeciwległy brzeg basenu, w rozbite drzwi, za którymi było widać zwrócone w górę czubki butów Lea. Podziękowała mu w duchu. Mówił jej, że pieniądze najlepiej trzymać w miejscu widocznym dla wszystkich. Miał rację.

Cassie spojrzała w wodę. Mocując się z filtrem, wzburzyła nieco jej powierzchnię, na której powstały niewielkie fale. Unosił się na nich martwy koliber, rozłożony jak anioł.

Rozdział 35

Karch powoli wstał, spełniając polecenie uzbrojonej kobiety. - Kim do diabła jesteś? Skinął głową w nadziei, że ów gest zostanie odczytany jako znak posłuszeństwa i chęci współpracy.

- Nazywam się Jack Karch. Jestem prywatnym detektywem. Licencję mam w wewnętrznej kieszeni marynarki. Mam pokazać?

- Może później. Prywaciarz? Czego chcesz od Cassie Black? Cofnij się o dwa kroki i oprzyj o ścianę.

Krok za krokiem posuwała się w głąb pokoju. Karch zrobił, co mu kazała, i oparł ręce o ścianę. Kątem oka zauważył, jak przypatruje się sig-sauerowi, który nadal leżał na łóżku.

- Pracuję nad sprawą. Kradzież z włamaniem do pokoju hotelowego w Vegas. Jednemu z nadzianych graczy ukradziono bardzo dużo pieniędzy. Mogę zapytać, z kim mam przyjemność?

Kobieta stała w nogach łóżka. Nie odrywając oczu od Karcha i nie opuszczając broni, pochyliła się i wzięła sig-sauera.

- Agent Kibble, stanowy departament zwolnień warunkowych.

- Ach tak, Kibble. Miałem jeszcze dziś się do pani zgłosić, żeby porozmawiać o Black.

- Od kiedy to Nevada pozwala swoim detektywom biegać z bronią z tłumikami?

Karch dołożył wszelkich starań, by wyglądać za zupełnie zaskoczonego.

- Słucham? A, o to chodzi? To nie moje. Znalazłem w szufladzie. Należy do Cassie Black. Proszę uważać, to może być dowód.

- Dowód? Podobno chodzi o kradzież.

- Znalaziono na pustyni zwłoki jej dawnego współnika, niejakiego Jersey Paltza. Został zastrzelony.

Kibble spojrzała na pistolet trzymany w lewej dłoni. Karch stał sześć stóp od niej. Uznał, że atak z tej odległości jest zbyt ryzykowny.

- Wie pan co, panie Karch, niech pan rozchyli marynarkę, tylko bardzo powoli.

Karch wolno rozchylił poły marynarki, ukazując pustą kaburę.

- Wiem, co pani sobie myśli - powiedział szybko. - „Kabura pusta, czyli to jego sig-sauer”. Nieprawda. Moja licencja pozwala mi nosić ukrytą broń. Ale to licencja stanu Nevada. W Kalifornii nie działa. Gdybym miał broń w tej kaburze, złamałbym prawo. Moja broń jest zamknięta w skrzynce w bagażniku samochodu. Jeśli chce pani wyjść ze mną na chwilę, chętnie pokażę.

- Nie zależy mi na tym. Zastanawiam się tylko, dlaczego pan tu jest, a nie gliny z Vegas. Jeżeli chodzi o morderstwo, czemu nie włączyły się organa ścigania? Dlaczego ich tu nie ma?

- Po pierwsze, włączyły się. Ale jak pani dobrze wie, policji przeszkadza biurokracja. Dostałem zlecenie od hotelu i kasyna Kleopatra, by przeprowadzić dochodzenie w sprawie włamania do pokoju. Mam swoich ludzi i fundusze na wydatki. Mogę działać szybciej. Policja niedługo się zjawi i skontaktuje z panią. Zresztą blisko współpracuję z policją miejską Las Vegas. Jeżeli pani sobie życzy, mogę podać nazwisko i numer telefonu detektywa, który może za mnie poręczyć.

Gdyby to łyknęła, zamierzał podać jej numer Iversona. Mógłby coś zaimprovizować. Karch musiałby potem załatwić jakoś sprawę z Iversonem, łapówką albo kulką. Lecz Kibble nie łyknęła.

- Gdyby nawet ktoś za pana poręczył, toby nie wyjaśniało, dlaczego włamał się pan sam do domu podejrzanej - powiedziała.

- Nie włamałem się - zaprotestował z oburzeniem Karch. - Drzwi wejściowe były otwarte. Proszę zobaczyć, na podjeździe stoi mój samochód. Czy zaparkowałbym tam, gdybym zamierzał się włamywać?

- Zdaje się, że ma pan na wszystko odpowiedź, panie Karch.

- Tak, o ile wszystko, co mówię, jest zgodne z prawdą. Może pani przestać już we mnie celować? Chyba udzieliłem dość wyczerpujących informacji na temat, kim jestem i co tu robię. Chce pani zobaczyć moją licencję?

Kibble zawahała się, ale po chwili opuściła broń. Karch natomiast opuścił ręce, a agentka nie zaprotestowała. Miał nadzieję, że w ogóle odłoży broń, lecz na razie musiało mu wystarczyć tyle. Postanowił przejść do ataku.

- A czy ja mogę zapytać, co pani tu robi?

Kibble wzruszyła rozłożystymi ramionami.

- Robię, co do mnie należy, panie Karch. Rutynowa wizyta w domu. Zbieram informacje o podopiecznej.

- Ciekawy zbieg okoliczności.

- Kilka tygodni temu odbyłam z nią rozmowę, z której nie byłam za bardzo zadowolona. Postanowiłam, że do niej przyjadę, ale zrobiłam to dopiero dzisiaj.

- I przyjechała pani tutaj zamiast do salonu Porsche?

- Dzwoniłam tam. Nagrała wiadomość, że dzisiaj nie ma jej w pracy. Przyjechałam więc tutaj. Niech pan nie zadaje mi więcej pytań, panie Karch. To ja zadaję panu pytania.

- W porządku.

Uniósł dłonie, poddając się.

- Mówi pan, że w grę wchodzi zabójstwo. Znam Cassie Black zapewne lepiej niż ktokolwiek w tej okolicy i chcę panu powiedzieć, że nie mogła tego zrobić. To niemożliwe.

Karch pomyślał o zastrzelonym Hidalgu i jego ciele leżącym w łóżku w apartamencie.

- O to możemy się spierać, agentko Kibble. Dowody mówią same za siebie. Poza tym niech pani pamięta, że mówimy o osobie raz już skazanej, która odsiadywała wyrok w Nevadzie za morderstwo.

- To było nieumyślne spowodowanie śmierci i oboje znamy okoliczności sprawy. Według prawa była odpowiedzialna za śmierć współnika, ale kiedy wyleciał z okna, była dwadzieścia pięter niżej. Ktoś mógł go wypchnąć, ale na pewno nie ona.

- Tak powiedziała? Że ktoś go wypchnął?

- Podejrzewała, że tak było. Mówiła, że kasyna musiały zrobić z niego przykład dla innych. Dlatego go wypchnęli.

- Bzdura, ale w tym momencie to nieważne. Jak to się stało, że tu przyjechała?

- Przeniesiono jej zwolnienie warunkowe. Kiedy dostała pracę w salonie u Raya Moralesa, reszta poszła jak z płatka. Jej adwokat złożył wniosek i zaakceptowano przeniesienie. Znała Raya jeszcze z Vegas, kiedy pracowała w kasynie. Ray to były skazaniec, któremu udało się w uczciwym życiu. Chciał jej dać szansę. Być może chciał też od niej czegoś więcej, ale Cassie nigdy się na niego nie skarżyła.

Karch miał wrażenie, że Ray musiał kiedyś siedzieć. Gdy w salonie kazał tamtej dwójce położyć się na podłodze, Morales przyjął to z pewną godnością, niespotykaną u zwykłych obywateli. Kobieta zachowywała się jak cała reszta. Zaczęła płakać i chciała krzyczeć, więc musiał ją zastrzelić pierwszą.

- Zdołała się pani do niej zbliżyć? - spytał Karch. - Na tyle, żeby wiedzieć, co ją w tym ruszało?

- Znaczy, dlaczego zaczęła okradać bogatych graczy w Vegas?

Karch skinął głową.

- Według mnie to mogło mieć związek z jej ojcem. Zdegenerowany hazardzista. Może myślała, że w ten sposób mści się na kasynach lub coś w tym rodzaju. Nie wiem.

- Chyba rzeczywiście. Mogę usiąść? Mam problemy z plecami.

Położył dłonie w dole pleców, udając, że napina mięśnie. Nie przedstawiał przy tym mowy.

- Jestem na rencie, pracowałem kiedyś w miejskiej w Vegas. Częściowe inwalidztwo. Uszkodziłem sobie krzyż, kiedy gonilem faceta naćpanego metedryną. Podniósł mnie i zrzucił ze schodów...

Łgał jak z nut. Była to część sztuczki. Trajkocząc bez przerwy, wsunął lewą dłoń pod marynarkę i wyciągnął dwudziestkępiątkę z jedwabnej kieszonki w spodniach.

- Nigdy nie spotkałem się z taką siłą u człowieka...

Wyciągnął ręce w przód i złączył je na chwilę, udając, że rozciąga mięśnie, a w rzeczywistości przełożył pistolecik do prawej dłoni. Następnie, ukrywając go we wnętrzu dłoni, z głośnym jękiem usiadł na łóżku. Miał teraz Kibble w odległości czterech stóp od siebie. Wciąż miała broń przy swoim boku, a sig-sauera trzymała za lufę w drugiej ręce. Karch wiedział, że już ją ma. Ale najpierw chciał uzyskać jeszcze trochę informacji.

- Proszę mi powiedzieć coś o dziecku, które ma z Maksym Freelingiem - rzekł.

Zanim Kibble odpowiedziała, przez chwilę przyglądała mu się badawczo.

- Jakim dziecku? I co to ma wspólnego z rabunkiem w Las Vegas?

Karch z uśmiechem pokręcił głową.

- Nie przyjechała tu tylko dlatego, że jakiś facet zaproponował jej pracę w salonie samochodowym, agentko Kibble. Przyjechała, bo tutaj było dziecko, jej i Maksa.

Spojrzał na nią.

- Ale przecież pani o tym wie, prawda?

- Nie mam pojęcia, gdzie jest dziecko, ale tak, ma pan rację. Podczas aresztowania Cassie była w ciąży. Trzymała to w tajemnicy, dopóki ciąża nie stała się widoczna. Ale wtedy siedziała już w High Desert. Tam urodziło się dziecko. Opiekowała się nim trzy dni, a potem oddała. Do adopcji.

Karch skinął głową. Nie znał szczegółów, lecz z grubsza zorientował się, o co tu chodziło.

- Ma pani dzieci?

- Dwoje.

- Trzy dni. Wystarczy, żeby się przywiązać do dziecka? Stworzyć taką więź, której nikt nie jest w stanie zerwać?

- Wystarczą trzy minuty.

- Jestem już zmęczony...

Skoczył na równe nogi i wcisnął lułę dwudziestkapiątki w fałdę tłuszczu, którą Kibble miała w miejscu szyi.

- ...pani sarkazmem, agentko Kibble. Naprawdę...

Wytrącił jej beretę z jednej dłoni, a z drugiej wyjął sig-sauera.

- ...zaczęłaś mnie już wkurzać.

Kibble znieruchomiała, przyglądając mu się zdumionym wzrokiem.

- Co pan wyprawia? - zapytała.

- Przystawiam ci do tłustej szyi krótką lułę dwudziestkapiątki. Teraz zadam ci jeszcze kilka pytań, a ty przestaniesz odpowiadać tym tonem. Chyba że się mylę?

- Nie - szepnęła. - Mówiłam, że mam dwoje dzieci. Mają tylko mnie, więc proszę...

Karch odsunął się i pchnął ją na łóżko. Schował dwudziestkapiątkę i wycelował w nią sig-sauera. Sprawdził, czy tłumik trzyma się mocno. Zaczekał, aż zatrzyma się na nim przestraszone spojrzenie Kibble, a potem powiedział:

- Jeżeli więc chcesz je jeszcze zobaczyć, odpowiedz mi na kilka pytań, tylko już bez pyskowania.

- Dobrze, dobrze. Odpowiem.

- Co jeszcze wiesz o jej dzieciaku? O tej dziewczynce?

- Nic. Tylko raz opowiedziała mi o porodzie i tak dalej. Później w ogóle już o niej nie wspominała.

- Jak pojawił się ten temat?

- Pokazywałam jej zdjęcia moich chłopców i po prostu o tym wspominała. To było na samym początku, zaraz po jej przyjeździe z Nevady. Próbowałam ją trochę lepiej poznać i wydała mi się porządna.

- Co jeszcze mówiła? Nie powiedziała, że jej dziecko mieszka w Los Angeles?

- Nigdy. Mówiła mi, że tamtej ostatniej nocy powiedziała Maksowi, że jest w ciąży - przed jego skokiem z okna.

- Tamtej nocy?

- Tak mówiła. Powiedziała, że to miała być ich ostatnia robota. Kiedy mu powiedziała o ciąży jeszcze przed skokiem, zrobił się bardzo opiekuńczy. Nie pozwolił jej iść i sam to zrobił.

- To znaczy, że początkowo ona miała wejść do tamtego pokoju?
- Nie wiedział pan o tym?
- Skąd miałem wiedzieć. Max zrobił z siebie miazgę na stole do gry w kości, a ona w ogóle nie chciała mówić. Tylko się przyznała. Teraz rozumiem dlaczego.

Karch skrzywił się. Zagadki tamtej nocy zaczynały się powoli wyjaśniać. Chyba już wszystko zrozumiał - sześć lat za późno. Odwrócił się i odsunął od łóżka, jak gdyby odwracał się od złego wspomnienia. W lustrze nad komodą zauważył, że ciało Kibble sprężyło się, jakby chciała wykonać jakiś ruch. Potem zobaczył, że obserwuje go w lustrze.

- Nie rób niczego głupiego. Pamiętaj o swoich dzieciach. Cassie Black mówiła coś, dlaczego Max próbował latać tamtej nocy?

- Nie chciała o tym rozmawiać, zwłaszcza ze mną. Tylko raz coś powiedziała. Że Maksowi ktoś musiał pomóc w skoku z okna. I tyle.

- No tak, właściwie miała rację. Sama mu pomogła.

- Co, był pan tam?

Karch patrzył na nią przez chwilę i stwierdził, że w jej oczach pojawił się lęk.

- Teraz ja zadaję pytania, pamiętasz?

Nie doczekał się odpowiedzi. Karch powoli przesunął muszkę sigsauera wzdłuż jej wielkiego ciała, potem twarzy, aż wreszcie wycelował w ścianę za Kibble, gdzie wisiał plakat przedstawiający kobietę przechadzającą się plażą.

- Powiedz mi coś o Tahiti.

- Tahiti? - Obejrzała się przez ramię, spoglądając na plakat. - Tahiti to było marzenie.

- Było?

- Pojechała tam kiedyś z Maksem. Przepuścili na to forszę z jednego skoku, spędzili na wyspie tydzień.

Wzrok Karcha spoczął na stojącym obok nocnego stolika koszu na śmieci. Na wystającym nieco zdjęciu było widać kawałek Cassie, Maksa i parasolki na drinku. A więc to było na Tahiti.

- Myślała, że właśnie tam... poczęli dziecko - powiedziała Kibble.

- Zamierzali wrócić. Po urodzeniu dziecka. Iść na złodziejską emeryturę i zamieszkać na wyspie. Żeby żyć długo i szczęśliwie, wychowując dziecko.

- Ale marzenia skończyły się, kiedy Max wyskoczył z okna.

Kibble skinęła głową.

- Nigdy im się nie udało, a Tahiti przestało być czymś rzeczywistym, w każdym razie dla Cassie. Jest marzeniem, wszystkim, co mieli z Maksem własnego.

Karch przerwał jej na chwilę. Spojrzał na raport śledczy z „Odrodzenia”, który leżał na podłodze u stóp Kibble.

- Prawie wszystkim - rzekł, patrząc na raport. - Ale nasza Cassie Black ma plan. Coś mi mówi, że ona zawsze ma w zanadrzu jakiś plan.

Pograżył się bez reszty we własnych myślach. Szybko poskładał w głowie i ocenił kilka teorii, po czym nagle spojrzął na Kibble.

- Ostatnie pytanie - powiedział. - Co mam z tobą zrobić?

Rozdział 36

Cassie zatrzymała się ulicę przed domem na Selmie i zaczęła wypatrywać znaków świadczących o tym, że w środku mógł na nią czekać Karch. Nie zauważyła żadnych widocznych śladów; na podjeździe nie dostrzegła samochodu, drzwi były zamknięte. Obserwowała przez dziesięć minut, lecz nie zauważyła nic podejrzanego. Wreszcie wjechała w ulicę równoległą do Selmy i zaparkowała kawałek za domem. Wysiadła, przeszła między budynkami i pokonała płot, by znaleźć się na podwórku za własnym domem. Pieniądze zostawiła zamknięte w bagażniku boxstera. Nie zamierzała zostawiać samochodu na długo. Chciała tylko wstąpić do domu po jedno zdjęcie, może trochę ubrań na zmianę, gdyby zdążyła. Wygrzebała zapasowy klucz z donicy na werandzie z tyłu i bezszelestnie weszła do domu kuchennymi drzwiami.

Karch już tu był. Wprawdzie dom nie został splądrowany jak dom Lea, ale na pewno Karch już tu był, mogłaby przysiąc. Instynkt mówił jej, że coś było nie tak. Bezgłośnie weszła do salonu i od razu znalazła potwierdzenie swoich przeczuć, widząc leżący na stoliku wieszak z siedmioma kłódkami. Nie ćwiczyła na nich od czasu wyjazdu do Las Vegas. Nie zostawiła wieszaka na widoku. On musiał go wyciągnąć.

Stała w absolutnej ciszy, skupiając się na dźwiękach domu prawie przez dwie minuty. Kiedy nic nie usłyszała, wycofała się do kuchni i z

szuflady wyjęła swój największy nóż. Trzymając go przy boku, wyszła na korytarz i skierowała się do sypialni.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważyła, był plakat. Wisiał na ścianie krzywo, a na środku widniała wielka litera X wyglądająca, jakby wymalowano ją krwią. Dopiero po dłuższej chwili zdołała oderwać wzrok od plakatu, by ogarnąć spojrzeniem resztę pokoju. Sypialnia została gruntownie przeszukana. Cassie nie trzymała tu tylu rzeczy, by można z nich zrobić wielki bałagan, więc sterta przedmiotów na podłodze była niewielka. Szybko jednak wzięła leżące na wierzchu dwa albumy. Obrzydzeniem przejęła ją myśl, że Karch je oglądał. Położyła albumy na łóżku, żeby je potem wziąć, choć wiedziała, że już ich nie będzie potrzebowała. Zaczęła szukać zdjęcia, które musiała zabrać ze sobą, którego nic nie mogło zastąpić.

Wreszcie znalazła je w koszu na śmieci. Szybka była stłuczona, szybko więc wytrząsnęła z ramki odłamki szkła. Fotografia wyglądała na nieuszkodzoną i Cassie odetchnęła z ulgą. To jedyne wspólne zdjęcie jej i Maksa. Przez pięć lat wisiało na ścianie celi w High Desert. Wyjęła je z ramek i położyła na dwóch albumach. Spojrzawszy na zegarek, stwierdziła, że dochodzi trzecia. Musiała się pospieszyć. Chwytiła poduszkę i zdarła z niej poszewkę, do której włożyła albumy i zdjęcie z Maksem.

Potem podeszła do komody i zaczęła wrzucać do poszewki bieliznę i skarpetki. Nie miała żadnej biżuterii poza zegarkiem timex i parą kolczyków, których prawie nigdy nie nosiła - srebrne kóteczka, dostała je na urodziny od Maksa, sam za nie zapłacił.

Następnie poszła otworzyć szafę, by wziąć z niej parę dżinsów i kilka koszul. Uchylając drzwi, szukała u góry sznurka włącznika lampki, więc dopóki nie zapaliło się światło, nie zauważyła Thelmy Kibble, o której stopę się potknęła.

Jej kuratorka leżała na podłodze szafy oparta plecami o tylną ścianę, z szeroko rozrzuconymi nogami. Miała przekrzywioną pod dziwnym kątem głowę, a z przodu jej obszernej sukienki widniała ogromna, szkarłatna plama. Krzyk Cassie stłumiła ręka, która nagle zakryła jej usta. Cassie odskoczyła i po chwili zorientowała się, że to jej własna ręka. Upuszczona poszwa poduszki upadła z hukiem na podłogę.

Na ten dźwięk Kibble wolno otworzyła oczy. Wydawało się, że na tę czynność zużyła cały zapas sił, jaki pozostał w jej wielkim ciele. Cassie rzuciła się przed nią na kolana.

- Thelmo! Thelmo, co się stało?

Nie czekając na odpowiedź, którą i tak znała, Cassie zerwała z wieszaka jedną ze swoich dwu sukienek. Zwinęła ją i zbliżyła do Kibble, chcąc ją jakoś opatrzyć. Zobaczyła wysoko na jej piersi pojedynczą ranę postrzałową, z której zdążyło już wypłynąć mnóstwo krwi. Cassie nie mogła uwierzyć, że Kibble jeszcze żyje. Przycisnęła zaimprovizowany kompres z sukienki do rany i spojrzała na usta Kibble. Poruszały się bezgłośnie - kuratorka próbowała coś powiedzieć.

- Thelmo, nic nie mów, nie mów. To był Karch? Człowiek o nazwisku Karch?

Usta przestały się poruszać i Kibble nieznacznie skinęła głową.

- Thelmo, tak mi przykro...

- ...mnie z mojej własnej broni...

Jej głos był tylko ledwie słyszalnym rżeniem.

- Thelmo, nic nie mów. Pomogę ci. Zostań tu, a ja sprowadzę pomoc. Możesz to przytrzymać?

Cassie uniosła jej lewą rękę i przyłożyła do zwiniętej sukienki. Gdy tylko ją puściła, ręka Kibble zaczęła opadać. Cassie wzięła plastikowy kosz na bieliznę, odwróciła go do góry dnem i przysunęła do boku Kibble. Ponownie uniosła jej rękę, opierając jej łokieć na koszu. Następnie jeszcze raz przyłożyła jej dłoń do prowizorycznego opatrunku. Ciężar ręki wystarczył, by utrzymać go na miejscu.

- Zaczekaj tu na mnie, Thelmo - poleciła jej Cassie. - W domu nie mam telefonu. Muszę iść do samochodu. Zadzwonię po pomoc i zaraz wrócę, dobrze?

Zobaczyła, że usta Kibble znów zaczynają się z drżeniem poruszać, gdy próbowała coś powiedzieć.

- Nie odpowiadaj! Oszczędzaj siły. Niedługo przyjedzie pomoc.

Cassie zaczęła się podnosić, ale zauważyła, że usta Kibble znów się poruszają. Rozpaczliwie próbowała coś jej powiedzieć. Cassie pochyliła się i przybliżyła ucho do jej warg.

- On wie...

Czekała, ale Kibble nic więcej nie powiedziała. Spojrzała na nią.

- Wie? O czym?

Kibble utkwiała w niej spojrzenie i Cassie domyśliła się, że chodzi o coś bardzo ważnego.

- Karch? Co on wie, Thelmo?

Znów zbliżyła ucho do jej ust.

- O twojej córce. Wziął... zdjęcie.

Cassie zerwała się nogi jak oparzona. Patrzyła na Kibble zdjęta panicznym strachem. Potem spojrzała na poszwę poduszki, jak gdyby była tam bomba, która lada chwilę mogła eksplodować. Pospieszenie wysypała zawartość poszewki. Chwyliła jeden album - który nazywała „szkolnym” - i otworzyła go. Nie było pierwszego zdjęcia w plastikowej kopercie, na której czarnym flamastrem coś napisano. Wiadomość zmroziła jej serce.

ŻADNYCH GLIN 702-881-87-87

W jednej chwili zrozumiała, co to znaczy.

- Idź...

Cassie odwróciła wzrok od albumu, spoglądając na Kibble.

- Idź... po nią...

Przez dłuższą chwilę Cassie patrzyła na nią, a potem skinęła głową. Skoczyła i wybiegła, zabierając ze sobą album z numerem telefonu, i zostawiając całą resztę.

Rozdział 37

Utrzymując stałą odległość, towncar Karcha jechał za białym volvo kombi od szkoły Wonderland. Tak jak się Karch spodziewał, samochód nie miał zbyt długiej drogi do pokonania. Wjechał w Lookout Mountain Road i wspiął się prawie na sam szczyt wzgórza, a potem skręcił na podjazd pod domem zbudowanym w stylu lat dwudziestych, który stał w pewnym oddaleniu od drogi. Karch zwolnił, a kiedy zrównał się z domem, zobaczył kobietę i małą dziewczynkę z plecakiem ozdobionym wizerunkiem uśmiechniętej twarzy, które szły w stronę drzwi frontowych. Pojechał dalej, zawrócił i zaparkował naprzeciw podjazdu, gdzie zatrzymało się białe volvo. Kobieta i dziecko zdążyły już wejść do domu.

Karch zauważył tabliczkę agencji handlu nieruchomościami wiszącą przed domem i doczepił do niej mniejszą tabliczkę z informacją, że

posiadłość jest w depozycie. Znalazł jeszcze jeden kawałek do układanki. Sądził, że gdyby miał kiedyś okazję zapytać o to Cassie Black, powiedziała mu, że wszystko zaczęło się od tej tabliczki. Zobaczyła informację o sprzedaży domu i powzięła decyzję.

- Witajcie w domu - powiedział głośno.

Ostatnio robił to coraz częściej - wygłaszał komentarze do samego siebie. Nie przejmował się tym jednak. Miał tradycje rodzinne. Często siedział w sypialni i słuchał, jak ojciec w sąsiednim pokoju mówi do swojego odbicia w lustrze. Próbował wtedy trzymać ćwierćdolarówki między złamanymi kostkami - w obu dłoniach naraz - ćwicząc numery z kartą i monetą. Zawsze mówił, że gadanie jest w iluzji równie ważne jak manipulacje rękami. Słowa także mogą odwrócić uwagę publiczności.

Usłyszał jakiś okrzyk i spojrzał w kierunku domu. Na dwór wyszła dziewczynka. Zdażyła się przebrać w dżinsowy kombinezon i bluzę z długim rękawem. Kopała na podwórku piłkę z obrazkiem wyobrażającym biedronkę i coś w tej zabawie skłaniało ją do głośnego krzyku. Karch zobaczył, że w otwartych drzwiach domu stoi kobieta i przygląda się jej. Po jakimś czasie weszła do środka, zapewne przekonana, że w bezpiecznej oazie podwórka nic dziewczynce nie grozi.

Karch spoglądał na zegarek, czekając na powrót kobiety. Chciał zobaczyć, jak często wygląda na dwór, by wiedzieć, ile będzie miał czasu. Czekając, myślał o Cassidy Black. Był przekonany, że w grze, która prowadzili, już niedługo będzie miał w ręku mocną kartę. I ostatnie rozdanie odbędzie się na jego stole.

Kobieta ponownie ukazała się w drzwiach po sześciu minutach. Karch liczył samochody przejeżdżające przez ten czas ulicą. Naliczył tylko trzy. Ruch był większy, niż przewidywał, ale doszedł do wniosku, że między wyjściem z samochodu a powrotem powinien mieć do dyspozycji od dwóch do trzech minut.

Wziął raport detektywów z „Odrodzenia”, który leżał na przednim siedzeniu, i jeszcze raz sprawdził nazwisko. Następnie wysiadł z samochodu i przeszedł przez ulicę, sprawdzając sąsiednie domy, czy w zasięgu wzroku nie ma żadnych niewygodnych świadków. Nikogo nie zobaczył. Miał zielone światło. Plan powinien się powieść.

Gdy zbliżył się na odległość kilku stóp od ogrodzenia, dziewczynka

uniosła głowę i spojrzała na niego. Płot służył bardziej jako ozdoba niż zabezpieczenie. Sięgał ledwie do kolan Karcha. Gdyby chciał, mógłby sięgnąć i wyciągnąć zza niego dziecko.

Dziewczynka milczała. Przestała się tylko bawić i patrzyła na niego.

- Dzień dobry - powiedział Karch. - Jesteś Jodie Shaw, prawda?

Dziewczynka obejrzała się na dom, ale w drzwiach nie zobaczyła matki. Znów spojrzała na Karcha.

- Jodie, prawdą?

Skinęła głową, a Karch zrobił kilka ostatnich kroków, które dzieliły go od ogrodzenia. Trzymał ręce w kieszeniach, starając się podświadomie przybrać nonszalancką pozę.

- Tak myślałem. Widzisz, twój tatuś przysłał mnie z biura, żebym zabrał cię na przyjęcie z niespodzianką.

- Jaką niespodzianką?

Karch wyjął ręce z kieszeni i znalazł się tuż przy płocie. Pochyliwszy się, stanął w pozycji łapacza w baseballu, żeby jego twarz była na tym samym poziomie co głowa dziewczynki. Spojrzał na frontowe drzwi. Kobiety jeszcze w nich nie było, lecz wiedział, że musi się pośpieszyć. Obejrzał się za siebie. Ani sąsiadów, ani samochodów. Wciąż zielone światło.

- Przyjęcie ma być dla twojej mamy. Tatuś nie chciał, żeby o nim wiedziała. Ale zobaczysz, że będzie bardzo fajnie. Będzie dużo twoich koleżanek i występ czarodzieja.

Sięgnął nad płotem do jej ucha, udając, że wyciąga z niego monetę. Wyciągając rękę z kieszeni, przytrzymał ćwierćdolarówkę między trzecim i czwartym palcem - klasycznym chwytem Goshmana. Dziewczynka spojrzała na monetę i uśmiechnęła się w zaskoczeniu.

- Hej!

- A co mamy z tej strony?

Z jej drugiego ucha również wyciągnął ćwierćdolarówkę. Dziewczynka promieniała.

- Jak pan to zrobił?

- Gdybym ci powiedział, musiałbym...wiesz co, jeżeli ze mną pójdziesz do tatusia, obiecuję ci, że razem nauczymy cię tej sztuczki. Co ty na to, Jodie? Dobrze? Tatuś nas czeka, dziecko.

- Nie jestem dziecko. I nie mogę nigdzie chodzić z obcymi.

Karch zaklął w duchu i ponownie zerknął na drzwi. Nadal pusto.

- Wiem, że nie jesteś małym dzieckiem. Tak się tylko mówi. A po drugie wcale nie jestem obcy. Widzimy się wprawdzie pierwszy raz, ale znam twojego tatusia, a on zna mnie. I właśnie mnie poprosił, żebyśmy przywiózł cię na przyjęcie.

Ostatni raz sprawdził drzwi. Wiedział, że trwa to już zbyt długo. Przekroczył limit czasu i zielone światło zaczęło się zmieniać w czerwone.

- W każdym razie tatuś chce, żebyś pojechała do niego do biura, więc...

Wyprostował się i sięgnął za ogrodzenie.

- ...kiedy przyjdzie tam mamusia, będziesz mogła zawołać „Niespodzianka!”.

Chwycił ją pod ramiona i podniósł. Najważniejsze, żeby była cicho, kiedy będą pokonywać trzydzieści stóp dzielące płot od samochodu. To wszystko. Potem już było wszystko jedno. Odwrócił się i szybko przeciął ulicę, idąc do lincolna.

- Mamusiu? - powiedziała lękliwie dziewczynka.

- Ciii - odparł szybko. - Nie powinna nic wiedzieć, skarbie. Wtedy nie będzie niespodzianki.

Otworzył tylne drzwi samochodu i wsadził ją do środka. Następnie zatrzasnął drzwiczki i wskoczył za kierownicę. Uświadomił sobie, że to zrobił. Złapał ją bez żadnych kłopotów, niezauważony przez nikogo. Wrzucił bieg i ruszył w dół Lookout Mountain Road.

- Na przyjęciu z niespodzianką będą tańce? - zapytała z tylnego siedzenia Jodie.

Karch ustawił lusterko wsteczne, żeby ją widzieć. W tym samym momencie usłyszał krzyk z oddali. Okna lincolna były zamknięte, toteż nie można było odgadnąć, skąd dokładnie dobiegło wołanie. Karch z powrotem ustawił lusterko i zobaczył, jak pięćdziesiąt jardów za samochodem z domu wybiegła na ulicę kobieta. Zwinięte w pięści dłonie przyciskała do skroni i patrzyła w ślad za oddalającym się lincolnem. Karch szybko włączył odtwarzacz.

Ponownie spojrzął w lusterko. Kobieta wciąż stała na środku ulicy, krzycząc, ale muzyka skutecznie ją zagłuszała. Frank Sinatra śpiewał „That's Life”.

Karch pomyślał o tablicach rejestracyjnych. Wątpił, by kobieta zdążyła przeczytać numery, ale wiedział, że będzie musiał znaleźć bezpieczne

miejsce i założyć oryginalne tablice. Nie martwił się, że sam mógł zostać zauważony. Przyciemniane szyby raczej to uniemożliwiały. Był zadowolony z czystej roboty.

Przypomniał sobie, że dziewczynka o coś pytała. Znow przestawił lusterko i spojrzął na nią.

- O co pytałaś?
- Na przyjęciu dla mamusi będą tańce?
- Oczywiście, dziecko, mnóstwo tańców.
- Nie jestem dziecko.
- Nie? Co za różnica?

Rozdział 38

Cassie mknęła do Kanionu Laurel, wprawiając silnik boxstera w głośnie wycie na coraz wyższych biegach.

- Centrum zgłoszeniowe dziewięćset jedenaście, słucham. Miała włączony zestaw głośno mówiący.

- Proszę posłuchać, jest ranny funkcjonariusz. Ciężko ranny! Podała adres domu na Selmie i miejsce, gdzie znajduje Thelmę

Kibble. Opisała też ranę i powiedziała operatorowi, żeby natychmiast wysłał karetkę.

- Robię to przez komputer, rozmawiając z panią. Proszę podać swoje nazwisko.

- Proszę tylko wysłać tam ambulans, dobrze?

Rozłączyła się, by jeszcze raz wybrać ten sam numer. Najpierw usłyszała nagrany komunikat, że wszystkie linie 911 są zajęte, ale zanim komunikat się skończył, telefon odebrał dyżurny operator.

- Centrum zgłoszeniowe dziewięćset jedenaście, słucham.

Z początku Cassie pomyślała, że słyszy tego samego człowieka.

- Słucham.

Uznała, że to jednak ktoś inny.

- Chciałam zgłosić próbę uprowadzenia małej dziewczynki. Musicie kogoś przysłać.

- Proszę podać miejsce zdarzenia.

Cassie spojrzała na zegar na desce rozdzielczej. Piętnaście po trzeciej. Znała na pamięć rozkład zajęć Jodie Shaw i wiedziała, że ze szkoły

wychodziła codziennie o trzeciej. Jeżeli Karch nie porwał jej spod Wonderland, musiał to zrobić w domu. Podała adres domu przy Lookout Mountain Road.

- Tylko prędko. Błagam!

Rozłączyła się. Zdażyła na zielonym świetle na skrzyżowaniu Kanionu Laurel i Hollywood Boulevard, po czym pomknęła na północ w górę kanionu. Zdała sobie sprawę, że prawdopodobnie jest bliżej domu Jodie niż jakiegokolwiek radiowóz policyjny, chyba że któryś przypadkiem był w pobliżu szkoły albo w samym kanionie. Musiała zdecydować, co zrobić, jeżeli chce przyjechać tam pierwsza.

Sznur samochodów zwolnił, ponieważ droga zwężała się tu do jednego pasa ruchu. Cassie znalazła się za starym fordem LTD, który powoli toczył się po zakrętach kanionu.

- Szybciej! - krzyczała, wciskając klakson. - Jedź, jedź!

Zobaczyła, że kierowca forda przygląda się jej w lusterku wstecznym. Dała mu znak, żeby usunął się na bok i ustąpił z drogi, ale ten tylko pokazał jej środkowy palec i celowo zwolnił. Na następnym zakręcie wyprzedziła go. Był to niebezpieczny manewr, przez który jadący z przeciwka samochód musiał zjechać na pobocze. Kierowca samochodu i człowiek z forda zagrali jej serenadę na klaksonach. Cassie wystawiła przez okno dłoń z uniesionym środkowym palcem i popędziła naprzód.

Skręciła w Lookout Mountain Road i pomknęła w górę zbocza. Przejeżdżając obok Szkoły Wonderland, zwolniła. Na podwórku wciąż były jakieś dzieci, a na ulicy tłoczyły się zaparkowane jeden przy drugim samochody rodziców, którzy zabierali dzieci do domu. Cassie rozejrzała się, ale nie szukała Jodie. Znała plan lekcji. Dziewczynka była już w domu - albo z Karchem.

Kiedy pokonała ostatni zakręt przed domem Shawów, serce podskoczyło jej do gardła. Przed domem na ulicy stał policyjny radiowóz z migającymi lampami. Miała nadzieję, że przyjechał po jej telefonie pod 911, ale przecucie mówiło jej jednak, że to niemożliwe. Dzwoniła przecież ledwie trzy minuty temu.

Cassie zwolniła, zbliżając się do domu. Zobaczyła dwójkę funkcjonariuszy, kobietę i mężczyznę, którzy stali na trawniku tuż za płotem. Oboje patrzyli na kobietę, której twarz była tak skrzywiona i poczerwieniała, że Cassie z wielkim trudem rozpoznała w niej Lindę Shaw, kobietę, która wychowała jej dziecko.

Łzy spływały jej po policzkach. Do piersi przyciskała dłonie zwinięte w pięści tak mocno, że białały jej kostki. Policjantka pochylała się ku niej, wpatrując się w jej twarz i trzymając dłoń na jej ramieniu. Pocięszała ją. Policjant mówił coś do trzymanego w ręku radia. Cassie wiedziała już, że jest za późno.

Wszyscy troje jak na komendę odwrócili się w stronę ulicy i spojrzeli na porsche, którego silnik zadudnił, gdy Cassie zwolniła jego obroty.

Dwójka policjantów patrzyła przez chwilę na samochód, po czym z powrotem zajęła się stojącą między nimi kobietą. Lecz oczy Lindy Shaw nadal były utkwione w aucie. Przebijając się przez przednią szybę, zdawały się wwiercać w Cassie Black. Nigdy się wcześniej nie spotkały. Adopcja odbyła się bez udziału Cassie, która przebywała w więzieniu, wówczas nie chciała poznawać ludzi, zabierających jej dziecko.

Jednak w tej ulotnej chwili, gdy ich oczy spotkały się, Cassie poczuła jakiś przepływ. Jak gdyby połączyły się na moment w zimnej przestrzeni, którą wędrują najgorsze lęki macierzyństwa. Umęczone i wilgotne oczy Lindy Shaw powiedziały Cassie, że nie może istnieć większa miłość do jej córki.

Cassie pierwsza odwróciła wzrok. Powoli minęła dom. Wiedziała, że może dojechać Lookout Mountain Road do Sunset Plaza, a później z powrotem do miasta, by nie jechać jeszcze raz obok domu. Postanowiła, że tak właśnie zrobi.

A potem pojedzie tam, gdzie on będzie chciał. Karch. Rozegrają to do końca pod jego dyktando.

Rozdział 39

Niebo nad pustynią było stalowoczarne, powietrze chłodne i rześkie. Karch uwielbiał pustynię w nocy. Uwielbiał ten spokój, który pomagał mu wracać do dawnych wspomnień. Nawet siedząc w pędzącym sto mil na godzinę lincolnie, potrafił to docenić. Pustynia wracała mu siły, które odebrało miasto.

Był w połowie drogi między Primm a Las Vegas, a blask pasażu rozświetlał horyzont jak ognie greckie. Autostrada numer piętnaście była

pusta i szeroka. Karch zerknął na umieszczony na tablicy rozdzielczej zegar - dochodziła ósma. Uznał, że pora zadzwonić do Grimaldiego. Stary pewnie i tak odchodzi od zmysłów, czekając na wiadomość od niego. Włączył lampkę nad lusterkiem i zerknął na dziewczynkę. Leżała na tylnym siedzeniu pogrążona we śnie. Już na sam jej widok Karch miał ochotę ziewać. Nie zmrużył oka od trzydziestu sześciu godzin.

Otrząsnął się jednak i przełknął kawę, którą kupił jeszcze w Barstow, tak więc dawno już zdążyła ostygnąć. Odstawił kubek na podstawkę pod tablicą rozdzielczą i wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy. Wybrał numer prywatnego gabinetu Grimaldiego, po czym wyłączył światło nad lusterkiem. Vincent odebrał telefon natychmiast.

- Tak?

W tle słychać było jakieś hałasy. Gwar ludzkich głosów, nawoływania, klaskanie. Karch domyślił się, że Grimaldi rozmawia z aparatu na bocianim gnieździe.

- Vincent, musisz sprawdzić coś w swoim komputerze.

- Gdzieś ty był,, do diabła? Wysyłam ci wiadomości na pager od...

- Próbowałem odzyskać twoje pieniądze. Mógłbyś z łaski swojej...

- Chcę wiedzieć, czy je masz, a nie czy próbujesz je odzyskać. Próby nic nie znaczą, jeżeli ich nie masz w ręku.

Karch pokręcił głową. Miał ochotę wrzasnąć do telefonu, ale wiedział, że mógłby obudzić dziecko. Powiedział więc zupełnie spokojnie:

- Są w drodze, Vincent. Ale żeby je odebrać, potrzebuję pomocy. Możesz sprawdzić, czy jest wolny jeden pokój?

- Oczywiście, że mogę. Nie odkładaj słuchawki, postawię tu kogoś. Zaczekaj.

Grimaldi nie czekał na odpowiedź. Lincoln ze stałą prędkością zbliżał się do Las Vegas, a Karch słyszał ciszę. Grimaldi odezwał się dopiero po dobrych pięciu minutach. Nie było słychać gwaru w tle. Był już w swoim gabinecie. Bez zbędnych komentarzy przeszedł do rzeczy.

- O który pokój ci chodzi?

- Na ostatnim piętrze. Dwa tysiące jeden. Jak „Odyseja kosmiczna”.

- Zaczekaj chwilę. To przecież...
- Wiem. Ktoś go teraz zajmuje?
- Sprawdzę... Nie, dzisiaj jest wolny.
- To dobrze, Vincent. Zablokuj go i zarezerwuj na nazwisko Jane Davis. Masz długopis? Podam ci numer karty kredytowej.

Karch wyjął z kieszeni paszporty i z plastikowej kieszonki w paszporcie „Jane Davis” wyciągnął kartę American Express. Ponownie włączył górne światło i przeczytał Grimaldiemu numer.

- Zapisalem - rzekł Grimaldi. - Coś jeszcze?

Karch uśmiechnął się, słysząc w jego głosie nutę gorliwości. Sztuka polegała na tym, żeby utrzymać ten stan już po zakończeniu sprawy. Przez następne dziesięć minut wyluszczał swój plan, oglądając się przez ramię na dziewczynkę, by się upewnić, czy śpi i nie podsłuchuje. Kiedy mówił, minęli tablicę z napisem WITAJCIE W LAS VEGAS, która stała na rogatek od czterdziestu lat. Powoli zaczęły się ukazywać neony hoteli. Kiedy Karch przedstawiał swój plan Grimaldiemu, ten zadreptał go pytaniami i wątpliwościami. Zanim zdążył skończyć, jego nastrój zmienił się diametralnie. Karch czuł teraz poirytowanie.

- Jesteś pewien, że to zadziała? - odezwał się Grimaldi.
- To się nazywa synchroniczność, Vincent - odrzekł ze złością Karch. - Słyszałeś kiedyś takie słowo? Wszystko się pięknie ułoży, a ty odzyskasz pieniądze. Chyba tego chcesz, nie?
- Tak, Jack. Właśnie tego chcę.
- W porządku, więc chodzi nam o to samo. Zajmij się wszystkim. Jestem już prawie na miejscu.

Wyłączył telefon i położył na siedzeniu obok siebie. Zerknął na dziewczynkę - ciągle spała. Wyłączył światło i w tym samym momencie zadzwonił telefon. Szybko złapał aparat i otworzył klapkę, by hałas nie obudził dziecka.

- O co znowu chodzi, Vincent? Nie możesz znaleźć w słowniku słowa „synchroniczność”?

- Kto to jest Vincent?

To była Cassie Black. Karch uśmiechnął się, zdając sobie sprawę, że Vincent nie zna przecież tego numeru.

- Cassidy Black - rzekł szybko, starając się zignorować jej pytanie. - Najwyższy czas, żebyś się odezwała. Dzisiaj nieźle sobie poradziłaś, ale myślę, że gdybyśmy byli na moim terenie, wszystko...

- Gdzie ona jest?

Jej głos był zimny i twardy. Karch urwał, z uśmiechem nadal przyklejonym do ust. Rozkoszował się tą chwilą. Miał pełną kontrolę nad sytuacją i zamierzał wygrać to rozdanie.

- Jest ze mną, cała i zdrowa. I taka pozostanie, jeżeli będziesz robić dokładnie to, co ci powiem. Rozumiesz?

- Posłuchaj, Karch. Jeżeli dziecku stanie się jakakolwiek krzywda... nic cię nie uratuje, rozumiesz? Zrobię wszystko, żeby cię zniszczyć, rozumiesz, co mówię?

Karch milczał przez chwilę. Uchylił okno na pół cala i wyciągnął papierosa. Przypalił od zapalniczki samochodowej.

- Karch, jesteś tam?

- Oczywiście, że jestem. Myślę sobie, ile w tym ironii. To znaczy, wydaje mi się, że to ironia losu - nigdy nie byłem za dobry z angielskiego. Bo chyba tak można nazwać sytuację, kiedy ktoś, kto zamierzał uprowadzić dziecko, skarży się, że ktoś go ubiegł i pierwszy je porwał. Czy to można nazwać ironią?

Karch czekał przez chwilę na odpowiedź, ale Cassie milczała. Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Wiedział, że trafił ją w najczulszy punkt. Zawsze najlepszym narzędziem do takich operacji była prawda.

- Powiedz mi, Cassie Black, co robiłaś, mieszkając w Los Angeles? Sprzedawałaś samochody czy obserwowałaś dziecko? I kogo chciałaś zabrać na Tahiti, skoro Max nie mógł jechać?

Czekał, ale po drugiej stronie linii dalej panowała cisza.

- Pomyślałem sobie, że prawdopodobnie przyjadę po dziecko godzinę albo pół przed tobą. Oszczędź więc sobie świętego oburzenia. Nie kupuję.

Zdawało mu się, że słyszy płacz, lecz nie był pewien. Czuł jakąś dziwną bliskość z Cassie. Może dlatego, że poznał jej plany, jej sekretne marzenia. Wspaniale było tak dobrze znać cel, dla którego żył ktoś inny. Prawie jak miłość.

- Zgadza się - powiedział cicho. - Wiem wszystko o tobie i twoim sprytnym planie. Mieć oko na dziewczynkę i doczekać końca okresu warunkowego zwolnienia - ile ci zostało, jakiś rok? Potem porwać ją i pojechać do rajy - Tahiti, gdzie dawno temu spędziliście z Maksym cudowne chwile. Przy okazji, mam coś twojego - nie mówię o dziecku.

Przytrzymał telefon między policzkiem a barkiem, biorąc z siedzenia obok paszporty. Otworzył jeden i spojrzął na zdjęcie kobiety, z którą właśnie rozmawiał przez telefon.

- Jane i Jodie Davis - powiedział. - Czyż nie ślicznie? Ktokolwiek robił to dla Lea, wykonał naprawdę niezłą robotę. Szkoda, że nie będziesz miała okazji wypróbować tych paszportów.

- Gnoju - syknęła do telefonu Cassie.

Karch puścił to mimo uszu i dalej się nad nią pastwił.

- Kiedy wywiesili na domu tabliczkę „Na sprzedaż”, poczułaś, że mogą być kłopoty. Jodie powiedziała mi, że wyprowadza się z rodziną do „Paryża”, jak mówi, za miesiąc. Założę się, że to był dla ciebie szok. Musiałaś zmienić i przyspieszyć plan. Poszłaś do Lea, żeby dał ci jakąś robotę. A on wysłał cię jeszcze raz do Kleopatry. Oto i cała historia.

- Co chcesz, żebym zrobiła, Karch? Mam pieniądze. Porozmawiajmy o nich i skończmy z tym raz na zawsze.

- Gdzie jesteś?

- Jak to gdzie, w Los Angeles.

- Niedobrze. To znaczy, że chyba odebrałaś wiadomość ode mnie dopiero wtedy, kiedy dla Kibble było już ratunku. Bardzo niedobrze. Zostanie wielki pusty stółek w biurze zwolnień warunkowych.

Karch zaczął się śmiać, skrzęcając w Tropicana Boulevard. Za dziesięć minut powinien być w Kleopatrze.

- Jesteś chory, wiesz, Karch? Thelma Kibble nic ci nie zrobiła.

- Skarbie, coś ci powiem. Połowa ludzi, których sprzątnąłem, nic mi nie zrobiła. Jodie Shaw też nie - a raczej Jodie Davis. Gównu mnie to obchodzi, rozumiesz?

- Jesteś psychopata.

- Tak jest. A więc zrobisz tak. Słuchasz mnie? Przywieziesz jak najszybciej pieniądze do Las Vegas. Nie obchodzi mnie, czy samolotem, czy autem, ale masz być w Kleopatrze jeszcze przed północą. Z powrotem na miejscu zbrodni.

Zerknął na zegar.

- Masz cztery godziny. Mnóstwo czasu. Kiedy przyjedziesz, zadzwoń, a wyślę po ciebie kogoś, kto cię przyprowadzi na górę.

- Karch...

- Zamknij się! Nie skończyłem. Lepiej, żebyś odezwała się do mnie przed północą, inaczej państwo Shaw będą jeszcze raz musieli pojechać do High Desert i zapytać, czy nie mają jakiejś skazanej z brzuchem, która chce się pozbyć dzieciaka.

- Wcale nie chciałam się jej pozbyć!

Karch odsunął telefon od ucha.

- Nie miałam wyboru! Przecież nie mogłam wychowywać córki w...

- Tak, tak, na to samo wychodzi. Ty i Max musieliście podobnie myśleć.

Po drugiej stronie zapadła długa cisza.

- O czym ty mówisz? Zabiłeś go. Wiem, że byłeś tamtej nocy na górze.

- Byłem, ale mylisz się co do reszty. Muszę ci jednak powiedzieć, że do dzisiaj nie wiedziałem, co się stało. Dopóki nie dowiedziałem się o dziecku.

Przerwał, ale Cassie nie odpowiedziała.

- Mam mówić dalej?

Znów przerwał. Wreszcie bardzo cicho powiedziała mu, żeby mówił dalej.

- Widzisz, to było tak. Leżałem w łóżku i udawałem, że śpię. Pozwoliłem, żeby przeszedł przez sypialnię i wszedł do salonu. Wtedy wstałem, wyciągnąłem broń spod poduszki i wszedłem za nim. Stanęliśmy naprzeciw siebie. Ja miałem gnata, on - gówna. Mógł tylko zejść ze mną na dół, tak jak mu kazałem. Nie posłuchał. Powtórzyłem, a on tylko popatrzył na mnie i powiedział coś, czego nie rozumiałem aż do dzisiaj. Bo nie wiedziałem o dziecku, o tobie i o nim. Nie wiedziałem, co mu powiedziałaś tamtej nocy, zanim poszedł na tę robotę.

Rozdział 40

Cassie nie cierpiała jeździć w nocy po pustyni. Czują się jak w tunelu bez końca. Słowa Karcha jeszcze pogorszyły sytuację. Przez napływające do oczu łzy droga oświetlona reflektorami samochodu stawała się coraz bardziej niewyraźna. Cassie powstrzymała płacz, starając się uspokoić głos.

- Co powiedział? - zapytała. - Mów, co ci powiedział. Słuchała Karcha przez głośnik. Jego głos dochodził z ciemności, bezcielesny i porbrzmiewający echem, zdawał się otaczać ze wszystkich stron, wdzierając się wprost do głowy.

- Powiedział: „Nigdy więcej. Lepiej w ogóle nie niż znowu w pierdłu”. Potem odwrócił się i rzucił się prosto w okno. Nie wiedziałem, o co mu chodziło i dopiero dziś dowiedziałem się od Kibble, co tamtej nocy usłyszał. Powiedziałaś mu, że będzie ojcem, że ty i on, no wiesz. I wiedział, że jeżeli ze mną pójdzie, będzie siedział, kiedy dziecko się urodzi i zacznie rosnać. A właśnie to przydarzyło się jemu, pamiętasz? Kiedy dorastał, jego stary siedział w pierdłu. Nikomu tego nie życzył.

Przestał mówić, a Cassie milczała. Miała ochotę przerwać tę rozmowę, wyłączyć telefon, zjechać na bok drogi i iść na oślep przez ciemną pustynię, nie zważając na czające się w mroku niebezpieczeństwa.

Wierzyła Karchowi. Nie miała powodu, ale w głębi duszy wiedziała, że mówił prawdę. Zdała sobie sprawę, że wszystko zaczęło się od nowiny, którą wtedy zakomunikowała Maksowi. W jej pamięci znów zjawił się obraz jego zmiażdżonego ciała na stole w kasynie. Podbiegła wtedy do niego i objęła jego głowę. Musieli ją odciągać.

- Sama więc widzisz - odezwał się nieoczekiwanie Karch - że jeżeli można kogoś winić za jego śmierć, to raczej ciebie niż mnie. Ty nosiłaś w brzuchu jego dziecko, o czym mu powiedziałaś. Co o tym sądzisz, Cassie Black?

Nie odpowiedziała. Chwyliła kierownicę tak mocno, że w nikłym blasku zegarów auta jej kostki stały się zupełnie białe. Poczula, jak przenika ją dreszcz, który brał początek głęboko w piersi, a potem wstrząsnął całym ciałem. Płynął jak fala przez ramiona do dłoni, które omal nie puściły kierownicy. W końcu drżenie minęło. Cassie starała się nie myśleć na razie o Maksie. Najważniejsza była teraz Jodie. Musiała pamiętać tylko o niej.

- Wiesz co? - powiedział Karch. - Rozumiem już, co się wtedy stało z Maksiem, ale nadal nie pojmuję, co się zdarzyło w pokoju Hidalgo. Po co to zrobiłaś?

Cassie nie zrozumiała, dlaczego zadaje jej tak oczywiste pytanie.

- Jak to po co? Dla pieniędzy.

- Ale po co sprzątnęłaś gościa, skoro nie musiałaś, a wszystko wskazywało na to...

- O czym ty mówisz? Hidalgo? Hidalgo nie żyje?

- Chyba powinnaś wiedzieć lepiej niż...

- Nie! Nie wiem, o czym mówisz!

- Wyglądało tak, jakbyś zrobiła to z zimną krwią. Facet siedział bezbronny w łóżku, w samej bieliźnie, a ty jak gdyby nigdy nic strzelasz mu w łeb.

Kiedy mówił, Cassie przypomniała sobie ostatnie chwile przed opuszczeniem pokoju. Hidalgo zaczynał się wiercić i budzić. Stała w nogach łóżka z uniesioną bronią. Była gotowa zrobić to, gdyby nie było innego wyjścia. Przekroczyć ostateczną granicę. Czyżby rzeczywiście to zrobiła, a potem wymazała z pamięci? Niemożliwe.

- Karch, posłuchaj. Jeżeli on faktycznie nie żyje, musiał go zabić ktoś inny.

Po krótkim milczeniu usłyszała jego głos.

- Jasne. Jak sobie życzysz. W każdym razie to niczego nie zmienia. Wrócisz tu z pieniędzmi i...

- Karch?

- Co?

- Skąd mogę wiedzieć, że w ogóle ją masz?

Wybuchnął sztucznym śmiechem.

- No właśnie. Nie wiesz.

- Muszę z nią porozmawiać. Zanim przyjadę, muszę wiedzieć, że naprawdę ją porwałeś. I że żyje. Karch, proszę cię.

- Skoro tak uprzejmie prosisz...

Nasłuchiwała. Zdawało się jej, że słyszy klakson, a potem przekleństwo. A więc był w samochodzie. Domyśliła się, że zatrzymał się na poboczu, zajeżdżając komuś drogę. Usłyszała szelest, a potem znów głos Karcha, tym razem skierowany do kogoś innego.

- Obudź się, mała - powiedział. - Ktoś chce z tobą rozmawiać. Powiedz dzień dobry.

Cassie usłyszała oddech córeczki. A potem jedno słowo, które przeszło ją na wskroś niczym diamentowe ostrze.

- Mamusia?

Cassie bezwiednie wstrzymała oddech. Próbowwała opanować wzbierający potok łez. Otworzyła usta, starając się odpowiedzieć na pierwsze słowo, jakie usłyszała od swojej córki. Zanim jednak zdołała wydać jakikolwiek dźwięk, wnętrzu samochodu wypełnił głośny i bezczelny śmiech Karcha.

- Mądrość dziecka, co? - powiedział. - W Kleopatrze przed północą, kopcuszkę, inaczej po twojej kruszynie zostanie wspomnienie.

Rozłączył się, pozostawiając Cassie w ciszy i ciemności. Przemierzając mroczny tunel.

Zastanawiała się przez chwilę, czy nie zadzwonić jeszcze raz, lecz wiedziała, że zostało już powiedziane wszystko, co było do powiedzenia. Przez szybę zobaczyła wielką tablicę z napisem WITAJCIE W LAS VEGAS, którą po chwili minęła. Okłamała Karcha. Jechała za nim. Zyska trochę czasu - parę godzin, by się przygotować - ale niewiele więcej ponad to. Nie miała pojęcia, na co właściwie ma się przygotować.

Rozdział 41

Dziewczynka usiadła na tylnym siedzeniu lincolna i wpatrywała się w oślepiające światła pasażu.

- Gdzie jesteśmy? - spytała.
- Prawie na miejscu.
- Chcę do tatusia.

Karch przekręcił lusterko wsteczne i popatrzył na dziecko. Wyglądało na to, że znowu wybuchnie płaczem. W połowie drogi z Los Angeles zaczęła płakać i wzywać matkę i ojca. Karch musiał się zatrzymać w Barstow i uspokoić ją. Pomogły w tym frytki i cola. Zgodziła się siedzieć cicho do przyjazdu do hotelu w Las Vegas, gdzie miał czekać jej tatuś. Jediną dobrą stroną tego ataku rozpacz było to, że płacz bardzo ją zmęczył i przez resztę drogi cały czas spała.

- Pamiętaj o naszej umowie. Nie płacz, dopóki nie znajdziemy się w pokoju hotelowym, gdzie zobaczysz się z tatusiem. Zgoda?

- Nic mnie to nie obchodzi. Chcę do tatusia.
- Już prawie jesteśmy na miejscu - powiedział. - Zaraz będziesz ze swoim tatusiem.

Uśmiechnął się, choć wiedział, że dziecko nie zrozumie tego żartu.

- Jesteśmy we Francji?
- Co takiego?

Zerknął w lusterko i zobaczył, jak mała patrzy przez prawe okno, a na jej twarzyczce igra neonowy blask. Spojrzał w tym kierunku i zobaczył stojącą przed kasynem miniaturę wieży Eiffla.

- Całkiem możliwe, mała. Całkiem możliwe.

Po kilku minutach skręci! we wjazd na wielopoziomowy parking Kleopatry i kierując się znakami PARKING SAMOOBSŁUGOWY, tak jak mówi! Grimaldiemu, pojechał na tyły posesji, do zachodniego skrzydła. Znalazł miejsce na czwartym poziomie, po czym zszedł z dziewczynką na parter. Karch szedł szybko, trzymając małą za rękę i szarpiąc.

Wprost z parkingu do korytarza Eufratu prowadziło wyjście awaryjne, które dla nich otwarto. Drzwi przytrzymał ręcznik przywiązany do poprzecznej belki od wewnątrz i do klamki z zewnątrz, uniemożliwiając ich zamknięcie. Dzięki temu mieli uniknąć obiektywów kamer w kasynie. Karch nie chciał dopuścić, żeby kontrola zarejestrowała jego wejście z dziewczynką. Gdy znaleźli się za drzwiami, Karch zerwał z nich ręcznik i rzucił na podłogę. Drzwi automatycznie się zatrzasnęły.

W korytarzu przy windach Jodie Shaw przystanęła i próbowała wyszarpnąć rączkę z dłoni Karcha. Miał wrażenie, jakby mała rybka delikatnie pociągnęła za żyłkę. Spojrzał na nią.

- Gdzie mój tatuś?

- Jedziemy do niego na górę. Chcesz nacisnąć guzik?

Pokazał przyciski przyzywające windę.

- Nie, mam prawie sześć lat. A nie trzy.

- Jak chcesz.

Karch przyciągnął ją do siebie i wcisnął guzik. Rozejrzawszy się wokół, stwierdził, że nikt nie zwraca na nich uwagi. Zanurzył palce w donicy z piaskiem stojącej pod panelem i wymacał kartę-klucz, którą zostawił mu Grimaldi. Drzwi windy otworzyły się i Karch pociągnął małą za sobą. Za pomocą karty elektronicznej zwolnił blokadę przycisku ostatniego piętra. Gdy tylko winda się zamknęła, puścił dłoń dziewczynki. Spojrzał w kierunku kamery umieszczonej w rogu na suficie kabiny. Nie dostrzegł żadnego światełka ani innego znaku, który by pozwalał stwierdzić, czy kamera działa, czy - zgodnie z jego instrukcją - została wyłączona.

Popatrzył na Jodie, która była wyraźnie zagubiona i wyglądała, jakby za moment znów miała uderzyć w płacz. Kucnął obok i uśmiechnął się.

- Już dobrze, mała. Za parę godzin będzie po wszystkim.

- Chcę do mamusi i tatusia.

- Niedługo będziecie razem. Obiecuję. Słuchaj, pokazywałem ci coś takiego?

Wydobył z kieszeni paczkę papierosów i wytrząsnął jednego. Następnie zademonstrował bezbłędnie sztuczkę „z ucha do ust”. Brwi dziewczynki uniosły się w zdumieniu. Przypalił papierosa zapalniczką i wydmuchał dym nad jej głową.

- To czary - wyjaśnił. - Nauczył mnie ich mój tatuś.

Podniósł się z kucek.

- W każdym razie facet, który myślał, że jest moim tatusiem. Drzwi otworzyły się i wyszli na korytarz. Karch stanął przed pierwszymi drzwiami po prawej. Kiedy otworzył drzwi kart dziewczynka wpadła do środka przed nim.

- Tatusiu!

Patrzył, jak mała rozgląda się z nadzieją, a potem biegnie przez otwarte podwójne drzwi do sypialni. Karch zamknął drzwi rzucił kartę na stolik pod lustrem obok wejścia i poszedł za dziewczynką. Opierała się o łóżko z twarzą wtuloną w pościel.

- Gdzie tatuś?

- Chyba będziemy musieli na niego poczekać.

Odrzuciła się i zmierzyła go oskarżycielskim spojrzeniem.

- Mówiłeś, że tu będzie.

- Nie martw się. Jest gdzieś niedaleko. Będziemy musieli poczekać, aż wróci. Zadzwoń, może uda mi się go znaleźć, dobrze? Tymczasem zaczekasz w tym pokoju. Możesz się położyć i jeszcze trochę pospać albo pooglądać telewizję, co chcesz. Mają tu program z samymi kreskówkami, wiesz? Chcesz zobaczyć?

Patrzył na nią, uśmiechając się, lecz Jodie nie była zachwycona jego planem. W ogóle nie zdołał jej ugłaskać i powoli tracił cierpliwość. Za chwilę pozostanie mu tylko związać dzieciaka i zakneblowanego wsadzić do kabiny prysznicowej. Przed tą ostatecznością postanowił spróbować jeszcze raz.

- A może jesteś głodna? Zamówię coś do pokoju. Ja jestem cholernie głodny. Co byś powiedziała na pyszny, soczysty stek?

- Obrzydlistwo. I brzydko mówisz.

- Rzeczywiście brzydko. Dobrze, nie będzie steku. Na co byś miała ochotę?

- „Spaghetto”.

- „Spaghetto”? Na pewno? Mają tu wspaniałych kucharzy. Jesteś pewna, że chcesz „Spaghetto”?

- „Spaghetti”.

- No, dobrze, niech będzie „Spaghetti”. W takim razie pooglądaj telewizję, a ja zadzwonię po kelnera.

Wziął pilota i włączył telewizor. Następnie wręczył jej pilota i wyszedł z pokoju. Po chwili o czymś sobie przypomniał. Wrócił i odłączył telefon. Jodie przyglądała się w milczeniu, jak wychodzi z aparatem. Kiedy tylko zamknął za sobą podwójne drzwi, zawołała za nim:

- I colę!

Zastanawiał się przez chwilę, czy dziecku w tym wieku wolno pić colę. Zaraz jednak stwierdził, że to bez znaczenia.

- Dobrze, będzie też cola.

Karch wziął sznur telefoniczny i okręcił nim klamki podwójnych drzwi. Nie wierzył, by Jodie próbowała się wydostać, lecz przezorność nie zaszkodzi. Następnie poszedł do małego biurka, podniósł słuchawkę i wykręcił bezpośredni numer Grimaldiego. Dyrektor kasyna odebrał natychmiast.

- Już jesteś.

- Wyłączyłeś kamery w windzie?

- I w garażu. Tak jak chciałeś. Rutynowy przegląd. Jeżeli będziesz się trzymał z daleka od kasyna, nie będziesz na żadnej taśmie.

- Dobra. Co ze schodami?

- W każdej klatce schodowej są moi ludzie. Wiemy, że ona nie ma karty, bo Martin dostał swoją z powrotem. Nie będzie mogła skorzystać z windy, czyli wejdzie schodami. Chcesz, żeby na ostatnim piętrze też kogoś postawić?

- Nie.

- Jesteś pewien, że przyjedzie z pieniędzmi? Tylko ze względu na dziecko?

- Przyjedzie, Vincent. Głowę daję.

- Dosłownie, Jack. Gwarantujesz własnym życiem. Rozumiesz?

Karch nie odpowiedział. Grimaldi próbował odzyskać autorytet, ale za późno. Karch wciąż był panem sytuacji.

- Ona mówi, że nie stuknęła Hidalga w łóżku.

- Kto mówi?

- Cassie Black. Mówi, że go nie sprzątnęła.

- Gówno prawda. A co miała powiedzieć? „Poszło źle i musiałam to zrobić”? Nie, oni się nigdy nie przyznają, Jack, dobrze o tym wiesz.

Karch zamyślił się.

- No dobra - rzekł. - Chyba masz rację.
- Wiem. U was wszystko w porządku?
- Tak. Zaczekaj - jeszcze jedno. Zadzwonił po kelnera, żeby przyniósł mi stek. Krwisty. I...

Obejrzał się na drzwi sypialni, zza których dobiegał cichy odgłos strzelaniny z kreskówki.

- Co?
- Mają tam „Spaghettio”?
- To gówno z puszki?
- Dzieciaki to lubią.
- Nie, Jack, nie ma pieprzonego „Spaghettio”. To czterogwiazdkowa restauracja.

- No to coś podobnego. I dwie cole bez lodu. Powiedz, żeby zapakali i postawili pod drzwiami. I powiedz, że nie muszę podpisywać rachunku. Nikt nie może mnie tu widzieć, Vincent. Rozumiesz?

- Doskonale. Coś jeszcze?
- Nic więcej. Do północy będzie po wszystkim, Vincent. Będziesz miał pieniądze i tak dalej. Miami przejmie Kleopatę, zostaniesz na stołku, a Chicago dostanie w dupę.
- Będę bardzo wdzięczny, Jack.
- Będziesz jak jasna cholera.

Odłożył słuchawkę, następnie wyciągnął telefon komórkowy i sprawdził, czy ma jakieś wiadomości. Pojawiło się parę nowych zgłoszeń o zaginięciach, ale nic poza tym. Karch wiedział, że tak czy inaczej niedługo skończy się w jego życiu rozdział spraw osób zaginionych.

Kiedy chował komórkę w wewnętrznej kieszeni marynarki, poczuł, że coś tam ma. Przypomniał sobie, że wziął terminarz Lea Renfra. Wyjął go i otworzył. Wcześniej zdążył go tylko przekartkować w nadziei, że znajdzie jakąś wskazówkę, która doprowadzi go do pieniędzy albo Cassie Black. Teraz znalazł kartki z kalendarza wypełnione robionymi ołówkiem notatkami na temat sytuacji astrologicznej. Fascynowało go, że niektórzy ludzie podejmują życiowe decyzje, kierując się konfiguracjami gwiazd, słońca i księżyca. Uważał, że to głupie, a to, co przydało się Leowi, stanowiło najlepszy dowód.

Przeglądał kalendarz, by sprawdzić, co Leo napisał o przyszłości, której już nie dożył. Kiedy trafił na szczególnie duży napis pod dzisiejszą datą, zaczął się uśmiechać.

- Patrzcie no, mamy dziś fazę martwego księżycyca - powiedział głośno. - Od dwudziestej drugiej dziesięć do północy.

Pomyślał, że w tym może coś jednak być. W końcu ta noc przyniesie komuś pecha. Odłożył terminarz i wstał. Podeszedł do rogu pokoju i odchylił zasłonę, za którą było sięgające od podłogi do sufitu okno. Przez chwilę przyglądał się widokowi i szybie. Znalazł miejsce, w którym Max Freeling przebił szkło i wyleciał przez okno.

Spojrzał w stronę drzwi do sypialni. Usłyszał charakterystyczne bip-bip Strusia Pędziwiatra z kreskówki. Kojot znów się na niego czaił.

Rozdział 42

Cassie analizowała na wszystkie możliwe sposoby to, co powiedział jej przez telefon Karch. Była już w Vegas i ponownie zaparkowała w garażu pod Flamingo. Siedziała w samochodzie, wciąż trzymając dłonie na kierownicy, choć wyłączyła silnik. Wpatrywała się w ścianę, którą miała przed oczyma i rozmyślała nad swoją rozmową z Karchem. W pewnym momencie wspomniał o miejscu zbrodni. Powiedział też, że kiedy Cassie przyjedzie, wyśle kogoś, kto ją przyprowadzi „na górę”. Czyli będzie czekał na ostatnim piętrze. Ściśle mówiąc - w apartamencie numer 2014. Na miejscu zbrodni.

Lecz kiedy przemyślała to jeszcze raz, zaczęła się zastanawiać, czy wszystkich tych wskazówek Karch nie przemycił w rozmowie celowo. Być może domyślał się, że Cassie kłamie i jedzie tuż za nim. Być może wiedział, że zdecyduje się na jakiś ruch, by uratować córeczkę. To drugie przypuszczenie było chyba nietrafne. Biorąc pod uwagę punkt widzenia Karcha, który sądził, że tym razem trzyma w ręku wszystkie karty, uznała, że wybierając pokój 2014 na miejsce wymiany pieniędzy za dziecko, musiał kierować się czymś innym.

Pierwszą rzeczą, której nie musiała roztrząsać, była sama wymiana. Cassie wiedziała z całą pewnością, że nie będzie żadnej transakcji. Bez względu na to, co Karch planował, nie zamierzał wypuścić jej z dzieckiem z Las Vegas. Wiedziała, że jeżeli będzie postępować zgodnie z

instrukcjami Karcha, na końcu czeka ją śmierć. Karch nie zostawiał świadków. A wobec byłej skazanej za kradzież nie zastanawiałby się ani przez chwilę. I choć Cassie była gotowa oddać własne życie za życie Jodie, nie miała wątpliwości, że „bezs świadkowa” etyka Karcha nie uczyni wyjątku dla niewinnego pięcioletniego dziecka, które miało nieszczęście cierpieć za błędy własnej matki.

Tak więc po intensywnych rozmyślaniach Cassie doszła do wniosku, że nie ma wyboru. Musiała wrócić do Kleopatry i dostać się na dwudzieste piętro. Potem musiała jeszcze raz wejść do apartamentu 2014. Ułożyła plan, dzięki któremu miała nadzieję ocalić życie przynajmniej jednej osoby - dziecka.

Trzydzieści minut później szła zdecydowanym krokiem przez kasyno w Kleopatrze, w nowym kapeluszu z szerokim rondem. Na ramieniu miała czarną torbę sportową, którą kupiła w jednym ze sklepów Flamingo. W torbie było więcej pieniędzy niż w tej chwili na wszystkich stołach kasyna. Poza forszą dźwigała tam potrzebne narzędzia, ale nie miała broni. Jeżeli wszystko potoczy się zgodnie z planem, broń nie będzie konieczna. W przeciwnym razie wiedziała, że już po niej.

Musiała założyć, że schody są pod obserwacją, a była to jedyna droga, jeśli nie miała klucza. Tak więc od razu poszła do wind wieżowca Eufratu i wcisnęła guzik.

Zanim nadjechała winda, we wnęce zjawily się dwie pary i męska połowa każdej z nich nacisnęła guzik przywołujący kabinę, choć paliła się już lampka. Cassie musiała jechać sama. Gdy przyjechała winda, przepuściła czworo ludzi, po czym jeszcze raz nacisnęła guzik. To samo powtórzyło się jeszcze dwa razy i Cassie zaczęła myśleć, że już się jej nie uda wsiąść samej. Wreszcie postanowiła zaryzykować i weszła do kabiny w towarzystwie kobiety trzymającej w ręku plastikowy kubek pełen drobnych. Cassie zaczęła, aż jej współpasażerka wcisnęła przycisk - na szczęście kobieta jechała na szóste - a potem wdusiła guzik z dziewiętnastką.

Winda ruszyła, a Cassie spojrzała na zegarek. Była dziesiąta. Kiedy tylko za kobietą zamknęły się drzwi, wcisnęła jeszcze przyciski siedemnastego i osiemnastego piętra. Następnie zdjęła kapelusz i zawiesiła go na kamerze w rogu sufitu w taki sposób, że zasłaniał jej twarz przed okiem obiektywu. Miała nadzieję, że kiedy odkryją przyczynę awarii kamery, uznają, że to tylko głupi kawał.

Cassie wyciągnęła z tylnej kieszeni spodni wytrychy i wsadziła je do ust. Włożyła ramię w obydwa uchwyty torby i postawiła stopę na poręczy biegnącej wzdłuż bocznej ściany windy. Podciągnęła się, opierając plecy o róg kabiny, po czym oparła drugą stopę na poręczy na tylnej ścianie. Wsparta o narożnik windy, zabrała się do otwierania zamka górnej kłapy.

Winda zatrzymała się na siedemnastym i otworzyły się drzwi. Cassie spojrzęła, czy nikogo za nimi nie ma, a potem wróciła do pracy przy zamku. Miała z nim kłopoty z powodu niewygodnej pozycji i faktu, że blokady zasuw były ustawione pionowo. Drzwi zamknęły się, po czym winda szybko wspięła się na następne piętro.

W momencie gdy rozsunęły się drzwi na osiemnastym, Cassie usłyszała trzask ostatniej blokady i przekręciła zamek. Wypchnęła kłapę w górę, a potem, zdejmując z ramienia torbę, wyrzała przez otwarte drzwi windy. Zobaczyła mężczyznę, który stał w korytarzu i gapił się na nią. Był ubrany w koszulę hawajską wciśniętą w spodnie bez paska. Cassie nie wiedziała, ile zdążył zobaczyć, lecz zdawała sobie sprawę, że nie umiałaby sensownie wyjaśnić swoich czynności. Oczy mężczyzny przesliznęły się po niej i spoczęły na zasłaniającym kamerę czarnym kapełuszu. Drzwi zaczęły się zamykać, ale mężczyzna nieoczekiwanie wyciągnął rękę i uderzył dłonią w odbój. Drzwi ponownie się otworzyły.

- Chyba zaczekam na drugą windę - powiedział.

- Dziękuję - odrzekła Cassie, wciąż trzymając w ustach jeden wytrych.

Nie wiedziała, co jeszcze powiedzieć. Człowiek odsunął się od drzwi, które po chwili się zasunęły. Cassie wypchnęła torbę przez luk, który był kwadratem o boku szerokości mniej więcej dwu stóp. Następnie złapała się brzegów otworu i wydzwignęła się na dach windy.

Kabina ponownie ruszyła w górę. Cassie szybko zamknęła kłapę i usłyszała, jak zamek z trzaskiem wskakuje na miejsce. Na samej górze szybu windy, na belce stropowej, znajdowała się pojedyncza żarówka, która dawała nikłe światło.

Cassie stała z torbą na ramieniu i utrzymywała równowagę, czekając, aż winda stanie na dziewiętnastym piętrze. Gdy się zatrzymała, Cassie zesza z jej dachu i znalazła się na żelaznej poprzeczce, która oddzielała szyb windy od sąsiedniego szybu. Chwilę później winda, która przywiozła ją na dziewiętnaste piętro, zaczęła zjeżdżać, zostawiając

Cassie na kawałku metalu szerokości sześciu cali, dziewiętnaście pięter nad ziemią.

Drzwi na ostatnie piętro znajdowały się po drugiej stronie przepaści, sześć stóp wyżej. Cassie zaczęła powoli przesuwać się wzdłuż stalowej konstrukcji, aż dotarła do przedniej ściany szybu. Znajdowała się tu kratownica ze stalowych prętów, tworząca rodzaj klatki, w której poruszała się winda. Rozpoczęła wspinaczkę po tej kracie, która była niebezpieczna i zdradliwa, ponieważ pręty pokrywała gruba warstwa kurzu.

Gdy dotarła do poziomu drzwi prowadzących do apartamentów na ostatnim piętrze, chwyciła się jednego z prętów i sięgnęła nad przepaścią do drzwi. Trzymając już ich krawędź, postawiła stopę na wystającym spod drzwi progu szerokości pięciu cali. Potem obróciła ciało, stając na występie. Podczas tego manewru torba ześliznęła się z jej ramienia i omal nie spadła - Cassie w ostatniej chwili złapała pasek. Ciężka od paczek banknotów i narzędzi torba walnęła z hukiem w cienki metal drzwi windy. Łomot odbił się głośnym echem w głębi szybu. Cassie zamarła. Pomyślała, że hałas musiał zabrzmieć równie głośno we wnęce windy i korytarzu na ostatnim piętrze.

Karch uniósł głowę znad terminarza Lea Renfra. Usłyszał jakiś huk dobiegający z korytarza. Wstał i wyciągnął z kabury sig sau-era, drugą ręką sięgając po tłumik. Potem jednak rozmyślił się. Schował broń i z tylnej kieszonki spodni wyjął dwudziestkępiątkę. Podeszedł do drzwi.

Popatrzył przez wizjer - korytarz wydawał się pusty. Zastanawiał się, czy sprawdzić źródło hałasu, czy zadzwonić do Grimaldiego. Uznał, że lepiej na nikogo nie czekać i zobaczyć samemu. Złapał kartę leżącą na stoliku pod lustrem i otworzył drzwi.

W korytarzu nie było nikogo. Karch stał przez chwilę, trzymając dwudziestkępiątkę ukrytą w tej samej dłoni, w której miał kartę. Nasłuchiwał, ale dochodziły do niego tylko stłumione odgłosy jadących wind. Podeszedł do wnętrza wind i znieruchomiał, znów nasłuchując.

Cassie trzymała drzwi, napiąwszy wszystkie mięśnie, z uchem przycisniętym do szpary między panelami. Zdawało się jej, że słyszała dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi, ale potem zapadła cisza. Po

minucie uznała, że czas ruszać. Oderwała jedną rękę i sięgnęła do tylnej kieszeni po latarkę. Zapaliła ją i włożyła do ust. Skierowała snop światła na górną framugę drzwi i z lewej strony dostrzegła dźwigienkę odblokowującą sprężynę zamka. Przesunęła się nieznacznie w tę stronę. W momencie gdy wyciągała rękę do dźwigienki, poczuła z dołu silny podmuch powietrza. Zawahała się i spojrzała w dół. Tuż pod sobą ujrzała wyłaniającą się z mroku windę, która nadjeżdżała, by rozgnieść ją o drzwi. W ułamku sekundy musiała zdecydować, czy pociągnąć dźwigienkę i próbować wypchnąć drzwi, czy wejść na dach nadjeżdżającej windy.

Nad drzwiami jednej z wind zapaliła się lampka i odezwał się cichy brzęk dzwonka. Karch szybko wycofał się z wnęki. Rozejrzał się po korytarzu i zauważył podwójne drzwi wahadłowe, za którymi znajdowało się pomieszczenie gospodarcze. Podszedł tam, pchnął drzwi i wszedł do środka.

Jedno skrzydło przytrzymał uchylone, zostawiając szparę szerokości cala, przez którą obserwował korytarz. Usłyszał, jak drzwi windy otwierają się, a potem zamykają. W korytarzu zjawili się mężczyzna i kobieta, którzy poszli w przeciwnym kierunku, oddalając się od kryjówki Karcha. Mężczyzna wyglądał na pięćdziesiąt kilka lat, kobieta na dwadzieścia kilka. Karch widział, jak mężczyzna wsuwa dłoń pod jej krótką czarną sukienkę. Dziewczyna zachichotała i figlarnym gestem odtrąciła rękę.

- Zaczekaj, aż będziemy w pokoju, kotku - powiedziała. - Wtedy będziesz mógł łapać, za co zechcesz.

Obserwował ich, aż zniknęli w pokoju w głębi korytarza. Następnie rozejrzał się po swojej kryjówce. W części za przepierzeniem były zapasy bielizny i środków czystości. Po drugiej stronie znajdowała się służbowa winda dla obsługi. Pośrodku pomieszczenia stał stolik na kółkach, na którym piętrzyły się brudne naczynia, wydzielające nieświeży zapach. Karch pomyślał, że ktoś o nich zapomniał i stoją tu przez cały dzień.

Wyszedł na korytarz i wrócił do pokoju 2001, przystając przy wejściu do wind i nasłuchując. Żaden dźwięk nie wzbudził jednak jego podejrzeń. Podszedł do drzwi z numerem 2001, otworzył kartą zamek i wszedł do środka.

Trzydzieści sekund później windę wezwano na niższe piętro i kabina zjechała w dół szybu. Cassie zeszła z jej dachu na stalową belkę i jeszcze raz mozolnie wspięła się do drzwi prowadzących na ostatnie piętro. Przed ostatnim manewrem zabezpieczyła torbę i tym razem udało się jej wskoczyć na próg bez jednego dźwięku. Następnie pociągnęła za dzwigniękę sprężyny. Usłyszała metaliczny stuk, po czym panele drzwi uchyliły się o pół cala. Cassie włożyła w szparę palce i rozdzieliła płyty drzwi.

Znalazłszy się we wnęce korytarza, odwróciła się i zasunęła za sobą drzwi, które automatycznie się zaryglowały.

Ruszyła w stronę apartamentu 2014, nie za bardzo wiedząc, co zrobi, kiedy tam już dotrze. Lecz mijając drzwi z numerem 2001, nagle przystanąła, bo olśniła ją pewna myśl. Synchroniczność. Kiedy dzwoniła do Karcha, powiedział to słowo do telefonu, sądząc, że rozmawia z kimś o imieniu Vincent. W mgnieniu oka domyśliła się, że chodziło o Vincenta Grimaldiego, dyrektora obsługi kasyna. Tego samego, o którym wspominał Hidalgo. Tego samego, który sześć lat wcześniej był szefem ochrony. Lecz teraz nieważne było, kogo się Karch spodziewał usłyszeć, odbierając telefon, ale co powiedział. Synchroniczność. Cassie wiedziała, co to znaczy. Słowo co najmniej kilkanaście razy pojawiało się w krzyżówce w „Las Vegas Sun” w ciągu pięciu lat, kiedy gorliwie je rozwiązywała. Cecha pozornie niezwiązanych ze sobą zdarzeń występujących równocześnie; Synchroniczność.

Znała już plan Karcha. Prawie siedem lat temu z okna apartamentu 2001 pewien człowiek oddał śmiertelny skok. Dziś kochanka tego człowieka - i jej dziecko - zrobią to samo. Pieniądze weźmie Karch. Winę za wszystko zrzucą na Cassie, szaloną matkę, która zastrzeliła swoich kolegów z pracy i kuratorkę, porwała córeczkę, a potem wróciła do Las Vegas, by zakończyć życie tak jak jej kochanek.

Sprytny plan. Wiedziała, że na pewno by się udał. Ale Cassie zdobyła pewną przewagę, odgadując jego szczegóły. Pochyliła się, zbliżając ucho do drzwi. Usłyszała niewyraźne dźwięki kreskówki, którą ktoś w pokoju oglądał w telewizji.

Cassie delikatnie oparła głowę o drzwi i szepnęła:

- Idę do ciebie, dziecko. Już idę.

Rozdział 43

Karch odwinął sznur telefoniczny z klamek podwójnych drzwi sypialni i zajrzał do dziewczynki. Leżała na brzuchu na końcu łóżka, podpierając brodę na rękach i usiłując nie zasnąć, oglądała kreskówki.

- Wszystko w porządku, mała?

- Gdzie tatuś?

Karch spojrzął na zegarek.

- Już niedługo przyjdzie... naprawdę niedługo.

Zamknął drzwi i z powrotem zabezpieczył je sznurem.

- Lepiej spytaj, gdzie to cholerne jedzenie - powiedział do siebie.

Podszedł do telefonu i jeszcze raz zadzwonił do Grimaldiego, który odebrał natychmiast.

- Jest coś? - zapytał Karch.

- U mnie nic.

- Dzwoniłeś z moim zamówieniem?

- Zaraz jak skończyliśmy rozmawiać.

- Vincent, twoja czterogwiazdkowa kuchnia jest gównem warta.

Umieram z głodu.

- Mają duży ruch. Zadzwonię jeszcze raz.

- Dobra. Daj mi znać od razu, jeżeli ktoś ją będzie miał.

- W porządku.

- Aha, Vincent?

- Co, Jack?

- Lepiej zamknij stół do kości. Chyba nie chcesz, żeby komuś stała się krzywda.

- Jezu! Jesteś pewien, że trzeba to tak załatwić? Nie moglibyśmy po prostu...

- Vincent! Vincent! Nie chcesz żadnych pytań, prawda?

- Nie, Jack.

- Nie ma innego sposobu. Synchroniczność, Vincent. Zadzwon do szefa budy. Niech zamkną stół.

Odłożył słuchawkę i podszedł do okna. Walnął pięścią w szybę, starając się poczuć napięcie w szkle. Zastanawiał się, czy gdyby najpierw

wybił szybę, żeby było łatwiej, detektywi z miejskiej byliby w stanie odkryć. Zebraliby okruchy szkła do analizy? Chyba nie. Za dużo zawracania głowy, zwłaszcza w tak oczywistym przypadku zabójstwa z samobójstwem.

Postanowił, że najpierw przestrzeli szybę i zaraz potem wyrzuci ciało. Najpierw małą, potem matkę. Klasyczne zabójstwo z samobójstwem.

W pomieszczeniu gospodarczym Cassie przestawiła stół na kółkach w miejsce tuż pod jednym z paneli podwieszanego sufitu. Odsunęła brudne naczynia na jedną stronę blatu i weszła na stół. Miał duże kółka, żeby gładko mógł się toczyć po puszystych dywanach w apartamentach. Stanowił jednak chybliwą podstawę. Cassie ostrożnie wstała i sięgnęła do sufitu. Pchnęła panel do góry i odsunęła na bok. Następnie chwyciła się prowadnic ramy panelu i sprawdziła, czy są mocne. Cassie ważyła sto dziesięć funtów w ubraniu, torba mniej więcej dwadzieścia. Prowadnice wytrzymały ten ciężar. Wrzuciła najpierw torbę, a potem chwyciwszy się ramy, wgramoliła się do dziury między fałszywym a prawdziwym sufitem.

Dziura miała wysokość nie większą niż cztery stopy i była zapchana przewodami elektrycznymi oraz rurami wodociągowymi i instalacji przeciwpożarowej. Najwięcej miejsca zajmowała jednak sieć kanałów ciepłowniczych i wentylacyjnych. Wzdłuż korytarza biegły równoległe przewody doprowadzające i odprowadzające, rozgałęziając się na drobniejsze kanały, które kończyły się otworami wentylacyjnymi w każdym apartamencie na piętrze. Główne przewody miały szerokość trzech stóp, więc z łatwością można było się nimi przeczołgać. Odnogi były węższe, lecz Cassie z doświadczenia wiedziała, że kanały odprowadzające powietrze są na tyle obszerne, że będzie mogła się w nich poruszać, pod warunkiem że ręce będzie trzymała wyciągnięte przed sobą, poruszając tylko nogami. Skoro ona będzie mogła się tam zmieścić, dla Jodie nie będzie to żaden kłopot.

Jej plan nie był wolny od poważnych usterek i ryzyka. Pierwszym problemem był hałas. Każdy dźwięk w kanale wentylacyjnym docierał do pokoi ze zdwojoną siłą. Cassie bardziej niż swojego wejścia obawiała się powrotu z Jodie. Trudno będzie pięcioletniej dziewczynce zachować zupełną ciszę w niebezpiecznej sytuacji. Cassie miała nadzieję, że

w telewizji nadal są kreskówki, które skutecznie zagłuszają ich ucieczkę.

Kolejnym problemem, z którym Cassie musiała się liczyć, będzie sprawa zdjęcia osłony otworu wentylacyjnego w pokoju, gdzie Karch trzymał Jodie. Osłony były przykręcone od zewnątrz, więc dostęp do śrub będzie bardzo trudny. Cassie zamierzała rozciąć listewki osłony małym łomem, który miała w torbie. Potem śrubokrętem będzie mogła odkręcić śruby. Będzie to żmudne i czasochłonne. Gdyby upuściła śrubokręt lub choć jedną śrubę, hałas mógł w jednej chwili zaalarmować Karcha.

Powodzenie planu opierało się na jej przekonaniu, że Karch trzyma Jodie w sypialni, a sam siedzi w salonie apartamentu. Gdyby się jednak myliła i Karch miał dziewczynkę przy sobie, szanse uratowania dziecka były znikome.

Mimo to przystąpiła do dzieła. Wsunęła panel na miejsce. Ponownie włożyła do ust latarkę i oświetliła główny kanał wentylacyjny. Po chwili odnalazła miejsce łączenia dwóch segmentów rury. Podpełzła w tę stronę, starając się cały czas utrzymywać ciężar ciała na ramie podwieszanego sufitu.

Cassie zaczęła wykręcać śruby z klamry, w której umocowane były odcinki rury. Była to ciężka praca. Każda z ośmiu śrub miała dodatkowe zabezpieczenie w postaci zgrzeiny punktowej. Po raz ostatni Cassie widziała te kanały prawie siedem lat temu, lecz świetnie wszystko pamiętała i wiedziała, że zgrzeiny były nowe. Żeby poluzować pierwszą śrubę, musiała użyć całej swojej siły, a wykręcała ją pół minuty. Poczuli, że ogarnia ją panika. To wszystko trwało o wiele za długo.

Cassie zabierała się do ostatniej śruby, gdy nagle usłyszała dzwonek zatrzymującej się windy dla obsługi, której drzwi znajdowały się w pomieszczeniu gospodarczym. Odłożyła klucz i szybko podczołgała się do panelu, przez który tu weszła. Uniosła go odrobinę i spojrzała przez maleńką szparę. Drzwi windy otworzyły się i wysiadł z niej kelner, pchając przed sobą stolik na kółkach.

Gdy winda się zamknęła, kelner wyciągnął z kieszeni czerwonej marynarki skórzaną okładkę na rachunek. Otworzył ją, by jeszcze raz sprawdzić, skąd pochodziło zamówienie. Cassie znajdowała się trzy stopy nad nim i bez problemów przeczytała notatkę na rachunku.

nr 2001
Zostawić przed drzwiami
V. Grimaldi

Miała jeszcze jeden dowód na udział Grimaldiego w całej sprawie. Przyszedł jej również do głowy pomysł na nowy plan.

Pukanie do drzwi wyrwało z zamyślenia Karcha, który nadal stał przy oknie.

- Kelner - zawołał głos zza drzwi.

Karch odwrócił się i popatrzył na drzwi, ale pukanie już się nie powtórzyło. Wziął z biurka leżącą tam dwudziestkępiątkę i ostrożnie zbliżył się do drzwi. Zanim spojrział przez wizjer, przyłożył ucho do framugi i chwilę nasłuchiwał. Z zewnątrz nie dochodził żaden dźwięk.

Wyjrzał przez wypukłą soczewkę wizjera i zobaczył w korytarzu stolik na kółkach z białą serwetą, nakryty na dwie osoby. Pośrodku stał mały wazonik z ciętymi kwiatami. W korytarzu nie było nikogo. Mimo to Karch nadal patrzył i czekał, w razie gdyby kelner stał przy windach. Nie miał pojęcia, jakie dokładnie instrukcje mógł mu przekazać Grimaldi i czy instrukcje te nie wzbudziły niezdrowej ciekawości kelnera.

Po trzydziestu sekundach otworzył drzwi, rozejrzał się na korytarzu, a potem znów spojrział na stolik. Stwierdził, że nie ma na nim talerzy. Uniósł obrus i znalazł wbudowany pod blatem gazowy podgrzewacz. Zadowolony Karch wtoczył stolik do apartamentu. Dość ciężko było nim manipulować i Karch zanotował w pamięci, by zwrócić uwagę Grimaldiemu, że dywany w pokojach są za grube. Kopniakiem zamknął drzwi i popchnął stolik w kierunku sypialni, kładąc po drodze dwudziestkępiątkę na stoliku przy wejściu.

Otworzył drzwi do sypialni i wwiózł kolację, ustawiając ją obok łóżka.

- Chodź jeść - powiedział do dziewczynki.

- Nie jestem głodna - odrzekła. Karch popatrzył na nią i powiedział:

- Jak chcesz. Mnie kiszki marsza grają.

Uniósł róg serwety, by otworzyć podgrzewacz. Zachęcająco buchnęło aromatyczne gorąco. W środku stały dwa talerze nakryte aluminiowymi

kloszami. Karch wyciągnął talerz z dolnej półki i trzymając go w obu dłoniach, zorientował się, że parzy sobie palce. Szybko postawił talerz na stole.

- KUUUUURWA, ale gorące!

Machał rękami, chłodząc poparzone dłonie, po czym zajął pod obrus. Regulator palnika gazowego był nastawiony na maksymalną moc.

- Co za skurwiele!

Zerknął na dziewczynkę, sprawdzając, czy zajęcie nie wzbudziło jej wesołości. Ona jednak wpatrywała się w niego z wyrazem przestrochu na twarzy. Zorientował się dlaczego.

- Wiem, wiem, brzydko mówię. Muszę włożyć ręce pod wodę.

Kiedy tylko z łazienki dobiegł odgłos odkręconej wody, Cassie wycofała się spod drugiego końca stolika na kółkach. Klęcząc na podłodze obok niego, rozejrzała się szybko i sprawdziła, czy Karch nie zostawił gdzieś w pobliżu broni. Nie zostawił.

- Hej!

Zwróciła się w stronę Jodie i natychmiast pochyliła się nad łóżkiem. Nasłuchiwała szumu wody. Drzwi do łazienki były otwarte i Cassie widziała w lustrze plecy Karcha. Wiedziała, że kiedy tylko woda przestanie lecieć, będzie musiała się schować.

- Jodie, przyszłam, żeby cię zabrać od tego człowieka - szepnęła do niej.

- Dobrze, chcę do...

Cassie położyła palec na ustach dziewczynki.

- Mów szeptem, cichutko, żeby cię nie słyszał. Chcesz iść ze mną?

Dziewczynka okazała się pojętna. Skinęła głową.

- W takim razie musisz robić wszystko, co ci powiem, zgoda?

Jodie znów pokiwała głową.

Karch wyciągnął dłonie spod strumienia zimnej wody i obejrzał je. Na kciukach i palcach wskazujących obu dłoni miał czerwone ślady. Znów zaklął. Miał ochotę zejść do kuchni, dorwać osobę, która była za to odpowiedzialna i wsadzić jej łeb do podgrzewacza. Oczywiście ujrzał tę scenę, a po chwili zorientował się, że w swojej fantazji trzyma w podgrzewaczu głowę Vincenta Grimaldiego. Zerknął na swoje odbicie w lustrze i uśmiechnął się. Był pewien, że psychiatra miałby tu sporo do powiedzenia.

Zakręcił kran i wrócił do sypialni. Dziewczynka stała obok stolika i zaglądała pod obrus. Karch podszedł do niej szybko, przypominając sobie równocześnie, że zostawił dwudziestkępiątkę w salonie. Włożył dłoń pod marynarkę, gdzie miał kaburę z sig-sauerem, ale nie chciał go wyciągać przy małej, gdyby to nie okazało się konieczne.

- Na co patrzysz?

- Na nic.

Odsunął ją na bok i uniósł serwetę, trzymając drugą rękę na broni. Na półce z drugiej strony blatu nie było nic.

- Patrzysz, gdzie by tu się schować, co?

- Nie, tak sobie patrzę.

Karch wziął ze stolika serwetkę i ponownie zbliżył się do podgrzewacza. Drugi talerz wyciągnął już przez serwetkę.

- Zobaczmy, co tu jest.

Również przez serwetkę zdjął pokrywę z pierwszego talerza, na którym obok puree ziemniaczanego spoczywał podłużny stek w jeziorku jeszcze skwierczącego masła. Stek był niedosmażony i czerwone soki mieszały się z gorącym masłem.

- Faj - powiedziała Jodie.

- Co ty mówisz? To najpiękniejsza rzecz na świecie. Zobaczmy, co ty masz.

Podniósł drugą pokrywkę, pod którą był rurkowany makaron rigatoni z mięsnym sosem.

- To nie „Spaghettio”.

- Masz rację. Ale co za różnica? Przecież nie jesteś głodna, prawda?

Podszedł do łóżka i zdjął poszewkę z jednej z poduszek. Złożywszy ją we czworo, położył ją na otwartej dłoni. Ujął swój talerz przez serwetkę i postawił na poszewce, a potem wsunął sztucce do kieszeni koszuli.

- Wiesz co, zjem w tamtym pokoju, a ty sobie będziesz spokojnie oglądać swoje kreskówki. Zjesz, nie zjesz, nic mnie to nie obchodzi, mała. Wszystko mi jedno.

- To nie zjem.

- Świetnie. Tylko się nie oparz, kiedy zmienisz zdanie.

Zaniósł talerz na biurko, a potem wrócił po colę i sól. Następnie wyszedł, ponownie obwiązując klamki sznurem telefonicznym. Wziął ze stolika pod lustrem dwudziestkępiątkę i położył ją na biurku. Zaczął

kroić stek i wkładać do ust duże kawały gorącego mięsa.

- Zajebicie dobre - powiedział z pełnymi ustami.

Rozdział 44

Cassie wyturlała się spod łóżka, położyła palec na ustach, by przypomnieć Jodie, żeby była cicho, i wzięła do ręki pilota. Bardzo powoli podkręciła fonię, by lepiej zagłuszyła ich szepty i inne hałasy. Następnie podeszła do łóżka od tej strony, gdzie siedziała Jodie. Objęła mocno córeczkę, czując bicie jej serca, ale ręce dziewczynki nie odwzajemniły gestu. Jodie nie miała pojęcia, kim jest przytulająca ją kobieta. Cassie odsunęła się i położyła dłonie na ramionach dziewczynki, nachylając się nisko, by szepnąć:

- Jodie, nic ci nie jest?

- Chcę do mamusi. I do tatusia.

Cassie od dawna myślała o tej chwili. Nie o sytuacji, w jakiej się obie znalazły, ale o bliskości córki i słowach, jakie do niej powie, próbując wszystko wytłumaczyć.

- Jodie, ja... - zaczęła, lecz nie dokończyła. Uznała, że jeszcze na to nie pora. Dziecko było wystraszone i zagubione. - Jodie, mam na imię Cassie i chcę cię stąd zabrać. Ten człowiek zrobił ci krzywdę?

- Wsadził mnie...

Cassie szybko położyła palec na jej ustach, przypominając jej, że muszą mówić szeptem. Dziewczynka zaczęła jeszcze raz.

- Wsadził mnie do samochodu. Powiedział, że jest czarodziejem i że tatuś urządzi przyjęcie dla mamusi.

- Kłamał, Jodie. Zabiorę cię stąd. Tylko musimy być bardzo...

Cassie urwała, ponieważ usłyszała jakiś dźwięk, który dobiegł zza drzwi.

Karch rozplatał kabel telefoniczny i otworzył drzwi sypialni. Wszedł i spojrzał na dziewczynkę leżącą na łóżku z głową podpartą na rękach. Wszedł dalej, by rozejrzeć się po pokoju, lecz stwierdził, że wszystko jest w porządku.

- Nie za głośno? - zapytał.
- Co?
- Pytam, czy nie za...

Urwał, gdy zobaczył uśmiech małej i zorientował się, że to żart. Pogroził jej palcem, a potem podszedł do zasłon. Rozsunął je i zbliżył się do okna sięgającego od sufitu do podłogi. Daleko w dole ujrzał przezroczysty dach atrium i zatłoczone stoły kasyna.

- Frajerzy - powiedział. - Nikt nie chce odejść od stołu.
- Co? - zapytała z za jego pleców Jodie.

Odrzucił się i popatrzył na nią. Następnie jego wzrok zatrzymał się na stoliku i nietkniętym talerzu makaronu.

- Mówiłem, żebyś lepiej zjadła kolację. Nic innego nie będzie.
- Zjem, jak przyjdzie tatuś.
- Jak chcesz.

Wyszedł, zamykając drzwi, ale tym razem uznał, że zabezpieczenie z kabla nie jest konieczne.

- Którędy ona chce wejść? - rzekł do siebie, wracając do steku.

Kiedy Cassie usłyszała odgłos zamykanych drzwi, zamknęła składany nóż i zeskoczyła z toalety, gdzie czekała przyczołajona, gotowa rzucić się na Karcha, gdyby ten zajrzał do łazienki. Weszła do sypialni i szepnęła Jodie na ucho, że świetnie sobie poradziła z Karchem.

- Teraz muszę wrócić do łazienki, zamknąć drzwi i zadzwonić. Tym razem chcę, żebyś poszła ze mną. Gdyby jeszcze raz wszedł, możesz mu powiedzieć, że idziesz siusiu i żeby tam nie wchodził.

- Wcale nie muszę siusiu.
- Wiem, kochanie, ale możesz mu tak powiedzieć.
- Dobrze.
- Grzeczna dziewczynka.

Cassie ucałowała ją w główkę i zdała sobie sprawę, że ostatni raz zrobiła to sali szpitalnej w High Desert. Obok łóżka stała pielęgniarka, niecierpliwie wyciągając ręce po dziecko.

Włosy Jodie pachniały szamponem Johnsona. Ten fakt z jakiegoś powodu uzmysłowił Cassie, ile przez te lata straciła. Pochylona nad siedzącym na łóżku dzieckiem, przez moment poczuła się bardzo słaba.

- Dobrze się czujesz? - spytała szeptem Jodie.

Cassie z uśmiechem skinęła głową. Następnie zabrała dziewczynkę do łazienki i cicho zamknęła drzwi na zamek. Wzięła ręcznik z półki

nad wanną, zrolowała go i położyła na podłodze, tuż przy szparze pod drzwiami.

- Mój tatuś tak robi, jak pali w łazience - szepnęła Jodie.

Cassie spojrzała na nią, kiwając głową.

- Mamusia nie lubi, kiedy tak robi, bo to śmiesznie pachnie.

Cassie wstała, podniosła Jodie i posadziła ją na zamkniętym sedesie. Czarna sportowa torba leżała na zbiorniku spłuczki.

- Jeżeli teraz spróbuje otworzyć drzwi albo zapuka, powiedz mu, że nie może wejść, bo robisz siusiu. Potem spuścisz wodę i wyjdiesz, dobrze? Tylko pamiętaj, przed wyjściem wrzuc ten ręcznik do wanny, żeby go nie widział, zgoda?

- Zgoda.

- Grzeczna dziewczynka. Zostań tu. Ja pójdę do kabiny z prysznicem i zadzwonię.

- Do mojego tatusia?

Cassie uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Nie, dziecko, jeszcze nie.

- Nie jestem dziecko.

- Wiem, przepraszam.

- On tak do mnie mówił. - kto?

- Czarodziej. Powiedział, że jestem dziecko.

- Mylił się. Jesteś dużą dziewczynką.

Zostawiła ją, chwyciła czarną torbę i jeszcze jeden ręcznik, po czym weszła do kabiny prysznicowej. Ostrożnie i cicho zamknęła drzwi, a potem wyciągnęła z kieszeni telefon komórkowy i włączyła go. Trzymała w ręku kartkę papieru, którą wyrwała z notesu hotelowego w szpitalni. Bezpłatny numer Kleopatry był wydrukowany u dołu. Naciągnęła ręcznik na głowę, by stłumić odgłosy rozmowy, i wstukała numer. Cicho poprosiła dyżurnego z centrali o połączenie z Vincentem Grimaldim. Po chwili telefon odebrał ktoś inny. Człowiek poinformował Cassie, że pan Grimaldi jest zbyt zajęty, żeby teraz podejść do telefonu, ale on chętnie przekaze wiadomość.

- Sądzę, że będzie chciał ze mną rozmawiać.

- Dlaczego, proszę pani?

- Niech mu pan powie, że jest dwa i pół miliona powodów, żeby ze mną porozmawiał.

- Proszę zaczekać.

Czekała pełną napięcia minutę, zastanawiając się, ile czasu upłynie, zanim Karch ponownie zajrzy do Jodie, zobaczy puste łóżko i podejdzie do drzwi łazienki. Wreszcie po drugiej stronie telefonu usłyszała spokojny i głęboki głos.

- Kto mówi?

- Pan Grimaldi? Pan Vincent Grimaldi?

- Tak, słucham.

- Chciałam tylko panu podziękować.

- Za co? Nie wiem, o czym pani mówi. Dwa i pół miliona powodów? Co za dwa i pół miliona powodów?

- Wobec tego Jack jeszcze ich panu nie oddał.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Cassie uniosła ręcznik i wyjrzała przez szklane drzwi. Jodie dalej siedziała na sedesie, odwijając z rolki papier toaletowy i układając z niego piramidkę na kafelkach podłogi.

- Twierdzi pani, że Jack Karch ma pieniądze?

Cassie narzuciła z powrotem ręcznik. Zauważyła że Grimaldi po raz pierwszy w rozmowie użył słowa „pieniądze”. Złapał haczyk.

- No, tak. Oddałam mu je zgodnie z umową. Dzwonię, żeby panu podziękować. Powiedział mi, że to pan zgodził się na tę wymianę.

W głosie Grimaldiego zabrzmiała teraz nuta zaniepokojenia. W Cassie wstąpiła nadzieja na myśl, że fortel zaczyna działać.

- Nie bardzo rozumiem, co pani... Może pani mówić głośniej? Ledwie panią słyszę.

- Przykro mi. Rozmawiam z komórki z samochodu, a moja córka śpi. Nie chciałam jej budzić. Poza tym jedziemy przez pustynię i chwilami zanika sygnał.

- Co dokładnie mówił Karch, na co właściwie się zgodziłem? Jaką wymianę?

- No, wie pan, na wymianę. Córka i ja za pieniądze. Wszystko mu powiedziałam - że nie mieliśmy pojęcia o tym, że to forsą z Miami i tak dalej. Nie chcieliśmy wyjść na zbyt zachłannych. Kiedy tylko otworzyliśmy walizkę i zobaczyliśmy, ile tam forsę, od razu było wiadomo, że popełniliśmy błąd. Chcieliśmy oddać te pieniądze. Cieszę się, że mogłam...

- Twierdzi pani, że Karch ma te pieniądze?

Cassie zamknęła oczy. Już go miała.

- Chyba chciał je panu oddać. Ale powiedział, że ma jeszcze parę

spraw do załatwienia. Kiedy wychodziłyśmy, dzwonił do kogoś i...

Usłyszała ciszę na drugim końcu linii. Grimaldi odłożył słuchawkę.

Cassie wyłączyła telefon i wsunęła go do kieszeni. Zrzuciła z głowy ręcznik i wyszła z kabiny. Podeszła do Jodie, uklękła przed nią i zaczęła rozsznurowywać jej tenisówki.

- Musimy iść, Jodie. Będziesz musiała zdjąć buciki, żeby nie robić hałasu.

- Jak to?

- Bo wejdziemy w ścianę i przeczolgamy się tunelem prosto do windy.

- Boję się tuneli.

- Nie musisz się niczego bać, Jodie. Będę tuż za tobą, cały czas. Przrzekam.

- Nie, nie chcę.

Dziewczynka spojrzała na swoje rączki spoczywające na kolanach. Wyglądała, jakby za chwilę miała się rozplakać. Cassie dotknęła palcem brody Jodie i uniosła jej główkę.

- Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz, nie ma się czego bać.

- Nie...

Pokręciła głową. Cassie nie wiedziała, jak na nią wpłynąć. Gdyby zaczęła jej grozić, Jodie tylko by się przestraszyła. Nie miała też ochoty okłamywać dziewczynki.

Pochyliła się, zbliżając czoło do czoła córeczki.

- Jodie, nie mogę tu zostać. Jeżeli ten człowiek tu wróci i mnie znajdzie, zaraz mnie stąd zabierze. Muszę więc uciekać. Chciałabym, żebyś poszła ze mną, bo chcę, żebyś była ze mną. Ale teraz naprawdę muszę już iść.

Pocałowała Jodie w czoło i wstała.

- Nie, nie zostawiaj mnie - zaprotestowała dziewczynka.

- Przykro mi, Jodie, muszę iść.

Cassie wzięła czarną torbę i podeszła do drzwi łazienki. Odsuwając nogą ręcznik z podłogi, położyła dłoń na klamce. Usłyszała za plecami szept Jodie:

- Jak z tobą pójdę, będę jeszcze kiedyś musiała zobaczyć tego pana?

Cassie odwróciła się i popatrzyła na nią.

- Nie, już nigdy.

Rozdział 45

Stek był bardzo krwisty, przyrządzony tak, jak Karch uwielbiał. Był tak głodny, a stek taki pyszny, że omal nie wpadł w uniesienie religijne, krojąc wonne mięso, zanurzając każdy kawałek w puree i pakując go do ust. Jedzenie pochłoneło go zupełnie, więc gdy otworzyły się drzwi apartamentu, drgnął zaskoczony. Uniósł wzrok, z dłonią trzymającą widelec zastygłą przy ustach. Zobaczył, jak do salonu wkracza jakiś człowiek, którego gdzieś kiedyś widział, za nim wchodzi Vincent Grimaldi ze swoim gorylem Romerem. Romero i ten pierwszy mieli broń.

Karch odłożył widelec.

- Jak smakuje, Jack? - spytał Grimaldi.

- Wspaniale, Vincent. Przyszliście trochę za wcześnie.

- Nie sądzę. Raczej za późno.

Karch zmarszczył brwi i wstał zza biurka. Instynkt podpowiadał mu, że coś jest nie tak i że będzie miał kłopoty. Wziął serwetkę, by otrzeć usta. Potem opuścił ręce wzdłuż ciała, wciąż trzymając serwetkę w prawej dłoni. Swobodnie. Dawid Michała Anioła. Jak diabli.

- Ona może tu być lada chwila - powiedział. - Lepiej jednak, żeby was tu nie było, kiedy...

- Naprawdę? - przerwał mu Grimaldi. - Coś mi mówi, że już tu była. A właściwie przyszła i poszła.

Grimaldi dał znak człowiekowi, który wprowadził całą procesję do apartamentu.

- Sprawdź go.

Mężczyzna podszedł do Karcha, który uniósł ręce. Serwetka zwieszona się z jego prawej dłoni. Człowiek trzymał w lewej ręce pistolet wycelowany w brzuch Karcha, a prawą włożył mu pod marynarkę i wyciągnął z kabury sig-sauera. Następnie obszukał resztę i w kieszeni marynarki namacał tłumik. Potem jego dłonie bez wahania powędrowały w okolice krocza, a skończyły na mankietach spodni, szukając ukrytej na kostce kabury. Była to dokładna i profesjonalna robota, lecz nie dość dokładna. Przez cały czas Karch przyglądał mu się, usiłując sobie przypomnieć, gdzie go spotkał. Zakończywszy przeszukanie, mężczyzna wetknął za pasek spodni pistolet Karcha i bez słowa stanął u boku Grimaldiego.

- O co chodzi, Vincent? - zapytał Karen.
- O to, że wlałeś po szyję w gówno, Jack. Wypuściłeś ją i schrzaniłeś mój plan. Teraz będę ją musiał gonić.
- Jaki plan?

Wykręciwszy trzy pierwsze śruby mocujące osłonę otworu wentylacyjnego, Cassie poluzowała ostatnią i ostrożnie pociągnęła pokrywę, pozwalając jej zawisnąć na ostatniej śrubie. Kanał był już otwarty. Cassie spojrzała z wysokości stolika na kółkach, na którym stała, i dała znak Jodie. Dziewczynka wgramoliła się na krzesło, a stamtąd na stolik. Cassie podniosła ją ostrożnie, żeby nie stracić równowagi, po czym popchnęła ją w kierunku otwartego przewodu wentylacyjnego. Jodie opierała się, przytrzymując się rączką ściany.

- Wszystko będzie dobrze, Jodie - szepnęła Cassie. - Wejdziesz, a ja wejdem zaraz za tobą.

- Nieee - odrzekła słabym głosem.

Cassie przytuliła ją i wyszeptala jej prosto do ucha:

- Pamiętaj, jak mi mówiłaś, że nie jesteś dzieckiem, tylko duża dziewczynką? Duża dziewczynka na pewno by tam weszła. Musisz, Jodie, inaczej cię tu zostawię.

Cassie zamknęła oczy, bo poczuła się okropnie, wypowiadając ostatnią groźbę.

Dziewczynka nic nie powiedziała. Cassie jeszcze raz uniosła ją do otwartego kanału i tym razem Jodie weszła do środka. Wczołgując się do metalowej rury, uderzyła kolanami w aluminium i Cassie zamarła. Ale ostra wymiana zdań w salonie toczyła się dalej. Kiedy tylko Jodie zniknęła w przewodzie wentylacyjnym, Cassie podała jej latarkę i szepciem nakazała iść, a potem sama wspięła się i wpełzła do kanału, zahaczając o brzeg otworu szaszetką, którą miała na pasku. Już w środku odpięła torebkę i położyła ją przed sobą.

W tunelu było tak ciasno, że Cassie nie była w stanie sięgnąć za siebie, żeby z powrotem nałożyć pokrywę otworu wentylacyjnego w ścianie sypialni. Ponagliła Jodie, by czołgała się naprzód, do głównego przewodu odprowadzającego w nadziei, że tam będzie więcej miejsca, by zawrócić i zamaskować drogę ich ucieczki.

Kiedy jednak wpełzły dwanaście stóp w głąb kanału, trafiły na rozgałęzienie, w którym z ich odnogą łączyła się podobna z innego pomieszczenia.

Gdy Cassie spojrzała w głąb tego przewodu, ujrzała światło i usłyszała głosy. Rozpoznała głos Karcha, który pytał: „O co chodzi, Vincent?”.

Cicho minęła tę odnogę, a potem weszła w nią tyłem. Następnie zawróciła i poczołgała się z powrotem w stronę sypialni. Dotarłszy do otworu, sięgnęła za zewnątrz i nasunęła osłonę na miejsce. Potem zaczęła się wycofywać w górę kanału wentylacyjnego.

Karch myślał gorączkowo nad nową sytuacją, starając się zrozumieć, co się właściwie stało. Znalazł wreszcie jedyne możliwe wyjaśnienie.

- Dzwoniła do ciebie, prawda, Vincent?

Grimaldi nie odpowiedział, podobnie jak zbył milczeniem pytanie Karcha na temat planu. Patrzył tylko na niego oczyma pociemniałymi od gniewu i nienawiści.

- Słuchaj, Vincent, nie mam pojęcia, co ona ci powiedziała, ale to wszystko gówno prawda. Nie było jej tu, a ja nie mam forsy. Czekam, Vincent. Zadzwoń i wtedy sprowadzę ją na górę. Zabiorę pieniądze, a potem wyślę ją z dzieciakiem przez okno. Tak jak ci mówiłem, synchroniczność.

Wymawiając ostatnie słowo, Karch zawahał się, czując przyptyk niepokoju. Przypomniał sobie, że to słowo wyrwało mu się, gdy zadzwoniła do niego Cassidy Black. Ciekawe, czy to jej wystarczyło. Czy dzięki jego błędowi udało się jej przejrzeć ich plan i wymyślić kontrę?

- Słuchaj, Vincent, powiedz mi, co się tu dzieje, bardzo cię proszę.

Grimaldi rozglądał się badawczo po apartamencie.

- Co jest w sypialni, Jack?

- Nie co, tylko kto. Mała.

Grimaldi dał głową znak człowiekowi, który obszukiwał Karcha, a ten poszedł do sypialni. Gdy zniknął za drzwiami, Grimaldi i Karch patrzyli na siebie w milczeniu. Romero odsunął się o dwa kroki w lewo. Sądził pewnie, że zajął lepszą pozycję, w razie gdyby miał wkroczyć do sypialni.

- Mówię ci, Vincent, że zamydliła ci oczy - powiedział Karch. - Nagadała...

Urwał, ponieważ w drzwiach stanął tamten człowiek z czarną sportową torbą w ręce. Torba była otwarta i Karch ujrzał jej zawartość. Mignęła mu

twarz Benjamina Franklina. Kilka twarzy. Torba była wypchana paczkami studolarówek. Karch otworzył usta. Cassidy Black, pomyślał. Jakimś cudem udało się jej dokonać zamiany. Ruszył w stronę sypialni, ale człowiek z torbą i Romero unieśli broń i kazali mu zostać tam, gdzie stał.

- Dziewczynka tam była - powiedział.

- Jasne - odparł człowiek z torbą. - Ale już jej nie ma.

Zbliżył się do Grimaldiego i trzymając za uchwyty, rozchylił zupełnie torbę, ukazując kilka opakowanych w folię paczek banknotów.

- Vincent, to nie tak...

Nie dokończył. Nie wiedział, co powiedzieć, a poza tym Grimaldi skupił całą uwagę na pieniądzach, nie na nim. Stary włożył do torby dłoń, kładąc ją płasko na jednej z paczek takim gestem, jakby dotykał ramienia dawno zaginionego przyjaciela. Następnie dał znak człowiekowi, który trzymał torbę.

- Dobra, Martin, możesz zamknąć.

Karch przyglądał się, jak człowiek zamyka torbę, a potem spojrzał na jego twarz. Martin? Przypomniawszy sobie taśmę wideo. Hidalgo jechał na górę z eskortą, ochroniarzem z Kleopatry. Z Martinem. Podobno już nie żył. Martin, którego Karch na prośbę Grimaldiego miał pogrzebać na pustyni.

- Martin? - rzekł.

Spojrzał na niego, potem na Grimaldiego, powoli odkrywając prawdę. Wszystko było bluffem, częścią o wiele bardziej skomplikowanego planu.

- To ty - powiedział do Grimaldiego. - Ty wszystko zainscenizowałeś. Komedial od początku do końca.

Potem spojrzał na Martina, który trzymał czarną torbę w prawej, a pistolet w lewej dłoni. Przypomniawszy sobie ciało Hidalgo na łóżku. Kula weszła przez prawe oko, z broni trzymanej przez mordercę w lewej ręce.

- A ty - rzekł do Martina - stuknąłeś Hidalgo.

Kącik ust Martina powędrował w górę, nadając jego twarzy grymas, który miał być uśmiechem triumfu.

- To nie dziewczyna - powiedział Karch, zatrzymując wzrok na Grimaldim. - Ona wzięła tylko pieniądze, które miała wziąć, bo tak postanowiliście.

Zawracając w miejscu rozwidlenia przewodów, Cassie usłyszała dobiegające z salonu podniesione głosy. Nie zatrzymała się, żeby posłuchać. Ruszyła w kierunku głównego kanału, pokonując dzielącą go od niego odległość w dziesięć sekund. Zobaczyła blask latarki, którą trzymała Jodie, i zorientowała się, że dziewczynka wciąż tkwi w mniejszej odnodze, zamiast wejść do głównego przewodu.

Zbliżywszy się, zrozumiała, dlaczego tak się stało. Jodie trafiła w ślepą uliczkę. Wejście do głównego kanału wentylacyjnego zamykała metalowa krata. Cassie sięgnęła zza Jodie, dotykając brzegu kraty, aby zobaczyć, w jaki sposób pręty są umocowane do ścian kanału. Wyczuła gładkie spawy. Tędy nie mogły przejść.

- Co... - zaczęła mówić Jodie, ale zaraz Cassie zakryła jej usta i gestem nakazała ciszę. Dziewczynka zapytała szeptem:

- Co teraz zrobimy?

Cassie chwyciła jeden z prętów. Szarpnęła, a potem wsparła się plecami o górną ścianę przewodu i pociągnęła z całej siły. Pręt nie drgnął, a wszystkie spawy zdawały się trzymać mocno. Cassie pokręciła głową. Założyli kraty w przewodach wentylacyjnych, ale zapomnieli wymienić mechanizmy w zamkach pokoi hotelowych. Wydatek zupełnie bez sensu. Ślepa uliczka była więc naprawdę przykrą niespodzianką.

- Co zrobimy? - powtórzyła szeptem Jodie.

Cassie spojrzała na jej śliczną i niewinną twarzyczkę oświetloną nikielny blaskiem latarki. Potem popatrzyła na kratę.

- Jodie, zmieścisz się.

- A ty?

- Mną się nie martw. Ważne, żebyś ty przeszła. Ja przejdę dookoła i spotkamy się z drugiej strony.

- Nie, chcę iść z tobą.

- Nie możesz. To jest jedyna droga. Przeciśniesz się przez kratę i zaczekasz, aż do ciebie przyjdę.

Popchnęła dziewczynkę w kierunku kraty. Jodie niechętnie włożyła głowę między pręty, potem przepchnęła górną część ciała. Kiedy przełożyła nogi, spojrzała na Cassie z drugiej strony, z głównego przewodu.

- Grzeczna dziewczynka - szepnęła Cassie. - Teraz poczekaj. Będę tam jak szybko się da, ale muszę zaczekać, aż ci ludzie wyjdą z pokoju, dobrze?

- Jak długo to będzie?

- Nie wiem, kochanie. Musisz trochę poczekać. Znasz się na zegarku?

- No pewnie. Mam prawie sześć lat.

Cassie zdjęła zegarek i podała jej przez kratę. Pokazała jej guzik, którym włączało się oświetlenie cyferblatu. Potem podała dziewczynce swój telefon komórkowy i pokazała jej, jak otworzyć klapy. Jodie powiedziała, że jej tatuś ma taki, ale nigdy nie pozwala się jej nim bawić.

- Gdybym nie przyszła do dwunastej, zadzwoń pod dziewięć, jeden, jeden. Wiesz, jak to zrobić?

Dziewczynka nie odpowiedziała od razu. Cassie wzięła telefon i pokazała jej, co zrobić.

- Naciskasz dziewięć, jeden, jeden, a potem ten guzik. Powiesz temu, kto się odezwie, że utknęłaś na ostatnim piętrze w Kleopatrze. Zapamiętasz?

- No pewnie.

- Gdzie jesteśmy?

- W Kle-o-pa-trze. Na ostatnim piętrze.

- Grzeczna dziewczynka. Pójdę teraz posłuchać, czy ci ludzie już wyszli. Potem zaraz do ciebie przyjdę. Chodź tu.

Dziewczynka nachyliła się, a Cassie przez kratę pocałowała ją w czoło. Znow poczuła woń jej włosów. Zawahała się, ale zaraz zaczęła się wycofywać w stronę rozwidlenia, gdzie będzie mogła podsłuchać, co się dzieje w apartamencie.

Zobaczyła, jak Jodie macha do niej zza kraty. Miała dziwne przeczucie, że widzi córeczkę po raz ostatni. Pomachała do niej i posłała całusa.

Grimaldi promieniał, przyglądając się Karchowi, który zrozumiał wreszcie jego plany.

- Tak samo jak Leo i ta dziewczyna, byłem tylko pionkiem w twoich rękach - powiedział Karch.

- Pionkiem, którym rozegrałem bardzo piękną partię i który świetnie odegrał swoją rolę - odparł Grimaldi.

- A Chicago... mieli w ogóle z tym coś wspólnego?

- W tym cały urok. Wykorzystałem Chicago, a oni nie mieli o tym pojęcia. Wiedziałem, że wystarczy wspomnieć o Ekipie, żeby ci się we łbie zgotowało. Leo Renfro zwąchał się z ludźmi, których znałem.

Kupiłem jego dług i wysłałem do niego Romera i Longa, żeby mu dali znać, że w mieście jest nowy szeryf. Powiedzieli mu, że są z Chicago i pracują dla Tony'ego Turcello. Kupił to i zaczął robić w spodnie. Potem dali mu jedną szansę: skok na Hidalgo i umorzenie długu. Poszedł na to. Tak samo jak ty, Jack.

Karch skinął głową.

- Tak, poszedłem na to. Miałem iść za tropem, zlikwidować wszystkich uczestników i zgarnąć forszę.

- I doskonale się spisałeś - poza ostatnim ruchem, kiedy wypuściłeś dziewczynę. Trzeba to będzie naprawić, ale zajmijmy się tym. To ważna sprawa.

Podniósł pełną pieniędzy torbę. Karch starał się panować nad sobą i w żaden sposób nie okazać gniewu.

- Popelniasz bardzo poważny błąd, Vincent. Wcale nie...

- Nie sądzę, Jack. Naprawdę nie sądzę.

Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie, a nienawiść w ich spojrzeniach zdawała się rozpalać cały pokój.

- I co teraz będzie? - zapytał w końcu Karch.

- Wciąż musimy mieć kogoś, kto przypadnie z pieniędzmi. Za kim Miami będzie mogło wysłać swoich ludzi.

- I to mam być ja.

- Zawsze byłeś bystry, Jack.

Karch pokręcił głową. Poraziła go krótkowzroczność planu Grimaldiego.

- A ty zawsze widziałeś tylko koniec własnego nosa, Vincent. Nie umiałeś spojrzeć dalej. Powinieneś działać zgodnie z planem do końca. Gdyby Miami dostało licencję i przejęło Kleopatę, ta torba byłaby tylko kroplą w morzu. Głupio zrobiłeś.

Zamiast wpaść we wściekłość, jak spodziewał się Karch, Grimaldi roześmiał się głośno i pokręcił głową, jakby rozbawiła go ta dziecinna naiwność.

- Naprawdę jeszcze nie rozumiesz, Jack?

- Czego? Może mi w końcu powiesz, Vincent?

- Miami nigdy nie dostanie licencji. Nie rozumiesz? Nie było żadnej łapówki. To jest nowe Las Vegas, Jack. Miami nigdy tu nie wejdzie. Wymyśliłem to od początku do końca. Ja, Jack! Zadzwoiłem do Miami i powiedziałem im, że mają kłopoty i że wejście do Las Vegas będzie ich kosztować pięć melonów. Połowa z góry, a druga po zatwierdzeniu zgody

na licencję. A że są zachłanni, poszli na to. Tak jak ty.

Wreszcie Karch wszystko zrozumiał. Doskonały plan. Grimaldi skasuje dwa i pół miliona, a Miami będzie wiecznie szukać Karcha - i nigdy go nie znajdzie, bo miał pojechać na pustynię bez możliwości powrotu. Karch wbił wzrok w podłogę. Nie miał już ochoty patrzeć na Grimaldiego.

- A wiesz, na czym polega twój problem, Jack? - spytał Grimaldi. Był tak zadowolony z siebie i upojony triumfem, że nie mógł się powstrzymać od zadania jeszcze jednego ciosu. - Że byłeś zbyt dalekowzroczny. Wiem o tobie wszystko. O tych spojrzeniach, komentarzach za moimi plecami, wszystkich tych pierdołach. Chciałeś się do mnie dobrać i myślałeś, że wreszcie dostałeś szansę. Wiedziałem i wykorzystałem to. Zagrałem na tobie jak na pieprzonym fortepianie, ale koncert właśnie się skończył. Chuj z tobą, Jack. Dziś pościelimy ci w piachu. Zjedziemy stąd windą dla obsługi, a potem weźmiemy twój wóz - pewnie najlepiej zna drogę. W bagażniku masz jak zwykle łopatę, co?

Grimaldi czekał na odpowiedź Karcha, lecz w pokoju panowała cisza. Grimaldi postanowił dokończyć dzieła.

- Wybierzemy ci ładne miejsce obok mamy.

Karch podniósł wzrok i utkwiał spojrzenie w twarzy starego. Grimaldi pokiwał głową.

- Zgadza się, wiem o tym. O tobie i twoim starym – waszym ulubionym miejscu. Jest jednak jeszcze coś, o czym na pewno nie wiedziałeś. To byłem ja, Jack. Ja mu ją odebrałem. Dziesięć lat byłem z nią za jego plecami. Ale nie chciała od niego odejść ze względu na ciebie. Kochałem ją, a potem on... Powiedz mi, jaki dzieciak mógłby pomóc staremu pogrzebać własną matkę? Jesteś chory, skurwielu. Nie mogę się już doczekać. Chodźmy.

Eskortujący Karcha Martin i Romero cofnęli się o dwa kroki, utrzymując bezpieczną odległość. Karch szedł, czując, jak myśli zasnuwa mu ból i wściekłość. Skupił spojrzenie na człowieku, który szedł tuż przed nim. Vincent Grimaldi. Znał najskrytsze tajemnice Karcha.

Czterej mężczyźni szli korytarzem, a potem na znak Grimaldiego skręcili do pomieszczenia gospodarczego znajdującego się za wahadłowymi

drzwiami. Martin wcisnął guzik przywołujący windę. Karch czekał ze spuszczoną głową, wciąż trzymając w prawej dłoni płócienną serwetkę, niczym białą flagę. Grimaldi zauważył serwetkę i uśmiechnął się.

- Smakowała ci ostatnia wieczerza, Jack?

Karch spojrzał na niego, lecz nie odpowiedział. Gdy nadjechała winda, Romero postąpił krok naprzód, by wcisnąć przycisk otwierający drzwi. Cały czas czarny wylot lufy jego broni był wycelowany w Karcha. Potem ruszył Grimaldi, przechodząc między Romerem a Karchem. Właśnie na ten moment czekał Karch. Uniósł prawą rękę w stronę Martina, który stał z drugiej strony. Nagle Martin zobaczył zbliżającą się do jego twarzy serwetkę.

Rozległ się huk wystrzału, który padł z ukrytej w serwetce dwudziestkiptki. Głowa Martina odskoczyła do tyłu w momencie strzału. Pocisk trafił go w lewe oko, wchodząc prosto w mózg. W ten samej chwili, gdy Martin padał bez życia na podłogę, Karch wymierzył do Romera ponad ramieniem Grimaldiego. Strzelił jednak za wcześnie. Pocisk utkwił w ścianie windy, w odległości jednej stopy od twarzy Romera.

Romero wyprostował rękę, w której trzymał pistolet, ale zawahał się. Na linii strzału stał Grimaldi. Karch wykorzystał tę zwłokę, by poprawić swój błąd. Drugi strzał trafił Romera w lewy policzek. Trzeci w czoło, odrzucając w tył głowę. Czwarta kula trafiła w miękką część podbródka i przeszła do mózgu. Romero padł na podłogę windy, nie zdążywszy wystrzelić.

Karch chwycił Grimaldiego za krawat i przyciągnął go do drzwi windy. Stopą wsparł się o odbój, by drzwi nie mogły się zamknąć. Wbił lufę dwudziestkiptki w podbródek Grimaldiego, który musiał zadrzeć głowę, patrzył jednak prosto w oczy Karcha.

Na twarz Karcha wolno wypełził diabelski uśmiezek.

- No, Vincent, co teraz powiesz o mojej dalekowzroczności?

- Jack... proszę...

- Pozdrów ode mnie mamusię.

Karch nie doczekał się odpowiedzi.

- Nie wiesz, co?

- O czym, Jack?

- Opowiem ci krótką historię. Jakieś dziesięć lat temu mój stary zachorował. Dostał raka. Choroba zaatakowała tak gwałtownie, że jedynym

wyjściem był przeszczep szpiku kostnego. Chciałem być dawcą i pobrali mi krew, żeby sprawdzić zgodność genetyczną. Karch pokręcił głową.

- Nie było zgodności, Vincent. Kazałem im zrobić kilka następnych testów i dalej był taki sam wynik. Bo to nie był mój ojciec.

Karch patrzył prosto w oczy Grimaldiego.

- Dzięki, Vincent. Tam w pokoju dokończyłeś za mnie tę historię.

- To znaczy, że...

Karch pociągnął spust dwa razy, a potem przyglądał się, jak Grimaldi pada na ciało Romera. Spojrzał na broń, którą trzymał w ręce i stwierdził, że palce i kostki ma skapane we krwi. Czuł, jak przez jego ciało przetacza się jakaś potężna fala. Dał radę sam przeciwko trzem. Rozejrzał się wokół, jak gdyby w nadziei, że ktoś widział jego pokaz magii i zaraz nagrodzi go owacją.

Jednak bardziej poruszające niż uderzenie adrenaliny były ulga i świadomość ocalenia - miał wrażenie, jakby opuścił jeden z pokoi życia i znalazł się w nowym.

Wytarł zakrwawioną rękę i broń w białą koszulę Grimaldiego. Następnie włożył dwudziestkę do tylnej kieszonki w spodniach i wyrwał torbę z martwego uchwytu prawej ręki Grimaldiego.

Karch cofnął się, złapał nogę Romera i wciągnął jego ciało na próg windy, aby drzwi nie mogły się zamknąć. Potem zaczął sprawdzać puls każdej z ofiar po kolei. Zza paska Martina wyciągnął swojego sigsauera. Sprawdził, czy broń nie jest zakrwawiona, po czym włożył ją do kabury. Obszukawszy ciało Martina, znalazł tłumik w przedniej kieszeni jego spodni.

Na koniec rozejrzał się po pomieszczeniu i dostrzegł duży kosz na bieliznę na kółkach, który znajdował się za siatkowym przepierzeniem dzielącym schowek na dwie części. Drzwi były zamknięte. Odsunął się i kopnął je, trafiając obcasem w miejsce tuż nad zamkiem. Drzwi puściły, uchylając się do środka. Karch wszedł i wziął kosz, wysypując z niego najpierw stertę czystych ręczników.

Aby załadować do wózka trzy ciała, musiał wyteżyć wszystkie siły. Potem kilkoma ręcznikami startł rozbryzniętą krew. Na koniec zdjął z półki koc i nakrył nim wózek. Wepchnął go za przepierzenie i zatrzasnął drzwi.

Rozdział 46

Cassie usłyszała serię następujących po sobie huków. Była pewna, że to strzały. Poczowała, jak przez mięśnie pleców przebiega jej lodowaty prąd.

- Cassie? - usłyszała pełen napięcia szept Jodie. Cassie spojrzała w stronę, skąd dobiegał jej głosik. W głębi przewodu wentylacyjnego migotało światło latarki. Jodie była przestraszona. Nie sposób było określić, gdzie dokładnie padły strzały. Cassie podczołgała się do światła.

Jodie siedziała wtulona w kratę. Skierowała snop światła na zbliżającą się Cassie.

- Cassie, słyszałam jakieś głośne wybuchy.

- Już dobrze, Jodie. Już dobrze. Pójdę dookoła i zaraz przy tobie będę. Zaczekaj tu, zgoda? Zaczekaj na mnie.

- Nie! Nie zos...

Cassie musiała zakryć jej usta dłonią. Poczowała, że dziewczynka ma łzy na twarzy.

- Nie ma się czego bać, Jodie. Już prawie po wszystkim. Musisz poczekać. To jedyna droga. Za pięć minut do ciebie przyjdę. Obiecuję. Popatrz na zegarek, a zobaczysz, jak to krótko.

- Dobrze - odrzekła słabym głosem. - Będę czekać.

Tym razem Cassie wyciągnęła tylko rękę przez kratę i dotknęła jej policzka. Potem zaczęła się przeciskać tyłem przez kanał w kierunku apartamentu 2001.

Kiedy dotarła do otworu wentylacyjnego w sypialni, wypchnęła nogą pokrywę, która zawisała na jedynej pozostawionej na miejscu śrubie. Wygramoliła się tyłem i stanęła na stoliku na kółkach, trzymając w rękę swoją torebkę z narzędziami. Fakt, że stolik nadal stał w tym samym miejscu, uznała za dobry znak. Podeszła do telewizora i chciała go ściszyć, żeby słyszeć, co się wokół niej dzieje, lecz w tym momencie zatrzymał ją głos zza jej pleców.

- Świetny pomysł z tym tunelem.

Odwróciła się i ujrzała Karcha stojącego w prowadzącej do łazienki wnęce, którą tarasował wózek obsługi znajdujący się pod otworem wentylacyjnym. Karch w jednej ręce trzymał czarną torbę, a w drugiej wycelowaną w Cassie broń. Zauważyła, że do lufy pistoletu ma przykręcony

tłumik. Nogą odsunął stojący mu na drodze stolik i wszedł do sypialni. Cassie cofnęła się w stronę telewizora. Na ekranie Struś Pędziwiatr przeżywał kolejne przygody. Karch uśmiechnął się, lecz bez cienia radości.

- Koń trojański - rzekł. - Wtaczają go prosto do twierdzy, a wrogowie siedzą w środku. Jeden z najlepszych numerów iluzjonistycznych w historii.

Cassie wciąż milczała. Stała zupełnie nieruchomo w nadziei, że telewizor zagłuszy słowa Karcha i Jodie ich nie usłyszy.

- Wiesz, skąd te kraty, na które trafiłaś w kanale wentylacyjnym? - spytał Karch. - Wstawili je po waszej zabawie z Maksem siedem lat temu. Tak samo jak we wszystkich innych hotelach. Możesz chyba mówić, że w jakimś stopniu przyczyniłaś się do zmian, jakie od tamtych czasów zaszły w Las Vegas. Teraz graczom i ich rodzinom nic tu nie grozi.

Znów się uśmiechnął.

- Gdzie mała?

Cassie wskazała torbę, którą trzymała.

- Masz pieniądze, Karch. I mnie. Ją możesz wypuścić.

Karch zmarszczył brwi, jak gdyby naprawdę rozważał tę propozycję. Po chwili pokręcił głową.

- Nie mogę. Lubię załatwiać sprawy do końca.

- Przecież Jodie nie ma nawet sześciu lat. Jakie zagrożenie może dla ciebie stanowić?

Karch zbył pytanie milczeniem i skinął ręką, w której trzymał broń.

- Chodźmy do drugiego pokoju. Tamto okno bardziej mi się podoba. Ma w sobie jakąś symetrię. Okno Maksa.

Cassie bardzo wolno ruszyła do drzwi, zastanawiając się po drodze nad możliwościami, jakie jej pozostały. Uznała, że jedyną szansą jest atak w drzwiach. I choć Karch na pewno się tego spodziewał, musiała zaryzykować. Chwyciła mocniej pasek torby z narzędziami, ale kiedy od drzwi dzieliło ją tylko parę kroków, znów zatrzymał ją głos. Tym razem nie był to jednak głos Karcha.

- Nie rób jej krzywdy!

Cassie odwróciła się i stwierdziła, że głos zaskoczył również Karcha. Instynktownie spojrzął za siebie, unosząc broń w stronę otworu wentylacyjnego w ścianie. Cassie zobaczyła Jodie, która siedziała w kucki w przewodzie wentylacyjnym i spoglądała na nich.

Cassie również zadziałała instynktownie. Ruszyła na Karcha biorąc szeroki zamach ręką, w której trzymała saszetkę z narzędziami i wołając równocześnie:

- Jodie, wracaj!

Stalowe narzędzia uderzyły w tył głowy Karcha, który poleciał do przodu i padł na podłogę. Strzelił - mimo tłumika huk wystrzału był głośny - ale pocisk zamiast w cel, trafił w lustro we wnęce łazienkowej.

Cassie przypadła do Karcha, gdy jeszcze siedział pochylony i naciągnęła mu na głowę jego własną marynarkę, a potem wpakowała mu w twarz kolano.

Karch zaczął rozpaczliwie wymachiwać ramionami. Przedramieniem trafił Cassie w twarz, zwalając ją z nóg. Karch zwrócił się w stronę, gdzie upadła i zaczął strzelać na oślep. Ogłuszona ciosem Cassie zdołała skoczyć na łóżko i wylądować z drugiej strony, przypadając do podłogi.

Karch dalej strzelał, wymachując ręką w prawo i lewo. Kule dziurawiły ściany i siekły okno, na którego szybie pojawiły dwie pajęczyny pęknięć. W końcu zdołał się wyprostować i zedrzeć z głowy marynarkę. Żeby to zrobić, musiał rzucić na podłogę torbę z pieniędzmi.

Gdy Karch ściągnął z twarzy marynarkę i odzyskał wzrok, przez chwilę nie wiedział, gdzie dokładnie jest. Miał przed sobą widok nocnego Las Vegas za popękaną szybą. Nigdzie nie widział Cassidy Black. Zdał sobie sprawę ze swojej bezbronności i zaczął się odwracać, lecz w tym samym momencie coś ciężkiego podcięło mu nogi, uderzając w tylną część jego ud. Poleciał w stronę szklanej ściany.

Słaba i popękana szyba puściła bardzo łatwo. Karch przebił okno, ale po drodze wypuścił z dłoni broń, rozpaczliwie szukając jakiegoś punktu oparcia. Gdy górną połową ciała poczuł już chłodne powietrze nocy, jego lewa ręka odnalazła i chwyciła zasłonę.

Odłamki szkła poleciały w ciemność, a Karch przez chwilę zawisł nad przepaścią jak opuszczający się po gładkiej ścianie alpinista na linie. Ściskając kurczowo złotą zasłonę obiema rękami, zawisł za oknem, opierając stopy na parapecie.

Pod wpływem własnego ciężaru, jego ciało łagodnie przechyliło się w lewo, a zasłona zaczęła sunąć w tę stronę. Karch rozstawił szeroko

stopy, by złapać równowagę i zasłona zatrzymała się w połowie drogi. Obejrzał się w stronę pokoju i ujrzał Cassidy Black; przyglądała mu się, trzymając dłonie na blacie stolika na kółkach, którym zaatakowała go od tyłu. Jego wzrok spoczął na podłodze, gdzie leżała torba z pieniędzmi i pistolet. Jedną ręką chwycił zasłonę wyżej i zaczął się powoli wciągać, z powrotem do pokoju.

Jednak już po pierwszym pociągnięciu usłyszał cichy trzask zasłony, która nie wytrzymując jego ciężaru, puściła na długości kilku cali. Karch znieruchomiał w oczekiwaniu. Nic się nie stało. Spojrzał w oczy kobiety, przez którą znalazł się w tym położeniu. Karch uśmiechnął się i znów złapał zasłonę trochę wyżej.

Tym razem zmiana punktu przyłożenia siły i ciężar jego ciała spowodowały, że haczyki jeden po drugim zaczęły puszczać, wydając dźwięk niczym drąca się tkanina. Zasłona zaczęła się odrywać, a Karch spadać. Nadal patrzył na Cassidy Black, a uśmiech nie zniknął z jego twarzy, nawet gdy zasłona oderwała się zupełnie i Karch runął w noc.

Nie krzyczał. Nie zamknął oczu. Wydawało mu się, że opada w zwolnionym tempie. Zobaczył nad sobą złotą zasłonę, która powiewała jak flaga. Obok przelatywały okna, niektóre ciemne, inne oświetlone. Nad budynkiem na granatowoczarnym niebie wisiał księżyc.

Martwy księżyc, przypomniał sobie.

Ostatnią rzeczą, o jakiej pomyślał, była iluzja. Numer z workiem pocztowym i skrzynią. Niewidoczny zamek błyskawiczny i fałszywe dno. Sięgał nad głowę i kładł w odpowiednim miejscu kartę - waleta pik. Przypomniał sobie, jak dumny był wówczas ojciec. A potem wybuchły owacje.

Wciąż słyszał głośnie oklaski, gdy jego ciało przebiło szklany dach atrium i wylądowało w pustym bocianim gnieździe. Miał otwarte oczy i zastępy na ustach uśmiech.

Szkoło rozprysnęło się w całym kasynie i rozległy się okrzyki przerażenia. Spojrzawszy w górę, gracze zobaczyli jednak tylko ziejącą w dachu dziurę i nic więcej. Nie widzieli z dołu ciała Karcha. Po chwili do atrium wpadła złota zasłona, jak spadochron, który zawiódł skoczka. Jak gdyby otworzył się w ostatnim momencie, łagodnie opadając na bocianim gnieździe i przykrywając ciało Karcha niczym całun.

W kasynie zapadła absolutna cisza, a wszyscy utkwili oczy w dziurze powstałej w dachu w jakiś niewytłumaczalny sposób. Po chwili z czarnego nieba zaczęły sfruwać pieniądze, które lądowały na podłodze kasyna, Tysiące banknotów. Same studolarówki. W jednej chwili na nowo rozbrzmiały okrzyki i ludzie z wyciągniętymi rękami rzucili się na pieniądze, podskakując i łapiąc banknoty w locie. Przewrócili stół do black jacka. W tłum wbiegli ochroniarze w błękitnych marynarkach, ale było ich za mało, by mogli sobie poradzić. Niektórzy włączyli się do walki o pieniądze.

Cassie rozerwała następną paczkę setek i rzuciła garść banknotów w mrok nocy. Pięć studolarówek rozdzieliło się w locie i zaczęło opadać leniwymi łukami. Usłyszała dobiegające z dołu krzyki. Kiedy spojrzała w dół, zobaczyła, że wiatr poniósł niektóre banknoty do fontann przy wejściu, a inne dalej na pasaż. Wśród jazgotu klaksonów zatrzymywały się samochody. Ludzie krążyli wokół nich i biegli brodzić w fontannach. Walczyli o pieniądze. Chciała, żeby coś odwróciło uwagę od jej ucieczki. Znalazła sposób.

Odrzuciła się i popchnęła stół na kółkach z powrotem pod otwór wentylacyjny. Wspięła się na blat i zajrzała w ciemność.

- Jodie! Już po wszystkim. To ja, Cassie. Możemy już iść.

Po jakimś czasie dziewczynka wyczołgała się ze swojej kryjówki. Cassie złapała ją pod rękę, wyciągnęła i postawiła obok siebie na wózku. Zeszła, a potem ściągnęła Jodie. Przytuliła ją, trzymając w objęciach przez dłuższą chwilę.

- Musimy już iść, Jodie.

- Gdzie on jest?

- Już go nie ma. Nie zrobi nam krzywdy.

Odwracając się, żeby wyprowadzić dziewczynkę z pokoju, zobaczyła leżące na podłodze dwa zielone paszporty. Podniosła je, domyślając się, że musiały wypaść z kieszeni Karcha, kiedy naciągała mu marynarkę na głowę. Otworzyła jeden i zobaczyła własne zdjęcie opatrzone podpisem „Jane Davis”. Do kartki w paszporcie było przypięte prawo jazdy wydane na to samo nazwisko przez stan Illinois.

- Co to jest? - zapytała Jodie.

- Rzecz, która mi wypadła.

Otworzyła drugi paszport i przez długą chwilę patrzyła na zdjęcie Jodie. Potem zamknęła go i wepchnęła obydwie paszporty do tylnej kieszeni dżinsów. Chwyliła Jodie za rękę i wychodząc, pochyliła się, by zabrać czarną sportową torbę. Nie liczyła wyrzucanych pieniędzy, ale była prawie pewna, że w torbie zostało ponad dwadzieścia paczek. Ponad milion dolarów.

Spojrzała na leżącą na podłodze pod rozbitym oknem broń. Zastanawiała się przez moment, lecz postanowiła ją zostawić. Obejdzie się bez pistoletu.

- Idziemy - powiedziała bardziej do siebie niż do Jodie.

Gdy szły przez sypialnię, Cassie jeszcze raz obrzuciła szybkim spojrzeniem pokój. W poszatkowanym przez kule lustrze zauważyła skrzywione odbicie obrazu z telewizora. Na ekranie prosiaczek Porky zdejmował kapelusz, jękając: „T-t-to tyle, moi drodzy”.

Kiedy wysiadły z windy i zaczęły iść w stronę wyjścia, rozgardiasz w kasynie trwał w najlepsze. Cassie wzięła Jodie na rękę. Wymięły dwóch mężczyzn, kotłujących się na podłodze w walce o gruby plik banknotów, który najwidoczniej nie rozpadł się w locie.

- Co oni robią? - zapytała Jodie.

- Pokazują swoją prawdziwą twarz - odrzekła Cassie.

Dotarły do drzwi i Cassie nigdzie nie zauważyła ani jednej błękitnej marynarki ochrony. Odwróciła się, by pchnąć szklane drzwi plecami, ponieważ ręce miała zajęte trzymaniem dziewczynki i torby. Obrzuciła kasyno spojrzeniem, zatrzymując wzrok na bocianim gnieździe. Nad jego krawędzią zwisał róg złotej zasłony. Poza tym gniazdo wyglądało na zupełnie puste.

Rozdział 47

Uwagę Cassie zaprzętał tylko jeden cel - dostać się do samochodu i jak najprędzej wyjechać z Las Vegas. Nie odezwała się więc do Jodie ani słowem, aż boxster wyjechał na autostradę prowadzącą do Los Angeles. Wydawało się, jakby Cassie nie potrafiła zaczerpnąć tchu, dopóki nie oddaliła się od neonowego blasku pasażu. Dopiero wrzucając piątą bieg i ustawiając regulator stałej prędkości na siedemdziesiąt pięć mil

na godzinę, spojrzała na dziewczynkę przypiętą pasami do siedzenia obok.

- Dobrze się czujesz, Jodie?

- Tak, a ty?

- Ja też.

- Masz siniaka na policzku, tu gdzie cię uderzył. Widziałam go, jak się chowałam do tunelu.

- Siniaki szybko schodzą. Jesteś zmęczona?

- Nie.

Lecz Cassie widziała, że jest inaczej. Rozłożyła maksymalnie jej fotel, żeby Jodie mogła spać. Włożyła do odtwarzacza kompakt Lucindy Williams i ściszyła. Słuchała słów piosenek i myślała o decyzji, którą będzie musiała podjąć w którymś miejscu drogi do Los Angeles, gdy Jodie powiedziała:

- Wiedziałam, że po mnie przyjedziesz.

Cassie spojrzała na dziewczynkę. W nikłym świetle wskaźników deski rozdzielczej zobaczyła, że córeczka na nią patrzy.

- Skąd wiedziałas?

- Mamusia mówiła, że pilnuje mnie stróżujący anioł. To chyba ty.

Cassie wróciła spojrzeniem na drogę. Czuła, jak łyzy cisną się jej do oczu.

- Anioł stróż, dziecko. Stróż.

- Nie jestem dziecko.

- Wiem, przepraszam.

Przez chwilę jechały w milczeniu. Cassie myślała o swojej decyzji.

- Wiem - powtórzyła.

- Czemu płaczesz? - spytała Jodie.

Cassie otarła łyzy wierzchem dłoni. Potem chwyciła mocno kierownicę, zmuszając się siłą woli, by nie uronić w jej obecności już ani jednej łyzy.

- Bo się cieszę - odrzekła.

- Z czego?

Cassie spojrzała na Jodie i uśmiechnęła się.

- Bo jestem z tobą. I udało nam się uciec.

W słabym świetle na twarzy Jodie widać było wahanie.

- Zabierasz mnie do domu?

Cassie wolno pokiwała głową.

- Jodie, ja... Odtąd zawsze już będziesz ze swoją mamą.

Niedługo potem Jodie zasnęła i spała przez resztę drogi do Los Angeles. Cassie od czasu do czasu przyglądała się jej i miała wrażenie, jakby widziała Maksa i siebie jednocześnie. Dziewczynka miała jego wysokie czoło. Tym mocniej ją kochała.

- Kocham cię, Jane - powiedziała, zwracając się do niej po imieniu, które chciała jej nadać.

Przed piątą ciemny tunel pustyni oblał szary półcień przedświt, a na pustym horyzoncie zarysowały się zabudowania Los Angeles, które gęstniały z każdą chwilą. Cassie dopiła zimną kawę, którą kupiła w okienku całodobowego McDonalda w Barstow. Jechała Dziesiątą w kierunku rozjazdu z autostradą Golden State, drogą z północy na południe, którą w ciągu trzech godzin mogła się dostać do Meksyku. Włączyła radio i nastawiła KFVB, stację, która co dwadzieścia minut nadawała wiadomości. Trafiła na końcówkę informacji o gromadzeniu zapasów szampana na milenijnego sylwestra, a potem przed głównymi wiadomościami nadano jeszcze serwis dla kierowców.

Jej sprawa była pierwszą wiadomością. Cassie sprawdziła, czy Jodie nadal śpi i nachyliła się bliżej głośnika, by lepiej słyszeć. Spiker miał głęboki i melodyjny głos.

- Od rana policja poszukuje kobiety odpowiedzialnej za podwójne morderstwo, usiłowanie zabójstwa i porwanie. Według rzecznika Departamentu Policji Los Angeles trzydziestotrzyletnia Cassidy Black, która spędziła pięć lat w więzieniu stanowym w Nevadzie skazana za nieumyślne zabójstwo, jest główną podejrzaną w sprawie podwójnego morderstwa dwojga współpracowników, które miało miejsce wczoraj rano. Strzały padły w salonie Porsche Hollywood, gdzie Black od niespełna roku pracowała jako sprzedawca. Później we własnym domu usiłowała zabić swoją kuratorkę, Thelmę Kibble, czterdziestodwuletnią policjantkę zamieszkałą w Hawthorne. Według informacji uzyskanych od policji, Kibble pojechała do domu Black, by przeprowadzić rutynową kontrolę, zgodnie z procedurą zwolnienia warunkowego i zapewne nie wiedziała o wydarzeniach, które wcześniej rozegrały się w salonie samochodowym. Przypuszcza się, że doszło między nimi do konfrontacji, w wyniku której Kibble została postrzelona w pierś z własnej broni. Została przewieziona do Centrum Medycznego Cedar-Sinai. Jej stan jest ciężki, lecz stabilny.

Cassie pochyliła się, zamknęła oczy i głęboko odetchnęła. Thelma Kibble przeżyła. Otworzyła oczy i ponownie spojrzała na Jodie. Dziewczynka dalej spokojnie spała. Cassie słuchała dalszego ciągu informacji.

- Ze względu na swój stan Kibble nie została jeszcze przesłuchana. W piątek późnym wieczorem policja potwierdziła, że Black jest również zamieszana w porwanie pięcioletniej dziewczynki, którą uprowadzono sprzed domu w Kanionie Laurel. Według uzyskanych przez nas informacji, Black jest naturalną matką Jodie Shaw, ale oddała dziewczynkę do adopcji zaraz po jej urodzeniu w więzieniu High Desert w Nevadzie. Przypuszczalnie Black poruszała się samochodem - nowym modelem lincolna lub chryslera - czarnym, z przyciemnianymi szybami. Detektywi z departamentu Los Angeles początkowo uznali porwanie za odrębną sprawę, ale wkrótce dowiedzieli się, że zaginiona dziewczynka została adoptowana, a jej biologiczną matką jest Black. O tej sprawie będziemy jeszcze dziś informować, jeśli śledztwo przyniesie nowe fakty.

Cassie wyłączyła radio. Zobaczyła już wierzchołki wieżowców stojących w centrum miasta. Myślała o informacjach radiowych. Policja co do joty realizowała plan Karcha. Nawet po śmierci potrafił wygrywać.

- Thelma - powiedziała głośno.

Teraz wszystko zależało od Thelmy Kibble. Jeżeli przeżyje, opowie im o wszystkim i prawda wyjdzie na jaw.

Jednak wiedziała, że to nie umniejsza jej winy. Miała na sumieniu tyłu ludzi. Wszyscy zginęli przez jej pragnienia.

Starła się odsunąć od siebie myśli o winie. Wiedziała, że nigdy się od nich nie uwolni i pewnego dnia będzie musiała się z nimi zmierzyć. Na razie musiała jednak o nich zapomnieć.

Z tylnej kieszeni wyciągnęła paszporty. Włączyła lampkę nad lusterkiem, położyła je na kierownicy i otworzyła, tak że jej zdjęcie znalazło się tuż obok zdjęcia Jodie. W rubryce o zatrudnieniu przeczytała „PROWADZI DOM”. Mimo woli uśmiechnęła się. Ostatni żart Lea.

Zamknęła paszporty jeden w drugim i przycisnęła je do piersi. Samochód minął znak, który informował, że za dwie mile będzie rozjazd z autostradą Golden State. Dwie mile, pomyślała. Dwie minuty, by zdecydować o przyszłości dwóch osób.

Spojrzała na czarną torbę leżącą na podłodze między bosymi stopami Jodie, której tenisówki zostały w łazience apartamentu w Kleopatrze. W torbie było więcej pieniędzy, niż Cassie potrafiła sobie kiedykolwiek wyobrazić. Za dużo jak na początek nowego życia. Samochód mogła porzucić w południowym Los Angeles, a w ciągu jednego dnia rozebrali by go do gołego szkieletu. Potem mogła pojechać taksówką do samochodowego centrum handlowego w okręgu Orange, kupić nowe auto i zapłacić gotówką jako Jane Davis. Nie zostawi żadnego tropu dla policji. Przekroczy granicę i z Ensenady poleci do Mexico City. Tam postanowi, jaki będzie ostateczny cel.

- Tam... gdzie pustynia to ocean - powiedziała głośno.

Schowała paszporty do kieszeni i zgasiła światło. Potrafiła przy tym monety I Ching, które zawiesiła na lusterku. Monety, które miały przynosić szczęście Leowi. Zaczęły się kołysać na boki, przyciągając jej wzrok jak zegarek hipnotyzera.

Wreszcie oderwała od nich spojrzenie i popatrzyła na swoją śpiącą córeczkę. Usta Jodie były lekko rozchylone, ukazywały drobne, białe ząbki. Cassie miała ochotę ich dotknąć. Pragnęła znać najmniejszy kawałek swojego dziecka.

Odsunęła z twarzy dziewczynki kosmyk włosów, zakładając go za uchem. Jodie się nie obudziła.

Cassie spojrzała z powrotem na drogę. Zbliżały się do znaku ze strzałkami, które wskazywały właściwe pasy ruchu samochodom kierującym się na południe.

Rozdział 48

Jodie powoli budziła się pod delikatnym dotykiem Cassie. Otworzyła oczy i z początku wyglądała na przygnębioną, kiedy zobaczyła, że nadal siedzi w samochodzie. Lecz gdy jej wzrok spoczął twarzy na Cassie, smutek ustąpił miejsca ufności. Niemal niedostrzegalnie, ale Cassie zdołała to zauważyć. - Jesteś w domu, Jodie.

Dziewczynka usiadła prosto i wyjrzała przez okno. Jechały Lookout Mountain Road i za chwilę miały mijać szkołę Wonderland.

- Mamusia i tatuś są w domu?
- Jestem pewna, że na ciebie czekają.

Cassie zdjęła sznur monet I Ching z lusterka i podała je dziewczynce.

- Weź. Na szczęście.

Dziewczynka wzięła monety, ale w jej oczach znów pojawiła się niepewność.

- Wejdiesz, żeby spotkać się z mamusią i tatusiem?
- Chyba nie, kochanie.
- A dokąd chcesz jechać?
- Daleko. Gdzieś bardzo daleko.

Czekała. Wystarczyło, żeby dziewczynka powiedziała: „Weź mnie ze sobą”, a zmieniłaby decyzję i zawróciła samochód. Ale nie usłyszała tych słów i nie spodziewała się usłyszeć.

- Chcę, żebyś coś zapamiętała, Jodie. Nawet kiedy mnie nie będziesz widziała, będę przy tobie. Zawsze cię będę pilnować. Przyrzekam.

- Dobrze.
- Kocham cię.

Dziewczynka nie odpowiedziała.

- Umiesz dotrzymać tajemnicy?
- Pewnie. Jakiej?

Od domu dzieliło je kilka przecznic.

- Mam kogoś, kto mi pomoże cię pilnować. Cały czas, chociaż też go nie będziesz widziała.

- Kto to?

- Ma na imię Max, ale nigdy go nie zobaczysz. On też bardzo cię kocha.

Popatrzyła na Jodie z uśmiechem, pamiętając o danej sobie obietnicy, że się nie rozplacze - przynajmniej nie w jej obecności.

- Masz więc teraz dwóch stróżujących aniołów. To chyba spore szczęście jak na jedną dziewczynkę, prawda?

- Aniołów stróżów. Sama mówiłaś.
- Zgadza się. Aniołów stróżów.

Cassie zobaczyła, że są już na miejscu. Chociaż jeszcze nie było piętej rano, paliły się światła w środku i na zewnątrz domu. W pobliżu nie było żadnych samochodów policyjnych. Na podjeździe stało tylko białe volvo. Cassie domyśliła się, że dom Jodie jest ostatnim miejscem, gdzie policja mogłaby się jej spodziewać. Zatrzymała wóz, ale nie wyłączyła

silnika. Od razu sięgnęła ponad Jodie i otworzyła drzwi od strony pasażera. Wiedziała, że musi to zrobić szybko - nie z powodu gliniarzy, którzy mogli się chować w domu. Dlatego że decyzja, którą podjęła, była tak nietrwała, że za pięć sekund Cassie mogła ją zmienić.

- Przytul mnie, Jodie.

Dziewczynka spełniła prośbę i przez dziesięć sekund Cassie ścisnęła ją tak mocno, że omal nie zrobiła jej krzywdy. Kiedy puściła Jodie, wzięła w dłonie jej twarzyczkę i ucałowała ją w obydwie policzki.

- Będziesz grzeczną dziewczynką, zgoda?

Jodie zaczęła się wrywać.

- Chcę do mamusi.

Cassie skinęła głową i puściła ją. Patrzyła, jak Jodie wysiada z samochodu i biegnie przez trawnik do jasno oświetlonych drzwi.

- Kocham cię - wyszeptła, patrząc na oddalającą się córeczkę.

Frontowe drzwi nie były zamknięte na zamek. Dziewczynka otworzyła je i weszła. Zanim drzwi się zamknęły, Cassie usłyszała przenikliwy okrzyk „Jodie!”, w którym brzmiała ulga i radość. Zamknęła drzwi od strony pasażera. Prostując się na fotelu, spojrzała w stronę domu i zobaczyła Jodie w ramionach kobiety, którą dziewczynka uważała za swoją matkę. Kobieta była zupełnie ubrana i Cassie wiedziała, że w nocy nie zmrużyła oka. Tuliła do siebie głowę Jodie, ściskając dziewczynkę równie mocno, jak przed chwilą Cassie. W padającym z werandy świetle zobaczyła łzy płynące po twarzy kobiety. Zauważyła też, że kobieta porusza ustami, mówiąc bezgłośnie „Dziękuję” i patrząc w kierunku porsche.

Cassie skinęła głową, choć na pewno nie było jej widać w ciemnym wnętrzu samochodu. Wrzuciła bieg, zwolniła dźwignię hamulca ręcznego i odjechała.

Rozdział 49

Kanionem Laurel dojechała do Mulholland, a potem krętą drogą połączyła na wschód. Zatrzymała się na chwilę w zatoczce, skąd rozpościerał się widok na Valley, i patrzyła, jak słońce wyłania się zza gór

na wschodzie i oświetla leżące w dole płaskie połacie. Zanim ruszyła dalej, opuściła dach boxstera. Powietrze świtu było lodowate, ale odpędzało sen i sprawiało, że Cassie czuła się lepiej. W miejscu, gdzie Mulholland krzyżowała się z autostradą Hollywood, skrzyła we wjazd i pojechała na północ.

W pamięci stanął jej obraz Maksa w koszuli hawajskiej, tamtej nocy na Tahiti, kiedy sobie przyrzekli, że zawsze będą razem. W głębi duszy Cassie wierzyła, że to właśnie wtedy poczęła się ich córka. Przypomniła sobie, jak powoli tańczyli boso na plaży, a muzyka niosła się znad zatoczki, z dalekiego i rozświetlonego pensjonatu. Wiedziała, że świat, który należał tylko do nich, jest w środku. W nich. Zawsze tak było. Miejsmem, gdzie pustynia zmieniała się w ocean, było serce. I tego nikt jej nigdy nie odbierze.

Zanim dojechała do granicy okręgu Ventura, musiała nałożyć okulary przeciwsłoneczne. Powietrze szybko się nagrzewało, a wiatr rozwiewał jej włosy. Wiedziała, że powinna porzucić samochód i zdobyć nowy. Nie mogła się jednak zatrzymać. Uważała, że gdyby zdjęła nogę z gazu i zwolniła choćby na krótką chwilę, wszystko, co za sobą zostawiała, dogoniłoby ją i wyprzedziło. Wina i ciężar wszystkich śmierci spadłyby na nią pośrodku drogi. Wiedziała tylko, że musi przed nimi uciekać.

Jechała więc dalej.